

# WOJNA STAREGO CZŁOWIEKA



John Scalzi

JOHN SCALZI

WOJNA  
STAREGO CZŁOWIEKA

Przełożył: Wojciech Pusłowski



Dla Regan Avery, pierwszej wspaniałej czytelniczki.

I, jak zawsze, dla Kristine i Atheny.

# Spis treści

Dedykacja

## CZĘŚĆ I

PIERWSZY

DRUGI

TRZECI

CZWARTY

PIĄTY

NOWY TY

SZÓSTY

## CZĘŚĆ II

SIÓDMY

ÓSMY

DZIEWIĄTY

DZIESIĄTY

JEDENASTY

DWANAŚCIE

## CZĘŚĆ III

TRZYNASTY

CZTERNASTY

PIĘTNASTY

SZESNASTY

SIEDEMNASTY

OSIEMNASTY

PODZIĘKOWANIA

JOHN SCALZI

# CZĘŚĆ I

# PIERWSZY

W dzień swoich siedemdziesiątych piątych urodzin zrobiłem dwie rzeczy. Odwiedziłem grób mojej żony, a potem wstąpiłem do armii.

Mniej dramatyczną z tych dwóch rzeczy była wizyta na grobie Kathy. Jest pochowana na Cmentarzu Harris Creek, nie dalej niż milę od miejsca gdzie mieszkam i gdzie stworzyliśmy naszą rodzinę. Wyprawienie jej na cmentarz było prawdopodobnie trudniejsze niż być powinno; żadne z nas nie przewidywało potrzeby pogrzebu, więc żadne z nas nie poczyniło koniecznych przygotowań. Jest coś zawstydzającego – to chyba właściwe słowo – w kłóceniu się z zarządcą cmentarza na temat tego, że twoja żona nie zarezerwowała sobie pochówku. W końcu, mój syn – a tak się składa, że Charlie jest burmistrzem – wydał parę służbowych poleceń i rozwiązał sprawę. Bycie ojcem burmistrza ma swoje dobre strony.

A więc, grób. Prosty i niewyróżniający się, z jednym z tych małych kamieni nagrobnych zamiast dużego nagrobka. Dla kontrastu, Kathy leży obok Sandry Cain, której raczej przerośnięty nagrobek wykonany jest z polerowanego czarnego granitu ze zdjęciem Sandy ze studenckich czasów i jakimś ckliwym cytatem z Keatsa o śmierci młodości i piękna, wyrytym na przedniej ścianie. To cała Sandy. Kathy uśmiełaby się, gdyby wiedziała, że Sandra zaparkowała tuż obok niej, ze swoim wielkim, dramatycznym nagrobkiem; przez całe życie rywalizowały ze sobą w zabawny, pasywno-agresywny sposób. Gdyby Kathy mogła przynieść na lokalną wyprzedaż ciasto, a Sandy przyniosłaby trzy, to zupełnie nie potrafiłaby opanować złości, gdyby ciasto Kathy zostało sprzedane wcześniej. Kathy natomiast próbowałaby rozwiązać problem, jako pierwsza kupując jedno z jej ciast.

Trudno powiedzieć, czy to posunięcie pogorszyłoby czy polepszyło sytuację z punktu widzenia Sandy.

Podejrzewam, że nagrobek Sandy można uznać za jej ostatnie słowo w całej tej sprawie. Za ostateczną wypowiedź, na którą nie mogła dostać riposty, ponieważ Kathy już nie żyła.

Z drugiej strony, nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek odwiedzał Sandy. W trzy miesiące po jej śmierci, Steve Cain sprzedał dom i przeniósł się do Arizony, z przyklepionym do twarzy uśmiechem szerokim jak międzystanowa autostrada numer 10. W jakiś czas potem przesłał mi pocztówkę; żył tam na kocią łapę z kobietą, która pięćdziesiąt lat temu była gwiazdą porno. Jeszcze w tydzień po otrzymaniu tej wiadomości czułem się w jakiś sposób nieczysty. Dzieci i wnuki Sandy mieszkali w pobliskim mieście, ale, biorąc pod uwagę częstotliwość ich wizyt, równie dobrze mogły mieszkać w Arizonie. Wybrany przez Sandy cytat z Keatsa prawdopodobnie od chwili jej pogrzebu nie był czytany przez nikogo innego oprócz mnie. Na kamieniu nagrobnym Kathy umieszczone zostało jej nazwisko (Katherine Rebecca Perry), daty urodzin i śmierci, i słowa: UKOCHANA ŻONA I MATKA. Czytałem te słowa za każdym razem, kiedy odwiedzałem jej grób. Nic nie mogłem na to poradzić, ponieważ te cztery słowa tak niewystarczająco, i jednocześnie w tak doskonały sposób podsumowywały jej życie. To wyrażenie nic o niej nie mówi; o tym jak zaczynała każdy dzień albo jak pracowała, jakie miała zainteresowania albo dokąd lubiła podróżować. Te słowa nie mówią jaki był jej ulubiony kolor, jak upinała włosy, jak głosowała, ani jakie miała poczucie humoru. Te słowa nie mówią o niej nic, oprócz tego, że była kochana. I była. Ona uznałaby, że to wystarczy.

Nie znoszę tu przychodzić. Nienawidzę faktu, że czterdzieści dwa lata mojego życia są martwe. Tego, że w jednej minucie któregoś z sobotnich

poranków była w kuchni, mieszając w misce krem do gofrów i opowiadała mi o gorączkowej dyskusji, jaka odbyła się na posiedzeniu zarządu biblioteki poprzedniego wieczoru, a w następnej minucie leżała już na podłodze, a jej ciało drgało od udaru, który przedarł się przez jej mózg. Nienawidzę tego, że jej ostatnie słowa brzmiały: „Gdzie do cholery położyłam wanilię”.

Nienawidzę tego, że stałem się jednym z tych starych mężczyzn, którzy odwiedzają cmentarz, żeby być ze swoją zmarłą żoną. Kiedy byłem znacznie młodszy, często pytałem Kathy, co to miałyby za sens. Kupa kości i gnijącego mięsa, która była kiedyś osobą, nie jest już osobą; jest po prostu kupą kości i gnijącego mięsa. Osoba odeszła – do nieba, do piekła, gdzieś tam albo donikąd. Równie dobrze mógłbyś odwiedzać poleć wołowiny. Kiedy się starzejesz, zdajesz sobie sprawę z tego, że to jednak może mieć sens. Reszta cię już nie obchodzi. Po prostu to jedyne, co masz. W równym stopniu nienawidzę tego cmentarza, co jestem wdzięczny za jego istnienie. Tęsknię za moją żoną. Łatwiej jest tęsknić za nią na cmentarzu, gdzie nigdy nie była nikim innym, niż zmarłą, niż tęsknić za nią we wszystkich tych miejscach, w których żyła.

Nie zostałem tam długo; nigdy nie zostaję. Jednak na tyle długo, żeby poczuć kłujący ból, wciąż świeży po prawie ośmiu latach, który pozwala mi także przypomnieć sobie, że mam inne rzeczy do roboty niż stać na cmentarzu jak stary, przeklęty głupiec. Kiedy go poczułem, odwróciłem się i odszedłem, nawet nie oglądając się za siebie. To był ostatni raz, kiedy mogłem odwiedzić cmentarz i grób mojej żony, ale nie chciałem zbytnio wysilać się, żeby to zapamiętać. Tak jak powiedziałem, to jest miejsce, w którym nigdy nie była niczym innym, niż zmarłą. Zapamiętywanie tego nie jest wiele warte.





Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, wstąpienie do armii także nie odbyło się w zbyt dramatyczny sposób.

Moje miasto było za małe, żeby mieć swój własny punkt poboru. Dlatego, żeby się zaciągnąć, musiałem pojechać do Greenville, siedziby hrabstwa. Biuro rekrutacyjne znajdowało się w przedniej części małego sklepu w jednym z centrów handlowych; po jego jednej stronie znajdował się autoryzowany przez stan sklep z alkoholami, po drugiej salon tatuażu. W zależności od tego, którądy wszedłeś do środka, następnego ranka mogłeś obudzić się z takim lub innym poważnym problemem.

Wnętrze biura było jeszcze mniej pociągające, jeśli to w ogóle możliwe. Znajdowało się tam biurko z komputerem i drukarką, za biurkiem siedział człowiek, naprzeciw biurka stały dwa krzesła, a pod ścianą ciągnął się rząd sześciu krzeseł. Na małym, stojącym naprzeciwko nich stole leżały ulotki rekrutacyjne i trochę starych numerów Time'a i Newsweeka. Byłem tu z Kathy przed dziesięciu laty, oczywiście; podejrzewam, że nic nie zmieniono w umeblowaniu i wyposażeniu, włączając w to archiwalne czasopisma. Zmienił się tylko człowiek za biurkiem. Przynajmniej nie przypominam sobie urzędnika rekrutacyjnego z taką ilością włosów. I z takimi piersiami.

Urzędniczka zajęta była pisaniem na komputerze i nie raczyła nawet spojrzeć na mnie, kiedy wszedłem.

– Proszę chwilę poczekać – mruknęła, reagując odruchem Pawłowa na odgłos otwieranych drzwi.

– Proszę się nie spieszyć – powiedziałem. – Wiem, że macie tu niezły ruch.

Ta próba sarkastycznego humoru została niezauważona i niedoceniona, podobnie działo się w przeciągu ostatnich kilku lat; dobrze było się

przekonać, że nie straciłem formy. Usiadłem naprzeciw biurka i czekałem, aż urzędniczka skończy robić to, co robiła, cokolwiek to było.

– Do wpisu czy do zaciągu? – zapytała, wciąż właściwie na mnie nie patrząc.

– Słucham? – powiedziałem.

– Do wpisu czy do zaciągu? – powtórzyła. – Chce się pan wpisać na listę przyszedłego zaciągu, czy zaciągnąć się na służbę?

– Do zaciągu, poproszę.

Wtedy w końcu spojrzała na mnie zza pary grubych szkieł.

– Pan jest John Perry – powiedziała.

– Tak, to ja. Jak pani zgadła?

Spojrzała znów na ekran komputera.

– Większość spośród ludzi, którzy chcą się zaciągnąć, przychodzi tu w dzień swoich urodzin, nawet jeśli do dnia zaciągu mają formalnie trzydzieści dni. Dzisiaj wypadają urodziny tylko trzech osób. Mary Valory już zadzwoniła, żeby powiedzieć, że się nie zaciąga. A nie wygląda na to, żeby był pan Cynthią Smith.

– Miło mi to słyszeć – powiedziałem.

– I jeśli nie przychodzi pan zapisać się na listę – kontynuowała, ignorując kolejny gejzer mojego dowcipu – To z tego wynika, że jest pan Johnem Perry.

– Mógłbym być po prostu samotnym, starym człowiekiem, wałęsającym się w okolicy w poszukiwaniu rozmówców – powiedziałem.

– Nie przychodzi tu wielu takich – powiedziała. – Odstraszają ich te dzieciaki obok ze swoimi tatuażami demonów.

W końcu odsunęła od siebie klawiaturę i poświęciła mi całą swoją uwagę:

– No dobrze. Niech mi pan pokaże jakiś dokument tożsamości.

– Przecież pani już wie, kim ja jestem – przypomniałem jej.

– Upewnijmy się – powiedziała bez najmniejszego cienia uśmiechu na twarzy. Codzienne zadawanie się z gadatliwymi starymi pierdzielami, najwyraźniej zebrało swoje zniwo.

Podąłem jej moje prawo jazdy, akt urodzenia i dowód tożsamości. Wzięła dokumenty, sięgnęła do szuflady biurka po czytnik dłoni, podłączyła go do komputera i przesunęła w moją stronę. Umieściłem dłoń na ekranie i czekałem, aż urządzenie skończy skanowanie. Spojrzała na czytnik i porównała odczyt z danymi z mojego dowodu.

– Pan jest Johnem Perry – powiedziała w końcu.

– No i znów jesteśmy w punkcie wyjścia – powiedziałem.

Znowu mnie zignorowała.

– Dziesięć lat temu, w czasie sesji przygotowawczej do przyszłego zaciągu, dostarczono panu informacje dotyczące Kolonialnych Sił Obrony, a także zobowiązań i obowiązków, które zostaną na pana nałożone w momencie wstąpienia do KSO – powiedziała, tonem głosu wskazującym na to, że mówi to przynajmniej raz dziennie, przez większość swojego zawodowego życia. – Dodatkowo, w czasie okresu przejściowego, otrzymywał pan uaktualniające materiały, które miały przypomnieć panu o zobowiązaniach i obowiązkach, którym będzie pan podlegał. W tym momencie muszę spytać, czy potrzebuje pan dodatkowych informacji lub odświeżającej prezentacji materiałów, czy też oświadcza pan, że w pełni rozumiał zobowiązania, którym będzie pan podlegał? Zaznaczam, że nie przewidziano żadnej kary za próbę odświeżenia materiałów, jak również za decyzję o nie zaciągnięciu się do KSO tym razem.

Przypomniałem sobie wstępną sesję informacyjną. W czasie jej pierwszej części, grupa starszych obywateli miasta siedziała na składanych krzesłach w Domu Kultury Greenville, pijąc kawę, jedząc pączki i

słuchając aparaczyka KSO, brzęczącego monotonnie o historii ziemskich kolonii. Po wykładzie mówca rozdał broszurki na temat służby w KSO, która przedstawiona w nich była podobnie jak każda inna wojskowa służba. Kiedy zaczął odpowiadać na pytania zebranych, zorientowaliśmy się, że wcale nie należał do KSO; został po prostu wynajęty, żeby prowadzić prezentacje w obrębie doliny Miami.

Drugą częścią wstępnej sesji informacyjnej było pobieżne badanie medyczne. Doktor pobrał krew, wywacikował mi wnętrze policzków, żeby pobrać komórki do badań i zrobił tomografię mózgu. Najwyraźniej przeszedłem badanie pomyślnie. Od tej pory, co roku przesyłano mi pocztą broszurki, podobne do tych, które rozdano nam na sesji informacyjnej. Po dwóch latach zacząłem je wyrzucać do śmieci. Od tej pory nie przeczytałem ani jednej.

– Rozumiem – powiedziałem.

Pokiwała głową, wyjęła z szuflady biurka kartkę papieru, długopis i podała mi. Na kartce widniało kilka paragrafów, każdy z miejscem na podpis. Poznałem ten dokument; podpisałem podobny dziesięć lat temu, żeby potwierdzić, że rozumiem w co się wpakuję dekadę później.

– Przeczytam panu każdy z następujących paragrafów – powiedziała. – Na końcu każdego z nich, jeśli zrozumie pan i zaakceptuje to, co panu przeczytałam, proszę podpisać się i napisać dzisiejszą datę. Jeśli będzie pan miał pytania, proszę zadawać je po zakończeniu czytania poszczególnych paragrafów. Jeśli później nie zrozumie pan lub nie zaakceptuje tego, co zostało panu przeczytane i wytłumaczone, proszę się nie podpisywać. Czy mnie pan rozumiał?

– Zrozumiałem – powiedziałem.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Paragraf pierwszy: Ja, niżej podpisany, potwierdzam i rozumiem, że z własnej nieprzymuszonej woli i bez

zewnątrznych nacisków zaciągam się do Kolonialnych Sił Obrony na okres służby nie krótszy niż dwa lata. Dodatkowo przyjmuję do wiadomości i rozumiem, że okres służby może zostać jednostronnie wydłużony przez Kolonialne Siły Obrony maksymalnie o osiem dodatkowych lat, w czasie wojny i pod przymusem okoliczności.

Klauzula tych „dziesięciu lat służby” nie była dla mnie niczym nowym – czytałem przecież przysyłane mi broszurki, raz czy dwa razy. Zastanawiałem się jak wielu ludzi tylko prześlizgnęło się po nich wzrokiem; pomyślałem też o innych – jak wielu na serio myślało, że spędzą na służbie dziesięć lat. W moim pojęciu KSO nie prosiłoby o dziesięć lat, gdyby nie zdawało sobie sprawy z tego, że mogą być potrzebne. Dzięki PRAWOM KWARANTANNY nie dochodzi do nas zbyt wiele wieści o wojnach kolonialnych. Ale to, co słyszymy wystarczy, żeby wiedzieć, że tam w kosmosie nie ma teraz pokoju.

Złożyłem podpis.

– Paragraf drugi: Rozumiem, że dobrowolnie zaciągając się do Kolonialnych Sił Obrony, zgadzam się nosić broń i używać jej przeciw wrogom Unii Kolonialnej, którymi mogą okazać się także członkowie rasy ludzkiej. W czasie trwania służby nie mogę odmówić noszenia i używania broni zgodnie z rozkazami, ani występować ze sprzeciwami religijnej bądź moralnej natury dla takich akcji, w celu uniknięcia walki.

Ilu ludzi z własnej woli zaciągając się do jakiejś armii, przyjmuje potem rolę obrońcy moralności? Podpisałem.

– Paragraf trzeci: Rozumiem i zgadzam się na to, że z pełnym zaufaniem i tak szybko, jak to będzie możliwe, będę wykonywał rozkazy i polecenia wydawane przez zwierzchnich oficerów, zgodnie z Ujednoliconym Kodeksem Postępowania Kolonialnych Sił Obrony.

Podpisałem.

– Paragraf czwarty: Rozumiem, że wstępując w szeregi Kolonialnych Sił Obrony, zgadzam się na wszelkie medyczne, chirurgiczne, czy terapeutyczne zabiegi i procedury, jakie Kolonialne Siły Obrony uznają za konieczne dla podniesienia sprawności bojowej.

I o to chodziło: dlatego właśnie ja, i niezliczone rzesze innych siedemdziesięcioletników, każdego roku zaciągały się do służby w KSO.

Powiedziałem kiedyś mojemu dziadkowi, że kiedy będę w jego wieku, wynaleziony już będzie sposób znacznego przedłużenia ludzkiego życia. Zaśmiał się wtedy i powiedział, że sam również spodziewał się takiego obrotu sprawy, i oto był tym, kim był – starym człowiekiem. A teraz i ja jestem tym samym. Kłopot ze starzeniem się polega na tym, że nie objawia się ono jako szereg występujących po sobie cholernych problemów – ma się je wszystkie naraz, i to przez cały czas.

Nie można zatrzymać procesu starzenia. Walczy się z nim za pomocą terapii genetycznych, wymiany organów i chirurgii plastycznej. Ale starość w końcu i tak cię dopada. Dostaniesz nowe płuco, a serce przestanie dobrze pompować krew. Dostaniesz nowe serce, a wątroba napuchnie ci do rozmiarów dmuchanego dziecięcego basenu. Wymienisz sobie wątrobę, i wtedy walnie cię wylew. Oto zawsze wygrywająca karta starości; lekarze wciąż nie umieją wymienić mózgu.

Oczekiwana długość życia niezbyt dawno temu wspięła się do granicy pięćdziesięciu lat – i od tej pory już tam pozostała. Na przestrzeni dziejów udało nam się ją przedłużyć ponad trzykrotnie, ale wtedy Bóg spuścił z nieba swoją stopę w ciężkim bucie. Ludzie mogą żyć dłużej, i żyją dłużej – ale i tak przeżywają swoje schyłkowe lata jako osoby stare. Pod tym względem zmieniło się niezbyt wiele.

Zresztą pomyślcie sami. Kiedy masz dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć, czterdzieści pięć, a nawet pięćdziesiąt pięć lat, wciąż możesz mieć nadzieję, że poradysz sobie z całym światem. Ale kiedy masz sześćdziesiąt pięć lat, i twoje ciało coraz wyraźniejszym głosem cudownie mnożących się dolegliwości zapowiada nadchodzącą ruinę, te tajemnicze „medyczne, chirurgiczne czy terapeutyczne zabiegi i procedury” zaczynają brzmieć coraz bardziej pociągająco. Potem masz siedemdziesiąt pięć lat; twoi przyjaciele nie żyją i wymieniono ci co najmniej jeden z ważniejszych organów. Każdej nocy musisz po cztery razy wstawać, żeby się wysikać; nie możesz bez lekkiej zadyszki wejść na prowadzące do samolotu schody – i jeszcze ci mówią, że jak na swój wiek, jesteś w całkiem dobrej formie.

Przehandlowanie tego za dekadę świeżego życia w strefie walki zaczyna wyglądać na diabelnie dobry interes. Szczególnie, kiedy weźmie się pod uwagę fakt, że za dziesięć lat będziesz miał osiemdziesiąt pięć lat – i jedyna różnica między tobą a rodzyńkiem będzie taka, że, choć obaj będziecie pomarszczeni i bez prostaty, to rodzynek, w przeciwieństwie do ciebie, nie będzie odczuwał braku tego gruczołu.

W jaki sposób KSO udaje się odwrócić proces starzenia się organizmu? Nikt tutaj tego nie wie. Ziemscy naukowcy nie potrafią tego wyjaśnić, ani powtórzyć – nie, żeby nie próbowali tego zrobić. Ale KSO nie prowadzi działań na Ziemi, więc nie można spytać o to weterana wojen kolonialnych. KSO prowadzi na Ziemi tylko rekrutację, więc koloniści także tego nie wiedzą – pomijając fakt, że nie ma sposobu, by ich o to zapytać. Jakkolwiek wyglądają terapie odmładzające KSO, przeprowadzane są z dala od ojczystej planety, w strefach ich wyłącznych wpływów, poza zasięgiem wszelkich ziemskich władz. Więc ani Wujek Sam, ani nikt inny nic tu nie może pomóc.

Co pewien czas jakaś administracja, któryś z prezydentów czy dyktatorów, zakazuje KSO prowadzenia rekrutacji, dopóki nie wyjawią swoich sekretów. KSO nigdy się nie spiera – pakują swoje manatki i wynoszą się. A potem wszyscy siedemdziesięcioletnicy wyjeżdżają z tego kraju na długie zagraniczne wakacje, z których już nigdy nie wrócą. KSO tego w żaden sposób nie tłumaczy, nie uzasadnia i nie daje żadnych wskazówek. Jeśli chcesz wiedzieć, w jaki sposób przywracają ludziom młodość, musisz się zaciągnąć.

Podpisałem.

– Paragraf piąty: Rozumiem, że poprzez wstąpienie do Kolonialnych Sił Obrony, zrzekam się obywatelstwa swojego kraju, w tym wypadku Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; jak również Rezydenckiej Franszyzy, która pozwala mi przebywać na planecie Ziemia. Rozumiem, że zostaje mi niniejszym przyznane obywatelstwo Unii Kolonialnej w ogólności; w szczególności moja osoba przypisana zostaje pod jurysdykcję Kolonialnych Sił Obrony. Rozumiem i przyjmuję do wiadomości fakt, że po zrzeczeniu się przeze mnie obywatelstwa swojego kraju i planetarnej Rezydenckiej Franszyzy, nie będę mógł powrócić na Ziemię, a po zakończeniu mojej służby w Kolonialnych Siłach Obrony osiedlę się na którejkolwiek z kolonii wyznaczonych mi przez Unię Kolonialną i/lub Kolonialne Siły Obrony.

Czyli mówiąc po prostu: Nie wrócisz już do domu. Wynika to z Praw Kwarantanny, które zostały wymuszone przez Unię Kolonialną i KSO, żeby – tak przynajmniej brzmi oficjalna wersja uzasadnienia – chronić Ziemię przed zagrożeniami biologicznymi obcego pochodzenia, takimi jak Fałda. Dawniej wszyscy na Ziemi byli za wprowadzeniem tych praw. To zabawne, jak zaściankowa i krótkowzroczna staje się planeta, kiedy w przeciągu roku jedna trzecia jej męskiej populacji nieodwracalnie traci zdolności



rozrodcze. Teraz ludzie są znacznie mniej entuzjastycznie nastawieni do tych praw – zdążyli się już znudzić Ziemią i całkiem zapomnieli kim był bezdzietny Wielki Wujek Walt. Ale tylko UK i KSO dysponują statkami kosmicznymi z napędem skokowym, który umożliwia podróże międzygwiazdne. I tak to właśnie wygląda.

(W świetle tego twoja zgoda, by osiedlać się na wybranych przez UK planetach, nieco traci na znaczeniu – jeśli tylko oni mają statki międzygwiazdne, to i tak polecisz tam, dokąd cię zabiorą. Przecież chyba nie pozwolą ci samemu sięść za sterami gwiazdolotu.)

Ubocznym efektem Praw Kwarantanny i monopolu na statki o napędzie skokowym jest to, że komunikacja między Ziemią a koloniami (a także pomiędzy poszczególnymi koloniami), jest w praktyce właściwie niemożliwa. Jedynym sposobem, by po jakimś czasie dostać odpowiedź z kolonii, jest umieścić wiadomość na statku skokowym – a KSO bardzo niechętnie przewożą wiadomości i dane pomiędzy poszczególnymi planetami. Innego sposobu nie ma. Teoretycznie można by łapać i wysyłać sygnały radiowe pomiędzy Ziemią a koloniami; jednak najbliższa Ziemi kolonia Alfa znajduje się w odległości osiemdziesięciu trzech lat świetlnych. To sprawia, że ożywiona pogawędka międzyplanetarna okazuje się czymś trudnym do zrealizowania.

Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem, ale wydaje mi się, że właśnie ten paragraf najbardziej ludzi odstraszał. To, że chcesz być znowu młody, to jedna sprawa; ale czymś zupełnie innym jest odwrócenie się plecami do wszystkiego, co kiedykolwiek znałeś, do wszystkich znajomych i ukochanych ludzi, do całego doświadczenia i wszystkich wspomnień zebranych w ciągu siedemdziesięciopięcioletniego życia. To diabelnie trudna rzecz – powiedzieć żegnaj całemu swojemu życiu.

Podpisałem.

– Paragraf szósty, ostatni – powiedziała urzędniczka rekrutacyjna. – Rozumiem i przyjmuję do wiadomości fakt, że w siedemdziesiąt dwie godziny od złożenia przeze mnie ostatecznego podpisu pod tym dokumentem, lub w chwili wywiezienia mnie z Ziemi przez transport Kolonialnych Sił Obrony – co może nastąpić przed upływem w.w. czasu, zostanę uznany za zmarłego w świetle prawa wszystkich zainteresowanych jednostek politycznych i administracyjnych, w tym wypadku Stanu Ohio i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Cały mój majątek osobisty zostanie rozdany zgodnie z przepisami obowiązującego prawa cywilnego. Wszystkie prawne zobowiązania i odpowiedzialność karna i cywilna, zgodnie z prawem w chwili śmierci, ulegną niniejszym unieważnieniu. Wszystkie dokumenty i archiwalne zapisy na mój temat, czy to chwalebne, czy też niepochlebne, bądź obciążające, także zostaną unieważnione, wszystkie moje długi zostaną zgodnie z prawem spłacone. Rozumiem i przyjmuję do wiadomości fakt, że jeśli do tej pory nie zorganizowałem dystrybucji mojego majątku osobistego, Kolonialne Siły Obrony mogą na moją prośbę zapewnić mi doradcę prawnego i finansowego, który zajmie się redystrybucją moich ruchomości, nieruchomości i lokat w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin.

Złożyłem podpis. Zostało mi siedemdziesiąt dwie godziny, żeby żyć. A także, żeby mówić.

– Co się stanie, jeśli nie opuszczę planety w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin? – zapytałem oddając urzędnicze papiery.

– Nic – odpowiedziała, przyjmując dokument. – Poza tym, że w świetle prawa będzie pan od tej pory martwy, cały pana majątek zostanie zgodnie z pańską wolą rozdany, pańskie archiwa zdrowotne zostaną zamknięte, zawartość wszystkich kont i lokat unieważniona bądź przekazana spadkobiercom, i nie będzie miał pan prawa do ochrony przed żadnym

wymierzonym przeciwko panu aktem, poczynając od zniesławienia, a na morderstwie kończąc.

– Więc ktoś może po prostu podejść do mnie i mnie zabić, i nie będzie za to w ogóle pociągnięty do odpowiedzialności karnej?

– No cóż, niezupełnie – odpowiedziała. – Jeśli ktoś spróbowałby pana zabić, kiedy byłby pan w świetle prawa martwy, to zdaje się tutaj, w Ohio, mógłby zostać oskarżony o „zbezczeszczenie zwłok”.

– To fascynujące – powiedziałem.

– W każdym razie – kontynuowała, swoim jeszcze bardziej rozpaczliwym „wróćmy do rzeczy” tonem. – Zwykle nic takiego się nie przydarza. W każdej chwili z nadchodzących siedemdziesięciu dwóch godzin może pan po prostu zmienić zdanie na temat zaciągnięcia się. Wtedy wystarczy zadzwonić do mnie. Jeśli mnie nie będzie, automatyczna sekretarka zarejestruje pańskie dane. Kiedy tylko potwierdzimy, że rzeczywiście rezygnuje pan z zaciągnięcia się, zostanie pan zwolniony z dalszych zobowiązań. Proszę jednak pamiętać, że taka rezygnacja oznacza ostateczne skreślenie pana z listy. Nie będzie już następnej szansy.

– Rozumiem – powiedziałem. – Teraz musi mnie pani zaprzysiąc?

– Nie – odparła. – Muszę wprowadzić ten formularz i dać panu pański bilet.

Pochyliła się nad klawiaturą, pisała coś na niej przez parę minut a potem nacisnęła przycisk ENTER.

– Teraz komputer generuje pański bilet – powiedziała. – To zajmie najwyżej minutę.

– Okay – powiedziałem. – Mogę panią o coś spytać?

– Jestem zameżna – powiedziała.

– Nie o to chciałem zapytać – powiedziałem. – Czy ludzie naprawdę składają tu pani takie propozycje?

– Bardzo często – odparła. – To naprawdę irytujące.

– Przykro mi – powiedziałem. Pokiwała głową. – Chciałem panią spytać o to, czy spotkała pani kiedykolwiek kogoś z KSO.

– Chodzi panu o kogoś poza zaciągającymi się do wojska? – Pokiwałem głową. – Nie, nigdy. KSO ma tutaj korporację zajmującą się rekrutacją, ale żaden z nas nie służy w KSO. Wszystkie informacje i materiały dostajemy z ambasady Unii Kolonialnej, a nie bezpośrednio z KSO – zresztą sądzę, że pracownicy ambasady są także spoza KSO. Myślę, że oni sami w ogóle nie odwiedzają Ziemi.

– Czy nie przeszkadza pani to, że pracuje pani dla organizacji, której członka nigdy pani w życiu nie spotkała?

– Nie – odpowiedziała. – Praca jest niezła, a wynagrodzenie zadziwiająco wysokie; biorąc pod uwagę, jak nędzne grosze wydali na urządzenie i dekorację tego biura. A pan przecież sam wstępuje do organizacji, której członka nigdy pan w życiu nie spotkał. Nie przeszkadza to panu?

– Nie – przyznałem. – Jestem stary, moja żona nie żyje i nie mam żadnych szczególnych powodów, żeby tu dłużej zostawać. A pani? Zamierza się pani zaciągnąć, kiedy nadejdzie właściwy czas?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam nic przeciwko starzeniu się.

– Też nie miałem nic przeciwko starzeniu się, kiedy byłem młody – odpowiedziałem.

Drukarka jej komputera wydała z siebie jazgotliwe chrząknięcie i wysunął się z niej przypominający wizytówkę przedmiot. Wyjęła go i wręczyła mi.

– Oto pański bilet – powiedziała. – Jest pan na nim opisany jako John Perry, rekrut KSO. Proszę go nie zgubić. Odjeżdża pan spod tego biura na

lotnisko w Dayton dokładnie za trzy dni. Odjazd o 8:30 rano; radziłabym przyjść wcześniej. Może pan mieć ze sobą tylko jedną torbę, więc proszę dokładnie wybrać rzeczy, które chce pan ze sobą wziąć.

– Z Dayton o jedenastej polecą pan do Chicago, stamtąd o czternastej do Nairobi. W Nairobi jest o mniej więcej dziewięć godzin później, więc przyleci pan na miejsce około północy czasu lokalnego. Spotka się pan tam z przedstawicielem KSO. Będzie pan miał do wyboru – albo dostać się na Stację Kolonialną za pomocą „pędu fasoli” już o drugiej w nocy, albo zażyć trochę odpoczynku i wyruszyć o dziewiątej rano. Od tego momentu będzie pan w rękach KSO.

Wziąłem bilet.

– Co mam zrobić, jeśli któryś z tych lotów będzie opóźniony albo przełożony?

– Żaden z tych lotów nie był ani trochę opóźniony w ciągu całych pięciu lat mojej pracy tutaj – odpowiedziała.

– Nieźle – powiedziałem. – Założę się, że pociągi KSO także chodzą jak szwajcarski zegarek.

Spojrzała na mnie bez wyrazu.

– Wie pani co – powiedziałem. – Starłem się być dowcipny odkąd tu wszedłem.

– Wiem – odpowiedziała. – Przykro mi. Poczucie humoru usunięto mi chirurgicznie, kiedy byłam dzieckiem.

– Aha... – odrzekłem.

– To był żart – powiedziała, wstając i wyciągając w moją stronę prawą dłoń.

– Aha... – wstałem i podałem jej swoją.

– Gratulacje, rekrucie – powiedziała. – Życzę panu powodzenia tam na górze, między gwiazdami, szczerze życzę wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję – powiedziałem. – Naprawdę to doceniam.

Pokiwała głową, usiadła i z powrotem zwróciła spojrzenie na ekran komputera. Zostałem odprawiony.

Kiedy wychodziłem zobaczyłem starszą kobietę idącą przez park w stronę biura rekrutacyjnego. Podszedłem do niej.

– Cyntia Smith? – zwróciłem się do niej.

– Tak – odpowiedziała. – Skąd pan mnie zna?

– Chciałem po prostu życzyć pani wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – powiedziałem i wskazałem palcem w niebo. – I powiedzieć, że być może spotkamy się tam – w górze.

Uśmiechnęła się, kiedy zrozumiała moje słowa. W końcu udało mi się tego dnia wywołać na czyjejś twarzy uśmiech. Rzeczy miały się ku lepszemu.

## DRUGI

Nairobi wystrzeliło spod naszych stóp i zaczęło się gwałtownie zmniejszać; podeszliśmy do ściany wyglądającej jak w szybkiej windzie (bo właśnie tym w istocie jest „pęd fasoli”) i patrzyliśmy na oddalającą się Ziemię.

– Z góry wyglądają jak mrówki! – zagadał stojący obok mnie Leon Deak. – Jak czarne mrówki!

Odczułem silną pokusę otwarcia okna i wyrzucenia przez nie Leona. Niestety, nie było okna, które mógłbym otworzyć; „okna” pędu fasoli zbudowane były z tych samych zawierających diament kompozytów, co reszta przezroczystej platformy – przez jej ściany i sufit widać było również to, co zostawało w dole. Platforma była hermetyczna, co mogło się przydać za parę minut, kiedy znajdziemy się na takiej wysokości, że otwarcie okna spowodowałoby wybuchową dekompresję, czyli nagłe niedotlenienie tkanek i śmierć.

Tak więc Leonowi nie był pisany nagły i zupełnie nieoczekiwany powrót w objęcia Matki Ziemi. Tym gorzej. Leon przyczepił się do mnie w Chicago jak gruby, opity piwkiem i bachorami kleszcz; zdziwiło mnie, że ktoś, kogo krew w połowie składa się ze świńskiego tłuszczu, mógł dożyć wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Połowę lotu do Nairobi spędziłem słuchając jego pierdnięć i mrocznych teorii na temat rasowej struktury kolonii. Pierdnięcia były najprzyjemniejszą częścią tego monologu; nigdy dotąd tak bardzo nie zależało mi na kupieniu uprzyjemniających lot słuchawek.

Miałem nadzieję pozbyć się go, wybierając pierwszą łodygę z Nairobi. Wyglądał mi na gościa tego typu, który będzie potrzebował odpoczynku po ciężkim, całodniowym wydalaniu gazów. Nie miałem tego szczęścia. Perspektywa spędzenia następnych sześciu godzin w towarzystwie Leona i jego pierdów była ponad moje siły; gdyby platforma pędu fasoli miała okna, mógłbym przez nie wyrzucić Leona, albo wyskoczyć samemu. Zamiast tego pozbyłem się jego obecności mówiąc mu jedyną rzecz, którą mógł pojąć – powiedziałem mu, że muszę sobie ulżyć. Leon wyraził zgodę. Oddaliłem się, idąc teoretycznie w stronę toalet i rozglądając się za miejscem, w którym Leon nie mógłby mnie znaleźć.

Zadanie nie było łatwe. Platforma łodygi miała kształt obwarzanka o średnicy trzydziestu paru metrów. „Dziura” w obwarzanku, którą platforma wślizgiwała się po łodydze, miała średnicę około sześciu metrów. Lina przewodu musiała być niewiele cieńsza – mogła mieć jakieś pięć i pół metra średnicy – jak się zastanowić to niezbyt dużo jak na kabel przewożący konsolę pełną ludzi na odległość dobrych kilku tysięcy kilometrów. Pozostała część platformy zapełniona była wygodnymi łóżkami, w których można było siedzieć i gawędzić; były tam także małe przestrzenie, w których podróżni mogli oglądać filmy, grać w gry i jeść. Były też oczywiście specjalne miejsca przy wielu oknach, przez które widać było Ziemię, inne łodygi po bokach i Stację Kolonialną w górze.

W całości platforma przypominała hall niezłej klasy hotelu, niespodziewanie wystrzelony z wielką prędkością w stronę orbity geostacjonarnej Ziemi. To otwarcie wnętrza ze wszystkich stron stanowiło jednak pewien problem – trudno było się tu ukryć. Na pierwsze wystrzelenie nie było zbyt wielu chętnych – ludzi było za mało, żeby można było się między nimi ukryć. W końcu zdecydowałem się na kupno czegoś do picia w kiosku położonym blisko środka platformy, dokładnie z



przeciwnej strony miejsca, w którym zostawiłem Leona. Nie mógł mnie widzieć, to było najlepsze miejsce, bym i ja mógł go nie widzieć przez jak najdłuższy czas.

Opuszczenie Ziemi było dla mnie irytujące pod względem fizycznym – dzięki zdolności Leona do bycia obrzydliwym i odstręczającym; ale pod względem emocjonalnym opuszczenie ojczystej planety okazało się zadziwiająco łatwe. Rok przed odjazdem zdecydowałem, że zaciągnę się do KSO; od tej pory trzeba się było po prostu zająć przygotowaniami i pożegnaniami. Kiedy dziesięć lat wcześniej razem z Kathy zdecydowaliśmy, że zaciągniemy się oboje, przepisaliśmy nasz dom na naszego syna Charlie'go, tak, żeby mógł go przejąć bez urzędowego zatwierdzenia testamentu. Poza tym Kathy i ja nie posiadaliśmy nic drogiego, po prostu kupę drobiazgów i rupieci, jakie zbiera się przez całe życie. Większość ładnych rzeczy została rozdana rodzinie i przyjaciołom w ciągu ostatniego roku; resztą później miał zająć się Charlie.

Zostawienie ludzi nie było o wiele cięższe. Zwykle reagowali na wiadomość o wyjeździe różnymi tonacjami zdziwienia i smutku; ponieważ każdy wie, że po zaciągnięciu do Kolonialnych Sił Obrony nigdy już nie wrócisz. Ale nie jest to równoznaczne ze śmiercią. Ludzie wiedzą, że gdzieś tam wciąż żyjesz; psiakrew, być może nawet po jakimś czasie dołączą tam do ciebie. To trochę tak, myślę sobie, jak setki lat temu, kiedy ktoś, kogo ludzie znali, zatrzymywał wóz i ruszał na zachód. Ludzie trochę płakali, tęsknili za nim, i wracali do swoich codziennych zajęć.

W każdym razie powiedziałem wszystkim o tym, że opuszczam Ziemię na rok przed wyjazdem. To dużo czasu, żeby powiedzieć to, co ma się do powiedzenia, żeby załatwić różne sprawy i zawrzeć z niektórymi ludźmi pokój. W ciągu roku miałem kilka posiedzeń ze starymi przyjaciółmi i rodziną, w czasie których rozgrzebywaliśmy stare rany i popioły dawnych

bitew; w większości przypadków wszystko skończyło się dobrze. Parę razy prosiłem o wybaczenie za rzeczy, które nie wywoływały we mnie poczucia winy; raz znalazłem się w łóżku z kimś, z kim w innej sytuacji bym się tam nie znalazł. Ale żeby dać ludziom właściwe zakończenie, robisz to, co musisz robić; dzięki temu oni czują się lepiej, a ciebie nie kosztuje to zbyt wiele. Wolę raczej przeprosić za coś, co nie miało dla mnie znaczenia, i zostawić na Ziemi kogoś, kto mi dobrze życzy, niż pozostać upartym i zostawić tego kogoś z nadzieją, że jakiś obcy wysie mój mózg. Możecie to nazwać karmiczną asekuracją.

Najbardziej obchodził mnie Charlie. Jak wielu ojców i synów, mieliśmy swoje słabsze momenty; ja nie byłem najuważniejszym ojcem, on nie był najbardziej samodzielny i zdecydowany życiowo z wszystkich synów świata – po trzydziestce wciąż błąkał się po świecie bez wyraźnego celu. Kiedy dowiedział się, że Kathy i ja chcemy się zaciągnąć, prawie wpadł w szal i zaczął na nas krzyczeć. Przypomniał nam, że protestowaliśmy przeciwko Wojnie Subkontynentalnej. Przypomniał nam nasze własne nauki, że przemoc nie jest właściwym rozwiązaniem żadnego problemu. Przypomniał nam, że kiedyś daliśmy mu szlaban na cały miesiąc za to, że zabawiał się strzelaniem do celu z Billem Youngiem – oboje zresztą uznaliśmy, że to trochę dziwne, kiedy trzydziestopięciolatek wyciąga takie rzeczy z przeszłości.

Śmierć Kathy zakończyła większość z naszych walk; po prostu dlatego, że obaj – on i ja – uznaliśmy, że rzeczy, o które się kłóciliśmy, nie miały żadnego znaczenia. Ja byłem wdowcem, on kawalerem, i przez jakiś czas mieliśmy tylko siebie. Niedługo potem poznał i poślubił Lisę; w jakiś rok później został ojcem i ponownie wybrano go na burmistrza – wszystko w czasie jednej, zwariowanej nocy. Charlie dość późno rozwinął skrzydła, ale kiedy już to zrobił, okazało się, że naprawdę nieźle szybuje. Odbyliśmy we

dwóch posiedzenie, w czasie którego (szczerze) przeprosiłem go za różne swoje niedociągnięcia i pomyłki, i równie szczerze powiedziałem mu, jak dumny jestem z mężczyzny, którym się stał. Potem usiedliśmy z piwem na werandzie i oglądając, jak mój wnuk Adam bawi się na trawniku tenisową piłką, dość długo rozmawialiśmy o różnych niezbyt ważnych sprawach. Rozstawaliśmy się w dobrym nastroju i z miłością, tak jak powinni żegnać się ojciec z synem.

Stałem przy kiosku, ściskając w rękę kolę, myśląc o Charliem i jego rodzinie, kiedy usłyszałem zrzędlawy głos Leona, któremu odpowiadał inny – niski, ostry i kobiecy. Wbrew sobie wyjrzałem zza kiosku, Leonowi najwyraźniej udało się dopaść jakąś bogu ducha winną kobietę. Na pewno dzielił się z nią teraz jakąś idiotyczną teorią, którą akurat w tym momencie chciał obwieścić światu jego świński mózdzek. Moja rycerskość przeważała nad chęcią ukrycia się; chciałem interweniować.

– Po prostu chodzi mi o to – mówił Leon. – Że to nie fair. Pani, ja i każdy inny Amerykanin, żeby polecieć w kosmos musimy czekać, aż będziemy starsi od gówna, podczas gdy wszyscy ci mali Hindole dostają bilet do nowych światów jak tylko nauczą się rozmnażać. To znaczy cholernie szybko. To po prostu nie fair. Pani się to wydaje fair?

– Nie, właściwie to nie jest w porządku – odpowiedziała kobieta. – Ale podejrzewam, że dla nich nie jest w porządku to, że starliśmy Nowe Delhi i Bombaj z powierzchni ziemi.

– I o to mi właśnie chodzi! – triumfalnie zaryczał Leon. – Stuknęliśmy kurdupli atomówkami! Wygraliśmy tę wojnę! Zwycięzcy powinni coś dostać za wygraną. A proszę spojrzeć, co się stało. Przegrali, ale to oni zaczęli kolonizować kosmos, a my możemy tam się wybrać tylko pod warunkiem, że zaciągniemy się, żeby ich chronić! Przepraszam, że tak mówię, ale czy nie jest powiedziane w Biblii: „Pokorni, cisi posiadą

Ziemię?” Moim zdaniem to raczej przegrane cholernej wojny czyni cię pokornym i cichym.

– Nie sądzę, żeby to wyrażenie znaczyło to, co ty przez nie rozumiesz, Leon – powiedziałem, podchodząc do nich.

– John! Oto człowiek, który wie, o czym mówię – powiedział Leon, szczerząc się na mój widok.

Kobieta obróciła się do mnie.

– Zna pan tego dżentelmena? – spytała tonem, który mówił, że jeśli znam, to znaczy, że ze mną jest coś nie tak.

– Spotkaliśmy się w drodze do Nairobi – odpowiedziałem lekko unosząc brew żeby zaznaczyć, że nie był moim towarzyszem podróży z wyboru. – Jestem John Perry.

– Jesse Gonzales – przedstawiła się.

– Miło mi – odpowiedziałem, i zwróciłem się do Leona. – Leon, coś ci się pomyliło. Te słowa pochodzą z Kazania na Górze i brzmią: „Błogosławieni niech będą pokorni i cisi, albowiem to oni posiadą ziemię”. To, że posiadą, to miała być nagroda, a nie kara.

Leon zamrugał, potem prychnął.

– Nawet jeśli tak, to jednak my ich pobiliśmy. Skopaliśmy ich małe brązowe dupy. To my powinniśmy kolonizować wszechświat, nie oni.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale Jesse mnie ubiegła.

– Błogosławieni niech będą ci, którzy znoszą prześladowania, albowiem ich jest królestwo niebieskie – powiedziała do Leona, patrząc jednak na mnie.

Leon gapił się na nas przez dobrą minutę, a potem powiedział:

– Nie mówicie poważnie. W Biblii nie ma nic na ten temat, że my powinniśmy ugrzęznąć na Ziemi, podczas gdy banda brązowych, którzy nawet nie wierzą w Jezusa, dziękują bardzo, zapełni galaktykę. I na pewno

nie jest tam powiedziane, że powinniśmy tych gnojków w tym czasie chronić. Chryste, mój syn był na tej wojnie. Jakiś mały hindol odstrzelił mu jedno jądro! Jedno z jego jaj! Zasłużyli sobie na to, co dostali, sukinsyny jedne! I nie mówcie, żebym był teraz zadowolony z tego, że będę ratował ich marne dupy gdzieś tam w koloniach.

Jesse mrugnęła do mnie.

– Chciałbyś teraz zręcznie na to odpowiedzieć? – zapytała.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziałem.

– Skąd, proszę bardzo – odparła.

– „Zaprawdę powiadam wam, kochajcie swoich nieprzyjaciół” – zacząłem cytować. – „Błogosławcie tym, którzy was przeklinają, czyńcie dobro tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za tych, którzy was mściwie prześladowają; Wtedy będziecie dziećmi Ojca swego, który jest w niebieszech: Bo to przez niego słońce wschodzi nad dobrym i nad złym, on zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych.”

Leon poczerwieniał jak homar.

– Wam obojgu pomieszało się w pieprzonych dyniach – powiedział, i odstąpił od nas na tyle szybko, na ile pozwoliły mu zwały tłuszczu.

– Dzięki, Jezu – powiedziałem. – Tym razem dosłownie mam to na myśli.

– Jesteś całkiem niezły w cytowaniu Biblii – powiedziała Jesse.

– W poprzednim życiu byłeś ministrantem?

– Nie – odpowiedziałem. – Ale mieszkałem w mieście, w którym było dwa tysiące mieszkańców i piętnaście kościołów. Życie było łatwiejsze, jeśli umiało się mówić tym językiem. A poza tym nie trzeba być człowiekiem religijnym, żeby doceniać Kazanie na Górze. A jak ty się wytłumaczysz?

– Lekcje religii w katolickiej szkole – powiedziała. – W dziesiątej klasie dostałam nagrodę za uczenie się tekstów biblijnych na pamięć. To zadziwiające, co twój mózg może przechowywać w magazynie przez sześćdziesiąt lat, z drugiej strony ostatnio, kiedy wychodzę ze sklepu, często nie pamiętam gdzie zaparkowałam.

– Cóż, w każdym razie pozwól mi przeprosić za Leona – powiedziałem.  
– Ledwo go znam – jednak na tyle, żeby wiedzieć, że jest idiotą.

– „Nie sądzicie, żebyście nie byli osądzeni” – powiedziała Jesse i wzruszyła ramionami. – On zresztą tylko wypowiada na głos to, w co wielu ludzi głęboko wierzy. Myślę, że jest głupi, i nie ma racji, ale to nie znaczy, że go nie rozumiem. Chciałabym, żeby była dla mnie inna droga do kolonii niż czekanie przez całe życie i na koniec zaciągnięcie się do wojska. Gdybym mogła zostać kolonistką, kiedy byłam młodsza, na pewno bym nią została.

– A więc nie zaciągnęłaś się, żeby przeżyć żołnierską przygodę – powiedziałem.

– Oczywiście, że nie – trochę pogardliwie odpowiedziała Jesse.

– Czy ty zaciągnęłaś się dlatego, ponieważ bardzo chcesz walczyć na jakiejś wojnie?

– Nie – odpowiedziałem.

Pokiwała głową.

– Ani ja. Podobnie jak większość z nas. Twój przyjaciel Leon na pewno nie zaciągnął się dla uroków służby – on nie znosi ludzi, których będziemy chronić. Ludzie zaciągają się, ponieważ nie są gotowi na śmierć i nie chcą być starzy. Zaciągają się, ponieważ w pewnym wieku życie na Ziemi przestaje być ciekawe. Niektórzy zaciągają się, żeby przed śmiercią zobaczyć jakieś nowe miejsce. Ja sama właśnie dlatego się zaciągnęłam. Nie po to, żeby walczyć, chcę znowu być młoda. I chcę po prostu zobaczyć,

jak to jest być gdzie indziej. – Odwróciła się i wyjrzała przez okno – Oczywiście, w moich ustach to musi brzmieć zabawnie. Wiesz, że do wczoraj przez całe swoje życie nie opuściłam stanu Teksas?

– Nie musi ci być z tego powodu przykro – stwierdziłem. – Teksas to duży stan.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Tak naprawdę nie jest mi przykro z tego powodu. To jest po prostu zabawne. Kiedy byłam dzieckiem, czytałam wszystkie powieści z serii „Młodego Kolonisty”, oglądałam programy na ten temat i marzyłam o założeniu hodowli arkturiańskiego bydła i bojach ze zjadliwymi ziemnymi robakami na kolonii Gamma Jeden. Potem dorosłam i zorientowałam się, że koloniści pochodzą z Indii, Kazachstanu i Norwegii – z krajów, w których nie da się wyżywić całej ludności. Zrozumiałam, że nie pojedę tam, ponieważ urodziłam się w Ameryce. I że tak naprawdę arkturiańskie bydło ani robaki ziemne nie istnieją! Byłam bardzo rozczarowana, kiedy się o tym dowiedziałam w wieku lat dwunastu. – Znowu wzruszyła ramionami. – Wychowałam się w San Antonio, do college’u chodziłam na Uniwersytecie Stanu Teksas, potem wróciłam do San Antonio i zaczęłam pracę. W końcu wyszłam za mąż, wakacje spędziliśmy w Teksasie. Na trzynastą rocznicę ślubu planowałam z mężem pojechać do Włoch, ale w rezultacie nigdy tam nie pojechaliśmy.

– Co się stało?

Zaśmiała się.

– Stała się jego sekretarka. W końcu to oni pojechali do Włoch na swój miesiąc miodowy. Ja zostałam w domu. Z drugiej strony może to i dobrze, bo w końcu oboje zatruli się jakimiś skorupiakami w Wenecji. Ale po tej historii podróżowanie zbytnio mnie już nie interesowało. Przez cały czas wiedziałam, że zaciągnę się, kiedy tylko będę mogła. I oto tu jestem.

Chociaż teraz trochę żałuję, że więcej nie podróżowałam. Z Dallas do Nairobi leciałam Delta. To był niezły ubaw. Chciałabym w życiu zrobić to więcej razy, niż tylko ten jeden. Nie mówiąc o *tym* – machnęła ręką przy oknie, wskazując przewody pędu fasoli – Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek będę chciała czymś takim pojechać. Co właściwie trzyma te przewody w górze?

– Wiara – odpowiedziałem. – Wierzysz, że nie upadną i one nie upadają. Postaraj się nie myśleć o tym zbyt wiele, bo inaczej czekają nas poważne kłopoty.

– Wierzę w to, że chcę dostać coś do jedzenia. Może zjesz coś ze mną? – zapytała.



– Wiara – zaśmiał się Harry Wilson. – No cóż, być może to rzeczywiście wiara utrzymuje ten kabel w górze. Bo na pewno nie dzieje się to zgodnie z prawami fizyki.

Harry Wilson dołączył do mnie i do Jesse w łoży, w której jedliśmy.

– Wy dwoje wyglądacie, jakbyście się znali, to was wyróżnia z tłumu – powiedział, kiedy do nas podszedł. Zaprosiliśmy go do naszego stolika, a on z chęcią to zaproszenie przyjął. Powiedział, że przez dwadzieścia lat nauczał fizyki w wyższej uczelni w Bloomington, w Indianie, i pęd fasoli zaintrygował go od samego początku podróży.

– Dlaczego powiedziałaś, że nie dzieje się to zgodnie z prawami fizyki? – zapytała Jesse. – Uwierz mi, nie to chciałabym w tym momencie usłyszeć.



– Sorry, powiem to inaczej – Harry się uśmiechnął. – Fizyka na pewno ma swój udział w utrzymaniu tej łądygi fasoli w górze. Ale prawa fizyki to nie wszystko. Dzieje się tu wiele rzeczy, które na pozór nie mają sensu.

– Czuję, że czeka nas wykład z fizyki – powiedziałem.

– Przez lata wykładałem fizykę nastolatkom – powiedział Harry, wyjmując pióro i mały notes. – Zaufajcie mi, obejdzie się bez bólu. Popatrzcie na to. – Narysował na dole strony okrąg. – To jest Ziemia. A to – narysował mniejszy okrąg w połowie wysokości strony – jest Stacja Kolonialna. Umieszczono ją na orbicie geosynchronicznej, co oznacza, że pozostaje w odpowiedniej pozycji do obracającej się Ziemi. Zawsze „wisi” nad Nairobi. Nadążacie za mną?

Przytaknęliśmy.

– Okay. Idea stojąca za pędem fasoli to połączenie Ziemi ze Stacją Kolonialną za pomocą wiązki kabli (takich, jak te za oknami), i osadzonych na nich platform, które mogą poruszać się w górę i w dół. – Harry narysował linię, symbolizującą przewód windy i mały kwadracik, przedstawiający platformę. – Chodzi o to, żeby windy na tych przewodach nie osiągnęły prędkości uciezkowej i nie opuściły orbity Ziemi; tak, jak zrobiłaby to część właściwa rakiety. To dla nas bardzo korzystne, bo przecież żadne z nas nie chciałoby dotrzeć na miejsce z odczuciem, że słoń stoi mu na piersiach.

– Rzecz w tym, że pęd fasoli nie spełnia podstawowych wymagań fizyki dotyczących podobnych połączeń Ziemia-Kosmos. Po pierwsze – Harry narysował dodatkową linię, sięgającą od Stacji Kolonialnej aż do góry strony – Stacja Kolonialna nie powinna się znajdować na końcu łądygi. Z prawa zachowania równowagi masy i z dynamiki orbitalnej wynika, że powinien być tu jeszcze dodatkowy przewód, sięgający dziesiątki tysięcy mil od Stacji Kolonialnej w głąb przestrzeni kosmicznej. Bez tej

przeciwwagi każdy z pędów fasoli powinien być właściwie niestabilny i niebezpieczny.

– Ale uważasz, że ten taki nie jest? – zapytałem.

– Ten jest nie tylko stabilny; to prawdopodobnie najbezpieczniejszy z wynalezionych sposobów opuszczania Ziemi – powiedział Harry. – Pęd fasoli działa bez chwili przerwy od ponad stu lat. To jedyna droga, którą ludzie udają się do kolonii. Nie zanotowano ani jednego wypadku, którego przyczyną byłaby niestabilność przewodu albo wada czy zużycie materiału konstrukcyjnego, co mogłoby mieć związek z niestabilnością. Czterdzieści lat temu przydarzyło się to słynne bombardowanie pędu fasoli, ale to był sabotaż, nie mający nic wspólnego z wadami jego fizycznej struktury. Same przewody wind są zadziwiająco stabilne; od chwili swojego powstania aż do dzisiaj. Ale nie powinny takie być, według obowiązujących praw fizyki.

– Więc co trzyma je w górze? – zapytała Jesse.

Harry znowu się uśmiechnął.

– Cóż, to jest właśnie interesujące pytanie.

– Więc nie znasz odpowiedzi? – spytała Jesse.

– Nie znam – przyznał Harry. – Ale nie bójcie się, jestem – a właściwie byłem – zaledwie nauczycielem fizyki w jednej z wyższych szkół. Jednak, o ile wiem, nikt inny nie wie dokładnie, jak to działa. Na Ziemi, oczywiście. Najwyraźniej Unia Kolonialna wie.

– Jak to możliwe? – zapytałem. – To jest tutaj już od stulecia, na miłość boską! Nikt nie podjął się trudu ustalenia, jak to właściwie działa?

– Tego nie powiedziałem – odrzekł Harry. – Oczywiście, że próbowano. Przez wszystkie te lata nie było to żadną tajemnicą. Kiedy zbudowano pęd fasoli, rządy większości krajów i wszystkie media świata zażądały wytłumaczenia zasad działania tego urządzenia. Unia Kolonialna od razu

odpowiedziała: „Ustalcie to sami”, i tyle. Od tej pory wielu fizyków usiłowało rozwiązać ten problem; nazwano go „Problemem Pędu Fasoli”.

– Niezbyt oryginalna nazwa – powiedziałem.

– No cóż, fizycy używają swojej wyobraźni w innych dziedzinach niż nazewnictwo. – Harry zakaszłał. – Rzecz w tym, że problem ten pozostał nierozwiązany, przede wszystkim z dwóch powodów. Po pierwsze przez swoje niezwykle skomplikowanie; mówiłem już o prawie zachowania masy, ale w grę wchodzi także inne czynniki, takie jak wytrzymałość przewodu, ruchy oscylacyjne łądygi spowodowane przez burze i inne zjawiska atmosferyczne. A nawet to, czy w ogóle, a jeśli tak, to w jaki sposób, łądyga zwięża się ku końcowi. Każdy z tych czynników z osobna jest niezwykle trudny do rozwiązania w realnym świecie; rozwiązanie wszystkich naraz wydaje się niemożliwe.

– Jaki jest drugi z powodów? – zapytała Jesse.

– Drugim z powodów jest to, że nie byłoby z tego odkrycia pożytku. Nawet, jeśli ustalilibyśmy jak to jest zrobione, to i tak nie stać by nas było na budowę tego. – Harry usiadł wygodniej w fotelu. – Zanim zostałem nauczycielem, pracowałem w dziale inżynierii cywilnej General Electric. Pracowaliśmy nad transatlantycką koleją podmorską, moim zadaniem było między innymi przeglądanie starych projektów i propozycji w poszukiwaniu czegoś użytecznego; jakiejś technologii czy rozwiązań konstrukcyjnych, które mogłyby się przydać w budowie trakcji kolejowej na dnie Atlantyku. Takie różańcowe w formie próby zorientowania się, czy moglibyśmy jeszcze zrobić cokolwiek, co pozwoliłoby nam obniżyć koszty.

– General Electric zbankrutowało właśnie w tym czasie, prawda? – zapytałem.

– No to już wiesz, dlaczego chcieli maksymalnie obniżyć koszty – powiedział Harry. – I dlaczego zostałem nauczycielem. Po tej historii

General Electric nie stać było na opłacanie mnie, podobnie jak wielu, wielu innych. W każdym razie w czasie swoich poszukiwań dotarłem do tajnego raportu na temat pędu fasoli. Rząd USA zlecił General Electric – jako jednej z trzech głównych firm – zbadanie wykonalności budowy pędu fasoli na Półkuli zachodniej; chcieli oczyścić w amazońskiej dżungli obszar wielkości stanu Delaware, ze środkiem w okolicy równika.

– General Electric uznała projekt za zupełnie niewykonalny. Nawet biorąc pod uwagę technologiczne przełomy (które w większości nie nastąpiły – a te, które miały miejsce nie zbliżyły się nawet do technologii użytej przy budowie pędu fasoli), budżet budowy łodygi wynosiłby trzykrotność rocznego dochodu narodowego USA. Przy założeniu, że w czasie realizacji projektu nie przekroczono by budżetu – co było nierealne. To było dwadzieścia lat temu, a raport, o którym mówię już wtedy miał dobre dziesięć lat. Ale nie sądzę, żeby od tej pory koszty tak jakoś drastycznie się obniżyły. Więc nie będzie nowych pędów fasoli. Są tańsze sposoby wynoszenia ludzi i urządzeń na orbitę. Znacznie tańsze. – Harry znowu oparł się wygodniej. – Co prowadzi do dwóch oczywistych pytań: W jaki sposób udało się Unii Kolonialnej stworzyć tego technologicznego dziwoląga i dlaczego w ogóle wybrali taką drogę?

– No cóż, najwyraźniej Unia Kolonialna jest daleko bardziej technicznie zaawansowana niż my tutaj na Ziemi – powiedziała Jesse.

– Najwyraźniej – potwierdził Harry. – Ale dlaczego? Koloniści to mimo wszystko ludzie. A od momentu, kiedy do kolonii zaczęto wysyłać ochotników z biedniejszych, przeludnionych krajów, koloniści są raczej niezbyt wykształceni. Odkąd dostali swoje nowe domy, zajmują się przeżyciem i raczej podstawowymi, codziennymi potrzebami i obowiązkami, niż opracowywaniem teoretycznych założeń budowy pędu fasoli. A podstawowa technologia, która umożliwiła podróże

międzygwiazdne i kolonizacje planet innych układów – napęd skokowy – została wynaleziona tu, na Ziemi; i przez ponad sto lat nie była w znaczący sposób udoskonalana. Więc pozornie nie ma powodu, żeby koloniści byli bardziej technicznie zaawansowani od nas.

Coś nagle zaskoczyło w mojej głowie.

– Chyba, że nas oszukują – powiedziałem.

– Właśnie. Myślę dokładnie to samo. – Harry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jesse spojrzała najpierw na mnie, potem na Harry'ego.

– Nie nadążam za wami oboma – powiedziała.

– Oszukują nas. Nie mówią nam całej prawdy – powiedziałem. – Na Ziemi jesteśmy skazani na siebie samych. Uczymy się jedynie na własnych błędach. Dokonujemy odkryć, przez cały czas udoskonalamy technologie, ale idzie nam to powoli, ponieważ sami wykonujemy całą pracę. Ale tam, w górze...

– Tam ludzie poznają inne inteligentne gatunki istot żywych – powiedział Harry. – Niektórzy z nich na pewno wyprzedzają nas w rozwoju technologicznym. Albo otrzymamy te technologie na drodze wymiany, albo dzięki inżynierskiej dekonstrukcji sami zorientujemy się, jak działają. Dużo łatwiej jest dojść do jakichś rezultatów kiedy ma się materiał wyjściowy, niż od podstaw tworzyć wszystko samemu.

– Dlatego nazywamy to oszustwem – powiedziałem. – UK odczytuje nuty zapisane przez kogoś innego.

– Ale dlaczego właściwie Unia Kolonialna nie chce się podzielić tymi odkryciami z nami? – zapytała Jesse. – Dlaczego chcą zachować to dla siebie?

– Może myślą, że znając je, moglibyśmy sobie zaszkodzić – powiedziałem.

– A może chodzi o coś zupełnie innego – powiedział Harry, i wskazał na przesuwające się za oknem łodygi przewodów. – Te pędy fasoli nie zostały tu zbudowane dlatego, że są najłatwiejszym sposobem przetransportowania ludzi na Stację Kolonialną. Powstały, ponieważ są jednym z najtrudniejszych sposobów; najdroższym, najbardziej skomplikowanym technicznie i najbardziej politycznie zastraszającym. Obecność tych urządzeń ma przypominać, że UK wyprzedza ludzkość w rozwoju o całe lata świetlne.

– Nigdy nie odbierałam tego jako próby zastraszenia – powiedziała Jesse. – Właściwie nigdy w ogóle zbyt wiele o tym nie myślałam.

– Ten przekaz nie był wymierzony w ciebie – powiedział Harry. – Jeśli jednak byłabyś prezydentem USA, myślałabyś o tym w zupełnie inny sposób. Koniec końców to UK trzyma nas na Ziemi. Nie można podróżować w kosmos inaczej, niż jako kolonista albo żołnierz KSO. Przywódcy polityczni wciąż są pod presją – ludzie chcą, żeby przycisnęli UK i posłali ich między gwiazdy. Ale pędy fasoli są stałym przypomnieniem, które mówi: „Dopóki nie stworzycie czegoś takiego, jak my, nie myślcie nawet o rzucaniu nam wyzwania”. A te łodygi to jedyne urządzenie, jakie UK zdecydowała się nam pokazać. Pomyślcie o tym, o czym wciąż nie wiemy. Zapewniam was, że prezydent USA na pewno dużo o tym rozmyśla. Podobnie jak inni przywódcy państw na tej planecie.

– To wszystko nie nastraja mnie przyjaźnie w stosunku do Unii Kolonialnej – powiedziała Jesse.

– To wcale nie musi mieć złowrogiego wydźwięku – powiedział Harry. – Być może UK próbuje chronić Ziemię. Wszechświat jest olbrzymi. Może nie mieszkamy w najlepszej okolicy.

– Harry, zawsze byłeś tak paranoiczny? – zapytałam. – Czy dopadło cię to dopiero wtedy, kiedy się zestarzałeś?

– A myślisz że dzięki czemu dożyłem tak sędziwego wieku? – odparł Harry, szczerząc się w uśmiechu. – W każdym razie fakt, że UK jest na wyższym technicznie etapie rozwoju niż my, nie stanowi dla mnie problemu. To nawet działa na moją korzyść. – Podniósł rękę do góry. – Spójrzcie na nią – powiedział. – Jest sflaczała, stara i niezbyt sprawna. A Kolonialne Siły Obrony zamierzają, w jakiś sposób wziąć tę rękę – i resztę mnie – i nadać mi sprawność bojową. A wiecie w jaki sposób to zrobią?

– Nie – odpowiedziałem, a Jesse pokręciła głową.

– Ani ja – powiedział Harry i opuścił rękę, która miękko klapnęła na stół. – Nie mam zielonego pojęcia, w jaki sposób przywrócą mojemu ciału sprawność. Co więcej, nie potrafię sobie nawet wyobrazić tego, jak to zrobią. Biorąc pod uwagę fakt, że UK trzyma nas w stanie technologicznej niedojrzałości, próba wytłumaczenia mi tego przypominałaby próbę wytłumaczenia zasady działania pędu fasoli komuś, kto nie zna bardziej skomplikowanego sposobu przewożenia ludzi niż koń i wóz. A jednak to musi działać. Bo inaczej czemu mieliby dokonywać poboru wśród siedemdziesięciopięciolatek? Kosmos nie zostanie przecież podbity przez legiony geriatryczne. Bez obrazy – dodał szybko.

– Nie ma sprawy – powiedziała Jesse z uśmiechem.

– Panie i panowie – powiedział Harry, patrząc na nas oboje. – Może nam się wydawać, że wiemy w co się pakujemy, ale prawdę mówiąc myślę, że nie mamy o tym zielonego pojęcia. Pęd fasoli istnieje po to, by nam to przekazać. Jest większy i dziwniejszy od wszystkiego, co moglibyśmy sobie wyobrazić – a jest zaledwie pierwszą częścią, początkiem tej podróży. Jej dalszy ciąg będzie jeszcze dziwniejszy i jeszcze większy. Przygotujcie się na to najlepiej, jak potraficie.

– To takie dramatyczne – chłodno powiedziała Jesse. – Nie wiem jak miałabym się przygotować po takim oświadczeniu.

– Ja wiem – powiedziałem, i wstałem, żeby wyjść z łoży. – Muszę iść się wysikać. Jeśli wszechświat jest jeszcze większy i jeszcze dziwniejszy niż mogę sobie wyobrazić, to lepiej będzie stawić mu czoła z pustym pęcherzem.

– Powiedziane jak na skauta przystało – powiedział Harry.

– Skaut nie musiałyby sikać tak często jak ja – odrzekłem.

– Musiałyby – powiedział Harry. – Daj mu tylko sześćdziesiąt lat.



## TRZECI

– Nie wiem jak wy dwaj. – Jesse mówiła do mnie i do Harry’ego. – Ale ja nie tak wyobrażałam sobie życie w wojsku.

– Nie jest aż tak źle – powiedziałem. – Masz, zjedz jeszcze pączka.

– Nie chcę jeść następnego pączka – powiedziała, biorąc jednak następnego. – Chcę się trochę przespać.

Dokładnie wiedziałem, co miała na myśli. Minęło ponad osiemnaście godzin odkąd wyjechałem z domu i większość z tego czasu byłem w drodze. Marzyłem o drzemce. Zamiast tego siedziałem w olbrzymiej mesie międzygwiazdowego krążownika, popijając kawą pączki i wraz z około tysiącem innych rekrutów, czekając na kogoś, kto powie nam, co mamy dalej robić. Ja właśnie w ten sposób wyobrażałem sobie wojsko.



Połączone z oczekiwaniem zamieszanie zaczęło się w chwili naszego przybycia. Kiedy tylko wysiedliśmy z platformy pędu fasoli, przywitało nas dwoje aparaczyków Unii Kolonialnej. Poinformowali nas o tym, że jesteśmy ostatnią grupą rekrutów, która zaokrętowana zostanie na niedługo odlatujący statek międzygwiazdny, więc najlepiej będzie, jeśli od razu prędko podążymy za nimi, żeby trzymać się ustalonego porządku. Kobieta ruszyła przodem, mężczyzna poczekał, aż rekruci go wyprzedzą i w ten sposób – efektywnie i trochę obraźliwie – przegnali stado kilkudziesięciu

starszych obywateli poprzez całą stację do naszego okrętu, OKSO „Henry Hudson”. Wszyscy troje byliśmy rozczarowani pośpiechem, w jakim nas prowadzono. Stacja Kolonialna była olbrzymia – miała ponad milę średnicy (dokładnie 1800 metrów – po siedemdziesięciu pięciu latach życia zacząłem przyzwyczajać się do systemu metrycznego) – i służyła za jedyny port, z którego wyprawiano zarówno kolonistów, jak i rekrutów. Przepędzono nas przez całą stację bez możliwości zatrzymania się i przyjrzenia się jej, jakbyśmy byli pięciolatkami w bożonarodzeniowym sklepie z zabawkami, popędzanymi przez spieszących się dokądś rodziców. Miałem ochotę pacnąć plackiem na podłogę w napadzie złego humoru i nie ruszyć się stamtąd, dopóki rzeczy nie ułożą się po mojemu. Niestety, byłem na to zbyt stary (albo jeszcze nie dość stary), żeby móc sobie pozwolić na takie zachowanie.

W czasie tej naszej pospiesznej wędrówki otrzymałem jedynie zaostrzającą głód wrażeń przystawkę. Kiedy aparatczycy poganiali nas niemalże kuksańcami do przodu, minęliśmy olbrzymią przestrzeń wypełnioną po brzegi ludźmi, którzy wyglądali na Pakistańczyków albo wyznających islam Hindusów. Większość z nich cierpliwie czekała na wahadłowiec, który miał przewieźć ich na pokład wielkiego statku do transportu kolonistów, widocznego w oddali za oknami. Niektórzy, posługując się łamaną angielszczyzną, spierali się z urzędnikami UK o to i owo, inni zabawiali najwyraźniej znudzone dzieci, albo przetrząsali swoje bagaże w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Z boku grupa mężczyzn modliła się klęcząc na pokrytym dywanami pokładzie stacji. Zadałem sobie w myślach pytanie, w jaki sposób określili położenie Mekki z wysokości dwudziestu trzech tysięcy mil; po chwili zostaliśmy znów popchnięci do przodu i straciłem ich z oczu.

Jesse pociągnęła mnie za rękaw i wskazała na prawo. Przed oczami mignęła mi stojąca w głębi małej mesy niebieska, wyposażona w macki postać trzymająca kieliszek Martini. Powiedziałem o tym Harry'emu; tak go to zaintrygowało, że – pomimo konsternacji prowadzącej nas kobiety – zawrócił, żeby się lepiej przyjrzeć. Po chwili to ona zawróciła go i z surowym wyrazem twarzy zagnała na poprzednie miejsce w stadzie. Harry uśmiechał się jak głupek.

– To był Gehaar – powiedział. – Kiedy tam zajrzałem, właśnie jadł skrzydełko kurczaka. To było obrzydliwe – zachichotał.

Gehaarowie byli jedną z pierwszych obcych ras napotkanych przez ludzi; stało się to jeszcze zanim Unia Kolonialna zmonopolizowała podróże kosmiczne. Byli dość mili, ale jedli nasączając pożywienie kwasem za pomocą cienkich głowowych macek, potem głośno siorbiąc wsysali powstałą bulgocącą papkę we właściwy otwór. Było to trochę niechlujne.

Harry w ogóle się tym nie przejmował. Właśnie po raz pierwszy w życiu zobaczył na żywo obcego.

Nasza wędrówka przez stację zakończyła się w hali odpraw z dużym napisem „Henry Hudson\Rekruci KSO” wyświetlonym na tablicy odlotów. Członkowie naszej grupy z przyjemnością usiedli, podczas gdy para aparaczyków podeszła porozmawiać z urzędnikami kolonialnymi przy głównej bramie wahadłowca. Ciekaw wszystkiego Harry poszedł szukać okna, z którego mógłby spojrzeć na nasz statek. Jesse i ja, pomimo zmęczenia, wstaliśmy i poszliśmy za nim. Mały monitor informacyjny pomógł nam je znaleźć.

„Henry Hudson” oczywiście nie dokował tuż przy bramie; trudno jest stworzyć zgodny tandem z międzygwiazdowego statku o nośności setek tysięcy ton i obracającej się wokół własnej osi stacji kosmicznej. Podobnie jak transportowce kolonistów okręt pozostawał w odpowiedniej odległości,

podczas gdy zwinniejsze wahadłowce i barki przewoziły w obie strony zaopatrzenie, pasażerów i załogi. „Hudson” znajdował się parę mil na ukos w górę nad stacją. Nie przypominał masywnych, funkcjonalnych, wyglądających jak koła poprzetykane szprychami statków transportujących kolonistów. Smuklejszy i bardziej płaski, nie miał przede wszystkim kształtu koła ani cylindra. Wspomniałem o tym Harry’emu, który pokiwał głową.

– W pełni sztucznie wytworzona grawitacja – powiedział. – Na dodatek stabilna na dużej powierzchni. Bardzo imponujące.

– Myślałam, że używaliśmy sztucznej grawitacji w czasie drogi z Ziemi – powiedziała Jesse.

– Bo używaliśmy – powiedział Harry. – Generatory grawitacyjne platformy zwiększały moc w miarę naszego wznoszenia się.

– Więc dlaczego tak cię dziwi wytwarzanie sztucznej grawitacji przez statek kosmiczny? – zapytała Jesse.

– W tym wypadku jest to o wiele trudniejsze – powiedział Harry. – Wytworzenie pola grawitacyjnego wymaga olbrzymich ilości energii, a ilość potrzebnej do tego energii wzrasta wraz ze wzrostem zasięgu pola. Prawdopodobnie użyli wybiegu i stworzyli wiele mniejszych pól zamiast jednego większego. Ale nawet dokonane w ten sposób wytworzenie pól na naszej platformie zużyło prawdopodobnie tyle samo energii, ile potrzeba do oświetlenia twojego rodzinnego miasta przez miesiąc.

– No nie wiem – powiedziała Jesse. – Jestem z San Antonio.

– Więc do oświetlenia jego miasta – powiedział Harry, wyciągając kciuk w moją stronę. – Chodzi mi o to, że to niebywałe marnotrawstwo energii. W większości wypadków, w których potrzebna jest sztuczna grawitacja, o wiele prościej i taniej jest stworzyć koło, zakręcić nim i poumieszczać ludzi i przedmioty po wewnętrznej krawędzi jego obręczy. Kiedy już je

rozkrećisz, potrzeba będzie przyłożenia niewielkich ilości dodatkowej energii – tylko tyle, żeby skompensować tarcie. W przeciwieństwie do stworzenia sztucznego pola grawitacyjnego, które potrzebuje ciągłych, znaczących dostaw energii.

– Spójrzcie – wskazał na „Henry’ego Hudsona”. – Obok „Hudsona” widać wahadłowiec. Używając go jako jednostki skali zgaduję, że „Hudson” ma długość dwustu pięćdziesięciu metrów, szerokość trzystu metrów i wysokość pięćdziesięciu. Wytworzenie jednego sztucznego pola grawitacyjnego wokół tej dziecinki na sto procent wygasiłoby światła San Antonio. Nawet wiązka mniejszych pól pożerałaby ogromne ilości energii. Więc albo mają źródło mocy, które może utrzymać aktywną grawitację i jeszcze na dodatek zaopatrywać inne systemy statku, takie jak napęd i system podtrzymywania życia, albo udało im się wynaleźć nowy, oszczędzający energię sposób wytworzenia ciężenia.

– To prawdopodobnie i tak nie jest tanie – powiedziałem, wskazując na dokujący na prawo od „Hudsona” transportowiec. – Spójrzcie na statek do przewozu kolonistów. Ma kształt koła. Sama Stacja Kolonialna także wiruje.

– Kolonie zachowują swoje najlepsze technologie na potrzeby wojska – powiedziała Jesse. – A ten okręt ma przewozić nowych rekrutów. Myślę, że masz rację, Harry. Nie mamy pojęcia w co się pakujemy.

Harry wyszczerzył zęby w uśmiechu, odwrócił się powoli w ich stronę, w miarę obrotu stacji przesuującego się za oknem „Henry’ego Hudsona”, i powiedział:

– Uwielbiam, kiedy ludzie zaczynają podzielać mój sposób myślenia.



Nasi aparatczycy znowu zebrali nas w jedno stado i ustawili w kolejce do zaokrętowania na wahadłowiec. Przedstawiliśmy nasze karty identyfikacyjne stojącemu przy bramie urzędnikowi UK, który wpisywał nas na listę; w tym samym czasie drugi wręczał każdemu osobisty komputer podręczny.

– Dzięki za przebywanie na Ziemi, oto wspomniały pożegnalny dar – powiedziałem do niego, ale chyba nie załapał.

Wahadłowce nie zostały wyposażone w sztuczną grawitację. Nasi aparatczycy przypięli nas pasami i ostrzegli, żeby w żadnym wypadku ich nie rozpinać; zresztą dla pewności, że co bardziej klaustrofobiczni spośród nas tego nie zrobią, na czas lotu zapięcia zatrzasnęły się automatycznie i nie mieliśmy nad nimi kontroli. To rozwiązało problem. Aparatczycy rozdali też plastikowe siatki na włosy wszystkim długowłosym – w czasie swobodnego opadania włosy zachowują się jak węże Meduzy.

Powiedzieli nam też, że w razie, gdyby komuś zrobiło się niedobrze, powinien użyć specjalnych worków umieszczonych w bocznych kieszeniach naszych siedzeń. Podkreślili, że ważne jest, by nie czekać z użyciem worka aż do ostatniej chwili. W stanie nieważkości wymiociny mogą szybować po całym wnętrzu i niepotrzebnie irytować innych pasażerów; sprawiając, że wymiotujący poza worek rekrut może stać się niezbyt lubiany przez resztę lotu, a być może nawet aż do końca całej swojej wojskowej kariery. Po tym ostrzeżeniu parę osób zaczęło czynić przygotowania, niemiłosiernie szeleszcząc torbami. Kobieta siedząca obok mnie kurczowo chwyciła swoją torbę obiema rękami. W myślach przygotowywałem się na najgorsze.

Na szczęście nikt nie wymiotował. Przelot na „Henry’ego Hudsona” przebiegł bezstresowo, poza okrzykiem – *kurwa, spadam* – jaki wydał mój

mózg, kiedy zniknęła grawitacja. W gruncie rzeczy podróż ta przypominała długą, dość łagodną przejażdżkę kolejką górską w wesołym miasteczku. Do okrętu dotarliśmy mniej więcej w pięć minut; dokowanie trwało minutę czy dwie – potem śluza drzwi otworzyła się na chwilę, przyjmując wahadłowiec, i zamknęła się znowu. Wpompowywanie powietrza z powrotem do podjazdu wahadłowca trwało kilka kolejnych minut. Potem poczułem lekkie mrowienie i sztuczna grawitacja zaczęła działać.

Drzwi śluzy wahadłowca otworzyły się i pojawiła się w nich nasza nowa opiekunka. – Witam na pokładzie OKSO „Henry Hudson” – powiedziała. – Proszę rozpiąć pasy, wziąć swoje bagaże i podążać wzdłuż podświetlonej linii. Dokładnie za siedem minut powietrze ze śluzy zostanie wypompowane, żeby odprawić ten wahadłowiec i przygotować stanowisko do następnego dokowania. Radzę więc się pospieszyć.

Cała grupa opuściła wahadłowiec i służę doku zadziwiająco szybko.

Stamtąd zaprowadzono nas do obszernej mesy „Henry’ego Hudsona”, gdzie mieliśmy się odprężyć przy kawie i pączkach. Zapowiedziano, że wkrótce pojawi się urzędnik, który nam wszystko wyjaśni. Kiedy czekaliśmy, mesa zaczęła zapełniać się rekrutami, którzy prawdopodobnie zaokrętowali się przed nami; po godzinie w pomieszczeniu mesy znajdowało się parę setek ludzi. Nigdy nie widziałem tak wielu starych ludzi zebranych w jednym miejscu. Podobnie zresztą jak Harry.

– To jak niedzielny poranek w największej na świecie kawiarni – powiedział, i dołączył do kawy.

Właśnie wtedy, kiedy mój pęcherz zaczął dawać mi znaki, że przesadziłem z ilością kawy, do mesy wszedł dystyngowany wyglądający dżentelmen w błękitnym kolonialnym uniformie dyplomatycznym i ruszył w stronę przedniej części pomieszczenia. Gwar rozmów zaczął cichnąć;

wszyscy pewnie poczuli ulgę, że w końcu pojawił się ktoś, kto powie im, co tu się do diabła dzieje.

Mężczyzna przez parę minut stał na środku, dopóki w mesie nie zapanowała zupełna cisza.

– Witam państwa – powiedział, i wszyscy podskoczyliśmy. Musiał mieć na sobie mikrofon; jego głos dobywał się z umieszczonych na ścianach głośników. – Jestem Sam Campbell, pracownik pomocniczy Unii Kolonialnej do spraw Kolonialnych Sił Obrony. Chociaż technicznie rzecz biorąc nie jestem członkiem Kolonialnych Sił Obrony, zostałem przez KSO upoważniony do udzielenia państwu wszelkich informacji na ich temat; tak więc przez parę najbliższych dni możecie mnie uważać za waszego oficera zwierzchniego. Wiem, że część z was właśnie przybyła na pokładzie ostatniego wahadłowca, i z niecierpliwością czeka na chwilę odpoczynku; pozostali zaś są tu już od jakiegoś czasu, i równie niecierpliwie czekają, by dowiedzieć się, co nastąpi dalej. Będę się więc streszczał, by zadowolić obie grupy.

– Mniej więcej za godzinę OKSO „Henry Hudson” opuści orbitę Ziemi, po czym odbędzie pierwszy przeskok do systemu Feniksa, gdzie zrobimy krótki postój w celu uzupełnienia zaopatrzenia, po czym skierujemy się do Beta Pyxis III, gdzie rozpoczniecie wasze szkolenie. Proszę się nie martwić; nie oczekuję, żeby w tym momencie to, co mówię, cokolwiek dla was znaczyło. Powinniście tylko wiedzieć, że dotarcie do miejsca przeznaczenia pierwszego przeskoku zajmie nam niewiele ponad dwa dni, i w tym czasie moi ludzie poddadzą was fizjologicznym i psychologicznym badaniom. Wasz harmonogram jest właśnie przekazywany do waszych Osobistych Komputerów Podręcznych. Przejrzyjcie go przy najbliższej okazji. Wasz OKP może także skierować was do dowolnego miejsca, więc



nie musicie się obawiać, że zabłądzicie. Ci, którzy przed chwilą przybyli, znajdą także na swoich OKP przydzielone im kabiny.

– Poza odnalezieniem drogi do waszych kabin, niczego już dzisiaj nie musicie robić. Wielu z was spędziło w podróży dość dużo czasu, a chcemy, żebyście zdążyli wypocząć przed jutrzejszym oszacowaniem. Skoro już o tym mowa, to dobry moment, żebyście przestawili się na czas okrętowy, który jest zarazem Standardowym Uniwersalnym Czasem Kolonialnym. Teraz jest – spojrzął na zegarek – 21:38 Czasu Kolonialnego. Wasze OKP są ustawione na czas okrętowy. Wasz jutrzejszy dzień zacznie się śniadaniem w mesie między 06:00 a 07:00, po czym zostaniecie poddani badaniom i zabiegom wzmacniającym. Śniadanie w mesie nie jest obowiązkowe – jeszcze nie obowiązuje was regulamin wojskowy. Ale jutro czeka was długi dzień, więc nalegam, żebyście przyszli coś zjeść. – Jeśli będziecie mieli jakieś pytania, wasze OKP mogą wchodzić do systemu informacyjnego „Henry’ego Hudsona” i używać interfejsów SI według waszego uznania; możecie napisać pytanie na ekranie za pomocą załączonego pisaka, albo po prostu zadać je ustnie do mikrofonu OKP. Poza tym na każdym z pokładów bez trudu znajdziecie członków personelu Unii Kolonialnej; proszę nie wahajcie się prosić ich o pomoc. Nasz personel medyczny, opierając się na dostarczonych przez was informacjach, orientuje się w waszych potrzebach i być może zostały już zadysponowane na dziś wieczór wizyty w waszych kabinach. Sprawdźcie to na swoich OKP. Możecie też, jeśli czujecie taką potrzebę, odwiedzić szpital okrętowy. Mesa będzie dzisiaj otwarta przez całą noc, od rana będziemy działać zgodnie ze zwykłym planem dnia. Jeszcze raz sprawdźcie na waszych OKP czas i listę zadań. Począwszy od jutra rana wszyscy powinniście nosić sprzęt rekruta KSO; w tym momencie odpowiedni ludzie dostarczają go do waszych kabin.

Campbell przerwał na chwilę, posłał nam coś, co uważał za znaczące spojrzenie i zaczął mówić dalej:

– W imieniu Unii Kolonialnej i Kolonialnych Sił Obrony, witam was jako nowych obywateli i naszych nowych obrońców. Niech Bóg wam błogosławi i chroni was w czasie, który nadejdzie... Nawiasem mówiąc, jeśli będziecie chcieli obejrzeć, jak opuszczamy orbitę, obraz zostanie wyświetlony na ekranach w kinoteatrze na pokładzie obserwacyjnym. Sala jest całkiem spora i swobodnie pomieści wszystkich rekrutów, więc nie musicie martwić się o miejsca siedzące. „Henry Hudson” porusza się naprawdę szybko, więc jutro w porze śniadania Ziemia będzie już tylko bardzo małym krążkiem, a w porze obiadu zaledwie jasnym punktem na niebie. To będzie prawdopodobnie ostatnia okazja, żebyście mogli zobaczyć planetę, na której mieszkaliście. Jeśli to cokolwiek dla was znaczy wpadnijcie, żeby rzucić okiem.



– I co, jak twój nowy współlokator? – spytał Harry, siadając obok mnie na widowni kinoteatru.

– Naprawdę nie chcę rozmawiać na ten temat – powiedziałem. Z pomocą OKP trafiłem do swojej kabiny, gdzie zastałem swojego współlokatora, który właśnie się rozpakowywał. To był Leon Deak. Spojrzał na mnie i powiedział:

– O, spójrzcie no, to ten dziwak od Biblii.

I od tej pory zupełnie mnie ignorował, co wymagało pewnego wysiłku w pomieszczeniu trzy metry na trzy. Leon zajął już dolną koję (która, dla siedemdziesięciopięcioletnich kolan jest tą „o niebo lepszą koją”); rzuciłem

swoje rzeczy na górną, wziąłem swój OKP i poszedłem po Jesse, która miała kabinę na tym samym pokładzie. Jej współlokatorka, miła pani o imieniu Maggie, zrezygnowała z oglądania pokazu opuszczenia orbity. Powiedziałem Jesse, kto jest moim współlokatorem; trochę ją to ubawiło.

Śmiała się również wtedy, kiedy opowiadała tę historię Harry'emu, który współczująco poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Nie martw się. Będziesz z nim mieszkał tylko do czasu, aż dotrzemy na Beta Pyxis.

– Gdziekolwiek to jest – powiedziałem. – A jak twój współlokator?

– Trudno powiedzieć – odparł Harry. – Kiedy tam dotarłem, już spał. Też zajął dolną koję, drań jeden.

– Moja współlokatorka okazała się bardzo miła – powiedziała Jesse. – Na przywitanie poczęstowała mnie domowymi ciasteczkami. Powiedziała, że to prezent pożegnalny od wnuczki.

– Mnie nie poczęstowała ciasteczkiem – powiedziałem.

– No wiesz, przecież to nie z tobą będzie mieszkać.

– Smakowały ci te ciasteczka? – zapytał Harry.

– Jak odłamki owsianej skały – stwierdziła Jesse. – Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że mam najlepszą współlokatorkę z nas wszystkich. To mnie wyróżnia. Spójrzcie, to Ziemia. – Wskazała na olbrzymi ekran, który właśnie się rozświetlił. Pośrodku ekranu zawisła zadziwiająco dokładnie widoczna kula Ziemi; konstruktor tego ekranu wykonał kawał dobrej roboty.

– Chciałbym mieć ten ekran w swoim dużym pokoju – rozmarzył się Harry – Odbływałyby się u mnie najsłynniejsze imprezy połączone z oglądaniem meczów w całej dzielnicy.

– Spójrzcie na to – powiedziałem. – Spędziliśmy tam całe życie. Wszyscy, których znaliśmy i kochaliśmy byli tam z nami. A teraz to

zostawiamy. Czujecie coś z tego powodu?

– Jestem podekscytowana – powiedziała Jesse. – I smutna, ale niezbyt smutna.

– Nie ma powodu się smucić – powiedział Harry. – Tam można już było tylko zestarzeć się i umrzeć.

– No wiesz, teraz też będziesz mógł umrzeć – powiedziałem. – Wstępujesz przecież do wojska.

– No tak, ale nie będę stary, kiedy umrę – odparł Harry. – Będę miał drugą szansę, żeby umrzeć młodo i zostawić po sobie piękne zwłoki. To będzie mogło zrekompensować mi straconą za pierwszym razem okazję.

– Kiedy tak mówisz, widzę, że jesteś romantykiem – powiedziała Jesse, udając powagę.

– Żebyś wiedziała – odpowiedział Harry.

– Słuchajcie – przerwałem im. – Zaczynamy się oddalać.

W głośnikach kinoteatru słychać było wymianę zdań pomiędzy mostkiem „Henry’ego Hudsona” a Stacją Kolonialną, na temat odlotu tego pierwszego. Potem coś zadudniło i pokład okrętu zaczął wibrować tak leciutko, że z ledwością mogliśmy poczuć to w swoich siedzeniach.

– Silniki – powiedział Harry. Jesse i ja potakująco pokiwaliliśmy głowami.

Po chwili Ziemia zaczęła powoli maleć na ekranie. Wciąż masywna, wciąż krystalicznie błękitno-biała, niezauważalnie oddalając się zajmowała coraz mniej miejsca na ekranie. W zupełnej ciszy, tych paruset rekrutów, którzy przyszli do kinoteatru oglądało, jak kurczy się i maleje. Spojrzałem na Harry’ego; jego wcześniejsze zawadiactwo zniknęło bez śladu, był teraz cichy i zamyślony. Po policzku Jesse płynęła łza.

– Hej – powiedziałem, i chwyciłem ją za rękę. – Smutna, ale niezbyt smutna. Pamiętasz?

Uśmiechnęła się do mnie i ucisnęła moją dłoń.

– Nie – odezwała się niskim, chrapliwym głosem. – Niezbyt smutna. Ale jednak smutna.

Siedzieliśmy tam jeszcze jakiś czas patrząc, jak wszystko, co do tej pory znaliśmy maleje na ekranie.



Mój OKP miał budzenie ustawione na 06:00; z jego głośniczków zaczęła dobywać się cicha, trochę piskliwa melodia, której głośność narastała, dopóki się nie obudziłem. Wyłączyłem muzykę, po cichu zsunąłem się z górnej koi, włączyłem małą, umieszczoną w szafie lampkę i w jej świetle zacząłem szukać ręcznika. W szafie wisiały moje i Leona rekruckie stroje: dwa zestawy jasnobłękitnych kolonialnych dresowych bluz i spodni, dwa jasno – błękitne T-shirty, dwie pary grubo tkanych błękitnych bokserek, dwie pary białych skarpet, dwa proste podkoszulki i błękitne slipki. Najwyraźniej aż do Beta Pyxis nie będą nam potrzebne bardziej oficjalne stroje. Ubrałem spodnie i T-shirt, zarzuciłem na ramię jeden z ręczników i wyszedłem do łazienki, która znajdowała się w korytarzu.

Kiedy wróciłem w kabinie paliło się duże światło, ale Leon wciąż leżał na swojej koi – światło musiało zapalić się automatycznie. Na T-shirt założyłem bluzę, dodałem do zestawu slipki i skarpetki; tak ubrany, byłem gotowy do rannej przebieżki – albo, w gruncie rzeczy, byłem gotowy na to, co czekało mnie tego dnia. W tym momencie byłem gotowy na śniadanie. Wychodząc, szturchnąłem Leona lekko w ramię. Był nieprzyjemnym durniem, ale nawet durnie nie powinni przesywać śniadania. Spytałem go, czy nie chce iść czegoś zjeść.

– Co? – burknął. – Nie. Daj mi spokój.

– Jesteś pewien, Leon? – zapytałem. – Wiesz, co mówią o śniadaniu. To najważniejszy posiłek dnia, i tak dalej. Wstawaj. Przyda ci się trochę energii.

W odpowiedzi Leon zaczął po prostu warczeć:

– Moja matka nie żyje od trzydziestu lat, i z tego co wiem, nie inkarnowała się w twoim ciele. Więc idź do diabła i daj mi spać.

Miło było słyszeć, że Leon nie zaczął być względem mnie przesadnie delikatny.

– Jak chcesz – powiedziałem. – Wrócę po śniadaniu.

Chrząknął tylko i obrócił się na drugi bok. Poszedłem na śniadanie.

Śniadanie było zadziwiająco dobre; gdyby Gandhi ożenił się z kobietą, która potrafiłaby przyrządzać takie śniadania, na pewno przestałby pościć. Dostałem dwa chrupiące, belgijskie gofry, posypane cukrem pudrem i syropem, który smakował jak klonowy syrop z Vermont (jeśli nie pamiętasz, kiedy ostatnio jadłeś klonowy syrop z Vermont, to znaczy, że go nie jadłeś nigdy), okraszone łyżką kremowego masła, które w mistrzowski sposób roztopiło się, wypełniając głębokie otwory gofrów. Do tego jajka na miękko, ugotowane rzeczywiście na miękko, przysmażony na jasny brąz wędzony bekon, pomarańczowy sok wyciśnięty z owoców, które nie zdały sobie sprawy, że są wyciskane, i duży kubek świeżutkiej, aromatycznej kawy.

Pomyślałem, że umarłem i trafiłem do nieba. Ponieważ na Ziemi oficjalnie byłem uznany za nieżyjącego i właśnie leciałem przez układ słoneczny na pokładzie statku kosmicznego, nie mijałem się za bardzo z prawdą.

– No nie – powiedział siedzący obok koleś, kiedy postawiłem na stole swoją zapełnioną po brzegi tacę. – Proszę spojrzeć na te wszystkie tłuszcze.

Sam się pan prosi o koronarografię. Wiem co mówię, jestem lekarzem.

– O ho, ho – odpowiedziałem i wskazałem na jego tacę. – To, nad czym pan pracuje, wygląda jak omlet z czterech jaj. Do tego po pół kilo szynki i cheddara.

– „Róbcie, co mówię; nie róbcie tego, co robię”. Jako praktykujący lekarz miałem takie właśnie credo – powiedział. – Jeśli więcej pacjentów słuchałoby moich zaleceń, zamiast podążać za moim pożałowania godnym przykładem, to mogliby żyć do tej pory. To lekcja dla nas wszystkich. A tak przy okazji, jestem Thomas Jane.

– John Perry – powiedziałem, ściskając jego dłoń.

– Miło cię poznać – powiedział. – Chociaż jest mi też smutno, bo jeśli to wszystko zjesz, w ciągu godziny umrzesz na atak serca.

– Nie słuchaj go, John – powiedziała siedząca naprzeciw nas kobieta, której talerz wysmarowany był resztami naleśników i kiełbasek. – Tom po prostu próbuje skłonić cię do oddania mu części twojej porcji; chodzi mu tylko o to, żeby nie musiał stawać w kolejce po dokładkę. W ten sposób straciłam połowę swoich frankfurterek.

– To oskarżenie jest w tym samym stopniu prawdziwe, co niestosowne – powiedział Thomas pełnym oburzenia tonem. – Przyznaję, że požądam jego belgijskiego gofra, tak, nie będę się zapierał. Ale poświęcenie moich własnych arterii przedłuży mu życie, więc zrobię to jako dobry lekarz. Możecie uznać to za kulinarny odpowiednik rzucenia się własnym ciałem na granat, dla dobra mojego towarzysza walki.

– Większość granatów nie ocieka syropem – stwierdziła kobieta.

– A może powinny ociekać syropem – powiedział Thomas. – Można by wtedy zobaczyć więcej aktów samopoświęcenia.

– Proszę bardzo – powiedziałem, odkrawając połowę gofra. – Rzuć się własnym ciałem na to.

- Najpierw rzucę się na to twarzą – obiecał Thomas.
- Wszystkim nam przykro jest to słyszeć – orzekłem.
- Co sądzisz o naszej małej kosmicznej przygodzie, przynajmniej do tej pory? – zapytała mnie kobieta z drugiej strony stołu, która przedstawiła się jako Susan Reardon, jak dotąd z Bellevue w stanie Waszyngton.
- Gdybym wiedział, że tu tak dobrze gotują, znalazłbym jakiś sposób, żeby się zaciągnąć już wiele lat temu – powiedziałem. – Kto by pomyślał, że wojskowe jedzenie może tak wyglądać i smakować.
- Myślę, że jeszcze tak naprawdę nie jesteśmy w wojsku – powiedział Thomas z ustami pełnymi gofra. – Myślę, że jesteśmy w czymś w rodzaju poczekalni Kolonialnych Sił Obrony; jeśli wiecie, co mam na myśli. Prawdziwe wojskowe jedzenie będzie o wiele skromniejsze. Nie wspominając o tym, że nie będziemy sobie brykać w luźnych dresach, tak jak teraz.
- Myślisz, że chcą nam jak najbardziej uprzyjemnić początki tego, co nastąpi potem? – zapytałem.
- Tak myślę – odparł Thomas. – Spójrzcie, na tym statku jest tysiąc zupełnie obcych sobie ludzi, i nikt z nich nie ma rodziny, domu ani zawodu. To może człowieka wprawić w stan niezłego szoku. Mogą więc przynajmniej podać nam wyśmienity posiłek, żebyśmy mogli się nim zająć i nie myśleć przez chwilę o tym wszystkim.
- John! – wypatrzył mnie stojący w kolejce Harry. Machnąłem do niego ręką. Podeszedł z jakimś drugim mężczyzną, obaj z pełnymi tacami.
- To mój współlokator, Alan Rosenthal – powiedział.
- Do tej pory znany jako Śpiąca Królewna – powiedziałem.
- Przynajmniej połowa z tego opisu jest wiarygodna – powiedział Alan.
- Rzeczywiście jestem królewsko i przerażająco piękny.
- Przedstawiłem Harry'ego i Alana Susan i Thomasowi.



– No, no... – powiedział Thomas, przeglądając zawartość ich tac. – Zaraz nastąpią dwa kolejne ataki próchnicy.

– Lepiej rzuć Tomowi parę kawałków bekonu, Harry – powiedziałem. – Inaczej nigdy nie skończy mówić na temat szkód, jakie sobie wyrządzisz jedząc swoje śniadanie.

– Chyba nie sugerujesz, że można mnie przekupić jedzeniem – powiedział Thomas.

– On nic nie sugeruje – wtrąciła Susan. – Po prostu stwierdza fakt.

– Cóż, wiem, że na loterii współlokatorów wyciągnąłeś najgorszy los – Harry zwrócił się do mnie, jednocześnie podając dwa plasterki bekonu Thomasowi, który uroczyście je przyjął. – Dla mnie los był łaskawszy. Alan jest fizykiem teoretycznym, do tego bystrym jak diabli.

– I przerażająco pięknym – wtrąciła Susan.

– Dzięki, że pamiętałaś o tym drobiazgu – powiedział Alan.

– Wygląda na to, że przy tym stole siedzą sami całkiem inteligentni dorośli ludzie – powiedział Harry. – Więc jak myślicie, co nas dzisiaj czeka?

– Na 08:00 jestem umówiony do lekarza – powiedziałem. – Podobnie jak my wszyscy, prawda?

– Prawda – powiedział Harry. – Ale pytam was, co to waszym zdaniem znaczy. Myślicie, że już dzisiaj zaczniemy nasze odmładzające terapie? Czy już dzisiaj zaczniemy przestawać być starzy?

– Nie wiemy, czy przestaniemy być starzy – powiedział Thomas. – Założyliśmy, że tak będzie, ponieważ żołnierze zwykle są młodzi. Nikt z nas nie widział nigdy kolonialnego żołnierza. Założyliśmy że nas odmłodzi, ale nasze założenia mogą mijać się z prawdą.

– Jaki może być pożytek ze starego żołnierza? – zapytał Alan. – Jeśli zamierzają wysłać mnie na pole walki w tej formie, w jakiej teraz jestem, to

nie mam pojęcia w jaki sposób mógłbym tam być użyteczny. Mam chory kręgosłup. Wczorajsze przejście z platformy pędu fasoli do rampy wahadłowca zupełnie mnie wykończyło. Nie wyobrażam sobie przejścia dwudziestu mil z plecakiem i bronią.

– Myślę, że na pewno czekają nas jakieś naprawy – powiedział Thomas. – Ale to nie to samo, co uczynienie cię znowu „młodym”. Jestem lekarzem, i trochę się na tym znam. Możesz usprawnić działanie ludzkiego ciała i poszczególnych jego funkcji w każdym wieku, ale każdy wiek ma swoją linię zerową, granicę możliwości takich przekształceń. W samej nie podlegającej przemianom istocie siedemdziesięcioletniego ciała leży to, że jest powolniejsze, mniej giętkie i trudniejsze do naprawy niż młodsze ciała. Wciąż może zrobić parę zadziwiających rzeczy, oczywiście. Nie chcę się przechwalać, ale muszę wam powiedzieć, że na Ziemi regularnie biegałem na dziesięć kilometrów. W ostatnim biegu wziąłem udział niecały miesiąc temu. I teraz miałem lepszy czas niż miałbym dwadzieścia lat temu.

– Jaki więc byłeś, kiedy miałeś pięćdziesiąt pięć lat? – zapytałem.

– I właśnie o to chodzi – powiedział Thomas. – W wieku lat pięćdziesięciu pięciu byłem grubą, gnuśną beką tłuszczu. Musieli mi przeszczepić serce, żebym zaczął o siebie dbać. Chodzi mi o to, że aktywny siedemdziesięcioletek może naprawdę wiele, i nie musi stawać się młody; wystarczy, że będzie utrzymywał świetną kondycję. Być może tylko tego wymagają w tej armii. Może inne gatunki inteligentnych istot we wszechświecie idą na łatwiznę. Jeśli tak jest, to ma to pewien sens, ponieważ młodzi ludzie są bardziej użyteczni w społecznościach, w których żyją. Mają przed sobą całe życie, a my jesteśmy zupełnie niepotrzebni.

– Więc może wciąż będziemy starzy; tyle że bardzo, bardzo zdrowi – powiedział Harry.

– To właśnie mam na myśli – potwierdził Thomas.

– Nie mów tak. To mnie przygnębia – powiedział Harry.

– Zamknę się, jeśli dasz mi swoją miseczkę owoców – zaproponował Thomas.

– Nawet jeśli przemienią nas w świetnie funkcjonujących siedemdziesięciopięciolatek – powiedziała Susan. – To wciąż będziemy się starzeć i za pięć lat będziemy już tylko świetnie funkcjonującymi osiemdziesięciopięciolatekami. To górna granica naszej przydatności jako żołnierzy.

– Minimalna długość czasu naszej służby to dwa lata – Thomas wzruszył ramionami. – Może będą potrzebowali naszej sprawności tylko w tym czasie. Różnica między wiekiem lat siedemdziesięciu pięciu a siedemdziesięciu siedmiu nie jest tak wielka, jak między wiekiem siedemdziesięciu pięciu a osiemdziesięciu. A nawet siedemdziesięciu siedmiu a osiemdziesięciu. Setki tysięcy zaciągają się każdego roku. Być może po prostu po dwóch latach wymienią nas na „świeżych” rekrutów.

– Okres naszej służby może się wydłużyć aż do dziesięciu lat – powiedziałem. – To jest dodane drobnym druczkiem. Z tego wynika, że dysponują technologią, która pozwoli nam utrzymać sprawność przez ten czas.

– Mają w aktach próbki naszego DNA – powiedział Harry. – Mogą klonować części zamienne, czy coś w tym rodzaju.

– To prawda – przyznał Thomas. – Ale nawet jeśli użyją sklonowanych ciał, to transplantacja każdego organu, każdej kości, mięśnia i nerwu wymaga bardzo dużego nakładu pracy. A na dodatek musieliby uporać się z naszymi mózgami, których nie można przeszczepić. – Thomas rozejrzał się i w końcu zdał sobie sprawę z tego, że wprawia w depresję wszystkich siedzących przy stole. – Nie twierdę, że nie będziemy znowu młodzi – powiedział po chwili. – Po prostu wszystko, co widziałem na tym okręcie

przekonuje mnie, że Unia Kolonialna ma znacznie lepsze technologie od naszych ziemskich. Ale jako staremu lekarzowi trudno będzie mi patrzeć na to, jak odwróćą proces starzenia się w tak dramatyczny sposób, jak tego się wszyscy spodziewamy.

– Entropia to wredna suka – powiedział Alan. – Mamy teorie, które zakładają możliwość takiego odwrócenia.

– Jest jeden dowód, jedna rzecz, która sugeruje, że na sto procent nas usprawnią – powiedziałem.

– No mów, dalej – powiedział Harry. – Teoria Toma o galaktycznych armiach starych ludzi odbiera mi apetyt.

– Rzecz w tym – powiedziałem. – Że jeśli nie mogliby naprawić naszych ciał, to nie dawałoby nam jedzenia z taką zawartością tłuszczu, która w ciągu miesiąca może większość z nas wpędzić do grobu.

– To święta prawda – powiedziała Susan. – Dobrze, że to powiedziałeś, John. Od razu czuję się lepiej.

– To dobrze – powiedziałem. – Opierając się na tym dowodzie, mam taką wiarę w to, że Kolonialne Siły Obrony wyleczą wszystkie moje dolegliwości, że idę po dokładkę.

– Przynieś mi trochę naleśników, skoro już wstałeś – powiedział Thomas.



– Hej, Leon – powiedziałem, szturchając jego obwisłe cielsko. – Wstawaj. Dość już spania na dziś. O ósmej masz wizytę u lekarza.

Leon dalej leżał nieruchomo na swoim łóżku. Wywróciłem oczami, westchnąłem i szturchnąłem go mocniej. Wtedy zauważyłem, że ma sine

usta.

*O kurwa*, pomyślałem, i mocno nim potrząsałem. Chwyciłem go wpół i ściągnąłem z koi na podłogę. Jakbym przemieszczał jakiś nieożywiony ciężar.

Chwyciłem mój OKP i wezwałem pomoc medyczną. Potem uklęknąłem i próbowałem robić mu sztuczne oddychanie i masaż serca, dopóki para kolonialnych pielęgniarzy nie odciągnęła mnie od niego.

W międzyczasie przy otwartych drzwiach zdążył zebrać się spory tłumek; zobaczyłem Jesse i wciągnąłem ją do środka. Zobaczyła Leona leżącego na podłodze i zasłoniła usta dłonią. Przytuliłem ją.

– Co z nim? – zapytałem jednego z Kolonialnych, który konsultował się ze swoim OKP.

– Nie żyje – odpowiedział. – Nie żyje już od jakiejś godziny. To wygląda na atak serca. – Schował OKP i wyprostował się, patrząc w dół na Leona – Biedny drań. Dotarł aż tutaj, i właśnie teraz pompa mu wysiadła.

– W ostatniej chwili załapał się do Brygad Duchów – powiedział drugi z Kolonialnych.

Posłałem mu twarde, niechętne spojrzenie. Poczułem, że żartowanie w tym momencie jest w złym tonie.

## CZWARTY

– Okay, co my tu mamy – powiedział lekarz, wpatrując się w swój raczej duży OKP, kiedy wszedłem do jego gabinetu. – Pan jest John Perry, prawda?

– Tak, to ja – potwierdziłem.

– Jestem doktor Russell – powiedział, i przyjrzał mi się uważnie. – Wygląda pan, jakby panu właśnie umarł pies.

– Właściwie – powiedziałem. – To umarł mój współlokator.

– Ach tak – powiedział, znowu wpatrując się w ekran OKP. – Leon Deak. Miałem nim się zająć tuż po panu. Wybrał zły moment. No cóż, trzeba go więc skreślić z listy. – Przez kilka sekund, z bladym uśmiechem na twarzy, stukał w ekran OKP. Czegoś mi brakowało w jego podejściu do ludzi.

– A teraz – powiedział, kiedy skończył. – Przyjrzymy się pańskiemu przypadkowi.

W gabinecie znajdował się doktor Russell, ja, fotel doktora, mały stół i dwa, przypominające toporne posągi, urządzenia. Posągi, trochę golemicznie wyglądające, miały wewnątrz obrys ludzkiego ciała i odchylane do boku przezroczyste pokrywy. U szczytu każdego z nich znajdował się umocowany na ramieniu aparat, z przypominającą filizankę końcówką. Ta „filizanka” wyglądała na dość dużą, by zmieścić w sobie ludzką głowę. To sprawiło, mówiąc szczerze, że trochę zacząłem się denerwować.

– Proszę wejść tutaj, wygodnie się ustawić i rozluźnić, zaraz zaczynamy – powiedział doktor Russell, otwierając szeroko pokrywę bliższego z

posągów.

– Czy mam się rozebrać? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział. – Ale jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej, to proszę bardzo.

– Czy ludzie rozbierają się, jeśli nie muszą tego robić? – spytałem.

– Prawdę mówiąc, tak – odparł. – Jeśli przez długi czas mówi się komuś, że ma coś zrobić w pewien określony sposób, to potem trudno mu się pozbyć wyuczonego nawyku.

Nie zdjąłem ubrania. Położyłem mój OKP na stole, podszedłem do posągu, odwróciłem się i wsunąłem do środka. Doktor Russell zamknął pokrywę i zrobił krok do tyłu.

– Proszę chwilę poczekać, muszę dostroić urządzenie – powiedział, i zaczął stukać w ekran swojego OKP. Poczułem, że człekokształtne wgłębienie we wnętrzu posągu zaczyna się poruszać, a potem dostosowuje się do wymiarów mojego ciała.

– To było trochę przerażające – powiedziałem, a doktor Russell tylko się uśmiechnął.

– Teraz poczuje pan wokół siebie wibracje – powiedział, i mówił prawdę.

– Proszę mi powiedzieć – odezwałem się z drżącego wnętrza posągu. – Co się stało z tymi, którzy siedzieli ze mną w poczekalni i weszli przede mną? Którędy stąd wyszli?

– Przez te drzwi – machnął ręką za siebie, nie odrywając wzroku od ekranu OKP. – Przeszli do strefy regeneracji.

– Do strefy regeneracji?

– Proszę się nie obawiać – powiedział. – Przedstawiłem badanie gorzej, niż rzeczywiście wygląda. I właśnie zakończyliśmy skanowanie pańskiego ciała. – Dotknął ekranu swojego OKP i wibracje ustały.

– Co mam teraz robić? – spytałem.

– Proszę pozostać w tej pozycji – odparł doktor Russell. – Mamy jeszcze coś do zrobienia, a przedtem musimy przejrzeć wyniki pańskiego badania.

– A więc badanie jest już zakończone? – zapytałem.

– Współczesna medycyna jest cudowna, prawda? – powiedział i pokazał mi ekran swojego OKP. Komputer właśnie pobierał dane mojego skanowania. – Nie musi pan nawet mówić „Aaaaaa”.

– No tak, ale na ile takie badanie może być szczegółowe?

– Wystarczająco – odpowiedział. – Panie Perry, kiedy po raz ostatni poddał się pan ogólnemu badaniu lekarskiemu?

– Mniej więcej pół roku temu – odparłem.

– Co panu powiedział pański lekarz?

– Powiedział, że nic mi nie dolega, tylko ciśnienie tętnicze miałem trochę wyższe niż zwykle. Dlaczego pan pyta?

– W zasadzie miał rację – powiedział doktor Russell. – Pomijając fakt, że przeoczył raka jąder.

– Słucham? – powiedziałem głośno.

Doktor Russell znowu obrócił w moją stronę ekran swojego OKP; tym razem było widać na nim sztucznie podkolorowane przedstawienie moich genitaliów. Po raz pierwszy w życiu miałem przed oczami swój własny, zwisający zestaw.

– W tym miejscu – wskazał ciemny punkt na moim lewym jądrze. – Widać guzek. I to całkiem spory. To rak.

– Doktorze Russell – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – Większość lekarzy znalazłaby bardziej taktowny sposób, by przekazać pacjentowi takie nowiny.

– Przepraszam, panie Perry – powiedział doktor Russell. – Nie chcę, żeby pomyślał pan, że mnie to nie obchodzi. Ale to naprawdę żaden



problem. Nawet na Ziemi nowotwór jąder jest łatwy do wyleczenia, szczególnie w początkowym stadium, a tu właśnie mamy taki przypadek. W najgorszym razie mógłby pan stracić jądra, ale to nie jest znaczący dla zdrowia ubytek.

– Chyba, że przez przypadek ma pan jądra – warknąłem.

– To bardziej kwestia natury psychologicznej – powiedział doktor Russel. – W każdym razie tutaj i teraz nie powinien się pan tym w ogóle przejmować. Za parę dni przejdzie pan kompleksową odnowę fizjologiczną, i wtedy zajmiemy się także pańskimi jądrami. Do tego czasu nie powinno być żadnych problemów. Nowotwór ma zasięg wciąż ograniczony jedynie do jąder. Nie ma przerzutów do płuc, ani do gruczołów limfatycznych. Nic panu nie będzie.

– Czy będę mógł dalej strzelać gole? – zapytałem.

– Na razie na pewno może pan strzelać do bramki – z uśmiechem odpowiedział doktor Russell. – Jeśli kiedyś jednak będzie pan musiał przestać, to zapewniam pana, że nie będzie to najpoważniejsze z pana zmartwień. Pomijając nowotwór, który jak powiedziałem nie stanowi poważnego problemu, jak na mężczyznę w swoim wieku jest pan w dobrej formie. To dobre wiadomości; w tym zakresie nie musimy już pana poddawać żadnym zabiegom ani badaniom.

– Panie doktorze, co by pan zrobił, gdyby znalazł pan coś naprawdę poważnego? – zapytałem. – Na przykład gdyby nowotwór był śmiertelny?

– Określenie „śmiertelny” jest odrobinę nieprecyzyjne, panie Perry – odparł doktor Russell. – Na dłuższą metę wszyscy jesteśmy przecież śmiertelni. Jeśli chodzi o cele tej konsultacji, ma ona po prostu ustabilizować stan tych spośród rekrutów, którzy znajdują się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia; tak, byśmy mogli mieć pewność, że przetrwają parę najbliższych dni. Przypadek pańskiego nieszczęsnego współlokatora

nie był wcale odosobniony. Wielu spośród rekrutów umiera tuż przed oszacowaniem stanu ich zdrowia. To niekorzystne dla obu stron. – Doktor Russell sprawdził coś na swoim OKP.

– W przypadku pana Deaka, który zmarł na atak serca, prawdopodobnie usunęlibyśmy zatory nagromadzone w jego arteriach i za pomocą odpowiednich stentów wzmocnilibyśmy ich ścianki, żeby zapobiec uszkodzeniom naczyń. To najczęstszy z wykonywanych przez nas zabiegów. Większość siedemdziesięcioletnich arterii potrzebuje takiej operacji. W pana przypadku, gdyby miał pan zaawansowane stadium raka, zredukowalibyśmy przerzuty do momentu, w którym nowotwór nie stanowiłby bezpośredniego zagrożenia dla funkcji życiowych pańskiego organizmu; dodatkowo zapewnilibyśmy wsparcie zaatakowanym przez chorobę częściom pańskiego organizmu, by móc mieć pewność, że w ciągu najbliższych kilku dni nie będzie pan miał żadnych problemów.

– Dlaczego byście tego nie wyleczyli? – zapytałem. – Jeśli możecie „wesprzeć” zaatakowane przez chorobę części organizmu, to prawdopodobnie, jeśli tylko byście chcieli, możecie również zupełnie je wyleczyć.

– Moglibyśmy to zrobić, ale nie byłoby to konieczne – powiedział doktor Russell. – Za parę dni przejdzie pan całościową odnowę organizmu. Wystarczy, by doczekał pan do tej chwili.

– Co dokładnie oznacza wyrażenie „całościowa odnowa”? – zapytałem.

– Oznacza ona dokładnie to, że będzie się pan dziwił, dlaczego kiedykolwiek martwił się pan początkowym śladem nowotworu na pańskim jądrze – powiedział. – Mogę panu obiecać, że tak będzie. A teraz mamy jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Proszę wychylić głowę do przodu.

Zrobiłem, o co mnie proszono. Doktor Russell opuścił umieszczoną na końcu ramienia „filizankę”, której się tak obawiałem, i umieścił ją na mojej

głowie.

– W ciągu kilku najbliższych dni ważne jest dla nas, byśmy mieli dokładny obraz aktywności pańskiego mózgu – powiedział, odsuwając się.

– Żeby to zrobić, muszę, na drodze implantacji, umieścić wewnątrz pańskiej czaszki szeregowy zestaw czujników – powiedział, i zaczął pisać coś na ekranie swojego OKP (a zdążyłem się już nauczyć, że nie musi to oznaczać czegoś najprzyjemniejszego na świecie).

Wnętrze „filizanki” dopasowało się do kształtu mojej głowy z przypominającym odgłos zasysania dźwiękiem.

– W jaki sposób się to odbędzie? – spytałem.

– No cóż, w tej chwili może pan poczuć drobne ukłucia na powierzchni głowy i na karku – powiedział doktor Russell i rzeczywiście tak się stało. – To iniektory ustawiają się w odpowiednich pozycjach. Mają postać małych podskórnych igieł, które umieszczą czujniki na swoich miejscach. Same czujniki są bardzo małe, ale jest ich mnóstwo. Około dwudziestu tysięcy, mniej więcej. Proszę się nie obawiać, są samosterylizujące się.

– Czy to będzie boleć? – zapytałem.

– Nie tak bardzo – odpowiedział, i stuknął parę razy w ekran swojego OKP. Dwadzieścia tysięcy mikrosensorów wtargnęło do wnętrza mojej czaszki; jakby naraz uderzono mnie wściekle w głowę obuchami czterech ciężkich siekier.

– Cholera jasna! – chwyciłem się za głowę, uderzając rękami o pokrywę posągu. – Ty skurwysynu! – wrzasnąłem na doktora Russella. – Powiedziałeś, że to nie będzie bolało!

– Powiedziałem, że nie tak bardzo – odpowiedział doktor Russell.

– Nie tak bardzo jak co? Nadepnął ci kiedyś słoń na głowę?

– Nie tak bardzo jak wtedy, kiedy czujniki będą się ze sobą łączyć – powiedział doktor Russell. – Mam też dobrą wiadomość: kiedy się ze sobą

połączą, ból ustanie. Proszę się nie ruszać, to potrwa tylko minutę.

Znowu zaczął pisać na swoim OKP. We wnętrzu mojej czaszki we wszystkie strony rozprzestrzeniało się osiemdziesiąt tysięcy drobniutkich igiełek.

Jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak wielkiej ochoty pobić lekarza.



– Sam nie wiem. Myślę, że to wygląda interesująco – mówił Harry, pocierając głowę; która, jak głowy nas wszystkich, usiana była drobniutkimi, szarymi cętkami w miejscach, w których znajdowały się mierzące aktywność mózgu czujniki.

Ekipa ze śniadania zebrała się znów w porze lunchu, tym razem dołączyły do niej jeszcze Jesse i jej współlokatorka Maggie. Harry ogłosił, że niniejszym utworzyliśmy oficjalny klub o nazwie „Stare Pierdziele” i zażądał, żebyśmy rozpoczęli z sąsiednim stołem walkę na jedzenie. Został przegłosowany; na wynik głosowania nie miał wpływu postulat Thomasa, żebyśmy nie rzucali niczym, czego nie będziemy mieli zamiaru zjeść. Lunch był nawet lepszy od śniadania, jeśli to w ogóle możliwe.

– To jest cholernie dobre – stwierdził Thomas. – Po tej małej porannej iniekcji mózgu byłem niemal tak wkurzony, że nie chciało mi się jeść.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedziała Susan.

– Zauważ, że powiedziałem niemal – powiedział Thomas. – Ale muszę wam powiedzieć, że chciałbym mieć jeden z tych stojących sarkofagów w domu. To by zredukowało mi godziny przyjmowania pacjentów o osiemdziesiąt procent. Miałbym więcej czasu na grę w golfa.

– Granice twojego poświęcenia dla pacjentów są bliskie bohaterstwu – powiedziała Jesse.

– Ba... – odparł Thomas. – Z większością moich pacjentów grałem w golfa. Oni też to lubili. I muszę z bólem przyznać, że to urządzenie pozwoliło wykonać temu lekarzowi znacznie doskonalsze badanie, niż ja kiedykolwiek byłem w stanie zrobić. To marzenie diagnostyków! Wykryło mikroskopijnej wielkości guzek na mojej trzustce. Na Ziemi za nic bym tego nie wykrył, dopóki nie urosłoby jak bania, a pacjent nie zacząłby okazywać symptomów choroby. U was też znaleźli coś zaskakującego?

– Raka płuc – powiedział Harry. – Początkowe stadium.

– Torbiele jajnikowe – powiedziała Jesse.

Maggie miała to samo.

– Początkowe reumatoidalne zapalenie stawów – powiedział Alan.

– Raka jąder – powiedziałem.

Wszyscy siedzący przy stole mężczyźni skrzywili się boleśnie.

– Auć – powiedział Thomas.

– Powiedzieli mi, że będę żył – powiedziałem.

– Po prostu będziesz chodził przekrzywiony – stwierdziła Susan.

– Dość tego! – powiedziałem.

– Nie rozumiem jednego: dlaczego od razu się tym nie zajęli? – powiedziała Jesse. – Mój lekarz pokazał mi torbiel wielkości piłeczki pingpongowej i powiedział, żebym się tym nie przejmowała. Nie wiem, czy uda mi się nie martwić kiedy wiem, że mam w środku coś takiego.

– Thomas, podobno jesteś lekarzem – powiedziała Susan i postukała się w cieniowaną szarymi cętkami skroń. – O co chodzi z tymi małymi świństwami? Dlaczego po prostu nie przeskanowali nam mózgow?

– Jeśli miałbym zgadywać, a muszę to zrobić, bo nie mam pojęcia – powiedział Thomas – to powiedziałbym, że chcą dokładnie przyrzeć się

działaniu naszych mózgów w czasie, kiedy będą nas szkolić. A ponieważ wtedy nie będą mogli podłączyć nas do żadnych urządzeń, więc zamiast tego poumieszczali urządzenia wewnątrz nas.

– Dzięki za przekonujące wytłumaczenie tego, do czego sama doszłam już wcześniej – powiedziała Susan. – Pytałam o to, czemu ten pomiar ma służyć?

– Nie wiem – odpowiedział Thomas. – Może biorą z nas miarę, żeby jednak sprawić nam nowe mózgi. A może mają sposób na dodanie nowej materii mózgowej i muszą wiedzieć, które części naszych mózgów potrzebują wzmocnienia. Mam tylko nadzieję, że nie będą nam już więcej wkładać do głów następnym zestawów tych przeklętych sensorów. Przy zakładaniu pierwszego zestawu prawie umarłem z bólu.

– Skoro o tym mowa – powiedział Alan, obracając się w moją stronę. – Słyszałem, że dziś rano umarł twój współlokator. Jak się czujesz?

– W porządku – powiedziałem. – Jestem tylko trochę przygnębiony. Mój lekarz powiedział, że jeśli udałoby mu się doczekać do porannego badania, to prawdopodobnie bez trudu uratowałiby mu życie. Usunęliby mu złoży w arteriach i tak dalej. Czuję, że powinienem zmusić go rano, żeby wstał na śniadanie. Wtedy może dotrwałby na własnych nogach aż do porannego badania.

– Nie zadręczaj się tym – powiedział Thomas. – Przecież wtedy nie mogłeś o tym wiedzieć. Ludzie po prostu umierają.

– Pewnie, ale nie zawsze na parę dni przed „całościową odnową organizmu”, jak to nazwał mój lekarz.

– Nie chcę, żebyście pomyśleli, że jestem bezdennie głupi... – wciął się Harry.

– Wiesz tylko to, że będzie źle – powiedziała Susan.

– ... ale kiedy chodziłem do college’u – kontynuował Harry, rzucając w Susan kawałkami chleba. – To kiedy umarł twój współlokator, mogłeś odpuścić sobie egzaminy w tym semestrze. Z powodu traumy.

– Dziwne, że twój współlokator też je musiał sobie odpuścić – powiedziała Susan. – Z tego samego dokładnie powodu.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem – przyznał Harry. – W każdym razie myślisz, że pozwoliliby ci nie wziąć udziału w dzisiejszym oszacowaniu?

– Wątpię – powiedziałem. – A nawet jeśli, to ja bym nie skorzystał z tej oferty. Co miałbym robić, siedzieć przez cały dzień w mojej kabinie? A jeśli już mówimy o przygnębiających rzeczach, to ktoś właśnie dziś rano w mojej kabinie umarł.

– Zawsze możesz się przenieść – powiedziała Jesse. – Może komuś innemu też umarł współlokator.

– To ponura myśl – powiedziałem. – Zresztą nie chcę się przenosić. Przykro mi z powodu śmierci Leona, oczywiście. Ale teraz mam całą kabinę dla siebie.

– Wygląda na to, że zaczął zdrowieć – powiedział Alan.

– Chcę po prostu zapomnieć o bólu – powiedziałem.

– Nie mówisz zbyt dużo, prawda? – Susan, dość niespodziewanie, zwróciła się do Maggie.

– Nie – odpowiedziała Maggie.

– Hej, jaki macie następny punkt w waszych harmonogramach? – zapytała Jesse.

Wszyscy sięgnęli po swoje OKP, potem w pół gestu znieruchomieli z poczuciem winy.

– Czuję się zupełnie, jakbym była na studiach – powiedziała Susan.

– No dobra – powiedział Harry i wyciągnął jednak swój OKP. – Założyliśmy przecież klub jadalniany. Więc zachowujmy się jak jego członkowie.



Okazało się, że pierwszą sesję szacunkową będę miał razem z Harrym. Skierowano nas do sali konferencyjnej, w której rozstawione były małe biurka z krzesłami.

– Jasny gwint – powiedział Harry, kiedy usiedliśmy na miejscach. – Rzeczywiście jesteśmy z powrotem w college’u.

To wrażenie pogłębiło się, kiedy kolonialna urzędniczka weszła do sali i powiedziała:

– Teraz zostaną sprawdzone wasze podstawowe zdolności językowe i matematyczne – powiedziała. – Pierwszy z testów został właśnie przekazany na wasze OKP. Polega na wyborze właściwej odpowiedzi spośród wielu podanych. Proszę odpowiedzieć na możliwie największą ilość pytań w czasie trzydziestu minut. Jeśli skończycie wcześniej, proszę siedzieć cicho albo przeglądać swoje odpowiedzi. Proszę nie współpracować z innymi kursantami. Możecie zaczynać.

Spojrzałem na swój OKP. Było na nim pytanie z zakresu analogii wyrazów.

– Chyba sobie z nas żartujecie – powiedziałem. Pozostali „studenci” też podśmiewali się pod nosem. Harry podniósł rękę do góry.

– Pszepani? – powiedział. – Ile trzeba mieć punktów, żeby dostać się do Harvardu?



– Słyszałam to już wcześniej – powiedziała Kolonialna. – A teraz niech wszyscy się uspokoją i zajmą swoimi testami.

– Czekałem sześćdziesiąt lat, żeby poprawić swoją ocenę z matematyki – powiedział Harry. – Ciekawe, czy mi się uda.



Drugi z egzaminów szacunkowych był nawet jeszcze gorszy.

– Proszę podążać wzrokiem za białym kwadratem. Używajcie tylko oczu, nie ruszajcie głową.

Kolonialna przyciemniła światło. Sześćdziesiąt par oczu wpatrywało się w widniejący na ścianie biały kwadrat. Powoli, bardzo powoli, zaczął się poruszać.

– Nie mogę uwierzyć, że po to poleciałem w kosmos... – powiedział Harry.

– Może potem będzie lepiej – powiedziałem. – Jeśli nam się poszczęści, wyświetlą nam jeszcze jeden biały kwadrat. I będziemy mogli sobie na niego popatrzeć.

Na ścianie pojawił się drugi biały kwadrat.

– Byłeś tu już wcześniej, prawda? – zapytał Harry.



Później rozdzieliłem się z Harrym i sam udałem się na kolejne sesje szacunkowe.

W pierwszym z pomieszczeń zastałem Kolonialnego i stos klocków.

- Proszę ułożyć z tego dom – powiedział Kolonialny.
- Ułożę, jeśli dostanę najnowszego transformera – powiedziałem.
- Zobaczę, co da się zrobić – obiecał Kolonialny. Ułożyłem z klocków dom i przeszedłem do następnego pomieszczenia, w którym kolejny Kolonialny podał mi kartkę papieru i pióro.
- Proszę spróbować, zaczynając od środka labiryntu, doprowadzić ciągłą linię do jego zewnętrznej krawędzi.
- Chryste – powiedziałem. – Nawet otumaniony narkotykami szczur potrafiłby to zrobić.
- Być może – powiedział Kolonialny. – Ale musimy zobaczyć, jak pan to robi.

Zrobiłem to. W następnym pomieszczeniu Kolonialny chciał, żebym wykrzykiwał na głos liczby i litery. Przestałem się już czemukolwiek dziwić i robiłem, co mi kazali.



Było już późne popołudnie, kiedy naprawdę się wkurzyłem.

- Czytałem pańskie akta – powiedział Kolonialny. Był młodym mężczyzną, bardzo drobnym i chudym. Wydawało się, że mocniejszy powiew wiatru mógłby go porwać w górę jak latawiec.
- Okay – powiedziałem.
- Tam jest napisane, że był pan żonaty.
- Byłem.
- Podobało się panu bycie żonatym mężczyzną?
- Pewnie. To lepsze od pozostałych możliwości.

– Więc co się stało? – uśmiechnął się złośliwie. – Rozwiódł się pan? Pieprzył się pan z kimś innym o ten jeden raz za dużo?

Jeśli ten koleś miał kiedykolwiek jakąś wstrętną zdolność do rozśmieszania ludzi, to ona dawno już zanikła.

– Moja żona umarła – powiedziałem.

– Tak? A w jaki sposób?

– Miała udar.

– Trzeba kochać udary – powiedział. – Bum, i twój mózg zamienia się w budyń podany w misce z czaszki. Dobrze, że nie przeżyła. Zamieniła by się w taką grubą, przykutą do łóżka rzepę, no wie pan. Trzeba by ją karmić przez słomkę, albo przez rurkę. O tak... – wydał dźwięk przypominający siorbanie.

Nic nie powiedziałem. Część mojego mózgu pracowała nad tym, jak szybko mogę się ruszyć, żeby złamać mu kark. Jednak większa część mnie po prostu siedziała tam, zszokowana i pełna wściekłości. Po prostu nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

Gdzieś w głębi mnie jakiś głos powiedział mi, że muszę zacząć znowu oddychać, bo inaczej tam po prostu umrę.

Nagle OKP Kolonialnego wydał krótki, brzęczący dźwięk.

– Okay – powiedział, i szybko wstał z za stołu. – Skończyliśmy. – Panie Perry, proszę mi wybaczyć komentarze jakie poczyniłem na temat śmierci pańskiej żony. Moja praca tutaj polega na wzbudzeniu w rekrucie jak największego gniewu w jak najkrótszym czasie. Nasze modele psychologiczne wskazały, że najbardziej negatywnie będzie pan reagował właśnie na takie komentarze, jakie wygłaszałem. Proszę zrozumieć, że prywatnie nigdy bym nie wygłosił takich komentarzy na temat pańskiej zmarłej żony.

Przez kilka sekund jak idiota stałem przed tym człowiekiem i mrugałem oczami. Potem się na niego wydarłem:

– Co to za chory, zupełnie popieprzony test?!

– Zgadzam się z panem, że to wyjątkowo nieprzyjemny test i jeszcze raz pana przepraszam. Po prostu wykonuję swoją pracę i słucham poleceń, nic więcej.

– Boże Świąty! – powiedziałem. – Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, jak bliski byłem skręcenia pańskiego pieprzonego karku?

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł chłodnym, pełnym samokontroli tonem, który sugerował, że rzeczywiście wie, o czym mówię. – Mój OKP, który śledził stan pańskiego umysłu, dał mi znać tuż przed momentem, w którym prawdopodobnie by pan wybuchnął. Ale nawet gdybym nie usłyszał sygnału dźwiękowego, i tak wiedziałbym, kiedy to nastąpi. Zajmuję się tym od dłuższego czasu i wiem, czego mogę się spodziewać.

Wciąż starałem się opanować gniew.

– Robi to pan z każdym rekrutem? – zapytałem. – I jeszcze nikt pana nie zabił?

– Rozumiem, że pan o to pyta – odpowiedział. – Zostałem wybrany do prowadzenia tego badania z powodu drobnej budowy ciała; dzięki niej rekruci odnoszą wrażenie, że bez trudu mnie pokonają. Bardzo dobrze odgrywam rolę „małego złośliwego idioty”. W rzeczywistości bez trudu mogę powstrzymać rekruta, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zwykle nie zachodzi. Tak jak powiedziałem, mam spore doświadczenie.

– To niezbyt miła praca – powiedziałem. W końcu udało mi się opanować i zacząć myśleć rozsądnie.

– To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonać – powiedział drobny mężczyzna. – Moim zdaniem interesujące w niej jest to, że każdego rekruta

doprowadza się do wybuchu w inny sposób. Ale ma pan rację. To bardzo stresujące zajęcie. Nie dla każdego.

– Założę się, że nie jest pan zbyt lubiany w knajpach – powiedziałem.

– Ludzie mówią, że jestem całkiem czarujący. Jeśli nie nastawiam się świadomie na wkurzanie ludzi, oczywiście. Panie Perry, my już skończyliśmy. Zapraszam do pokoju na prawo, tam odbędzie się pańska następna sesja szacunkowa.

– Mam nadzieję, że nie będą mnie tam próbowali znowu wkurzyć?

– Może się pan wkurzyć – powiedział drobny człowieczek. – Ale jeśli pan to zrobi, to na własną odpowiedzialność. Ten test przeprowadzamy tylko jeden raz.

Skierowałem się w stronę drzwi, ale zatrzymałem się w pół drogi.

– Wiem, że wykonywał pan swoją pracę – powiedziałem. – Ale jednak chcę, żeby pan to wiedział. Moja żona była cudowną osobą. Nie zasłużyła sobie na to, żeby w ten sposób posługiwać się pamięcią o niej.

– Wiem, że sobie na to nie zasłużyła, panie Perry – powiedział. – Wiem o tym.

Wyszedłem. W następnym pomieszczeniu bardzo miła młoda dama, na dodatek zupełnie naga młoda dama, chciała żebym opowiedział jej wszystko o imprezie, jaką rodzice wyprawili mi w dniu moich siódmych urodzin.



– Nie mogę uwierzyć, że pokazali nam ten film tuż przed kolacją – powiedziała Jesse.

– Nie przed kolacją – powiedział Thomas. – Kreskówka z Królikiem Bugsem była po kolacji. W każdym razie nie była taka zła.

– Chyba że zupełnie cię nie brzydzą filmy o chirurgii jamy brzusznej, panie doktorze. Ale resztę z nas trochę to zniesmaczyło – powiedziała Jesse.

– Czy to znaczy, że nie chcesz jeść swoich żeberek? – spytał Thomas, wskazując na jej talerz.

– Czy was też naga kobieta wypytywała na temat waszego dzieciństwa? – zapytałem.

– Mnie wypytywał mężczyzna – powiedziała Susan.

– Mnie kobieta – powiedział Harry.

– Mnie mężczyzna – powiedziała Jesse.

– Mnie kobieta – powiedział Thomas.

– Mnie mężczyzna – powiedział Alan.

Wszyscy naraz na niego spojrzeliśmy.

– Co? – powiedział Alan. – Jestem gejem.

– Jak myślicie, o co w tym chodziło? – zapytałem. – Mówię o nagiej osobie, nie o tym, że Alan jest gejem.

– Dzięki – oschle powiedział Alan.

– Próbują w ten sposób sprowokować konkretne reakcje, to wszystko – powiedział Harry. – Wszystkie dzisiejsze testy dotyczyły całkiem podstawowych intelektualnych i emocjonalnych sposobów reagowania, które są fundamentem większości kompleksów, wyższych uczuć i zdolności intelektualnych. Chcą się po prostu dowiedzieć jak reagujemy i myślimy na podstawowym, behawioralnym poziomie. Naga osoba miała oczywiście pobudzić naszą seksualność.

– Miałem na myśli to, jaki sens miało to całe wypytywanie nas o wspomnienia z dzieciństwa? – zapytałem. Harry wzruszył na to ramionami

i powiedział:

– Czym byłby seks bez odrobiny poczucia winy?

– Ale tak naprawdę wkurzyło mnie to badanie, w czasie którego chcieli mnie wkurzyć – powiedział Thomas. – Przysięgam, że zamierzałem obić głowę temu gościowi. Powiedział, że Cubsi powinni zostać przeniesieni do drugiej ligi za to, że od dwóch stuleci ani razu nie zdobyli mistrzostwa.

– Moim zdaniem to brzmi całkiem rozsądnie – powiedziała Susan.

– Nawet nie zaczynaj – powiedział Thomas. – Bo zrobię wielkie bum-bum. Mówię wam, z Cubsami lepiej nie zadzierać.



Jeśli pierwszego dnia w badaniach ogólnie chodziło o poníženie naszych zdolności intelektualnych, to drugiego dnia zajmowano się ponížaniem naszej sprawności, a właściwie braku naszej sprawności fizycznej.

– To jest piłka – powiedział jeden z Kolonialnych. – Proszę ją odbić.

Zrobiłem to i kazano mi przejść dalej. Obszedłem dookoła niewielką lekkoatletyczną bieżnię. Kazano mi przebiec krótki odcinek. Wykonałem parę prostych ćwiczeń z zakresu rytmiki. Grałem w grę wideo. Kazano mi strzelać z pistoletu świetlnego do pojawiającego się na ścianie celu. Pływałem (to mi się podobało; zawsze lubiłem pływać – dopóki moja głowa wystawała nad powierzchnię wody). Przez dwie godziny siedziałem z paroma innymi osobami w czymś w rodzaju pokoju relaksacyjnego, gdzie mogliśmy robić to, na co mieliśmy ochotę. Grałem trochę w bilard i rozegrałem jeden mecz ping-ponga. Boże dopomóż, grałem też w shuffleboard!

I ani razu się nawet nie spociłem.

– Co to do diabła ma być za armia? – spytałem Starych Pierdzieli w czasie lunchu.

– To ma pewien sens – powiedział Harry. – Wczoraj badali podstawy emocji i intelektu. Dzisiaj badają nasze podstawowe fizyczne uwarunkowania. Cały czas interesują ich fundamenty wyższych aktywności.

– Nie wydaje mi się, żeby ping-pong miał związek z wyższymi funkcjami fizycznej aktywności – powiedziałem.

– Koordynacja oczu i ręki – powiedział Harry. – Wyczucie czasu, precyzja ruchów.

– I nigdy nie wiesz, kiedy odbijesz paletką granat – wtrącił się Alan.

– Właśnie – powiedział Harry. – A co? Chciałbyś, żeby kazali nam biegać maraton? Wszyscy byśmy odpadli po pierwszym kilometrze.

– Mów za siebie, mięczaku – powiedział Thomas.

– Poprawię się – powiedział Harry. – Nasz przyjaciel Thomas dobiegłby do dziesiątego kilometra, a potem nastąpiłaby implozja jego serca. Jeśli wcześniej oczywiście nie dostałby kolki z przejedzenia.

– Nie bądź niemądry – powiedział Thomas. – Przecież każdy głupi wie, że przed biegiem trzeba się wzmocnić węglowodanami. Dlatego właśnie teraz pójde po dokładkę fettuccine.

– Nie bierzesz dzisiaj udziału w maratonie, Thomas – powiedziała Susan.

– Dzień jest jeszcze młody – stwierdził Thomas.

– Słuchajcie – powiedziała Jesse. – Na dzisiaj nie mam już nic w harmonogramie, całą resztę dnia mam wolną. A jutro mam tylko jedną rzecz: „Ostateczne Fizyczne Udoskonalenie” od 06:00 do 12:00 i ogólne zebranie rekrutów o 20:00, po kolacji.



– Mój harmonogram też nie przewiduje dla mnie żadnych zajęć aż do jutra rana – powiedziałem. Szybkie spojrzenie na siedzących przy stole upewniło mnie, że oni też już na dzisiaj nic nie mają. – Więc co będziemy robić? – zapytałem. – W jaki sposób się zabawimy?

– Zawsze można przecież pograć w shuffleboard... – powiedziała Susan.

– Mam lepszy pomysł – powiedział Harry. – Ma ktoś jakieś plany na godzinę piętnastą?

Wszyscy przecząco pokręciliśmy głowami.

– Klawo – powiedział Harry. – Spotkamy się tutaj. Zaplanowałem dla Starych Pierdzieli zbiorową wycieczkę.



– Czy w ogóle mamy prawo tu być? – zapytała Jesse.

– Pewnie – powiedział Harry. – Czemu nie? A nawet jeśli nie mamy prawa, to co nam mogą zrobić? Tak naprawdę nie jesteśmy jeszcze żołnierzami. Nie mogą oficjalnie postawić nas przed sądem wojennym.

– Ale prawdopodobnie mogą nas wyrzucić przez służbę powietrzną – powiedziała Jesse.

– Nie bądź niemądra – powiedział Harry. – To byłaby niepotrzebna strata świeżego powietrza.

Harry zaprowadził nas na pokład obserwacyjny w kolonialnej części statku. Nam, rekrutom, nigdy nie powiedziano wprost, że nie powinniśmy przebywać na pokładach kolonialnych, jednak nie powiedziano nam także, że możemy (albo powinniśmy) tam chodzić. Kiedy staliśmy tam w siedmioro, na opustoszałym pokładzie, czuliśmy się jak grupa uczniów na wagarach w sex-shope z kabinami.

I w pewnym sensie tym właśnie byliśmy.

– W czasie naszych dzisiejszych zajęć gimnastycznych odbyłem małą pogawędkę z jednym z Kolonialnych – powiedział Harry. – I ten gość w trakcie rozmowy wspomniał, że „Henry Hudson” wykona swój skok dzisiaj o 15:35. Uznałem, że żadne z nas jeszcze nigdy nie widziało na własne oczy, jak taki skok wygląda, więc zapytałem go, skąd najlepiej będzie to widać. Powiedział, że stąd. Dlatego właśnie tu jesteśmy, zostały jeszcze... – Harry rzucił okiem na swój OKP – cztery minuty.

– Przepraszam, że to powiem – zaczął Thomas. – Zresztą będę się streszczał, bo nie chcę marnować waszego cennego czasu. Fettuccine było naprawdę świetne, ale moje jelita są innego zdania.

– W przyszłości nie musisz się dzielić z nami takimi informacjami, Thomas – powiedziała Susan. – Nie znamy się jeszcze na tyle dobrze.

– Wobec tego w jaki sposób zamierzacie mnie lepiej poznać? – zapytał Thomas. Nikomu nie chciało się odpowiadać na to pytanie.

– Czy ktoś wie, gdzie teraz jesteśmy? W jakim miejscu przestrzeni kosmicznej? – spytałem po dłuższej chwili ciszy.

– Wciąż w obrębie naszego układu słonecznego – odpowiedział Alan i wskazał na widok za oknem. – Można to stwierdzić, bo wciąż widać „nasze” konstelacje. Patrzcie, tam jest Orion. Jeśli oddalilibyśmy się na znaczną odległość, gwiazdy relatywnie zmieniłyby swoje położenie na niebie. Konstelacje rozciągnęłyby się i w końcu mogłyby się stać zupełnie nierozpoznawalne.

– A dokąd mamy przeskoczyć? – zapytała Jesse.

– Do systemu Feniksa – odpowiedział Alan. – Ale to nic wam nie powie, ponieważ „Feniks” to nazwa planety, nie gwiazdy. Gwiazdozbiór Feniksa widać tam. – Wskazał jedną z konstelacji. – Ale planeta o tej nazwie nie krąży wokół żadnej z gwiazd tego gwiazdozbioru. Jeśli dobrze pamiętam,

Feniks znajduje się w gwiazdozbiorze Wilka, który znajduje się dalej na północ. – Wskazał inną, ledwo widoczną grupę gwiazd. – Ale i tak z tej odległości nie możemy zobaczyć tej gwiazdy.

– Dobrze znasz mapę nieba. – Z podziwem powiedziała Jesse.

– Dzięki – odpowiedział Alan. – Kiedy byłem młodszy, chciałem zostać astronomem. Ale astronomowie zarabiają marne grosze. Zostałem więc fizykiem teoretycznym.

– Dużo pieniędzy dostaje się za wymyślanie nowych cząstek subatomowych? – zapytał Thomas.

– Za to nie – odparł Alan. – Ale stworzyłem teorię, która pozwoliła firmie, w której pracowałem, stworzyć nowy sposób ograniczania zużycia energii okrętów wojennych. Według umowy dostałem jeden procent od zysków firmy: było to więcej, niż mogłem wydać. A możecie mi wierzyć, starałem się jak mogłem.

– Chyba przyjemnie jest być bogatym – stwierdziła Susan.

– Nie było tak źle – przyznał Alan. – Teraz, oczywiście, nie jestem już bogaty. Rezygnujesz z tego wszystkiego, kiedy się zaciągasz. Traci się też różne inne rzeczy. Na przykład już za minutę wszystkie moje wysiłki, żeby zapamiętać konstelacje południowej i północnej półkuli, okażą się straconym czasem. Tam, dokąd się udajemy nie będzie Oriona, Małej Niedźwiedzicy ani Kasjopei. Może to zabrzmieć głupio, ale całkiem możliwe jest, że bardziej będę tęsknił za gwiazdozbiorami, niż za pieniędzmi. Pieniądze zawsze można zarobić. Ale my już tutaj nie wrócimy. W tej chwili po raz ostatni widzę swoich starych przyjaciół.

Susan podeszła do Alana i objęła go jedną ręką. Harry spojrzął na swój OKP.

– Już pora – powiedział, i zaczął odliczanie. Kiedy wymówił słowo „jeden”, wszyscy spojrzeliśmy za okna.

Przeskok nie odbył się w jakiś szczególnie dramatyczny sposób. W jednej sekundzie patrzyliśmy na jeden, pełen gwiazd nieboskłon. W następnej patrzyliśmy już na inny. Gdybyś w tym momencie mrugnął, mógłbyś to przeoczyć. Na pierwszy rzut oka widać było, że to zupełnie obce niebo. Nie wszyscy z naszej siódemki mieli astronomiczną wiedzę Alana, ale większość spośród nas umiała na niebie odnaleźć Oriona i Wielką Niedźwiedzicę. Teraz nigdzie nie było ich widać; ich nieobecność, choć z pozoru tak subtelnej natury, miała w sobie jednak coś ostatecznego i bardzo znaczącego. Spojrzałem na Alana. Stał jak słup, trzymając Susan za rękę.

– Skręcamy – powiedział Thomas. Patrzyliśmy, jak „Henry Hudson” zmienia kurs, podczas gdy gwiazdy przesuwają się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Nagle zawisł nad nami olbrzymi, błękitny łuk planety Feniks. A nad nim (albo pod nim, z naszego punktu widzenia) widać było stację kosmiczną. Była tak olbrzymia, tak masywna, i tak zatłoczona, że przez chwilę mogliśmy tylko gapić się na nią w milczeniu.

W końcu ktoś się odezwał. Ku zaskoczeniu wszystkich, była to Maggie.

– Spójrzcie tylko na to – powiedziała.

Wszyscy obróciliśmy się i spojrzeliśmy na nią. Wyglądała na zirytowaną.

– Nie jestem niemową – dodała. – Po prostu nie mówię zbyt wiele. To zasługuje na jakiś komentarz.

– No coś ty – powiedział Thomas, z powrotem odwracając się do okna. – Po takim komentarzu Stacja Kolonialna zaczyna przypominać stosik wymiocin.

– Ile statków widzisz? – Jesse zwróciła się do mnie.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Bardzo dużo. Może nawet setki. Nie wiedziałem, że w ogóle istnieje tyle statków kosmicznych.

– Gdyby ktokolwiek z nas wciąż uważał, że Ziemia stanowi centrum ludzkiego wszechświata – powiedział Harry. – To teraz miałby doskonałą okazję, żeby zmienić zdanie.

Staliśmy tak wszyscy i długo patrzyliśmy na widoczny za oknami nowy świat.



Mój OKP obudził mnie o 05:45, chociaż sam nastawiłem budzenie na 06:00. Ekran był podświetlony; widać było na nim ikonkę wiadomości z napisem PILNE. Kliknąłem na nią.

#### ZAWIADOMIENIE:

Między 06:00 a 12:00 wszyscy rekruci zostaną poddani procedurze ostatecznego fizycznego udoskonalenia. W celu zapewnienia porządku wszyscy rekruci są zobowiązani pozostać w swoich kabinach do czasu przybycia przedstawicieli UK, którzy będą eskortować ich na miejsce przeprowadzania procedury. Żeby zapewnić płynność tego procesu, drzwi poszczególnych kabin będą strzeżone począwszy od godziny 06:00. Pozostały czas proszę wykorzystać na załatwienie swoich osobistych spraw, takich jak korzystanie z toalet czy innych przestrzeni poza kabiną. Jeśli po godzinie 06:00 zajdzie potrzeba użycia toalety, proszę skontaktować się z pełniącym dyżur na pokładzie urzędnikiem UK za pomocą OKP.

Każdy zostanie zawiadomiony o dokładnej porze odbycia procedury z piętnastominutowym wyprzedzeniem; w oznaczonym czasie należy być ubranym i gotowym do wyjścia. Śniadanie nie zostanie dzisiaj podane; pozostałe posiłki zostaną podane o zwykłych porach.

W moim wieku nie trzeba mi dwa razy powtarzać, żebym się wysikał. Poszedłem do toalety, żeby to załatwić. Miałem nadzieję, że wezwą mnie raczej wcześniej niż później; żebym tylko nie musiał prosić o pozwolenie na ponowne wysikanie się.

Mój czas nadszedł ani nie za późno, ani nie za wcześnie. O 09:00 mój OKP zawiadomił mnie o tym fakcie, o 09:15 ktoś mocno zastukał w drzwi i męski głos wywołał mnie po nazwisku. Za drzwiami czekało na mnie dwóch Kolonialnych, dostałem pozwolenie na krótką wizytę w toalecie i poszedłem za nimi do znajomej poczekalni. Czekałem krótką chwilę i poproszono mnie do gabinetu doktora Russella.

– Dobrze pana znów widzieć, panie Perry – powiedział, wyciągając rękę. Kolonialni, którzy mi towarzyszyli, wyszli przez któreś z drzwi.

– Proszę wejść do wnętrza urządzenia – zaordynował doktor Russell.

– Kiedy ostatnio to zrobiłem, wbił mi pan młotem do głowy tysiące kawałków metalu – powiedziałem – Chyba rozumie pan, że nie jestem specjalnie entuzjastycznie nastawiony do tego, żeby znowu wejść tam do środka.

– To zrozumiałe – powiedział doktor Russell. – Jednak dzisiaj wszystko odbędzie się bez bólu. Czas nas trochę nagli, więc, jeśli by pan mógł... – Wskazał na golemiczny posąg z pokrywą. Niechętnie wszedłem do środka.

– Jeśli poczuję choćby ukłucie, zamierzam pana uderzyć – ostrzegłem.

– Niech tak będzie – zgodził się i zamknął pokrywę urządzenia. Zauważyłem, że tym razem przykręcił ją do korpusu; w czasie pierwszej sesji tego nie zrobił. Może wziął na poważnie moje groźby?

– Panie Perry, proszę mi powiedzieć – spytał, kiedy już skończył przykręcać wieko. – Co pan myśli na temat tych paru ostatnich dni?

– To wszystko było niejasne i irytujące – powiedziałem. – Gdybym wiedział, że będzie się mnie tu traktować jak przedszkolaka, to prawdopodobnie wcale bym się nie zaciągnął.

– Bardzo wielu rekrutów tak mówi – powiedział doktor Russell. – Więc, jeśli pan pozwoli, mniej więcej wyjaśnię panu co chcieliśmy w ten sposób osiągnąć. Użyliśmy szeregu czujników z dwóch powodów. Po pierwsze, jak pan pewnie sam odgadł, monitorowaliśmy dzięki nim pracę pańskiego mózgu, podczas gdy posługiwał się pan jego podstawowymi funkcjami i doświadczał pewnych elementarnych emocji. Każdy ludzki mózg przetwarza informacje i doświadczenie mniej więcej w ten sam sposób, ale jednocześnie każda osoba używa w tym celu unikalnych, właściwych tylko jej ścieżek neuronowych; więc mózg działa w jej tylko właściwy sposób. Podobnie każda zdrowa ludzka dłoń ma pięć palców, ale każdy człowiek z osobna ma tylko sobie właściwe odciski palców. Można powiedzieć, że próbowaliśmy uzyskać właśnie coś w rodzaju „odcisków palców” pańskiego umysłu. Rozumie pan?

Przytaknąłem.

– To dobrze. Więc rozumie pan też, dlaczego przez ostatnie dwa dni kazaliśmy panu robić wszystkie te śmieszne i głupie rzeczy.

– Na przykład rozmawiać z nagą kobietą na temat mojego siódmego przyjęcia urodzinowego – powiedziałem.

– Dzięki tej rozmowie uzyskaliśmy wiele naprawdę użytecznych informacji – powiedział doktor Russell.

– Nie bardzo wyobrażam sobie jakich – powiedziałem.

– Informacji natury ściśle technicznej – zapewnił mnie doktor Russell. – W każdym razie ostatnie dwa dni pozwoliły nam dowiedzieć się, jakimi szlakami pański mózg przesyła bodźce nerwowe i przetwarza wszystko, co go stymuluje. I tę wiedzę będziemy mogli wykorzystać jako matrycę.

Nie zdążyłem zapytać, o jakiej matrycy mówił, bo doktor Russell kontynuował:

– Po drugie, szereg czujników nie tylko rejestrował pracę pańskiego mózgu. Jest on również w stanie na bieżąco transmitować przedstawienia aktywności w pańskim mózgu. Można także ująć to w inny sposób; ten szereg czujników może na pewną odległość przesłać pańską świadomość. To ważne, ponieważ w przeciwieństwie do innych procesów psychicznych, świadomość nie może zostać zarejestrowana. Musi się odbyć coś, co można nazwać przekazem na żywo.

– Przekazem? – zapytałem.

– Przekazem albo transferem – powiedział doktor Russell.

– Pozwoli pan, że spytam: o czym pan do diabła mówi? – powiedziałem ostrzej. Doktor Russell tylko się uśmiechnął.

– Panie Perry – powiedział. – Kiedy zaciągał się pan do armii, myślał pan, że znów uczynimy pana młodym, prawda?

– To prawda – odpowiedziałem. – Wszyscy tak myślą. Nie można prowadzić wojny z wojskiem złożonym ze starych ludzi, a jednak wy pozwalacie im się zaciągać. Musicie więc mieć jakiś sposób, żeby przywrócić im młodość.

– W jaki sposób pana zdaniem to robimy? – zapytał doktor Russell.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Terapia genowa. Klonowane części zamienne. Wyrzucacie w jakiś sposób stare części i wsadzacie nowe.

– Ma pan w połowie rację – powiedział doktor Russell. – Rzeczywiście stosujemy terapię genową i klonowane wymienniki. Z tym, że nie wyrzucamy nic, oprócz pana.

– Nie rozumiem – powiedziałem. Zrobiło mi się bardzo zimno. Poczulem, że rzeczywistość wymyka mi się spod stóp.



– Pańskie ciało jest bardzo stare, panie Perry. Jest stare i nie będzie działać już zbyt długo. Nie ma sensu próba ocalenia go lub usprawnienia. To się po prostu nie opłaca, ciało i tak się starzeje, nawet części zamienne nie spowodują, że zacznie działać jak nowe. Nie da się powstrzymać procesu starzenia się ludzkiego ciała. Więc pozbywamy się go. Pozbywamy się całego ciała. Zostawiamy tylko tę jedyną część pana, która nie zaczęła się rozpadać – pański umysł, pańską świadomość, pańskie poczucie samego siebie.

Doktor Russell podszedł do drzwi, za którymi wcześniej zniknęli Kolonialni, i mocno w nie zastukał. Potem znów odwrócił się do mnie.

– Proszę się dobrze przyjrzeć swojemu ciału, panie Perry – powiedział. – Ponieważ zaraz się pan z nim pożegna. Przenosi się pan w inne miejsce.

– Dokąd się przenoszę, doktorze Russell? – zapytałem, z trudem wymawiając słowa z powodu suchości w ustach.

– Przenosi się pan tutaj – powiedział, i otworzył drzwi.

Do gabinetu znowu weszli tamci dwaj Kolonialni. Jeden z nich prowadził przed sobą wózek inwalidzki, na którym ktoś siedział. Obróciłem głowę, żeby lepiej widzieć. I zacząłem się trząść.

To byłem ja.

Pięćdziesiąt lat temu.

# PIĄTY

– A teraz niech się pan rozluźni i uspokoi – powiedział doktor Russell.

Kolonialni dowieźli młodszego mnie do drugiego z urządzeń i zaczęli umieszczać jego ciało w środku. To ciało, on, ja – czymkolwiek to było – nie stawiało oporu; równie dobrze mogliby umieszczać we wnętrzu posągu człowieka pogrążonego w śpiączce. Albo trupa. Byłem zafascynowany tym widokiem. I przerażony. Cichy głosik w mojej głowie powiedział, że gdybym przed wejściem tutaj nie poszedł do toalety, to teraz na pewno miałbym już mokre spodnie.

– Jak... – zacząłem, i zamilkłem. Miałem zbyt sucho w ustach, żeby mówić. Doktor Russell powiedział coś do jednego z Kolonialnych, który wyszedł i po chwili wrócił z małym kubkiem wody. Doktor Russell trzymał kubek, kiedy piłem; to dobrze, bo chyba nie byłbym w stanie go utrzymać. Kiedy piłem, mówił do mnie:

– Słowo „jak” zwykle rozpoczyna dwa oczywiste w tym momencie pytania. Po pierwsze: Jak stworzyliście młodszą wersję mnie? Otóż dziesięć lat temu pobraliśmy od pana materiał genetyczny i za jego pomocą stworzyliśmy dla pana nowe ciało. – Odsunął kubek od moich ust.

– Klona – powiedziałem.

– Nie – odpowiedział doktor Russell. – Nie do końca. Pańskie DNA zostało mocno zmodyfikowane. Najbardziej rzucającą się w oczy różnicę może pan zobaczyć na własne oczy; proszę spojrzeć na skórę pańskiego nowego ciała.

Spojrzałem znów na tamtego i zdałem sobie sprawę z tego, że zszokowany ujrzeniem młodszej wersji mnie samego nie dostrzegłem

oczywistej, widocznej na pierwszy rzut oka różnicy.

– On jest zielony – powiedziałem.

– Chciał pan chyba powiedzieć, że to pan jest zielony – powiedział doktor Russell. – To znaczy będzie pan za jakieś pięć minut. To była odpowiedź na pierwsze z zaczynających się od słówka „jak” pytań. Drugie pytanie brzmi: Jak zamierzacie mnie tam przenieść? – Wskazał na mojego zielonoskórego doppelgamera. – A odpowiedź na to pytanie już panu po części podałem: dokonamy transferu pańskiej świadomości.

– W jaki sposób? – zapytałem.

– Przechwycimy przedstawienie aktywności pańskiego mózgu, które jest monitorowane przez szereg czujników i prześlemy je – a zarazem pana – tam. Przez ostatnie dwa dni zebraliśmy zespół wzorcowych informacji na temat działania pańskiego mózgu i dzięki temu mogliśmy przygotować dla pańskiej świadomości nowy mózg; więc kiedy pana tam prześlemy, wszystko będzie wyglądać podobnie. Przedstawiam panu uproszczoną wersję tego procesu, w rzeczywistości jest daleko bardziej skomplikowany. Ale w tym momencie nie mamy więcej czasu. Teraz musimy pana podłączyć.

Doktor Russell zaczął manewrować ramieniem, na końcu którego znajdowała się „filiżanka”. Odruchowo zacząłem odsuwać głowę w drugą stronę, więc przestał i powiedział:

– Tym razem nie będziemy w pana nic wkładać, panie Perry. Czasza iniekcyjna została zastąpiona wzmacniaczem sygnału. Nie ma się czego obawiać.

– Przepraszam – powiedziałem, i ustawiłem głowę we właściwej pozycji.

– Nie ma pan za co przepraszać – powiedział doktor Russell i założył czaszę wzmacniacza na moją głowę. – Znosi pan to lepiej, niż większość

rekrutów. Facet przed panem kwiczał jak zarzynana świnia, a potem zemdłał. Musieliśmy dokonać transferu w czasie, kiedy był nieprzytomny. Obudzi się młody, zielony i bardzo, bardzo zdezorientowany. Proszę mi wierzyć, jest pan bardzo dzielny.

Uśmiechnąłem się i spojrzałem na ciało, które wkrótce miało być mną.

– A gdzie jego czasza? – zapytałem.

– On tego nie potrzebuje – powiedział doktor Russell i zaczął stukać w swój OKR – Tak jak powiedziałem, to ciało zostało znacznie zmodyfikowane.

– To brzmi złowrogo – powiedziałem.

– Poczuj pan tę różnicę, kiedy będzie pan w środku. – Doktor Russell skończył pisać na swoim OKP i znów odwrócił się do mnie. – Okay, jesteśmy gotowi. Teraz powiem panu, co stanie się dalej, jeśli pan pozwoli.

– Proszę – powiedziałem.

Odwrócił ekran OKP w moją stronę.

– Kiedy nacisnę ten przycisk – wskazał jeden z widocznych na ekranie przycisków. – Szereg czujników zacznie transmitować aktywność pańskiego mózgu do wzmacniacza. Kiedy zostanie stworzona wystarczająco dokładna mapa aktywności pańskiego mózgu, podłączę to urządzenie do wyspecjalizowanego komputerowego banku danych. W tym samym czasie zostanie utworzone takie samo połączenie z pańskim nowym mózgiem. Kiedy połączenia okażą się kompatybilne, prześlemy pańską świadomość tam, do nowego mózgu. Potem zamkniemy połączenie i już – będzie pan w nowym mózgu i nowym ciele. Jakies pytania?

– Czy ta procedura czasem zawodzi? – zapytałem.

– To jest pytanie, które musiał pan zadać – stwierdził doktor Russell. – A odpowiedź na nie brzmi: tak. Czasem, bardzo, bardzo rzadko, coś może pójść nie tak. Ale zdarza się to naprawdę rzadko. Robię to już od

dwudziestu lat, dokonałem tysięcy zabiegów przekazu, i straciłem tylko jedną pacjentkę. Ta kobieta miała rozległy udar mózgu w czasie dokonywania transferu. Jej wzorce mózgowy stały się chaotyczne i świadomość nie została przesłana. Wszyscy inni przeszli przez to z powodzeniem.

– Więc właściwie dopóki nie umrę, będę żył – powiedziałem.

– Ujął pan to w dość interesujący sposób. Ale tak, ma pan rację.

– Po czym można poznać, że transfer świadomości się dokonał?

– My dowiemy się stąd – doktor Russell postukał palcem bok swojego OKR – A także od pana, kiedy nam pan to powie. Proszę mi wierzyć, będzie pan wiedział, kiedy dokona pan transferu.

– Skąd pan może to wiedzieć? – zapytałem. – Robił to pan kiedyś? Poddał się pan transferowi?

– Prawdę mówiąc, tak. – Z uśmiechem odpowiedział doktor Russell. – Robiłem to już dwa razy.

– Ale nie jest pan zielony – stwierdziłem.

– Od chwili wykonania drugiego transferu. Nie musi pan być zielony przez resztę swojego życia – powiedział, prawie smutnym głosem, i znów spojrzał na ekran swojego OKP. – Obawiam się, że musimy skończyć tę miłą pogawędkę, panie Perry, ponieważ po panu muszę dokonać jeszcze transferu paru rekrutów. Czy jest pan gotowy?

– Nie, do diabła, nie jestem gotowy – powiedziałem. – Jestem tak przerażony, że kiszki zaraz wywrócą mi się na lewą stronę.

– Więc spytam inaczej – powiedział doktor Russell. – Czy jest pan mimo wszystko gotowy przez to przejść?

– O Boże, tak – odparłem.

– Więc do dzieła – powiedział doktor Russell i dotknął ekranu swojego OKP.

We wnętrzu posągu coś głucho zabrzęczało, jakby włączył się tam jakiś mechanizm. Spojrzałem pytająco na doktora Russella.

– To wzmacniacz – powiedział. – Ta część zabiegu potrwa mniej więcej minutę.

Chrząknąłem potakująco i spojrzałem na nowego mnie. Spoczywał nieruchomo we wnętrzu swojego posągu; jak woskowa figura, którą ktoś pokolorował na zielono w czasie procesu odlewania. Wyglądał jak ja przed wieloma laty – właściwie wyglądał lepiej od dawnego mnie. Pół wieku temu nie byłem najbardziej wysportowanym młodzieńcem na świecie. Ten nowy ja miał muskulaturę wyczynowego pływaka. I świetne, gęste włosy na głowie.

Nie umiałem sobie wyobrazić tego, że to ciało miałoby być moim ciałem.

– Mamy pełną rozdzielczość – powiedział doktor Russell. – Otwieram połączenie. – Napisał coś na ekranie swojego OKP.

Poczułem lekki wstrząs i nagle w moim mózgu jakby otworzył się przestronny, pełen pogłosu pokój.

– O ho, ho – powiedziałem.

– Zjawisko echokabiny? – zapytał doktor Russell. Przytaknąłem. – To komputerowy bank danych – powiedział. – Pańska świadomość doświadcza drobnego przesunięcia pomiędzy tam i tutaj. Nie ma powodu do obaw. Okay, otwieram połączenie pomiędzy nowym ciałem a komputerowym bankiem danych. – Znów dotknął ekranu OKP.

Po drugiej stronie gabinetu moje nowe ciało otworzyło oczy.

– Ja to zrobiłem – powiedział doktor Russell.

– On ma kocie oczy – powiedziałem.

– Pan ma kocie oczy – stwierdził doktor Russell. – Oba połączenia są czyste i pozbawione zakłóceń. Teraz zacznę dokonywać transferu. Poczuj



\*następne mgnienie przeszłości z kathy *gdzie do cholery  
położyłam wanilię a potem*

brzęk miski uderzającej o kafle kuchennej podłogi\*

(cholera jasna kathy)

A potem znów jestem sobą. Trochę kręci mi się w głowie, kiedy w dwojaki sposób patrzę na gabinet doktora Russella; jednocześnie patrzę na jego twarz i na tył jego głowy. Myślę sobie, *cholera, to świetna sztuczka, i mam wrażenie, jakbym pomyślał to w stereo.*

I nagle uderza mnie, że jestem w dwóch miejscach naraz. Uśmiecham się i widzę, jak jednocześnie uśmiech pojawia się na twarzy mojego starego i nowego ciała.

– Właśnie łamię wszystkie prawa fizyki – mówię do doktora Russella używając dwóch par ust.

– Już jest pan w środku – mówi doktor i znów dotyka ekranu swojego cholernego OKP.

I wtedy znów jestem już tylko jednym sobą.

Tym *drugim* sobą. Wiem to, ponieważ nie wpatruję się już w tego nowego siebie. Patrzę na starego mnie.

A on patrzy na mnie, jakby wiedział, że właśnie stało się coś naprawdę dziwnego.

Jego spojrzenie zdaje się mówić: *Nie jestem już dłużej potrzebny.*

A potem zamyka oczy.





– Panie Perry – powiedział doktor Russell, potem powiedział to jeszcze raz i lekko klepnął mnie w policzek.

– Tak – powiedziałem. – Jestem tutaj. Przepraszam.

– Jak brzmi pańskie pełne imię i nazwisko, panie Perry?

Musiałem przez chwilę nad tym pomyśleć, potem odpowiedziałem:

– John Nicholas Perry.

– Kiedy są pańskie urodziny?

– Dziesiątego czerwca.

– Jak się nazywał pański wychowawca w drugiej klasie?

Spojrzałem doktorowi Russellowi prosto w oczy i powiedziałem:

– Chryste, człowieku, przecież nie pamiętałem tego nawet wtedy, kiedy byłem jeszcze w swoim starym ciele.

Doktor Russell uśmiechnął się i powiedział:

– Witam w nowym życiu, panie Perry. Przeszedł pan przez to bez najmniejszych problemów, wręcz śpiewająco. – Odryglował drzwi posągu i na oścież odchylił pokrywę. – Może pan już wyjść.

Położyłem moje dłonie – moje zielone dłonie – na brzegu urządzenia i przechyliłem się do przodu. Postawiłem na ziemi prawą stopę i lekko się zachwiałem. Doktor Russell przysunął się i podtrzymał mnie.

– Musi pan uważać – powiedział. – Przez jakiś czas był pan starym człowiekiem. Trochę czasu będzie się pan przyzwyczajał do posługiwania się młodym ciałem.

– Co pan ma na myśli? – zapytałem.

– No cóż – powiedział. – Przede wszystkim może się pan wyprostować.

Miał rację. Byłem lekko przygarbiony (dzieciaki, pijcie swoje mleko). Wyprostowałem się i zrobiłem kolejny krok do przodu. I jeszcze jeden. To

była dobra wiadomość – wciąż pamiętałem, jak się chodzi. Szczęrzyłem się jak jakiś uczeń, kiedy tak przemierzałem gabinet.

– Jak się pan czuje? – zapytał doktor Russell.

– Czuję się młodo – odparłem z lekką radością w głosie.

– Nic dziwnego – zauważył doktor Russell. – Biologiczny wiek tego ciała to dwadzieścia lat. W rzeczywistości jest młodsze, ale w ciągu paru dni pomożemy mu podrosnąć.

Dla próby podskoczyłem w miejscu i poczułem się, jakbym przebył połowę drogi dzielącej mnie od Ziemi.

– Jestem za młody nawet na to, żeby móc się upić – powiedziałem.

– W sensie wewnętrznym wciąż ma pan siedemdziesiąt pięć lat – powiedział doktor Russell.

Przestałem podskakiwać i podszedłem do mojego starego ciała, które wciąż spoczywało we wnętrzu posągu. Wyglądało na smutne i wymięte jak stara walizka. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem swojej starej twarzy. Była ciepła, poczułem powiew oddechu. Wzdrygnąłem się.

– Ono wciąż żyje – powiedziałem, odsuwając się od niego.

– Jego mózg jest martwy – szybko powiedział doktor Russell. – Wszystkie pańskie funkcje poznawcze dokonały transferu. Kiedy tak się stało, wyłączyłem jego mózg. Działa teraz na autopilocie; oddycha i pompuje krew, ale to wszystko. I to też jedynie na jakiś czas. Pozostawione samemu sobie, umrze w ciągu paru dni.

Znow zbliżyłem się do swojego starego ciała.

– Co się z nim stanie? – zapytałem.

– Zachowamy je, choć tylko przez krótki czas – odpowiedział doktor Russell. – Panie Perry, nie chcę pana ponaglać, ale pora już, żeby wrócił pan do swojej kabiny, żebym mógł zająć się pozostałymi rekrutami. Czeka nas dzisiaj jeszcze dużo transferów.

– Mam parę pytań na temat tego ciała – powiedziałem.

– Jest na ten temat broszura – powiedział doktor Russell. – Przesłałem ją na pański OKP.

– Ojej, dzięki – powiedziałem.

– Nie ma za co – odparł doktor Russell i skinął w stronę Kolonialnych. – Ci ludzie odprowadzą pana do kabiny. Jeszcze raz gratuluję.

Podszedłem do Kolonialnych i ruszyliśmy do wyjścia. W połowie drogi zatrzymałem się i powiedziałem:

– Proszę chwilę poczekać, zapomniałem o czymś.

Podszedłem do swojego starego ciała, które wciąż spoczywało we wnętrzu posągu. Spojrzałem na doktora Russella i powiedziałem:

– Muszę to otworzyć.

Skinął głową. Otworzyłem pokrywę i wyciągnąłem lewą dłoń swojego starego ciała. Zdjąłem z jej serdecznego palca prostą, złotą obrączkę i wsunąłem ją na serdeczny palec mojej lewej dłoni. Potem ująłem swoją starą twarz w swoje nowe dłonie.

– Dziękuję – powiedziałem. – Dziękuję ci za wszystko.

I wyszedłem z Kolonialnymi.

# NOWY TY

*Prezentacja twojego nowego ciała,  
dla rekrutów Kolonialnych Sił Obrony  
przygotowane przez pracowników  
Kolonialnego Instytutu Genetyki Stosowanej  
Dwa wieki doświadczeń w budowie lepszych ciał!*

[Tak wyglądała tytułowa strona broszury informacyjnej, która czekała na mnie na moim OKP. Oprócz tego tekstu widniała na niej ilustracja będąca nawiązaniem do słynnego studium ludzkiego ciała autorstwa Leonarda da Vinci, tylko zamiast tamtego długowłosego kołosa pośrodku diagramu znajdował się zielony człowiek. Wyobraźcie to sobie. Ale idźmy dalej.]

Właśnie otrzymałeś od Kolonialnych Sił Obrony swoje nowe ciało. Gratulujemy! Twoje nowe ciało powstało w wyniku wieloletnich udoskonaleń dokonywanych przez naukowców i inżynierów Kolonialnego Instytutu Genetyki Stosowanej; jest optymalnie dopasowane do spełniania wymagań służby w szeregach KSO. Ten dokument ma umożliwić pobieżne wprowadzenie w funkcjonowanie i właściwości twojego nowego ciała, udziela też odpowiedzi na pytania najczęściej zadawane przez rekrutów na temat ich nowych ciał.

**TO CIAŁO JEST NIE TYLKO NOWE  
– JEST TAKŻE LEPSZE**

Na pewno zauważyłeś zielony odcień skóry twojego nowego ciała. Nie jest to cecha natury jedynie kosmetycznej. Twoja nowa skóra (ChloroDerm™) zawiera chlorofil, który zaopatruje twoje ciało w dodatkowe źródło energii, a także optymalizuje zużycie przez twój organizm zarówno tlenu, jak i dwutlenku węgla. W wyniku czego będziesz mógł z większą, zawsze odświeżalną energią, dłużej i lepiej wypełniać swoje obowiązki służbowe w szeregach KSO! To tylko pierwsze z udoskonaleń, jakie możesz znaleźć w swoim ciele. Oto parę kolejnych:

- Tkanka twojej dotychczasowej krwi została zastąpiona przez SprytnąKrew™ – rewolucyjny system, który czterokrotnie zwiększa zdolność przenoszenia tlenu, a jednocześnie chroni twoje ciało przed chorobami zakaźnymi, toksynami i śmiercią z powodu upływu krwi!

- Opatentowana przez nas technologia OkoKota™ daje ci niezwykłą możliwość widzenia – żeby w nią uwierzyć, musisz ją zobaczyć na własne oczy! Wzmoczone widzenie skotopowe i zwielokrotniona rozdzielczość czopka siatkówki dają ci lepszą rozdzielczość postrzegania, niż jest to możliwe w wypadku wszelkich naturalnie ewoluujących organizmów. Specjalnie zaprojektowane wzmacniacze światła pozwolą ci widzieć w skrajnie niedoświetlonych miejscach.

- Nasz NiezwykłyZmysł™ – zestaw udoskonaleń postrzegania zmysłowego, pozwoli ci dotykać, czuć, słyszeć i smakować jak nigdy dotąd; podobnie nasze rozszerzenia sieci układu nerwowego i optymalizacja jego połączeń rozszerzą zasięg twojej percepcji w zakresie wszystkich zmysłów. Odczujesz różnicę już pierwszego dnia!

- Jak bardzo silny chcesz być? Technologia MocnaPięść™, która wzmacnia naturalną siłę mięśni i skraca czas reakcji, umożliwi ci bycie silniejszym i szybszym niż możesz sobie wyobrazić – wzmoczenie sity i

szybkości reakcji jest tak znaczące, że prawo nie zezwala Kolonialnemu Instytutowi Genetyki Stosowanej na sprzedaż tej technologii instytucjom i podmiotom cywilnym. Dla was, rekruci, to tylko pierwszy krok do rozwoju zdolności!

□ Nigdy nie będziesz już poza zasięgiem! Nigdy nie stracisz swojego komputera o nazwie MózGościu™, ponieważ umieszczono go we wnętrzu twojego mózgu. Nasz zastrzeżony Adaptatywno-Wspomagający Interfejs będzie z tobą współpracował, więc możesz korzystać z twojego MózGościa™ w wybrany przez siebie sposób. Twój MózGościu™ służy także do koordynacji nieorganicznych technologii twojego nowego ciała, takich jak SprytnaKrew™. Ludzie służący w KSO w pełni zawierają temu technologicznemu arcydziełu – podobnie będzie z tobą.

## **BUDOWANIE LEPSZEJ WERSJI CIEBIE**

Bez wątplenia zadziwi cię, do czego twoje nowe ciało jest zdolne. Ale czy nie zaciekawilo cię, w jaki sposób zostało stworzone? Może zainteresuje cię fakt, że twoje ciało jest ostatnim z serii nowoczesnych, udoskonalonych ciał zaprojektowanych przez Kolonialny Instytut Genetyki Stosowanej. Stosując naszą ściśle zastrzeżoną technologię zaadoptowaliśmy zarówno genetyczną informację pobraną od innych gatunków istot rozumnych, jak i ostatnie osiągnięcia mikrorobotyki – wszystko to, by ulepszyć twoje nowe ciało. To była ciężka praca, ale będziesz zadowolony, że podjęliśmy ten wysiłek!

Od pierwszych udoskonaleń, które wprowadziliśmy w życie prawie dwa wieki temu, stopniowo posuwaliśmy nasze prace do przodu. Pierwsze zmiany i udoskonalenia sprawdzaliśmy na modelach komputerowych, które symulowały skutki wprowadzenia poszczególnych ulepszeń do ludzkiego organizmu. Sprawdzone w ten sposób, testowaliśmy następnie na modelach

biologicznych. Dopiero po wyżej opisanym wielokrotnym przetestowaniu włączaliśmy wybrane udoskonalenia do ostatecznego projektu budowy ciała, integrując je z pobieranymi od rekrutów „startowymi” próbkami DNA. Wszystko to pozwala nam mieć pewność, że każde z udoskonaleń ciała jest bezpieczne i sprawdzone; zaprojektowane po to, by stworzyć lepszego ciebie!

## NAJCZĘSTSZE PYTANIA DOTYCZĄCE TWOJEGO NOWEGO CIAŁA

### *1. Czy moje nowe ciało ma swoje własne firmowe imię?*

Tak! Twoje nowe ciało jest znane jako XII Seria Obrońcy, model „Herkules”. Technicznie znane jest jako KIGS/KSO Model 12, Korekta 1.

2. 11. To ciało przeznaczone jest jedynie do użytku Kolonialnych Sił Obrony. Dodatkowo, każdy model ciała ma swój własny numer, przeznaczony na potrzeby służb naprawczych. Każdy może go odczytać za pomocą swojego MózGościa™. Bez obaw, na co dzień dalej możecie posługiwać się swoim dotychczasowym imieniem!

### *2. Czy moje nowe ciało będzie się starzeć?*

Ciało z Serii Obrońcy zostało zaprojektowane w ten sposób, by zapewnić KSO optymalną sprawność przez całe operatywne życie. W tym celu na poziomie genetycznym umieszczono w nim nowoczesne techniki regeneracyjne, które mają przeciwdziałać wpisanej w naturę rzeczy entropii. Przy zachowaniu podstawowego rygoru naprawczego, twoje nowe ciało będzie pozostawać w świetnej formie tak długo, jak będziesz się nim posługiwać. Przekonasz się, że wszelkie zranienia i niesprawności zostaną

szybko naprawione – w razie czego wrócisz do pełnej formy w mgnieniu oka!

### *3. Czy mogę przekazać te niezwykle udoskonalenia swoim dzieciom?*

Nie. Twoje ciało i jego biologiczne i technologiczne systemy składowe są patentową własnością Kolonialnego Instytutu Genetyki Stosowanej i nie mogą być przekazywane bez jego pozwolenia. Ponadto, z powodu daleko idących udoskonalień Serii Obrońcy, DNA tego modelu nie jest już genetycznie kompatybilne z materiałem genetycznym niezmodyfikowanych jednostek ludzkich.

Wykazano również, że krzyżowanie się osobników Serii Obrońcy prowadzi do niekompatybilności groźnych na każdym etapie życia płodu. Dodatkowo KSO ustaliły, że przekazywanie materiału genetycznego jest nieistotne dla służących w ich szeregach ludzi; wobec czego wszystkie modele Obrońcy są wysterylizowane, chociaż naturalnie dostępny im, powiązany z rozmnażaniem aparat funkcjonalny i zmysłowy pozostał nienaruszony.

### *4. Martwią mnie teologiczne implikacje wynikające z posiadania przeze mnie nowego ciała. Co powinienem zrobić?*

Chociaż zarówno Kolonialny Instytut Genetyki Stosowanej, jak i KSO nie zajęły żadnego oficjalnego stanowiska w sprawie teologicznych bądź psychologicznych konsekwencji transferu świadomości z jednego ciała do drugiego, rozumiemy jednak, że dla wielu spośród rekrutów może to stanowić źródło wielu problemów i wątpliwości. W skład każdego z transportów rekrutów wchodzi przedstawiciele duchowieństwa reprezentujący większość spośród głównych ziemskich systemów religijnych, jak również doświadczeni w udzielaniu pomocy



psychologicznej terapii. Zainteresowanych zachęcamy do odszukania ich i przedyskutowania z nimi interesujących was kwestii.

### *5. Na jak długo pozostanę w moim nowym ciele?*

Ciała Serii Obrońcy zostały zaprojektowane na potrzeby użytkowe KSO; jak długo pozostaniesz w szeregach KSO, tak długo będziesz mógł cieszyć się możliwością korzystania z technologicznych i biologicznych udoskonaleń tego nowego ciała. Kiedy zakończysz służbę w KSO, zostaniesz wyposażony w nowe, niezmiennicze ludzkie ciało powstałe z twojego własnego DNA.

Cały personel Kolonialnego Instytutu Genetyki Stosowanej składa ci serdeczne gratulacje z okazji otrzymania nowego ciała! Wiemy, że w czasie trwania twojej służby w szeregach Kolonialnych Sił Obrony będzie ci ono dobrze służyć. Dziękujemy za twoją pełną poświęcenia służbę w obronie kolonii – a teraz zacznij cieszyć się... Twoim Nowym Ciałem!

Odłożyłem OKP, podszedłem do umywalki i spojrzałem w lustro na moją nową twarz.

Nie można było nie zauważyć oczu. Moje stare ciało miało brązowe oczy – dokładnie szaro-brązowe, ale z interesującymi złotymi cętkami. Kathy nieraz powtarzała mi, że takie cętki innego koloru na tęczówce były po prostu jedynie fragmentami tkanki tłuszczowej. Miałem więc przetłuszczone oczy.

Ale jeśli tamte były przetłuszczone, to te były wręcz otyłe. Były złote od źrenicy aż do samego brzegu, dopiero za nim ich kolor blednął w stronę szarości. Obrzeże tęczówki było szmaragdowe; w stronę źrenic wyciągały się kolce w tym kolorze. Same źrenice były zwężone, prawdopodobnie

dzięki zawieszanej nad lustrem lampce. Wyłączyłem lampkę z nad lustra i główne światło; jedynym źródłem światła w kabinie była teraz świecąca dioda mojego OKP. Moje stare oczy nigdy nie dałyby sobie rady z takim oświetleniem.

Moje nowe oczy przystosowywały się tylko przez chwilę. W pomieszczeniu było prawie zupełnie ciemno, ale mogłem wyraźnie dostrzec każdy ze znajdujących się w nim przedmiotów. Podeszedłem z powrotem do lustra i spojrzałem w nie; moje źrenice były rozszerzone jak u kogoś, kto przedawkował atropinę. Włączyłem lampkę nad lustrem i obserwowałem, jak moje źrenice zwężają się w imponującym tempie.

Zdjąłem ubranie i po raz pierwszy tak naprawdę uważnie przyjrzałem się swojemu nowemu ciału. Moje pierwsze, przelotne wrażenie okazało się słuszne; byłem w doskonałej formie, wyglądałem jak po porządnym tunningu. Przesunąłem dłonią po klatce piersiowej i płaskim jak deska brzuchu. Nigdy w życiu nie miałem tak doskonale atletycznej budowy. Nie miałem zielonego pojęcia jak im się udało to osiągnąć. W jaki sposób z flakowatego dwudziestolatka, którym byłem, udało im się stworzyć takie чудо. Potem zastanawiałem się przez chwilę, czy możliwe jest odwrócenie tego procesu i powrót do oryginalnej, flakowatej formy. Miałem nadzieję, że nie. Spodobał mi się ten nowy ja.

Och, i od rzęs aż do stóp byłem zupełnie pozbawiony włosów.

Zupełnie. Nie miałem ani jednego zbędnego włosa. Nie miałem włosów na rękach, plecach (nie po raz pierwszy w życiu, hm), ani w okolicach części intymnych. Dotknąłem skóry na piersiach, żeby sprawdzić, czy nie ma na niej kłującego meszku odrastającego zarostu – była gładka jak pupa niemowlęcia. Albo jak moja pupa, teraz. Spojrzałem w dół na swój zestaw; prawdę mówiąc bez włosów wyglądał trochę... samotnie. Włosy na

głowie miałem gęste, miały nieokreślony brązowy kolor. To akurat nie zmieniło się od mojej poprzedniej inkarnacji.

Wyciągnąłem dłoń przed siebie, żeby przyjrzeć się barwie mojej skóry. Miała odcień jasnozielony, ale niezbyt jaskrawy; to dobrze, pomyślałem, nie chciałem wyglądać jak butelka absyntu. Kolor całego ciała był jednolity, jedynie sutki i czubek mojego penisa były trochę ciemniejsze; zachowano więc rozmieszczenie natężenia barwy przy zmianie tonacji kolorystycznej. Zauważyłem tylko, że moje żyły były stosunkowo lepiej widoczne i na dodatek szarawe. Jakiegokolwiek koloru była SprytnaKrew™, na pewno nie była krwistoczerwona. Ubrałem się.

Mój OKP wydał przenikliwy dźwięk. Wziąłem go do ręki. Czekala tam na mnie wiadomość:

Masz już teraz dostęp do swojego systemu komputerowego MózGościu™. Chciałbyś go teraz aktywować? Na ekranie widać było przyciski podświetlone jako TAK i NIE. Nacisnąłem TAK.

Nagle usłyszałem głęboki, mocny i jednocześnie łagodny głos dochodzący znikąd. Prawie wyskoczyłem ze swojej nowej zielonej skóry.

– Cześć! – powiedział głos. – Właśnie połączyłeś się ze swoim wewnętrznym komputerem MózGościem, z opatentowanym Adaptatywno-Wspomagającym Interfejsem! Nie przejmuj się! Dzięki zaawansowanej integracji MózGościa głos, który teraz słyszysz jest generowany bezpośrednio w odpowiedzialnych za słuch centrach twojego mózgu.

*Świetnie, pomyślałem. Teraz mam w głowie jeszcze jeden głos.*

– Po krótkiej sesji wprowadzającej będziesz mógł w każdej chwili wyłączyć głos. Zaczniemy od paru opcji, między którymi będziesz mógł wybierać odpowiadając „tak” lub „nie”. W tym momencie twój MózGościu chciałby, żebyś wypowiedział słowa „tak” i „nie” w wybranych momentach; tak, by mógł nauczyć się rozpoznawać te odpowiedzi. Tak

więc kiedy będziesz gotowy, wypowiedz słowo „tak”. Możesz je wypowiedzieć w wybranej przez siebie chwili.

Głos zamilkł. Zawahałem się, byłem trochę zdezorientowany.

– Proszę powiedz teraz „tak” – powtórzył głos.

– Tak! – powiedziałem, trochę nerwowo.

– Dziękuję, że powiedziałeś „tak”. Teraz proszę powiedz „nie”.

– Nie – powiedziałem, i przyszło mi do głowy, że MózGościu™ mógłby pomyśleć, że powiedziałem „nie” odmawiając spełnienia jego życzenia, wkurzyć się i za karę usmażyć mi mózg we własnym sosie.

– Dziękuję, że powiedziałeś „nie” – powiedział głos, pozwalając sobie na pewną literalność. – W miarę naszej współpracy nauczysz się, że nie musisz werbalizować tych poleceń, by twój MózGościu mógł na nie odpowiedzieć. Jednak na początku dla komfortu komunikacyjnego prawdopodobnie będziesz chciał je werbalizować. W tym momencie masz możliwość kontynuowania kanałem audio, lub przełączenia się na tekstowy interfejs. Czy wolisz teraz przełączyć komunikator na tekstowy interfejs?

– Boże, tak! – powiedziałem.

Będziemy kontynuować za pomocą interfejsu tekstowego, linijka tekstu o tej treści pojawiła się zawieszona dokładnie pośrodku mojego pola widzenia. Tekst był doskonale skonstrastowany z tym, na co akurat patrzyłem. Obróciłem głowę i tekst pozostał dokładnie pośrodku, jedynie kontrast uległ zmianie w celu zachowania doskonałej czytelności. To było niesamowite.

Wskazane jest, byś podczas wstępnej sesji tekstowej pozostał w pozycji siedzącej w celu uniknięcia uszkodzenia ciała – napisał MózGościu. Usiądź proszę. Usiadłem.

W czasie wstępnej sesji z MózGościem™, wygodniej ci będzie komunikować się werbalizując. By pomóc MózGościowi™ w rozumieniu

twoich pytań, nauczymy teraz twojego MózGościa™ rozumienia twojego głosu w praktyce. Proszę odczytaj na głos następujące głoski. W polu mojego widzenia wyświetliła się lista głosek. Przeczytałem je zaczynając od prawej strony. Potem MózGościu kazał przeczytać pewną ilość krótkich zdań. Zrobiłem to.

Dziękuję, napisał MózGościu. Twój MózGościu™ będzie teraz w stanie orientować się w brzmieniu twego głosu. Chciałbyś teraz nadać osobisty charakter twojemu MózGościowi™?

– Tak – odpowiedziałem.

Dla wielu użytkowników wygodne jest nadanie ich MózGościowi™ imienia innego niż MózGościu™. Czy chciałbyś teraz nadać swojemu MózGościowi nowe imię?

– Tak – powiedziałem.

Proszę wymów teraz imię jakie chciałbyś nadać swojemu MózGościowi™.

– Dupek – powiedziałem.

Wybrałeś imię „Dupek”, napisał MózGościu, o dziwo bezbłędnie. Musisz jednak być świadomym tego, że wielu spośród rekrutów wybrało to imię dla swojego MózGościa™. Chciałbyś wybrać inne imię?

– Nie – odpowiedziałem. Byłem dumny z tego, że tak wielu spośród moich współtowarzyszy czuło do swoich MózGościów to samo, co ja.

Twój MózGościu™ jest od teraz Dupkiem, napisał MózGościu. Jeśli będziesz chciał, możesz w przyszłości zmienić to imię. Teraz musisz wybrać frazę dostępu, która aktywuje Dupka. Chociaż Dupek jest aktywny przez cały czas, to odpowiada tylko wtedy, kiedy zostanie aktywowany. Wybierz proszę krótką frazę. Dupek sugeruje frazę „Aktywuj Dupka”, ale możesz wybrać inną. Proszę wymów teraz swoją frazę aktywacji.

– Hej, Dupku – powiedziałem.

Wybrałeś frazę „Hej, Dupku.” Proszę powtórz ją dla potwierdzenia. Zrobiłem to. Potem poprosił mnie o wybranie frazy dezaktywacyjnej. Wybrałem (oczywiście) „Spadaj, Dupku. “

Czy chcesz, żeby Dupek odnosił się do siebie w pierwszej osobie?

– Jak najbardziej – powiedziałem.

Jestem Dupek.

– Pewnie, że jesteś.

Czekam na twoje polecenia albo pytania.

– Czy jesteś inteligentny? – zapytałem.

Zostałem wyposażony w naturalny procesor językowy i inne systemy by móc rozumieć pytania, komentarze i udzielać odpowiedzi, co często stwarza pozory występowania inteligencji, szczególnie po podłączeniu się do większych sieci komputerowych. Jednak naturalnie systemy MózGościów™ nie wykazują się samoistną inteligencją. Ta odpowiedź, na przykład, została wygenerowana automatycznie. To jedno z częściej zadawanych pytań.

– W jaki sposób mnie rozumiesz?

W tym momencie rozwoju naszej współpracy odpowiadam na twój głos. Kiedy mówisz monitoruję twój mózg i uczę się tego, jaki rodzaj aktywności mózgu występuje, kiedy chcesz się ze mną połączyć. Za jakiś czas nie będziesz musiał mówić, a ja i tak będę mógł cię zrozumieć. Z czasem możesz się także nauczyć posługiwania się mną bez używania dźwiękowych bądź wizualnych znaków.

– Co umiesz robić? – zapytałem.

Mam szeroki zasięg umiejętności. Chciałbyś zobaczyć sformatowaną listę?

– Poproszę – powiedziałem.

Przed moimi oczami pojawił się długi wykaz. Żeby przejrzeć listę podkategorii, wybierz główną kategorię i powiedz „Rozszerz [kategorię]”. Żeby aktywować kategorię do działania powiedz proszę „Otwórz [kategorię]”.

Przeczytałem całą listę. Najwyraźniej nie było zbyt wielu rzeczy, których ten mały Dupek nie byłby w stanie zrobić. Mógł wysyłać wiadomości do innych rekrutów. Mógł ściągać raporty. Mógł odtwarzać muzykę i wideo. Można było na nim grać w gry. Mógł przywoływać z systemu dowolne dokumenty. Mógł przechowywać niewyobrażalne ilości danych. Mógł dokonywać kompleksowych kalkulacji. Mógł diagnozować fizyczne dolegliwości i zalecać odpowiednie leki. Mógł utworzyć lokalną sieć pomiędzy członkami wybranej grupy użytkowników MózGościów. Mógł dokonywać natychmiastowych tłumaczeń setek ludzkich i pozaziemskich języków. Mógł nawet dostarczyć wizualnej informacji na temat każdego z użytkowników MózGościów. Włączyłem tę ostatnią opcję. Z trudem rozpoznałem siebie samego. Trudno było się spodziewać, że rozpoznam kogokolwiek z pozostałych Starych Pierdzieli. Ogólnie jednak taki siedzący w głowie Dupek mógł się okazać całkiem użyteczny.

Usłyszałem, że ktoś z zewnątrz próbuje otworzyć moje drzwi. Spojrzałem na nie.

– Hej, Dupku – powiedziałem. – Która jest godzina?

Jest teraz 12:00, napisał Dupek. Spędziłem prawie półtorej godziny na pogawędce z mieszkańcem mojej głowy. Dość tego; byłem gotowy na spotkanie z prawdziwymi ludźmi.

– Spadaj, Dupku – powiedziałem.

Do widzenia, napisał Dupek. Tekst zniknął, kiedy tylko go przeczytałem.

Ktoś zapukał do drzwi. Podeszedłem, żeby je otworzyć. Myślałem, że to Harry; ciekaw byłem jak teraz wygląda.

Wyglądał jak powalająca brunetka z ciemnozieloną oliwkową skórą i nogami do samej ziemi.

– Ty nie jesteś Harrym – stwierdziłem, bezdennie głupio.

Brunetka zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem z dołu do góry.

– John? – odezwała się w końcu.

Przez chwilę patrzyłem na nią jak sroka w gnat, po czym dopasowałem imię do postaci; jeszcze zanim przed oczami mignęła mi jak duch wygenerowana przez Dupka plakietka identyfikatora.

– Jesse – powiedziałem.

Kiwnęła potakująco. Ja wciąż gapiłem się na nią bez słowa. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć. Chwyciła mnie za głowę i pocałowała tak mocno, że wpadliśmy do wnętrza mojej kabiny. Kiedy osuwaliśmy się na podłogę udało jej się jeszcze celnym kopniakiem zamknąć za nami drzwi. Zrobiło to na mnie wrażenie.

Zdążyłem już zapomnieć jak łatwo i szybko młody człowiek może mieć erekcję.



# SZÓSTY

Zdążyłem też zapomnieć ile razy z rzędu młody człowiek może mieć erekcję.



– Nie zrozum tego źle – powiedziała Jesse, leżąc na mnie po tym, jak skończyliśmy trzeci (!) raz. – Ale nie pociągasz mnie aż tak bardzo.

– Dzięki bogu – powiedziałem. – Gdyby było inaczej, starłabyś mnie do małego, czerwonego węgielka.

– Nie bierz tego do siebie – powiedziała Jesse. – Bardzo cię lubię. Nawet przed... – Poruszyła ręką, próbując znaleźć właściwe określenie odmładzającej transplantacji całego ciała. – ... przemianą, byłeś inteligentny, miły i zabawny. Jak dobry przyjaciel.

– Aha – odparłem. – Zwykle mówi się „zostańmy przyjaciółmi” tylko po to, żeby zapobiec seksowi.

– Po prostu nie chciałabym, żebyś miał na temat naszej relacji jakieś złudzenia.

– Mam wrażenie, że chodzi ci o to, jak to jest zostać w magiczny sposób przeniesionym do dwudziestoletniego ciała, i być tym tak podekscytowanym, że uprawianie dzikiego seksu z pierwszą napotkaną osobą staje się czymś w rodzaju imperatywu.

Jesse wpatrywała się we mnie przez chwilę, a potem wybuchła śmiechem.

– Tak! Dokładnie o to mi chodzi. Chociaż w moim wypadku zrobiłam to z drugą napotkaną osobą. No wiesz, mam przecież współlokatorkę.

– No właśnie, jak Maggie po przemianie? – Mój boże! – zakrzyknęła Jesse. – Przy niej wyglądam jak wyrzucony na plażę wieloryb.

Przesunąłem dłońmi po jej bokach i powiedziałem:

– Bardzo urodziwy wyrzucony na plażę wieloryb.

– Wiem o tym! – powiedziała Jesse, nagle poderwała się i usiadła na mnie okrakiem. Podniosła ręce i skrzyżowała je za głową, jeszcze bardziej uwypuklając i tak zadziwiająco duże i jędrne piersi. Poczułem na sobie promieniujące gorąco jej krocza. Poczułem, że chociaż jeszcze nie mam erekcji, to zaraz będę ją mieć.

– No spójrz tylko na mnie – powiedziała, chociaż patrzyłem na nią bez przerwy odkąd usiadła. – Wyglądam fantastycznie. Nie mówię tego z próżności. Po prostu nigdy w życiu nie wyglądałam tak dobrze. Nawet po części.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – powiedziałem.

Chwyciła swoje piersi i skierowała ich sutki w stronę mojej twarzy.

– Widzisz je? – zapytała, i poruszyła lewą z nich. – W prawdziwym życiu ta była o miseczkę mniejsza od tej, a i tak była za duża. Całe życie bolały mnie plecy, od momentu dojrzewania płciowego do końca. A one były tak jędrne być może przez jeden tydzień mojego życia, kiedy miałam trzynaście lat. Może.

Sięgnęła ręką w dół, chwyciła moje dłonie i położyła je na swoim doskonale płaskim brzuchu.

– Nigdy nie miałam takiego brzucha – powiedziała. – Zawsze miałam tutaj trochę tłuszczu, nawet przed urodzeniem dzieci. Po urodzeniu

drugiego... no cóż, powiedzmy, że gdybym zachciała mieć trzecie, to miałyby tutaj – poklepała się po brzuchu – dwupokojowe mieszkanie.

Przesunąłem dłonie do tyłu, chwyciłem ją za pośladki i spytałem:

– A co z nimi?

– Waga ciężka – powiedziała Jesse i roześmiała się. – Byłam dużą dziewczynką mój przyjacielu.

– Bycie dużą dziewczynką to nie żadna zbrodnia – stwierdziłem. – Kathy też była z tych większych. I zawsze mi się to podobało.

– Wtedy nie stanowiło to dla mnie większego problemu – powiedziała. – Zbytnie przejmowanie się sprawami ciała jest głupie. Ale z drugiej strony, nie oddałabym tego ciała za tamto. – Prowokacyjnie przesunęła dłońmi po całym ciele – Teraz cała jestem sexy! – powiedziała chichocząc i odrzuciła głowę do tyłu. Zaśmiałem się.

Jesse pochyliła się nade mną i zaczęła uważnie mi się przyglądać.

– Te kocie oczy strasznie mnie fascynują – powiedziała. – Ciekawa jestem czy rzeczywiście tworząc je użyli prawdziwego kociego DNA. No wiesz, czy zmieszali nasze DNA z kocim. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby być po części kotem.

– Myślę, że nie użyli prawdziwego kociego DNA – powiedziałem. – Bo nie wykazujemy innych kocich cech.

Jesse z powrotem usiadła wyprostowana.

– Na przykład jakich? – zapytała.

– No cóż – zacząłem, pozwalając swoim dłoniom błądzić po jej piersiach. – Po pierwsze, samce kotów mają kolce na penisach.

– Spadaj – powiedziała Jesse.

– To święta prawda – powiedziałem. – Te kolce stymulują samice i pobudzają je do owulacji. Sprawdź to sobie, jeśli nie wierzysz. W każdym razie tutaj nie ma żadnych kolców. Myślę, że zauważyłabyś, gdyby były.

– To jeszcze niczego nie dowodzi – powiedziała Jesse, i nagle przesunęła tylną część swojego ciała do tyłu, a przednią do przodu; teraz znowu leżała na mnie. – Może po prostu nie robiliśmy tego na tyle mocno, żeby te kolce mogły się wysunąć – powiedziała szczerząc się złowieszczo.

– Wyczuwam w tym nutkę wyzwania – powiedziałem.

– Ja też coś poczułam – powiedziała, i zaczęła się na mnie wiercić.



– O czym myślisz? – spytała mnie Jesse, później.

– Myślę o Kathy – powiedziałem. – I o tym, jak często leżałem z nią tak, jak teraz leżę z tobą.

– To znaczy... na dywanie – powiedziała Jesse, uśmiechając się.

Klepnałem ją lekko w czoło.

– Nie o to mi chodziło. Myślałem o wspólnym leżeniu po seksie, o rozmawianiu ze sobą i cieszeniu się swoim towarzystwem. Robiliśmy to także wtedy, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o zaciągnięciu się.

– Dlaczego wtedy zacząłeś o tym rozmawiać? – zapytała Jesse.

– Nie ja zacząłem – powiedziałem. – Kathy zaczęła. To były moje sześćdziesiąte urodziny. Byłem zdołowany tym, że się starzeję. Więc zaproponowała, żebyśmy się oboje zaciągnęli, kiedy nadejdzie nasz czas. Trochę mnie to zaskoczyło. Zawsze byliśmy raczej antimilitarystycznie nastawieni. Protestowaliśmy nawet przeciwko Wojnie Subkontynentalnej, kiedy było to niezbyt dobrze widziane.

– Wielu ludzi protestowało przeciw tej wojnie – stwierdziła Jesse.

– No tak, ale my protestowaliśmy naprawdę. Potem w mieście stało się to prawdę mówiąc tematem wielu żartów.

– Więc w jaki sposób uzasadniła wasze zaciągnięcie się do Kolonialnej Armii?

– Powiedziała, że nie była przeciwna wojsku i wojnie jako takim; była przeciw temu wojsku i tej wojnie. Powiedziała, że ludzie mają prawo się bronić, i że wszechświat jest prawdopodobnie pełen różnych przerażających zagrożeń. A poza tymi szlachetnie brzmiącymi powodami, wymieniła jeszcze jeden, bardziej osobistej natury – powiedziała, że do tego wszystkiego znowu będziemy młodzi.

– Ale i tak nie moglibyście razem się zaciągnąć – powiedziała Jesse. – Chyba, że bylibyście dokładnie w tym samym wieku.

– Była o rok młodsza ode mnie – powiedziałem. – Wspomniałem wtedy o tym; powiedziałem, że jeśli wstąpię do armii, zostanę oficjalnie uznany za zmarłego, nie będziemy już małżeństwem i nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze się zobaczymy.

– Co odpowiedziała?

– Powiedziała, że to tylko techniczne szczegóły. Że znowu mnie odnajdzie i zaciągnie do ołtarza, jak już raz to zrobiła. I zrobiłaby to, jestem pewien. W tych sprawach była jak niedźwiedzica.

Jesse oparła głowę na łokciu, spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– Przykro mi, że to nie ona jest tutaj z tobą, John.

– W porządku – odpowiedziałem z uśmiechem. – Po prostu od czasu do czasu tęsknię za swoją żoną, to wszystko.

– Doskonale to rozumiem – powiedziała Jesse. – Ja też tęsknię za mężem.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Myślałem, że zostawił cię dla młodszej kobiety, a potem zatrął się jedzeniem?

– Tak było, zasłużył sobie na to, żeby zwymiotować własne flaki – powiedziała Jesse. – Nie tęsknię za tym konkretnym mężczyzną, tęsknię za mężem jako takim. Miło jest mieć kogoś, z kim się jest i będzie. Miło jest być zamężną.

– Miło jest być żonatym – potwierdziłem.

Jesse przytuliła się do mnie i objęła ramieniem moją pierś.

– To też jest miłe, oczywiście. Od pewnego czasu tego nie robiłam.

– Nie leżałaś na podłodze?

– Nie. – Teraz to ona szturchnęła mnie w głowę. – Chociaż, właściwie też. Nie leżałam tak z kimś po seksie. Ani nie uprawiałam seksu. Nawet nie chcesz wiedzieć od jak dawna tego nie robiłam.

– Pewnie, że chcę.

– Drań. Od ośmiu lat.

– Nic dziwnego, że skoczyłaś na mnie ledwo mnie zobaczyłaś – powiedziałem.

– A żebyś wiedział – odparowała Jesse. – Wszystko przez to, że masz taką wygodną kabinę.

– Najważniejsze jest miejsce, jak mawiała moja matka.

– Miałaś dziwną matkę – powiedziała Jesse. – Ej, suko, która jest teraz godzina?

– Co?! – zapytałem.

– Mówiłam do tego głosu w mojej głowie – wytłumaczyła.

– Niezłe mu nadałaś imię – stwierdziłem.

– A jak nazwałeś swój głos?

– Dupek.

Jesse pokiwała głową.

– Może mu pasować. Suka mówi mi, że właśnie minęła szesnasta. Do kolacji mamy jeszcze dwie godziny. Wiesz, co to znaczy?

– Nie wiem. Myślę, że cztery razy to moja górna granica, nawet kiedy jestem młody i super udoskonalony.

– Uspokój się, chodziło mi o to, że mamy dość czasu na drzemkę.

– Mam przynieść koc?

– Nie bądź głupi. Nie będę spała na dywanie tylko dlatego, że przedtem uprawiałam na nim seks. Masz świetną koję. Zamierzam spać na niej.

– Więc będę musiał się zdrzemnąć sam?

– Wynagrodzę ci to – powiedziała Jesse. – Przypomnij mi o tym, kiedy się obudzę.

Przypomniałem jej. A właściwie to ona mi przypomniała.



– Cholera jasna – powiedział Thomas siadając do stołu z tacą tak wypełnioną jedzeniem, że cudem udało mu się ją donieść bez wypadku. – Wszyscy wyglądamy zbyt dobrze, by mogły to oddać słowa.

Miał rację. Stare Pierdziele po transferze przeszły zadziwiającą przemianę. Thomas, Harry i Alan wyglądali jak męscy modele; z naszej czwórki ja byłem najbrzydszy, a wyglądałem – no cóż, wyglądałem dobrze. Jeśli chodzi o kobiety, Jesse wyglądała powalająco, Susan nawet bardziej, a Maggie, szczerze mówiąc, wyglądała jak jakaś bogini. Patrzenie na nią aż sprawiało ból.

Patrzenie na nas wszystkich mogło sprawiać ból. W tym dobrym, związanym z miłymi zawrotami głowy i pełnym podniecenia oszołomieniu sensie. Parę dobrych minut spędziliśmy po prostu wpatrując się w siebie nawzajem. Nie tylko my tak robiliśmy. Kiedy rozejrzałem się po mesie, nie

dostrzegłem w niej ani jednego brzydkiego człowieka. Było to jednocześnie przyjemne i drażniące.

– To niemożliwe – ni stąd, ni zowąd Harry zwrócił się do mnie. – Też się rozejrzałem i myślę, że za cholerę nie ma takiej możliwości, żeby ci wszyscy ludzie wyglądali tak dobrze, kiedy po raz pierwszy byli w tym wieku.

– Mów za siebie, Harry – powiedział Thomas. – Niezależnie od wszystkiego uważam, że teraz jestem odrobiną mniej atrakcyjny, niż kiedy byłem żółtodziobem.

– Teraz znowu jesteś żółtodziobem, i to na dodatek zielonoskórym – powiedział Harry. – I nawet jeśli pominiemy Thomasa Wątpliwego...

– Codziennie będę płakał przed lustrem – zapowiedział Thomas.

– ... to trzeba uznać za prawie niemożliwe to, żebyśmy wszyscy byli kiedyś tacy doskonali. Zapewniam was, że nie wyglądałem tak dobrze w wieku dwudziestu lat. Byłem gruby. Miałem straszny trądzik. I zaczynałem już łysieć.

– Przestań – powiedziała Susan. – Zaczynam się podniecać.

– A ja próbuję jeść – powiedział Thomas.

– Teraz mogę się z tego śmiać, bo teraz wyglądam tak – powiedział Harry, przesuwając dłońmi po ciele, jakby prezentował tegoroczny model. – Ale powiem wam, że ten nowy ja ma niewiele wspólnego z tym poprzednim mną.

– Mówisz o tym tak, jakby cię to martwiło – powiedział Alan.

– Bo trochę mnie to martwi – przyznał Harry. – No wiecie przecież, nie będę się zapierał rękami i nogami. Ale kiedy ktoś daje mi w prezencie konia, to zwykle zaglądam mu w zęby. Dlaczego wszyscy wyglądamy tak dobrze?

– Mamy dobre geny – stwierdził Alan.



– Pewnie – przyznał Harry. – Ale czyje? Nasze? Czy jakiś zlepek genów wytworzony w jakimś laboratorium?

– Po prostu wszyscy jesteśmy teraz w świetnej formie – powiedziała Jesse. – Sama mówiłam przedtem Johnowi, że to ciało wygląda dużo lepiej, niż moje prawdziwe ciało wyglądało kiedykolwiek.

Nagle odezwała się Maggie:

– Też tak uważam. Mówiąc „moje prawdziwe ciało” mam na myśli „moje stare ciało”. Bo czuję się tak, jakby to ciało nie było naprawdę moje.

– Jest twoje, siostró – powiedziała Susan. – Przecież wciąż musisz nim sikać.

– I to mówi kobieta, która krytykowała mnie za zbyt wylewność – powiedział Thomas.

– Z tą świetną formą chodzi mi o to, że podczas gdy wzmacniali nasze mięśnie i sprawność, poświęcili też trochę czasu na wzmocnienie innych walorów.

– Zgoda – powiedział Harry. – Ale to nie tłumaczy tego, dlaczego to zrobili.

– Żeby nas ze sobą związać – powiedziała Maggie.

Wszyscy spojrzeli na nią, jakby mówili: Patrzcie kto wychodzi ze skorupy!

– Uszczypnij mnie, Susan – powiedziała Maggie a Susan wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Słuchajcie, to jedna z prostszych zasad psychologii człowieka: bardziej skłonni jesteśmy lubić ludzi, których uważamy za atrakcyjnych. Na dodatek wszyscy w tym pomieszczeniu są dla siebie obcymi ludźmi, nawet my. I nie ma zbyt wielu sposobów, żeby nas ze sobą powiązać. Tworząc nas atrakcyjnymi dla siebie nawzajem, chciano nas ze sobą powiązać; już teraz, albo dopiero w czasie szkolenia.

– Nie bardzo widzę, w jaki sposób miałyby to pomóc armii, jeśli będziemy zbyt zajęci ukradkowym posyłaniem sobie miłosnych spojrzeń, by móc walczyć – powiedział Thomas.

– Nie w tym rzecz – stwierdziła Maggie. – Atrakcyjność seksualna ma tu drugorzędne znaczenie. Chodzi raczej o szybkie wytworzenie więzi zaufania i oddania. Ludzie instynktownie ufają i chcą pomóc tym, których uważają za atrakcyjnych; niezależnie od seksualnego pożądania. Dlatego właśnie prezenterzy telewizyjni są zawsze atrakcyjni. Dlatego atrakcyjni ludzie mają zawsze lżej w szkole.

– Ale teraz wszyscy jesteśmy atrakcyjni – powiedziałem. – W kraju zamieszkałym przez niezwykle atrakcyjnych ludzi, ktoś zaledwie dobrze wyglądający mógłby mieć ciężkie życie.

– Zresztą nawet teraz niektórzy z nas wyglądają lepiej od pozostałych – powiedział Thomas. – Za każdym razem kiedy patrzę na Maggie, czuję jakby ktoś wysysał cały tlen z pomieszczenia, w którym się znajdujemy. Bez obrazy, Maggie.

– Nie zamierzam się obrażać – powiedziała Maggie. – Podstawą takiego rozumowania jest założenie, że w przyszłości nie będziemy myśleć o tym, jacy w danej chwili dla siebie jesteśmy, tylko o tym, jacy byliśmy dla siebie wcześniej. Wszystko to przy założeniu, że trzeba nas powiązać ze sobą w krótkim czasie, a właśnie chyba o to w tym wszystkim chodzi.

– Sugerujesz, że nie brakuje ci tlenu kiedy patrzysz na mnie? – Susan zwróciła się do Thomasa.

– To nie miało nikogo obrazić – powiedział Thomas.

– Przypomnę to sobie, kiedy będę cię dusić – powiedziała Susan. – Skoro już mówimy o braku tlenu.

– Hej, wy dwoje, przestańcie ze sobą flirtować – powiedział Alan i zwrócił się do Maggie. – Myślę, że masz rację co do tej atrakcyjności. Ale

zapomniałaś o osobie, która dla każdego z nas jest najbardziej atrakcyjna, do której jesteśmy najbardziej przywiązani: o nas samych. Na dobre czy na złe, ciała, w których teraz jesteśmy, dla nas samych pozostają obce. Poza tym, że jestem zielony, i mam w głowie komputer o imieniu „Ciemniak”... – Zamilkł i spojrzał na nas wszystkich. – Chwileczkę, a wy jakie nadaliście imiona swoim MózGościom?

– Dupek – powiedziałem.

– Suka – powiedziała Jesse.

– Chujownia – powiedział Thomas.

– Półmózg – powiedział Harry.

– Szatan – powiedziała Maggie.

– Złotko – powiedziała Susan. – Najwyraźniej tylko ja polubiłam swojego MózGościa.

– Bo prawdopodobnie tylko tobie nie przeszkadzał głos nagle odzywający się w twojej głowie – powiedział Alan. – Ale mówiłem o czym innym. Nagłe odmłodzenie i poważne zmiany fizyczne i mechaniczne, w sposób oczywisty odbijają się na psychice człowieka. Nawet, jeśli jesteśmy zadowoleni z tego, że znowu jesteśmy młodzi – a ja na przykład jestem – wciąż pozostajemy wyobcowani wobec naszych nowych wcieleń. Uczynienie nas atrakcyjnymi dla nas samych jest jednym ze sposobów osadzenia nas w tej nowej sytuacji.

– Mamy do czynienia z naprawdę podstępными i perfidnymi ludźmi – stwierdził Harry ze złowrogą nieodwołalnością w głosie.

– Oj, rozchmurz się Harry – powiedziała Jesse i dała mu lekkiego kuksańca. – Jesteś jedyną osobą jaką znam, która chciałaby przemienić bycie młodym i seksownym w jakąś ciemną konspirację.

– A więc uważasz, że jestem seksowny? – zapytał Harry.

– Kochanie, jesteś jak marzenie... – powiedziała Jesse i posłała mu powłóczyście spojrzenie.

– Po raz pierwszy w tym stuleciu ktoś powiedział do mnie coś takiego. Okay, pani mnie kupiła.



Mężczyzna, który stał pod sceną pełnego rekrutów kinoteatru był sprawdzonym w boju weteranem. Nasze MózGoście poinformowały nas, że służył w Kolonialnych Siłach Obrony przez czternaście lat i brał udział w paru bitwach, których nazwy nic nam teraz nie mówiły, ale bez wątpienia w przyszłości miały się stać nam znajome. Ten człowiek bywał w wielu odległych zakątkach wszechświata, spotykał istoty innych rozumnych ras i natychmiast je zabijał. Wyglądał najwyżej na dwadzieścia trzy lata.

– Dobry wieczór, rekruci – zaczął, kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca. – Jestem podpułkownik Bryan Higgee. Do końca tej podróży będę waszym oficerem przełożonym. Praktycznie rzecz biorąc, nie będzie to miało większego znaczenia; ponieważ przez najbliższy tydzień, aż do chwili naszego przybycia na Beta Pyxis III, zostanie wam wydany tylko jeden prawdziwy rozkaz. Jednak pozwoli to wam przypomnieć, że od tej pory podlegacie regulaminom i zasadom stosowanym w Kolonialnych Siłach Obrony. Macie teraz nowe ciała, a wraz z tymi nowymi ciałami idzie w parze nowa odpowiedzialność.

– Pewnie jesteście ciekawi waszych nowych ciał. Tego, jakie mają możliwości, jaki poziom stresu mogą wytrzymać i tego, jak możecie je wykorzystać służąc w Kolonialnych Siłach Obrony. Odpowiedzi na wszystkie z tych pytań poznacie wkrótce, kiedy tylko zaczniecie swoje

szkolenie na Beta Pyxis III. W tym momencie jednak, naszą główną troską jest to, żebyście poczuli się komfortowo w waszych nowych ciałach.

– Dlatego też wydaję wam tylko jeden rozkaz, obowiązujący aż do końca podróży: Bawcie się dobrze.

Rozkaz wywołał na widowni szmer prowadzonych półgłosem rozmów i parę urywanych wybuchów śmiechu. Pomysł nakazywania dobrej zabawy był w zabawny sposób sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Podpułkownik Higgee odpowiedział na to smutnym uśmiechem.

– Rozumiem, że jest to dość niecodzienny rozkaz. Ale różne formy zabawy przy użyciu nowych ciał mogą wam pomóc lepiej poznać wasze nowe zdolności i przyzwyczać się do nich. Kiedy zaczniecie szkolenie od początku będzie się od was wymagać maksymalnej sprawności. Nie ma mowy o metodzie stopniowego rozwoju – nie ma na to czasu. Wszechświat jest wymagającym i niebezpiecznym miejscem. Wasze szkolenie będzie krótkie i trudne. Nie możemy sobie pozwolić na to, żebyście nie czuli się komfortowo we własnych ciałach.

– Rekruci, najbliższy tydzień możecie uważać za rodzaj mostu łączącego wasze dawne życie z nowym. W tym czasie, który bez wątpienia uznacie za zbyt krótki, możecie używać waszych nowych ciał, przeznaczonych do użytku wojskowego, do rozkoszowania się przyjemnościami, których zażywaliście jako cywile. Przekonacie się, że „Henry Hudson” jest pełen możliwości rekreacji i aktywności, które uwielbialiście na Ziemi. Korzystajcie z nich. Przyzwyczajajcie się do pracy z waszymi nowymi ciałami. Poznajcie ich potencjał i sprawdźcie, czy potraficie poznać granice ich możliwości.

– Panie i panowie, spotkamy się jeszcze na ostatecznej odprawie przed rozpoczęciem przez was szkolenia. Do tej pory – bawcie się jak najlepiej. Bez zbytej przesady można powiedzieć, że chociaż życie w szeregach

Kolonialnych Sił Obrony może wam wynagrodzić wiele trudów, to teraz być może po raz ostatni będziecie mogli zupełnie beztrosko używać waszych nowych ciał. Radzę wam wykorzystać ten czas w mądry sposób. Radzę wam się zabawić. To wszystko; możecie się rozejść.



Wszyscy zupełnie poszaleliśmy.

Zacznijmy, oczywiście, od seksu. Niezbyt rygorystycznie dbano o dobór partnerów, każdy robił to z każdym, w tak wielu zakamarkach statku, że nie starczyłoby miejsca, żeby je wszystkie wymienić. Po pierwszym dniu, kiedy okazało się, że każde choć trochę osłonięte miejsce może zostać wykorzystane do odbycia entuzjastycznego stosunku seksualnego, w dobrym tonie stało się robienie jak największego hałasu w czasie poruszania się po statku, co miało ostrzec zajętych sobą rekrutów i powiadomić ich o twoim nadejściu. Drugiego dnia rozeszła się po całym statku wieść o tym, że mam kabinę tylko dla siebie; zaczęto mnie zasypywać prośbami o możliwość skorzystania z niej. Wszystkim prośbom odmawiałem. Nigdy nie prowadziłem domu o wątpliwej reputacji, i w żadnym razie nie zamierzałem robić tego teraz. W mojej kabinie mogłem się pieprzyć tylko ja i wybrani przeze mnie goście.

To nie wszystko. Nie robiłem tego z Jesse; robiłem to z Maggie. Okazało się, że miała na mnie chrapkę nawet wtedy, kiedy byłem jeszcze stary i pomarszczony. Po spotkaniu z Higgeem dopadła mnie przy drzwiach mojej kabiny; przyszło mi potem do głowy, że jest to być może standardowa procedura operacyjna używana przez poddane transferowi kobiety. Mimo tego bardzo dobrze się z nią bawiłem, prywatnie okazała się dużo mniej

zamknięta w sobie niż w sytuacjach towarzyskich. Na Ziemi była profesorem w College'u Oberlin. Nauczała tam filozofii religii azjatyckich. Napisała na ten temat sześć książek. Czego to człowiek nie dowiaduje się o innych ludziach...

Reszta Starych Pierdzieli też dusiła się uściskami rąk i nóg we własnym, pieprzonym sosie. Po naszym krótkotrwałym „romansie” Jesse dobrała się z Harrym, podczas gdy Alan, Tom i Susan stworzyli układ trójkowy z Tomem pośrodku. Dobrze, że Tom lubił dużo jeść – potrzebował dużych ilości energii.

Dzika żarliwość, z jaką rekruci zajmowali się seksem, oglądana z zewnątrz mogła wydać się niestosowna, ale z naszego punktu widzenia (z dołu, z góry, z boku, na stojąco) naprawdę była bardzo uzasadniona i sensowna. Weźcie grupę ludzi, która od jakiegoś czasu raczej nie uprawiała seksu – z powodu braku partnerów, pogarszającego się zdrowia i spadku libido – poupychajcie ich wewnątrz młodych, atrakcyjnych, świetnie funkcjonujących ciał, a potem rzućcie ich gdzieś w międzygwiazdną przestrzeń, z dala od wszystkich, których kochali i od wszystkiego, co kiedykolwiek znali. Kombinacja tych trzech składników była doskonałą recepturą namiętnego seksu. Robiliśmy to, ponieważ mogliśmy to robić; a także dlatego, że samotność jest dręcząca.

Oczywiście robiliśmy też inne rzeczy. Używanie tych cudownych ciał tylko do seksu, byłoby jak nieustanne śpiewanie jednej, jedynej nuty. Nasze ciała przedstawiono nam jako nowe i udoskonalone, a my na własne potrzeby przekonywaliśmy się, że to prawda, robiąc różne proste, czasem zaskakujące rzeczy. Musiałem przerwać rozgrywany z Harrym mecz ping-ponga, kiedy okazało się, że żaden z nas nie może go wygrać – przyczyna tej niemożności nie tkwiła w naszej niekompetencji; wręcz przeciwnie, refleks, jaki obaj wykazywaliśmy i doskonała synchronizacja ręki z okiem

praktycznie uniemożliwiała każdemu z nas posłanie piłki poza zasięg przeciwnika. Przez pół godziny bez upuszczenia piłki posyłaliśmy sobie woleje – moglibyśmy robić to dłużej, gdyby jedyna posiadana przez nas piłeczka nie popękała od naszych potężnych, wprawiających ją w naddźwiękową prędkość uderzeń. To było śmieszne i cudowne zarazem.

Inni rekruci odkrywali to samo, ale na inne sposoby. Trzeciego dnia znalazłem się w tłumie widzów oglądających najbardziej poruszający pojedynek z wykorzystaniem elementów różnych sztuk walki jaki kiedykolwiek widziałem. W czasie tego sparingu dwaj uczestniczący w nim mężczyźni wyczyniali ze swoimi ciałami rzeczy normalnie niemożliwe do wykonania, biorąc pod uwagę naturalne granice giętkości ludzkiego ciała i powszechnie obowiązujące prawo ciężenia. W pewnym momencie jeden z mężczyzn kopnął drugiego z siłą, która wystrzeliła go w powietrze na połowę długości sali gimnastycznej; ten kopnięty, zamiast spaść na podłogę w formie kupki połamanych kości (co ja na pewno bym zrobił), wykonał w czasie lotu salto w tył, złapał równowagę, i z powrotem wystrzelił w stronę przeciwnika. Wyglądało to jak jakieś efekty specjalne. I po części właśnie tym było.

Po walce obaj mężczyźni odetchnęli głęboko i ukłonili się sobie nawzajem. Potem padli sobie w ramiona jednocześnie śmiejąc się i łkając histerycznie. Być w czymś tak dobrym, jak zawsze się chciało, może okazać się jednocześnie dziwne, cudowne i problematyczne; a potem jeszcze lepsze.

Oczywiście niektórzy poszli w tym eksperymentowaniu o krok za daleko. Na własne oczy widziałem jedną z rekrutek skaczącą z wysokiego półpiętra; musiała chyba sądzić, że umie latać – albo, że przynajmniej uda jej się wylądować bez szwanku. Z tego, co widziałem, połamała sobie prawą nogę, prawą rękę, szczękę i doznała pęknięć czaszki. Jednak przeżyła



ten upadek, co na Ziemi byłoby niemożliwe. Jeszcze większe wrażenie zrobił na mnie fakt, że po dwóch dniach znów wkroczyła do akcji – ale to raczej świadczyło dobrze o zaawansowaniu technologii medycznej Kolonialnych, niż o własnych zdolnościach regeneracyjnych tej głupiej kobiety. Mam nadzieję, że ktoś jej powiedział, żeby w przyszłości nie robiła tak idiotycznych rzeczy.

Kiedy ludzie nie bawili się swoimi ciałami, bawili się swoimi umysłami, albo swoimi MózGościami – co wychodziło prawie na jedno i to samo. Kiedy przechadzałem się po statku, często widziałem rekrutów siedzących z zamkniętymi oczami, często również powoli kiwających głowami. Słuchali muzyki, oglądali filmy albo grali z komputerem, znajdując w ten sposób chwilę samotności. Sam to robiłem; przeszukując system statku, natknąłem się na kompilację starych kreskówek z serii Zwariowane Melodie, zawierających zarówno te z klasycznego okresu Warnera, jak i z późniejszych czasów, kiedy ich bohaterowie stali się własnością publiczną. Którejś nocy spędziłem długie godziny oglądając, jak Kojot zostaje rozbity w kawałki i nadmuchany; przestałem oglądać, kiedy Maggie powiedziała, że muszę wybrać między nią a Strusiem Pędziwiatrem. Wybrałem ją. W końcu zawsze mogłem sobie włączyć Strusia Pędziwiatra. Wszystkie kreskówki ściągnąłem sobie na MózGościa.

Dużo czasu spędzałem ze swoimi przyjaciółmi. Wszyscy Starzy Pierdziele wiedzieli, że nasza grupa była w najlepszym razie tymczasowa; byliśmy po prostu siódmką ludzi wrzuconych przypadkowo w sytuację, która nie miała szans na długotrwałość. Ale mimo to zaprzyjaźniliśmy się – i to blisko, biorąc pod uwagę krótki czas trwania naszej znajomości. Nie będzie w tym przesady, jeśli powiem, że Thomas, Susan, Alan, Harry, Jesse i Maggie stali mi się tak bliscy, jak nie stał się nikt w całej drugiej połowie mojego „normalnego” życia. Stworzyliśmy zgraną bandę, a nawet coś w

rodzaju rodziny – mieliśmy przecież swoje sprzeczki o drobiazgi i zdarzało nam się pomieszkiwać razem. Daliśmy sobie nawzajem siebie – kogoś, o kogo moglibyśmy się troszczyć – a tego właśnie było nam trzeba we wszechświecie, który nawet nie wiedział o naszym istnieniu. Nie mówiąc już o trosce.

Zwiąaliśmy się ze sobą. A stało się to nawet jeszcze zanim naukowcy z kolonii umożliwili nam to w sensie cielesnym. Im bardziej „Henry Hudson” zbliżał się do miejsca naszego przeznaczenia, tym wyraźniej czułem, że będę za nimi tęsknić.



– W tym pomieszczeniu znajduje się w tej chwili 1022 rekrutów – powiedział podpułkownik Higgee. – Za dwa lata nie będzie żyło 400 spośród was.

Higgee znowu stał pod ekranem kinoteatru. Tym razem miał za sobą tło; na ekranie unosił się masywny ogrom Beta Pyxis III, jakby wykuty z marmuru przetykanego błękitnymi, białymi, zielonymi i brązowymi żyłkami. Nikt nie patrzył na ekran, wszyscy wpatrywali się w podpułkownika Higgee. Podawane przez niego dane statystyczne przykuwały uwagę; trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że była zaledwie szósta rano i większość spośród nas lekko chwiała się na nogach po ostatniej, jak zakładaliśmy, nocy wolności.

– W ciągu trzeciego roku – kontynuował. – Zginie kolejna setka. Po 150 osób w roku czwartym i piątym. Po dziesięciu latach – tak, rekruci, najprawdopodobniej będziecie zobowiązani do odbycia dziesięcioletniej służby – łącznie 750 spośród was polegnie na polu walki. Trzy czwarte z

was zginie. Takie są statystyki; nie tylko z ostatnich dziesięciu czy dwudziestu lat – te liczby nie zmieniają się od ponad dwóch stuleci działania Kolonialnych Sił Obrony.

Na widowni panowała głucha cisza.

– Wiem, co teraz myślicie, bo pamiętam co sam sobie myślałem, kiedy byłem na waszym miejscu – powiedział podpułkownik Higgee. – Myślicie sobie: co ja do diabła tutaj robię? Ten facet mówi mi że umrę w ciągu najbliższych dziesięciu lat! Ale pamiętajcie o tym, że w domu też prawdopodobnie byście umarli w ciągu dziesięciu lat – z tym, że tam, słabowici i starzy, umarlibyście nikomu niepotrzebną śmiercią. Tutaj możecie umrzeć w służbie Kolonialnych Sił Obrony. I prawdopodobnie tak się stanie. Ale wasza śmierć nie będzie niepotrzebną śmiercią. Umrzecie, żeby zachować życie ludzkości we wszechświecie.

Ekran za podpułkownikiem na chwilę opustoszał, a po chwili pojawiła się na nim trójwymiarowa gwiazdna mapa.

– Wytłumaczę wam nasze położenie – powiedział i wskazał kilkadziesiąt świecących jasnozielonym światłem gwiazd, rozrzuconych po całym nieboskłonie. – To są systemy skolonizowane przez ludzi, nasze punkty oparcia w galaktyce. A to są systemy, w których (według naszej dotychczasowej wiedzy) egzystują inne, obce rasy o porównywalnej do naszej technologii i wymogach życiowych. – Tym razem czerwonym światłem rozjarzyły się setki gwiazd. Zielone gwiazdy były dokładnie otoczone przez czerwone. Cała widownia głęboko westchnęła ze zdziwienia.

– Ludzkość ma dwa główne zmartwienia – powiedział podpułkownik Higgee. – Po pierwsze uczestniczy z innymi gatunkami istot myślących w wyścigu kolonizacyjnym. Kolonizacja stanowi warunek przetrwania naszej rasy. To proste. Musimy kolonizować kolejne światy, albo zostaniemy

odcięci i wchłonięci przez inne rasy. To zawzięte współzawodnictwo. Wśród innych rozumnych ras istot żywych ludzkość ma paru sprzymierzeńców. Niewiele ras chce zawierać z innymi sojusze. Pod tym względem sytuacja niewiele się zmieniła; tak samo wyglądało to zanim ludzkość wkroczyła między gwiazdy.

– Nawet jeśli uważacie, że na dłuższą metę mogłyby nam pomóc rozwiązania dyplomatyczne, to w obecnych uwarunkowaniach jesteśmy w stanie dzikiej i zaciętej rywalizacji. Nie możemy powściągnąć naszej ekspansji w nadziei, że znajdziemy pokojowe rozwiązanie, które pozwoli na kolonizację wszystkim gwiazdnym rasom. Gdybyśmy tak zrobili, przesądziłibyśmy o przyszłej zagładzie ludzkości. Dlatego prowadzimy wojny kolonizacyjne.

– Naszym drugim problemem jest to, że kiedy odnajdujemy planety nadające się do kolonizacji, to najczęściej są one już zamieszkane przez istoty inteligentne. Kiedy tylko możemy, żyjemy razem z miejscową populacją i staramy się osiągnąć harmonię tego współżycia. Niestety, w większości przypadków, nie jesteśmy tam mile widzianymi gośćmi. To godna pożałowania sytuacja, ale potrzeby ludzkości są, i muszą być, naszym priorytetem. I tak Cywilne Siły Obrony stają się wojskami najeźdźczymi.

Na ekranie znowu pojawiła się Beta Pyxis III.

– W doskonałym wszechświecie nie potrzebowalibyśmy Kolonialnych Sił Obrony. Ale to nie jest doskonały wszechświat. Tak więc przed Kolonialnymi Siłami Obrony stoją trzy zadania. Ich pierwszym zadaniem jest chronić istniejące ludzkie kolonie i bronić ich przed ewentualnym atakiem czy inwazją. Drugim – lokalizować nadające się do kolonizacji nowe planety, i chronić je przed splądrowaniem, kolonizacją bądź najazdem

ze strony współzawodniczących z nami ras. Naszym trzecim zadaniem jest przygotowywanie zamieszkałych planet na potrzeby ludzkiej kolonizacji.

– Jako żołnierze Kolonialnych Sił Obrony będziecie zobowiązani wypełniać wszystkie spośród tych trzech zadań. To nie jest łatwa praca, nie jest też prosta, ani czysta. Ale zależy od niej przetrwanie ludzkości – inaczej mówiąc przetrwanie ludzkości zależy od was.

– Trzy czwarte spośród was zginie w przeciągu dziesięciu lat. To stały procent, pomimo postępującego udoskonalania ciał żołnierzy, broni i sprzętu. Ale odchodząc zostawicie wszechświat jako miejsce, w którym wasze dzieci, dzieci waszych dzieci, wszystkie dzieci ludzkości będą mogły żyć i rozwijać się. Koszt jest wysoki, ale gra jest warta świeczki.

– Niektórzy z was pewnie zastanawiają się nad tym, co dostaną za lata ciężkiej służby. Otóż po zakończeniu służby dostaniecie możliwość rozpoczęcia nowego życia. Będziecie mogli zacząć wszystko od początku i skolonizować swój nowy świat. Kolonialne Siły Obrony zapewnią wam wsparcie i zaopatrzenie we wszystkie potrzebne wam sprzęty i artykuły. Nie możemy zapewnić wam powodzenia w waszym nowym życiu – to będzie już zależało od was. Ale zostanie wam zapewniony dobry punkt wyjścia, na dodatek możecie liczyć na wdzięczność waszych współkolonistów za wieloletnią służbę w ich obronie. Albo będziecie mogli również zrobić to, co zrobiłem ja – zaciągnąć się znowu.

Obraz Beta Pyxis III zamigotał i zniknął z ekranu, wszyscy patrzyli teraz na samotnego Higgee'ego.

– Mam nadzieję, że posłuchaliście mojej rady i porządnie się zabawiliście przez ostatni tydzień – powiedział. – Teraz zaczniecie swoją pracę. Za godzinę opuścicie „Henry'ego Hudsona” i udacie się na miejsce swojego szkolenia. Jest tutaj parę baz szkoleniowych; wasze przydziały właśnie są przekazywane do waszych MózGości. Możecie teraz wrócić do

kabin i spakować rzeczy osobiste; nie bierzcie ubrań, w bazie zaopatrzą was w nowe. Wasze MózGoście zawiadomią was o miejscu zbiórki.

– Powodzenia, rekruci. Niech Bóg ma was w opiece. Obyście mogli służyć ludzkości godnie i z podniesioną głową.

Potem podpułkownik Higgee zaszalutował. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Zresztą nikt spośród nas nie wiedział.

– Znacie już swoje rozkazy – powiedział podpułkownik Higgee. – Możecie się rozejść.



Nasza siódemka stała razem, tłocząc się wokół siedzeń, z których właśnie wstaliśmy.

– Nie zostawili nam zbyt dużo czasu na pożegnania – stwierdziła Jesse.

– Sprawdźcie swoje komputery – powiedział Harry. – Może niektórzy z nas polecą do tych samych baz.

Sprawdziliśmy. Harry i Susan dostali przydział do Bazy Alfa, Jesse do Beta, Maggie i Thomas Gamma, a ja z Alanem Delta.

– Rozdzielają Starych Pierdzieli – powiedział Thomas.

– Nie ściemniaj – powiedziała Susan. – Wiedziałeś, że tak będzie.

– Będę ściemniał kiedy będę chciał – powiedział Thomas. – Nie znam tu nikogo więcej. Będę nawet tęsknił za tobą, ty stara torbo. – Zapomnieliście o czymś – powiedział Harry. – Możemy nie być razem, ale wciąż utrzymywać kontakt. Mamy swoich MózGościów. Musimy tylko stworzyć skrzynki mailowe. Klub „Starych Pierdzieli”.

– To działa tutaj – powiedziała Jesse. – Ale nie wiadomo co będzie, kiedy zaczniemy prawdziwą służbę. Możemy być w dwóch różnych

krańcach galaktyki.

– Statki i tak komunikują się między sobą przez Feniksa – powiedział Alan. – Każdy statek ma małe bezzałogowe statki, które pobierają z Feniksa rozkazy i zawiadamiają go o statusie statku. Przewożą też pocztę. Może trochę potrwać, zanim wiadomości do nas dotrą ale zawsze będziemy jakoś osiągalni.

– To jak przesyłanie wiadomości w butelkach – powiedziała Maggie. – W butelkach z niezwykłą siłą ognia.

– Zróbmy tak – powiedział Harry. – Bądźmy dla siebie taką małą rodziną. Dbajmy o siebie i swoje interesy, choćby nie wiem co.

– Teraz ty też zaczynasz ściemniać – stwierdziła Susan.

– Nie martwię się tym, że będę za tobą tęsknił, Susan – powiedział Harry. – Bo biorę cię ze sobą. Będę tęsknił za resztą.

– Zawrzyjmy więc pakt – powiedziałem. – Zostaniemy Starymi Pierdzielami na dobre i na złe. Uważaj, wielki wszechświecie.

Wyciągnąłem rękę przed siebie. Jedno po drugim, wszyscy Starzy Pierdziele położyli swoje dłonie na mojej.

– Chryste – powiedziała Susan, która położyła swoją dłoń jako ostatnia. – Teraz to ja ściemniam.

– To ci minie – powiedział Alan. Susan drugą dłonią sprzedała mu lekkiego kuksańca.

Staliśmy w ten sposób tak długo, jak mogliśmy.

# CZĘŚĆ II



# SIÓDMY

Daleko, nad rozległymi pustkowiami Beta Pyxis III i Beta Pyxis, tutejsze słońce, zaczynało właśnie swoją podróż w górę nieba nad zachodnim horyzontem. Odmienny skład atmosfery nadawał niebu kolor morskiej wody; było zieleńsze od ziemskiego, ale wciąż można było nazwać je błękitnym. Na falistej równinie purpurowe i pomarańczowe trawy kołysały się poruszane powiewem porannego wiatru. Na niebie widać było bawiące się, podobne do ptaków zwierzęta z dwoma parami skrzydeł; ćwiczące lot nurkowy i nagłe, chaotyczne podrywy, wypróbowywały siłę prądów i wirów powietrznych. To był nasz pierwszy poranek na nowym świecie; ani ja, ani żaden z moich byłych współtowarzyszy podróży, nigdy nie byliśmy na żadnej planecie poza Ziemią. Wszystko dookoła było niezwykle piękne. Gdyby na tej planecie nie było dużego, wściekłego starszego sierżanta, wrzeszczącego mi do ucha, byłoby wręcz doskonale.

Niestety, on tam był.

– Jezu Chryste na patyku – stwierdził starszy sierżant Antonio Ruiz, po tym, jak spojrzął na swój pluton rekrutów. W liczbie sześćdziesięciorga staliśmy tam przed nim w postawie (jak nam się wydawało) na baczność, na płycie lądowiska wahadłowców Bazy Delta. – Właśnie przegraliśmy walkę o pieprzony wszechświat. Patrzę na was ludzie i słowa „kompletnie spieprzone” same wyskakują z mojej przeklętej czaszki. Jeśli to wy jesteście tym, co Ziemia ma najlepszego do zaoferowania, to nadszedł czas, żebyśmy pochylili się i wsadzili sobie mackę prosto w dupę.

Te słowa wywołały mimowolny, cichy chichot paru rekrutów. Starszy sierżant Antonio Ruiz mógłby wygrać casting największej wytwórni

filmowej. Był dokładnie tym, czego oczekiwaleś od instruktora musztry – był wielki, wściekły i malowniczo obelżywy od pierwszej chwili. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby w ciągu następnych paru sekund zbliżył swoją twarz do twarzy któregoś z rozbawionych rekrutów, zasypał go przekleństwami i wydał rozkaz wykonania stu pompek. Po siedemdziesięciu pięciu latach oglądania dramatów wojennych właśnie to zostaje ci w głowie.

– Cha, cha, cha – powiedział starszy sierżant Antonio Ruiz, tym razem zwracając się bezpośrednio do nas. – Nie sądźcie, że nie wiem, co sobie myślicie, durne gnoje. Wiem, że w tym momencie podoba się wam moje przedstawienie. Jest świetne! Jestem dokładnie taki sam jak ci wszyscy instruktorzy musztry, których widzieliście w filmach! A może, kurwa, jest we mnie coś osobliwego?!

Rozbawione chichoty zaczęły cichnąć. Tego ostatniego kawałka nie było w scenariuszu.

– Nie rozumiecie – powiedział starszy sierżant Antonio Ruiz. – Wydaje wam się, że mówię w ten sposób, ponieważ tak powinien mówić instruktor musztry. Wydaje wam się, że po jakimś czasie moja gburowata, choć szczerza maska zacznie się zsuwać z mojej twarzy, po paru tygodniach szkolenia zacznę okazywać, że jestem pod wrażeniem wielu z was, a pod koniec szkolenia zasłużycie sobie nawet na mój niechętny szacunek. Wydaje wam się, że będę o was myślał z czułością, podczas, gdy wy będziecie czynić wszechświat bezpiecznym dla ludzkości, chronieni wiedzą, którą wam przekazałem, by zrobić z was lepszych żołnierzy. To, co wam się wydaje, panie i panowie, jest całkowitą i nieodwołalną bzdurą.

Starszy sierżant Antonio Ruiz odsunął się o krok i zaczął iść wzdłuż szeregu.

– To, co wam się wydaje jest bzdurą, ponieważ (w przeciwieństwie do was), ja naprawdę byłem tam, we wszechświecie. Wiem, z czym tam walczyliśmy. Widziałem, znanych mi osobiście, mężczyzn i kobiety zmienionych w pieprzone kawałki mięsa, które wciąż były w stanie krzyczeć. W czasie mojej pierwszej misji, mój oficer dowodzący stał się pieprzonym bufetem przekąskowym dla obcych. Patrzyłem, jak te skurwysyny chwytają go, przyszpilają do ziemi, wycinają jego organy wewnętrzne, rozdają między sobą i pożerają. Zniknęli z powrotem pod ziemią, zanim ktokolwiek z nas zdążył zrobić choć jedną cholerną rzecz.

Gdzieś za mną rozległ się zduszony chichot. Starszy sierżant Antonio Ruiz zatrzymał się i zadarł głowę do góry.

– Acha. Jeden z was myśli, że żartuję. Jedno z was durni pojebańcy zawsze tak myśli. Dlatego mam to na podporządku. Aktywować teraz – powiedział, i nagle przed każdym z nas pojawił się ekran wideo; minęła pełna dezorientacji sekunda, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że Ruiz w jakiś sposób zdołał zdalnie aktywować mojego MózGościa, przedstawiając go automatycznie na odbiór sygnału. Przesłany film najwyraźniej nakręcony został małą, umieszczoną na hełmie kamerą. Zobaczyliśmy paru żołnierzy przycupniętych w niskim okopie, omawiających plany na następny dzień. Po chwili jeden z żołnierzy zamilkł i przyłożył dłoń do piachu. Spojrzał w górę i wrzasnął „nadchodzą” sekundę przed tym, zanim powierzchnia ziemi pod nim wybuchła.

To, co zdarzyło się potem działo się tak szybko, że nawet instynktowne, paniczne ruchy właściciela kamery nie zdążyły wszystkiego uchwycić. Ale i tak nie był to przyjemny widok. Po tej stronie ekranu ktoś zaczął wymiotować, w ironiczny sposób dopasowując się do poczynań właściciela kamery. Na szczęście tuż po tej scenie przekaz wideo się skończył.

– Teraz już nie jestem taki zabawny, prawda? – zadrwił starszy sierżant Antonio Ruiz. – Nie jestem już takim szczęśliwym pieprzonym stereotypowym instruktorem musztry, prawda? A wy już nie jesteście na planie wojskowej komedii, mam rację? Witam w pierdolonym wszechświecie! Wszechświat to popieprzone miejsce, moi przyjaciele. I nie mówię do was w ten sposób, bo rutynowo wchodzę w rolę instruktora musztry. Ten człowiek, który na waszych oczach został pocięty na plasterki i pokrojony w kostkę był jednym z najlepszych żołnierzy, jakich kiedykolwiek miałem honor znać. Nikt z was nie może mu dorównać. A jednak widzieliście, co się z nim stało. Pomyślcie, co stanie się z wami. Mówię do was w ten sposób, ponieważ szczerze wierzę w to, że jeśli to wy jesteście wszystkim, co ludzkość może osiągnąć, to mamy precudownie i totalnie przesrane. Czy wierzycie w to, co mówię?

Niektórzy spośród nas wydobyli z siebie słowa: „Tak jest, sir”; inni mamrotanie, które je przypominało. Pozostali wciąż odtwarzali sobie przed oczami scenę wypatroszenia, tym razem bez udziału MózGościa.

– Sir? Sir? Jestem kurwa starszym sierżantem, gnoje jedne. Ja pracuję, żeby żyć! Będziecie mówić: „Tak jest, starszy sierżancie” kiedy będziecie odpowiadać twierdząco, i „Nie, starszy sierżancie”, kiedy będziecie odpowiadać przecząco. Rozumiecie?

– Tak jest, starszy sierżancie! – odpowiedzieliśmy.

– Stać was na więcej! Powtórzcie to!

– Tak jest, starszy sierżancie! – wrzasnęliśmy. Niektórzy z nas byli bliscy płaczu, ale chęć rozpłakania się znikła wraz z tym wrzaskiem.

– Moim zadaniem będzie zrobić z was żołnierzy w ciągu najbliższych dwunastu tygodni; i, na Boga, zamierzam to zrobić. Zamierzam to zrobić mimo tego, że już teraz wiem, że żaden z was, skurwysyny, nie podoła temu zadaniu. To tyczy też was, moje drogie panie. Chcę, żeby każde z was

pomyślało o tym, co wam tutaj mówię. To nie jest staromodne ziemskie wojsko, w którym sierżant od musztry miał rozruszać otyłych, wzmocnić słabych czy edukować głupich. Każde z was przynosi tutaj całe życie doświadczeń i nowe ciało w szczytowej formie fizycznej. Może myślicie, że to ułatwia mi pracę. Otóż N. I. E.

– Każde z was ma za sobą siedemdziesiąt pięć lat złych nawyków i uzasadnionych wewnętrznych odczuć i poglądów, a moim zadaniem jest oczyszczenie was z tego wszystkiego w ciągu trzech przeklętych miesięcy. Każde z was pewnie myśli, że to nowe ciało jest czymś w rodzaju lśniącej nowej zabawki. Tak, wiem co robiliście przez cały ostatni tydzień. Pieprzyliście się jak jakieś wściekłe małpy. Ale wiecie co? Koniec zabawy. Przez następne dwanaście tygodni, jeśli wam się poszczęści, będziecie mieli co najwyżej czas żeby zbrandzłować się pod prysznicem. Wasze nowe lśniące zabawki zaczną teraz pracować, moje śliczności. Ponieważ muszę zrobić z was żołnierzy. A to będzie praca w pełnym wymiarze godzin. – Ruiz wznowił swoją przechadzkę wzdłuż szeregu rekrutów.

– Chcę, żeby jedno było jasne. Nie lubię was, i nigdy żadnego z was nie polubię. Dlaczego? Ponieważ wiem, że mimo dobrej roboty, którą wykonam ja i którą wykonają moi ludzie, nieuchronnie postawicie nas w złym świetle. To mnie boli. Przez to budzę się w środku nocy ze świadomością, że cokolwiek zrobię, to i tak zawiedziecie tych, u boku których będziecie walczyć. Jedyne co mogę zrobić, to upewnić się, że kiedy na was przyjdzie pora, to nie pociągniecie za sobą całego pieprzonego plutonu. Właśnie tak – jeśli pozwolicie zabić tylko siebie, będę mógł to uważać za swój sukces.

– Możecie sobie myśleć, że jest to rodzaj jakiejś zgeneralizowanej nienawiści, którą będę okazywał do wielu spośród was. Zapewniam was, że tak nie jest. Każde z was zawiedzie, ale zawiedzie na swój własny,

niewpowtarzalny sposób, i dlatego właśnie będę odczuwał do każdego z was niechęć opartą na indywidualnych podstawach. Nawet w tej chwili każde z was objawia cechy, które irytują mnie jak cholera. Wierzycie mi?

– Tak, starszy sierżancie!

– Gówno prawda! Niektórzy z was wciąż myślą sobie, że będę nienawidził akurat kogoś innego niż oni. – Ruiz wyciągnął rękę i wskazał na równinę i wschodzące nad nią słońce. – Użyjcie swoich ślicznych nowych oczu, żeby spojrzeć na tamtą wieżę transmisyjną; ledwo można ją dostrzec. Znajduje się ona w odległości dziesięciu kilometrów. Panie i panowie, na temat każdego z was zamierzam znaleźć coś, co mnie wkurzy, a kiedy to znajdę, pobiegniecie do tej pieprzonej wieży sprintem. I jeśli ktoś nie wróci za godzinę, cały pluton jeszcze raz powtórzy ten bieg jutro rano. Zrozumieliście?

– Tak jest, starszy sierżancie! – Widziałem, że niektórzy dokonują w swoich głowach obliczeń; chciał, żebyśmy przebiegli cały ten dystans w obie strony w tempie kilometra w trzy minuty. Byłem prawie pewien, że następnego ranka będziemy musieli powtórzyć ten bieg.

– Kto był na Ziemi w wojsku, wystąp! – rozkazał Ruiz. Przed szereg wystąpiło siedmiu rekrutów.

– Niech to szlag – powiedział Ruiz. – W całym pieprzonym wszechświecie niczego nienawidzę bardziej niż rekruta-weterana. Trzeba wam, gnoje jedne, poświęcić dodatkowy czas i dodatkową energię, żeby oduczyć was każdej z tych pieprzonych rzeczy, których nauczyliście się na Ziemi. Musieliście walczyć tylko z ludźmi, patałachy! I nawet to wam nie wychodziło za dobrze! O tak, widzieliśmy tą całą waszą Subkontynentalną Wojnę. Kurwa mać! Sześć pieprzonych lat, żeby pokonać wroga, który dysponował dużo mniejszą siłą ognia; a na dodatek musieliście oszukiwać, żeby wygrać. Broń atomowa jest dla głupich pip. Dla pip! Gdyby KSO

walczyły tak, jak walczyła amerykańska armia, wiecie gdzie by ludzkość dzisiaj była? Na jakiejś asteroidzie zeszkrobywalibyśmy pożywne glony ze ścian pierdolonych tuneli. A którzy z was, wy zielone dupki, byli w Marines?

Przed szereg wystąpiło dwóch rekrutów.

– Wy jesteście najgorszymi ciołkami – Ruiz zbliżył się do nich obu tak bardzo, jak tylko mógł. – Wy, zadowoleni z siebie gówniarze zabiliście więcej żołnierzy KSO niż którykolwiek z obcych gatunków, działając w sposób pieprzonych Marines, a nie w sposób, w jaki powinno się działać. Pewnie gdzieś na swoich starych ciałach mieliście tatuaże z napisem „Semper Fidelis”, prawda? Prawda?!

– Tak jest, starszy sierżancie! – odpowiedzieli obaj byli Marines.

– Macie niewyobrażalne szczęście, że ich już nie macie, bo sam bym was powalił i wykroił je osobiście. A może myślicie, że nie mógłbym tego zrobić? W przeciwieństwie do tego, co dzieje się w tych waszych cennych, pieprzonych Marines, czy w jakimkolwiek innym wojsku na Ziemi, tutaj jest tak, że mógłbym spokojnie zrobić z waszych flaków fasolkę po bretońsku; za karę musiałbym co najwyżej rozkazać któremuś z pozostałych rekrutów wymopować mesę. – Ruiz odsunął się parę kroków do tyłu, żeby spojrzeć na wszystkich rekrutów-weteranów. – To jest prawdziwa armia, panie i panowie. Nie jesteście teraz w piechocie, marynarce, lotnictwie czy Marines. Jesteście jednymi z nas. A za każdym razem, kiedy o tym zapomnicie, wtedy zjawię się ja i stanę każdemu z was na pieprzonej głowie. A teraz zacznijcie biec!

Pobiegli.

– Kto jest homoseksualny? – zapytał Ruiz. Do przodu wystąpiła czwórka rekrutów, w tym Alan, który stał w szeregu obok mnie. Widziałem jego zmarszczone brwi, kiedy dawał krok do przodu.

– Niektórzy z największych żołnierzy w historii ludzkości byli homoseksualistami – powiedział Ruiz. – Aleksander Wielki; Ryszard Lwie Serce; Spartanie mieli specjalny oddział żołnierzy–gejów, bo zakładali, że mężczyzna będzie lepiej walczył w obronie swojego kochanka, niż po prostu w obronie innego żołnierza. Niektórzy z najlepszych żołnierzy, jakich osobiście znałem, byli tak przegiętymi ciotami jak trzy dolarowy banknot. Świetnie walczyli, wszyscy co do jednego.

– Ale muszę powiedzieć, że jest jedna rzecz, która mnie u was wszystkich wkurza: wybieracie najmniej kurwa odpowiednie momenty na wyznania. Trzy razy w ciężkich (w sensie wojskowym) chwilach walczyłem u boku geja, i za każdym razem mój towarzysz wybierał właśnie ten, najgorszy z wszystkich moment, żeby mi powiedzieć, jak bardzo mnie kocha od chwili naszego spotkania. Do cholery jasnej, to jest naprawdę niestosowne. Jakiś obcy właśnie próbuje wyssać mój pieprzony mózg, a mój towarzysz broni chce ze mną rozmawiać o naszej wzajemnej relacji. Jakbym nie był już dostatecznie zajęty. Oddajcie swoim kolegom pieprzoną przysługę. Jeśli jesteście na kogoś napaleni, załatwcie to w czasie przepustki, a nie w momencie, kiedy jakiś stwór próbuje wyrwać wasze przeklęte serca. A teraz biegnijcie! – Czwórka homoseksualistów odbiegła.

– Kto z was należy do mniejszości? – Wystąpiło dziesięciu rekrutów. – Bzdura. Rozejrzyjcie się, dupki. Tutaj wszyscy są zieloni. Tu nie ma żadnych mniejszości. Chcecie być pieprzoną mniejszością? Dobrze. We wszechświecie żyje dwadzieścia miliardów ludzi. Przedstawiciele innych rozumnych ras są cztery tryliony, i wszyscy oni chcą z was sobie zrobić przedobiednią przekąskę. A mówimy teraz tylko o tych, których znamy! Pierwszy z was, zgnile cieniasy, który zacznie tutaj mówić o byciu jakąś mniejszością, ocknie się z moją zieloną latynoską stopą w swojej zrzędlowej



dupie! Biegiem marsz! – Przedstawiciele mniejszości ruszyli sprintem w stronę wieży.

I tak dalej. Ruiz miał coś do zarzucenia Chrześcijanom, Żydom, Muzułmanom i ateistom, pracownikom agencji rządowych, lekarzom, prawnikom, nauczycielom, robotnikom, właścicielom zwierząt domowych, posiadaczom broni, adeptom sztuk walki, fanom wrestlingu, a nawet ludziom uprawiającym taniec w chodakach – w tym ostatnim przypadku dziwne było zarówno to, że coś mu w tym tańcu przeszkadzało, jak i to, że w naszym plutonie znalazł się ktoś należący do tej kategorii. Rekruci opuszczali formację w grupach, parach lub pojedynczo, i odbiegali w stronę wieży.

W końcu zdałem sobie sprawę z tego, że Ruiz patrzy prosto na mnie. Stanąłem jeszcze bardziej na baczność.

– Nich mnie diabli – powiedział Ruiz. – Na placu został jeden jedyny patafian!

– Tak jest, starszy sierżancie! – wrzasnąłem tak głośno, jak tylko mogłem.

– Trudno mi uwierzyć, że znalazł się ktoś, kto nie pasuje do żadnej z krytykowanych przeze mnie kategorii! – powiedział Ruiz. – To znaczy, że próbujesz uniknąć przyjemnej porannej przebieżki!

– Nie, starszy sierżancie! – ryknąłem.

– W ogóle nie przyjmuję do wiadomości tego, że nie ma w tobie niczego, czym mógłbym gardzić – oznajmił Ruiz. – Skąd jesteś?

– Z Ohio, starszy sierżancie!

Ruiz skrzywił się. Nie miał się do czego przyczepić. Zupełna nieokreśloność stanu Ohio po raz pierwszy zadziałała na moją korzyść.

– Kim byłeś z zawodu, rekrucie?

– Pracowałem na własny rachunek, starszy sierżancie!

– Jako kto?

– Byłem pisarzem, starszy sierżancie!

Dziki uśmiech znowu zagościł na twarzy Ruiza; najwyraźniej miał również coś do zarzucenia tym, którzy zawodowo posługiwali się słowami.

– Powiedz tylko, że pisałeś beletrystykę, rekrucie – powiedział. – Mam do wyjaśnienia parę rzeczy z powieściopisarzami.

– Nie, starszy sierżancie!

– Chryste, człowieku! Więc co pisałeś?

– Wymyślałem pomysły i tworzyłem scenariusze reklam, starszy sierżancie!

– Reklama! Jakie durne, nikomu niepotrzebne rzeczy reklamowałeś?

– Mój najśłynniejszy projekt dotyczył postaci Willie’ego Wheelie, starszy sierżancie!

Willie Wheelie był maskotką opon firmy Nirwana, która produkowała ogumienie do różnych rodzajów specjalistycznych pojazdów. Byłem autorem samego pomysłu i głównych sloganów promocyjnych; graficy właściwie po prostu szczegółowo obrazowali moje opisy postaci i sytuacji. Pojawienie się Willie’ego Wheelie zbiegło się w czasie z powrotem mody na motocykle; szaleństwo na jednoślady trwało dobrych kilka lat, i Willie zarobił dla Nirwany całą górę pieniędzy – zarówno jako postać z reklamy, jak i jako pluszowa maskotka, naszywka na T-shirty, kalkomania na kubki i kieliszki, i tak dalej. Planowano nawet zorganizowanie wielkiej rewii dla dzieci z Willie’em w roli głównej, ale nic z tego nie wyszło. To była głupiutka rzecz, nie odczuwałem szczególnej dumy z okazji stworzenia tej postaci; ale z drugiej strony wielki sukces Willie’ego sprawił, że nigdy potem nie mogłem narzekać na brak klientów. Pracował dla mnie całkiem dobrze. Aż do tej chwili, jak się zdawało.

Ruiz nagle przysunął się do mnie, bardzo blisko, i wrzasnął:

– Więc to ty jesteś głównym twórcą Willie’ego Wheelie, rekrucie?

– Tak, starszy sierzancie! – Krzyczenie do człowieka, którego twarz znajduje się w odległości kilkunastu milimetrów od twojej, może być źródłem perwersyjnej rozkoszy.

Oblicze Ruiza jak wielki zielony księżyc unosiło się nad moją twarzą przez kilka dobrych sekund. Patrzył na mnie uważnie, najwyraźniej czekał, aż się wzdrygnę. Przez chwilę nawet warczał. Potem odsunął się i zaczął rozpinąć koszulę. Pozostałem w postawie na baczność, ale nagle zacząłem się bardzo, bardzo bać. Ściągnął koszulę, obrócił w moją stronę prawe ramię i podstawił mi je pod nos.

– Co widzicie na moim ramieniu, rekrucie?

Spojrzałem w dół, pomyślałem, *To kurwa niemożliwe*, i powiedziałem:

– To tatuaż przedstawiający Willie’ego Wheelie, starszy sierzancie!

– Masz rację do cholery – warknął Ruiz. – Opowiem ci pewną historię, rekrucie. Na Ziemi miałem za żonę złą, okrutną kobietę. To była prawdziwa zmija. A jednak do tego stopnia byłem od niej uzależniony, że chociaż małżeństwo z nią przypominało powolną śmierć zadawaną krawędziami kartek papieru, to kiedy zażądała rozwodu, miałem myśli samobójcze. W najgorszym momencie stałem akurat na przystanku, kontemplując wturlanie się pod najbliższy nadjeżdżający autobus. W pewnej chwili spojrzałem na stojący po drugiej stronie drogi duży banner reklamowy, na którym widać było postać Willie’ego Wheelie. I wiesz, co tam było napisane?

– „Czasem Po Prostu Musisz Ruszyć z Miejsca”, starszy sierzancie! – napisanie tego sloganu promocyjnego zajęło mi niecałą minutę. Jaki ten świat jest dziwny.

– Dokładnie – powiedział. – I kiedy patrzyłem na tę reklamę, doznałem czegoś, co można by nazwać olśnieniem; właśnie tego było mi trzeba, musiałem po prostu ruszyć z tego pieprzonego miejsca, w którym byłem.

Rozwiodłem się z tą wredną ślimaczą, zaśpiewałem pieśń dziękczynną, spakowałem swoje rzeczy do sakwy i się wyniosłem. Od tego błogosławionego dnia Willie Wheelie został moim awatarem, symbolem mojej potrzeby swobody i wolnej ekspresji. On uratował mi życie, rekrucie, i jestem za to do zgonnie wdzięczny.

– Nie ma za co, starszy sierżancie! – ryknąłem.

– Rekrucie, to dla mnie zaszczyt, że mogę cię poznać. Na dodatek jesteś pierwszym rekrutem w całej mojej karierze, który z miejsca nie wzbudził mojej pogardy. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi to przeszkadza i wytrąca z równowagi. Jednak grzeję swoją skłopotaną duszę przy wesołym ogniu przekonania, że wkrótce – prawdopodobnie w ciągu kilku najbliższych godzin – bez wątpienia zrobisz coś, co mnie wkurzy. Żeby ułatwić ci to zadanie, przydzielam ci rolę dowódcy plutonu. Ta niewdzięczna robota nie ma swoich dobrych stron, ponieważ musisz jechać na tych smutno-dupnych rekrutach dwa razy ostrzej niż ja. Za każdą z licznych wpadek, które oni popełnią ty także będziesz ponosił odpowiedzialność. Będą cię nienawidzić, gardzić tobą i knuć spiski, mające odebrać ci władzę – a ja będę na swoim miejscu, żeby dać ci dodatkową porcję gówna, kiedy im się powiedzie. Co o tym myślisz, rekrucie? Mówcie swobodnie!

– Wygląda na to, że mam przesrane, starszy sierżancie! – wrzasnąłem.

– Masz rację, rekrucie – powiedział Ruiz. – Ale miałeś przesrane od chwili, kiedy wylądowałeś w moim plutonie. A teraz biegnij. Dowódca musi przecież biec razem ze swoim plutonem. Jazda!



– Nie wiem, czy mam ci gratulować, czy zacząć się o ciebie bać – powiedział Alan, kiedy szliśmy do mesy na śniadanie.

– Możesz robić i to, i to – powiedziałem. – Chociaż prawdopodobnie bardziej uzasadniony będzie strach. Ja sam go odczuwam. O, tam stoją – wskazałem na grupę rekrutów stojącą razem przed wejściem do mesy.

Wcześniej tego dnia, kiedy biegłem w stronę wieży komunikacyjnej, MózGość niemal spowodował moją kolizję z drzewem, nagle wyświetlając wiadomość tekstową po środku mojego pola widzenia. Udało mi się wyminąć drzewo ostrym skrętem – ledwo musnąłem pień ramieniem – i powiedziałem Dupkowi, żeby przestawił się na tryb głosowy zanim się zabije. Dupek potwierdził moją komendę i odczytał wiadomość od początku:

– Przydzielenie Johnowi Perry’emu funkcji dowódcy Sześćdziesiątego Trzeciego plutonu Szkoleniowego przez starszego sierżanta Antonio Ruiza zostało zatwierdzone. Gratulacje z okazji awansu. Masz teraz dostęp do akt osobowych i pochodzących od MózGościów informacji dotyczących rekrutów Twojego plutonu Szkoleniowego. Proszę pamiętać, że informacje te mogą posłużyć jedynie do celów urzędowych; użycie ich w pozawojskowych celach będzie przyczyną natychmiastowego zwolnienia z funkcji dowódcy plutonu i postawienia przed sądem wojskowym (według uznania głównodowodzącego bazy).

– Byczo – powiedziałem, przeskakując niewielki rów.

– Do końca przerwy śniadaniowej będziesz musiał przedstawić starszemu sierżantowi Ruizowi wybranych przez siebie dowódców oddziałów. – Dupek mówił dalej. – Czy chciałbyś przejrzeć akta swojego plutonu, żeby ułatwić sobie proces selekcji?

Chciałem. I zrobiłem to. Biegłem dalej a Dupek błyskawicznie przedstawiał mi szczegółowe akta rekrutów. Kiedy dotarłem do wieży

transmisyjnej, miałem już listę zredukowaną do dwudziestu kandydatów; kiedy zbliżałem się do bazy, podzieliłem już cały pluton pomiędzy dowódców oddziałów i rozesłałem maile do wszystkich pięciu wybrańców, żeby spotkali się ze mną przed wejściem do mesy. Ten MózGość okazał się naprawdę przydatnym urządzeniem.

Zauważyłem też, że udało mi się wrócić do bazy po pięćdziesięciu pięciu minutach, a w drodze powrotnej nie minąłem żadnego z pozostałych rekrutów. Skonsultowałem się z Dupkiem i dowiedziałem się, że najwolniejszy z rekrutów (zresztą, o ironio, jeden z byłych Marines) przebiegł ten dystans w ciągu pięćdziesięciu ośmiu minut trzydziestu sekund. A więc nie powinniśmy biec do wieży następnego dnia rano, a przynajmniej nie z tego powodu, że za pierwszym razem biegliśmy zbyt wolno. Nie wątpiłem w to, że sierżant Ruiz bez trudu zdoła znaleźć kolejny pretekst. Miałem po prostu nadzieję, że to nie ja mu go dam.

Piątka rekrutów widząc, że nadchodzę z Alanem, wyprężyła się (mniej lub bardziej) w postawie na baczość. Troje z nich natychmiast zasalutowało, potem, trochę w owczy sposób, zrobiła to pozostała dwójka. Zasalutowałem im w odpowiedzi i uśmiechnąłem się.

– Nie przejmujcie się – powiedziałem do tych, którzy zasalutowali mi jako ostatni. – Dla mnie to też jest nowa sytuacja. Chodźcie, staniemy w kolejce i porozmawiamy przy jedzeniu.

– Chcesz, żebym szybko się zmył? – zapytał mnie Alan, kiedy staliśmy w kolejce. – Pewnie masz z nimi do omówienia dużo ważnych rzeczy.

– Nie – powiedziałem. – Wolałbym, żebyś został. Chcę poznać twoje zdanie na ich temat. Poza tym mam dla ciebie niespodziankę; będziesz zastępcą dowódcy w naszym oddziale. A skoro mam niańczyć cały pluton, to ty prawdę mówiąc będziesz pełnił funkcję dowódcy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Jakoś sobie poradzę – powiedział Alan z uśmiechem. – A tak w ogóle to dzięki za to, że umieściłeś mnie w swoim oddziale.

– No wiesz – powiedziałem – Jaki sens miałyby dowodzenie, gdyby nie można sobie pozwolić na arbitralne faworyzowanie. Poza tym, kiedy nastąpi mój upadek, ty będziesz tuż przede mną, żeby go zamortyzować.

– To właśnie ja – stwierdził Alan. – Poduszka powietrzna twojej kariery wojskowej.

Mesa była zatłoczona, ale naszej siódemce udało się zarekwirować stół.

– Najpierw prezentacja – powiedziałem. – Poznajmy swoje imiona. Ja jestem John Perry, i przynajmniej w tym momencie jestem dowódcą plutonu. To jest zastępca dowódcy w moim oddziale, Alan Rosenthal.

– Angela Merchant. – Jako pierwsza przedstawiła się siedząca po drugiej stronie stołu kobieta. – Z Trenton, New Jersey.

– Terry Duncan – powiedział siedzący obok niej koleś. – Missolula, Montana.

– Mark Jackson, St. Louis.

– Sarah O’Connell z Bostonu.

– Martin Garabedian. Sunny Fresno, Kalifornia.

– No cóż, przynajmniej pod względem geograficznego pochodzenia czymś się od siebie różnimy – powiedziałem, a moje słowa wywołały chichot, co było czymś dobrym. – Będę się streszczał, bo gdybym zaczął dłużej o tym mówić, wyszłoby na jaw, że nie mam zielonego pojęcia co robię. Wybrałem waszą piątkę, ponieważ w historii każdego z was znalazłem coś, co przekonało mnie, że poradzicie sobie z dowodzeniem oddziałem. Wybrałem Angelę, bo była dyrektorem naczelnym. Terry prowadził własne rancho z hodowlą bydła. Mark był w wojsku pułkownikiem; z całym szacunkiem należnym sierżantowi Ruizowi, ja osobiście uważam to za zaletę.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Mark.

– Martin był w radzie miejskiej Fresno. A Sarah przez trzydzieści lat pracowała w przedszkolu, co automatycznie czyni ją najbardziej wykwalifikowaną z nas wszystkich. – Znowu ich rozśmieszyłem. Ba, byłem na fali.

– Powiem szczerze – powiedziałem. – Nie zamierzam być dla was przesadnie twardym szefem. Tą robotę wykonuje już sierżant Ruiz, ja byłbym tylko jego bladym cieniem. Poza tym to nie w moim stylu. Nie wiem, jaki będzie wasz styl dowodzenia, ale chcę, żebyście zrobili to, co będziecie uznawali za stosowne, żeby przeprowadzić rekrutów z waszych oddziałów przez najbliższe trzy miesiące. Naprawdę nie zależy mi na byciu dowódcą plutonu, ale naprawdę bardzo chciałbym mieć pewność, że każdy z rekrutów tego plutonu będzie dysponował umiejętnościami i wyszkoleniem, które pozwolą mu tam przeżyć. Amatorski filmik Ruiza zrobił na mnie duże wrażenie. Mam nadzieję, że na was też.

– Chryste, też pytanie – powiedział Terry. – Oprawili tego biednego drania jak byczka w masarni.

– Szkoda, że nie pokazali nam tego zanim się zaciągnęliśmy – powiedziała Angela. – Pewnie zdecydowałabym się pozostać starą babą.

– To jest wojna – powiedział Mark. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Zróbmy po prostu wszystko, co w naszej mocy, żeby nasi rekruci byli w stanie jakoś przeżyć takie sytuacje – powiedziałem. – Do rzeczy. Podzieliłem pluton na sześć dziesięcioosobowych oddziałów. Ja dowodzę oddziałem A; Angela, ty masz oddział B; Terry, C; Mark, D; Sarah, E; i Martin, F. Dałem wam pozwolenie na sprawdzanie akt waszych podwładnych za pomocą waszych MózGościów; wybierzcie sobie zastępców i prześlijcie mi szczegółowe informacje do dzisiejszego lunchu. Wy i wasi zastępcy macie dbać o dyscyplinę i gładki przebieg szkolenia; z



mojego punktu widzenia wybrałem was tylko z jednego powodu – ja nie będę miał nic do roboty.

– Poza dowodzeniem własnym oddziałem – powiedział Martin.

– W tym miejscu wchodzę na scenę ja – powiedział Alan.

– Spotykajmy się codziennie na lunchu – powiedziałem. – Pozostałe posiłki możemy jeść ze swoimi oddziałami. Jeśli będziecie mieli coś, co może wymagać mojego zaangażowania, rzecz jasna natychmiast się ze mną skontaktujcie. Ale oczekuję, że będziecie starać się rozwiązywać możliwie jak najwięcej problemów na własną rękę. Jak już powiedziałem, nie planuję przyjmować stylu twardziela, ale tak czy siak jestem dowódcą plutonu, więc ma być tak, jak mówię. Jeśli uznam, że któreś z was się nie sprawdza, od razu je powiadomię, i jeśli nic nie da się zrobić, mianuję na jego miejsce kogoś innego. Nie będzie w tym nic osobistego, po prostu musimy mieć pewność, że wszyscy we właściwy sposób przejdą szkolenie, które pozwoli nam tam przeżyć. Zgadza się ze mną? – Wszyscy potakująco pokiwali głowami.

– To świetnie – powiedziałem i podniosłem do góry swój kubek. – Wypijmy więc toast za Sześćdziesiąty Trzeci Pluton Szkoleniowy. Żebyśmy przeszli przez to wszystko w jednym kawałku. – Stuknęliśmy się kubkami. Potem zajęliśmy się jedzeniem i rozmową. Pomyślałem, że wszystko zaczyna się układać coraz lepiej.

Nie musiało minąć dużo czasu, żebym zmienił zdanie.

# ÓSMY

Doba na Beta Pyxis trwa dwadzieścia dwie godziny trzynaście minut i dwadzieścia cztery sekundy. Z tego czasu pozostawiono nam na sen dwie godziny.

Przekonałem się o tym cudownym fakcie już pierwszej nocy, kiedy Dupek obudził mnie ostrym alarmowym dźwiękiem tak nieoczekiwanie, że z wrażenia aż spadłem z koi; a była to, oczywiście, górna koja. Sprawdziłem, czy nie złamałem sobie nosa, i przeczytałem wiadomość tekstową unoszącą się we wnętrzu mojej czaszki:

Niniejszym informuje się dowódcę plutonu Perryego, że pozostało mu – w tym miejscu tekstu znajdowało się cyfrowe, poddane odliczaniu przedstawienie pozostałego czasu; w momencie, kiedy odczytywałem wiadomość, zostało mi go jeszcze jedna minuta czterdzieści osiem sekund – zanim starszy sierżant Ruiz wraz ze swoimi asystentami wejdzie do waszych baraków. Oczekuje się, że kiedy upłynie oznaczony czas, rekruci waszego plutonu będą w pełni przebudzeni oczekiwać w postawie na baczność. Wszyscy rekruci, którzy nie spełnią tego wymagania zostaną ukarani, co zostanie odnotowane na waszym koncie.

Natychmiast przekazałem tę wiadomość do moich dowódców oddziałów przez grupowy link, który utworzyłem dla nich poprzedniego dnia, przesłałem ogólny sygnał alarmowy do MózGościów wszystkich członków plutonu i zapaliłem światła w naszym baraku. Przez parę zabawnych sekund ludzie wokół mnie budzili się pod wpływem słyszalnego jedynie w ich mózgzach elektronicznego ryku. Wielu z nich powypadało ze swoich łóżek na podłogę, wszyscy byli zupełnie nieprzytomni; wraz z dowódcami

oddziałów powyrzucaliśmy na podłogę tych, którzy wciąż jeszcze wygodnie leżeli sobie w łóżkach. W ciągu minuty wszyscy, już przebudzeni, stali grzecznie na baczność. Pozostałe kilkanaście sekund poświęciliśmy na przekonywanie kilku wyjątkowo powolnych rekrutów, że teraz nie ma czasu na ubieranie się, oddawanie moczu czy cokolwiek innego poza czekaniem w nadziei, że uda nam się nie wkurzyć Ruiza, kiedy przekroczy próg naszego baraku.

Nadzieja jest matką głupich.

– Do chuja pana! – oznajmił Ruiz wchodząc. – Perry!

– Tak, jest starszy sierżancie!

– Co do diabła robiłeś przez te dwie minuty? Brandzlowałeś się? Twój pluton nie jest gotowy! Nie są ubrani, a czekają ich wkrótce zadania, które wykonuje się w ubraniu! Co masz na swoje wytłumaczenie?

– Starszy sierżancie, wiadomość mówiła, że pluton ma stać na baczność, kiedy przyjdzie pan ze swoimi ludźmi! Nie było w niej ani słowa o potrzebie włożenia ubrań!

– Chryste, Perry! Nie sądzisz, że bycie ubranym stanowi nieodłączną część postawy na baczność?

– Nie ośmielałbym się sądzić, starszy sierżancie!

– Nie ośmielałbyś się sądzić? Chcesz udawać mądralę, Perry?

– Nie, starszy sierżancie!

– Więc możesz ośmielić się wyprowadzić swój pluton na plac apelowy, Perry. Macie czterdzieści pięć sekund. Ruszać się!

– Oddział! – wrzasnąłem, ruszając z miejsca w nadziei, że mój oddział podąży za mną. Kiedy wybiegałem za drzwi, usłyszałem Angelę zwierzęcym rykiem ponaglącą oddział B; dokonałem właściwego wyboru. Dotarliśmy do placu apelowego – mój oddział w równej linii za mną, po mojej prawej stronie Angela ze swoim oddziałem, za nią Terry i

pozostali, w kolejności do ustawienia się w szyku. Ostatni człowiek z oddziału E dotarł na miejsce w czterdzieści cztery sekundy po wydaniu rozkazu. To było niezwykle. Na placu apelowym ustawiały się także inne plutony, w dużej mierze nie do końca ubrane, podobnie jak my. Kamień spadł mi z serca.

Szybkim krokiem nadszedł Ruiz, za nim podążało dwóch asystentów.

– Perry! Która jest godzina?

– Pierwsza zero zero czasu miejscowego, starszy sierżancie! – powiedziałem, zajrzawszy do MózGościa.

– To niezwykle, Perry. Ty to potrafisz podać człowiekowi godzinę. O której godzinie zgasły światła?

– O dwudziestej drugiej zero zero, starszy sierżancie!

– Znowu masz rację! Niektórzy z was mogą się zastanawiać, dlaczego budzimy was w środku nocy po dwóch godzinach snu. Czy jesteśmy okrutni? Sadystyczni? A może po prostu chcemy was złamać? Tak, tacy właśnie jesteśmy i tego właśnie chcemy. Ale nie dlatego was obudziliśmy. Obudziliśmy was z tego prostego powodu, że wy nie potrzebujecie więcej snu. Dzięki tym waszym ślicznym, nowym ciałom w zupełności wystarczą wam dwie godziny snu. Spaliście po osiem godzin z czystego przyzwyczajenia. Ale koniec z tym, panie i panowie. Cały ten wasz sen marnował mój czas. Potrzebujecie dwóch godzin snu, więc od teraz tyle będziecie spali.

– Idźmy dalej. Kto mi powie, czemu kazałem wam wczoraj przebiec dwadzieścia kilometrów w ciągu godziny?

Jeden z rekrutów podniósł rękę do góry.

– Tak, Thompson? – powiedział Ruiz. Albo nauczył się na pamięć nazwisk wszystkich rekrutów plutonu, albo miał włączonego MózGościa,

który dostarczał mu informacji na bieżąco. Nie jestem na tyle hazardzistą, żeby obstawiać którąkolwiek z tych dwóch możliwości.

– Kazał nam pan biec, ponieważ nienawidzi pan każdego z nas z osobistych powodów, starszy sierżancie!

– Doskonała odpowiedź, Thompson. Jednak tylko po części prawidłowa. Kazałem wam przebiec dwadzieścia kilometrów w ciągu godziny ponieważ możecie to zrobić. Nawet najwolniejszy z was dobiegł do mety na dwie minuty przed wyznaczonym czasem. Oznacza to, że nawet bez treningu, bez odrobiny rzeczywistego wysiłku, każdy z was może dotrzymać kroku złotym medalistom olimpijskim na Ziemi, parowy jedne.

– A wiecie dlaczego tak jest? Wiecie? Ponieważ żaden z was nie jest już człowiekiem. Jesteście lepsi od ludzi. Tylko jeszcze o tym nie wiecie. Kurwa, spędziliście tydzień obijając wasze lubieżne tyłki o ściany międzygwiazdowego statku jak nakręcane zabawki, a prawdopodobnie wciąż nie macie pojęcia z czego jesteście zrobieni. Cóż, panie i panowie, to się wkrótce zmieni. Pierwszy tydzień waszego szkolenia ma pomóc wam uwierzyć. I uwierzcie, zapewniam was. Nie będziecie mieli innego wyjścia.



Dwudziestopięciokilometrowe biegi. Biegi na sto metrów w siedem sekund. Skoki wzwyż na metr osiemdziesiąt. Przeskakiwanie dziesięciometrowych rowów. Wyciskanie dwustukilogramowych ciężarów. Setki, tysiące przysiadów, pompek i podciągnięć na drążku. Ruiz miał rację, samo wykonanie tych ćwiczeń nie sprawiało trudności – trudno było nam tylko uwierzyć, że możemy je wykonać. Rekruci zawodzili, ale zawsze

zawodzili z przyczyn nerwowych i charakterologicznych, nie fizjologicznych. Wtedy pojawiali się Ruiz i jego asystenci, i przez zastraszenie zmuszali takiego nieszczęśnika do wykonania ćwiczenia (a potem ja musiałem robić dodatkowe pompki, ponieważ to ja, albo moi dowódcy oddziałów, nie nastraszyliśmy wystarczająco ludzi z naszego plutonu).

Każdy z rekrutów, co do jednego, miał swoje chwile zwątpienia. Moja chwila słabości wypadła czwartego dnia, kiedy nasz pluton ustawił się w szyku wokół głównego basenu pływackiego w bazie. Każde z nas trzymało w ramionach dwudziestopięciokilogramowy worek piachu.

– Jaki jest najsłabszy punkt ludzkiego ciała? – spytał Ruiz, okrążając nasz pluton. – Nie jest nim serce, ani mózg, ani stopy, ani żadna z tych jego części, o których myślicie. Powiem wam, co jest jego najsłabszą stroną – krew. A to niezbyt dobra wiadomość, bo krew znajduje się w całym ludzkim ciele. Służy do przenoszenia tlenu, ale przenosi także choroby. Kiedy zostaniecie zranieni, krew krzepnie, ale często nie dość szybko, żeby zapobiec śmierci przez wykrwawienie. Kiedy jednak do tego dochodzi, człowiek tak naprawdę umiera z braku tlenu, ponieważ niezbędna do jego przenoszenia krew właśnie wytryskuje tworząc pieprzoną kałużę, która w żaden sposób nie może wam pomóc.

Kolonialne Siły Obrony, w swojej boskiej mądrości, wylały ludzką krew z roboty. Została zastąpiona przez SprytnąKrew. SprytnaKrew składa się z miliardów mikroskopijnej wielkości robotów, które robią wszystko to, co robiła ludzka krew – z tym, że robią to lepiej. Ponieważ jest substancją nieorganiczną, więc nie podlega zagrożeniom natury biologicznej. Potrafi nakazać waszemu MózGościowi krzepnięcie w czasie milionowych części sekundy, więc możecie stracić pieprzoną nogę i ani trochę się nie wykrwawić. A co najważniejsze dla was w tej chwili, każda z komórek

Sprytnej Krwi ma czterokrotnie większą zdolność przenoszenia tlenu niż naturalne czerwone ciała ludzkiej krwi.

Ruiz przystanął.

– Jest to dla was w tej chwili najważniejsze, ponieważ zaraz wskoczycie do basenu z tymi workami piasku w rękach. Opadniecie na dno. I zostanieie tam nie krócej niż sześć minut. Sześć minut to wystarczająco dużo czasu, żeby zabić każdego przeciętnego człowieka, ale wy możecie nie oddychać przez ten czas i nie stracić ani jednej komórki w waszych mózgach. Żeby zachęcić was do zostania na dole powiem, że pierwszy, który się wynurzy, dostanie służbę w latrynie na cały tydzień. A jeśli ten rekrut wynurzy się na dodatek przed upływem wyznaczonych sześciu minut, no cóż, powiedzmy że każdy z was wejdzie w bliską, osobistą znajomość z jakimś kibelem na terenie tej bazy. Rozumiecie? No to do wody!

Wskoczyliśmy, i, wedle rozkazu, opadliśmy prosto na dno, które znajdowało się trzy metry pod powierzchnią wody. Niemal natychmiast zacząłem panikować. Kiedy byłem dzieckiem, wpadłem do przykrytego folią basenu, i spędziłem pod wodą parę pełnych chaotycznego przerażenia minut, usiłując wydostać się na powierzchnię. Byłem pod wodą na tyle długo, że zaczynałem już się topić, i na tyle długo, że nabawiłem się trwającej do końca życia awersji do zanurzania głowy pod powierzchnię wody. Po około trzydziestu sekundach, poczułem, że bezwzględnie potrzebuję dużego łyku świeżego powietrza. Nie było mowy o tym, żebym wytrzymał całą minutę, nie mówiąc o sześciu.

Poczułem nagłe szarpnięcie. Obróciłem się trochę zbyt nerwowo i zobaczyłem Alana, który zanurkował obok mnie. Przez mętną, ciemną wodę basenu dostrzegłem, że stuka się dłonią w głowę i wskazuje palcem na mnie. W tym momencie mój MózGość zawiadomił mnie, że Alan prosi

o połączenie. Bezgłośnie wyraziłem zgodę, po czym usłyszałem w głowie pobawione emocji simulacrum głosu Alana:

– *Coś nie taki* – zapytał Alan.

– *Fobia* – odpowiedziałem nie wydobywając z siebie dźwięku.

– *Nie panikuj* – odpowiedział Alan. – *Zapomnij o tym, że jesteś pod wodą.*

– *Nie ma kurwa sposobu* – odparłem.

– *Więc udawaj* – odpowiedział Alan. – *Sprawdź, czy w pozostałych oddziałach ludzie nie mają takich samych problemów i pomóż im.*

Upiornie spokojny, komputerowo symulowany głos Alana pomógł mi się opanować. Połączyłem się ze swoim dowódcami oddziałów, żeby sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku, i rozkazałem im zrobić to samo z podległymi im ludźmi. W każdym z oddziałów znalazł się jeden czy dwóch rekrutów na krawędzi paniki. Zaczęli rozmawiać z nimi, próbując rozładować ich lęk. Obok mnie Alan komunikował się z członkami naszego własnego oddziału.

Minęły trzy minuty. Potem cztery. Jeden z rekrutów z oddziału Martina zaczął się poddawać – rzucał swoim ciałem w przód i w tył, a worek piasku w jego rękach działał jak kotwica. Martin zostawił swój własny worek, podpłynął do tamtego, chwycił go mocno za ramiona i zmusił go do spojrzenia mu w oczy. Wszedłem do MózGościa Martina i usłyszałem, jak mówi do swojego rekruta – *Spójrz na mnie spójrz mi w oczy.* To chyba pomogło, rekrut przestał się rzucać i zaczął się uspokajać.

Po pięciu minutach stało się jasne, że pomimo wzmożonego przepływu tlenu, wszyscy zaczęli czuć w płucach narastające kłucie. Ludzie zaczęli przestępować z jednej nogi na drugą, podskakiwać w miejscu, albo wymachiwać swoimi workami. W kącie basenu zobaczyłem kobietę, która



waliła czołem w swój worek z piaskiem. Część mnie zaśmiała się na ten widok; pozostała część chciała zrobić to samo.

Pięć minut czterdzieści trzy sekundy. Jeden z rekrutów oddziału Marka rzucił swój worek i zaczął płynąć ku powierzchni. Mark odrzucił swój balast, rzucił się do góry, złapał rekruta za kostkę i zaczął ściągać go w dół siłą własnego ciężaru. Pomyślałem, że mógłby mu pomóc jego zastępca, ale MózGość poinformował mnie, że to właśnie jego zastępca zaczął się wynurzać.

Minęło sześć minut. Czterdzieścioro rekrutów rzuciło swoje worki i wystrzeliło w górę. Mark puścił kostkę swojego zastępcy i popchnął go jeszcze od dołu – chciał upewnić się, że pierwszy wynurzy się na powierzchnię, i dostanie służbę w kiblu, którą chciał załatwić dla całego plutonu. Właśnie przygotowywałem się do odrzucenia mojego worka, kiedy kątem oka dostrzegłem, że Alan kręci głową.

– *Dowódca plutonu powinien wytrzymać do końca* – stwierdził.

– *Pocałuj mnie w dupę* – odparłem.

– *Nie jesteś w moim typie* – odpowiedział.

Wytrzymałem siedem minut trzydzieści jeden sekund i wynurzyłem się na powierzchnię święcie przekonany o tym, że moje płuca za chwilę wybuchną. Ale udało mi się przejść przez moją chwilę zwątpienia. Uwierzyłem. Byłem czymś więcej, niż tylko człowiekiem.



W drugim tygodniu szkolenia przedstawiono nam naszą broń.

– To standardowy sprzęt bojowy KSO, karabin piechoty WZ-35 – powiedział Ruiz podnosząc do góry swój karabin; podczas gdy nasze, wciąż

owinięte ochronną taśmą, stały u naszych stóp, na piachu placu apelowego bazy Delta. – Litery WZ są skrótem od słowa „wielozadaniowy”. W zależności od naszych potrzeb może wystrzelić sześć różnych wiązek promieni albo pocisków. Strzela pociskami karabinowymi, ładunkami wybuchowymi lub zwykłymi, które mogą być wystrzelwane półautomatycznie bądź automatycznie, granatami bliskiego zasięgu, zdalnie sterowanymi raketami bliskiego zasięgu, silnie łatwopalnym płynem pod wysokim ciśnieniem, i wiązkami promieni mikrofalowych. Jest to możliwe dzięki użyciu amunicji mikrorobotycznej o dużej gęstości... – Ruiz podniósł do góry coś, co wyglądało jak duży blok ciemnego metalu o tłustym połysku; taki sam blok znajdował się u moich stóp obok karabinu. – ... która dokonuje samomontażu tuż przed wystrzałem. Daje to tej broni maksymalną możliwość dostosowania funkcji bojowych przy minimalnym szkoleniu, który to fakt powinniście docenić, wy smutne bryły białka przywiezione prosto z laboratorium.

– Ci z was, którzy mają za sobą jakieś wojskowe doświadczenie na pewno pamiętają, że kazano wam często rozkładać, czyścić i składać z powrotem waszą broń. Nie będziecie tego robić z WZ-35. WZ-35 jest niezwykle skomplikowanym urządzeniem, a wy moglibyście coś w nim spieprzyć! Ten sprzęt ma zdolność samodiagnozy i autonaprawy. Ma również możliwość powiadomienia waszego MózGościa o pojawiających się problemach; jeśli by takie wystąpiły, a nie wystąpią. Od trzydziestu lat nie zanotowano wypadku wadliwego funkcjonowania karabinu WZ-35. Dzieje się tak dlatego, bo my – w przeciwieństwie do waszych zafajdanych ziemskich naukowców – potrafimy konstruować broń, która działa! Waszym zadaniem jest nie pogrywać z waszą bronią i nie przeszkadzać jej; macie po prostu z niej strzelać. Zaufajcie swojej broni, jest prawie na

pewno mądrzejsza od was. Pamiętajcie o tym, to być może uda wam się jeszcze trochę pożyć.

– Możecie momentalnie aktywować wasz WZ-35 przez zerwanie taśmy ochronnej, i utworzenie linku z waszym MózGościem. Kiedy to zrobicie, wasz WZ-35 stanie się naprawdę waszą bronią. Dopóki jesteście na terenie tej bazy, tylko wy będziecie mogli strzelać z waszego WZ-35; i to tylko wtedy, kiedy otrzymacie pozwolenie od dowódcy waszego oddziału albo plutonu, którzy z kolei muszą otrzymać pozwolenie od któregoś z instruktorów. W rzeczywistych warunkach bojowych jedynie wyposażeni w MózGościów żołnierze KSO będą mogli używać waszego WZ-35. Więc dopóki nie wkurzycie swoich współtowarzyszy walki aż do granic możliwości, nie będziecie się musieli obawiać, że ktoś użyje waszej broni przeciw wam.

– Od tej chwili będziecie mieli swoje WZ-35 zawsze przy sobie, dokądkolwiek pójdziecie. Będziecie go brać ze sobą, kiedy będziecie szli się wysrać. Będziecie go brać ze sobą, kiedy będziecie szli wziąć prysznic – nie martwcie się, że się zamoczy, natychmiast wypluje wszystko, co uzna za obcą substancję. Będziecie chodzić z bronią na posiłki. Będziecie z nią spać. Jeśli w jakiś sposób uda wam się wykroić trochę czasu na pieprzenie się, to lepiej miejcie oko na swój karabin.

– Nauczycie się, jak używać tej broni. Ona ocali wam życie. Amerykańscy Marines to pieprzone matole, ale mieli jedną dobrą rzecz – swoje Kredo Karabinu Marines. To kredo, między innymi, mówi: „To jest mój karabin. Jest wiele takich karabinów, ale ten jest mój. Mój karabin jest moim najlepszym przyjacielem. Jest moim życiem. Muszę nad nim panować, tak jak muszę panować nad swoim życiem. Mój karabin, beze mnie, jest bezużyteczny. Bez mojego karabinu, ja jestem bezużyteczny. Muszę używać mojego karabinu precyzyjnie. Muszę strzelać celniej od

mojego wroga, który próbuje mnie zabić. Muszę go zastrzelić, zanim on zastrzeli mnie. I tak też zrobię.”

– Panie i panowie, weźcie sobie to kredo do serca. To jest wasz karabin. Podnieście go i aktywujcie.

Uklęknąłem i odwinąłem z karabinu plastikową taśmę. Pomimo pełnych podziwu słów uznania dla tej broni jakie padły z ust Ruiza, WZ-35 nie sprawiał szczególnego wrażenia. Miał swoją wagę, ale nie był nieporęczny, był dobrze wyważony, a odpowiedni rozmiar ułatwiał manewrowanie nim. Na kolbie karabinu była naklejka z napisem: „ŻEBY UTWORZYĆ LINK Z MOZGOSCIEM; uruchom MózGościa i powiedz: Aktywuj WZ-35, numer seryjny ASD-324-DDD-4E3C1. “

– Hej, Dupku – powiedziałem. – Aktywuj WZ-35, numer seryjny ASD-324-DDD-4E3C1. “

WZ-3 ASD-324-DDD-4E3CI został aktywowany dla rekruta KSO Johna Perry, odpowiedział Dupek. Proszę załaduj teraz amunicję. W kącie mojego pola widzenia pojawił się malutki diagram pokazujący, w jaki sposób załadować mój karabin. Sięgnąłem w dół po prostopadłościenny blok, który był moją amunicją – i prawie straciłem równowagę, usiłując go podnieść. Jego ciężar robił wrażenie; kawałki o „dużej gęstości” nie były powiedziane dla żartu. Zgodnie z instrukcją wcisnąłem go w odpowiednie miejsce mojego karabinu. Kiedy to zrobiłem, z mojego pola widzenia znikł diagram pokazujący jak załadować karabin, a zamiast niego pojawił się krótki spis:

#### Dostępne Opcje Prowadzenia Ognia

Uwaga: Użycie jednego typu naboju zmniejsza możliwość użycia pozostałych typów

Naboje Karabinowe: 200

Ładunki Wybuchowe: 80

Granaty: 40

Pociski Raketowe: 35

Miotacz Ognia: 10 Minut

Mikrofale: 10 Minut

Obecnie Wybrane Naboje: Karabinowe

– Wybierz ładunki wybuchowe – powiedziałem.

Wybrano ładunki wybuchowe, odparł Dupek.

– Wybierz pociski raketowe – powiedziałem.

Wybrano pociski raketowe, odparł Dupek. Proszę wybrać cel. Nagle wokół każdego z członków plutonu pojawiła się jasnozielona obwódka celownika; dłuższe wpatrywanie się w każdego z nich powodowało migotanie zielonej otoczki. Co u diabła, pomyślałem, i wziąłem na cel rekruta z oddziału Martina o nazwisku Toshima.

Cel wybrany. Możesz strzelać, anulować, albo wybrać drugi cel – oznajmił Dupek.

– Stop – powiedziałem, anulowałem wybór celu i spojrzałem na mój WZ-35. Obróciłem się do Alana, który stał obok mnie.

– Boję się swojej własnej broni – powiedziałem.

– No co ty – odpowiedział Alan. – Ja dwie sekundy temu o mało co nie rozwaliłem cię granatem.

Nie zdążyłem odpowiedzieć na to szokujące wyznanie, bo przy drugim końcu dwuszeregu Ruiz wydarł się jednemu z rekrutów prosto w twarz:

– Co powiedziałeś przed chwilą, rekrucie?

Wszyscy umilkli i odwrócili się w tamtą stronę, żeby zobaczyć kto wzbudził gniew Ruiza.

Tym rekrutem był Sam McCain; przypomniałem sobie, że w czasie jednego z naszych spotkań w czasie lunchu, Sarah O’Connell opisała go

jako kogoś, kto więcej mówi, niż myśli. Nic dziwnego, przez większą część życia był sprzedawcą. Nawet w tej chwili, kiedy Ruiz prawie dotykał nosem jego nosa, McCain wyglądał na zadowolonego z siebie; no, może wyglądał na trochę zaskoczonego, zadowolonego z siebie człowieka – ale zawsze. Najwyraźniej nie miał pojęcia, czym tak wkurzył Ruiza – ale cokolwiek to było, zamierzał wyjść z tej sytuacji bez szwanku.

– Po prostu podziwiałem swoją broń, starszy sierżancie – powiedział, unosząc karabin do góry. – I powiedziałem do tego tutaj rekruta Floresa, że prawie mi żal tych biednych drani, z którymi będziemy walczyć...

McCain nie zdążył dokończyć swojej wypowiedzi, ponieważ Ruiz wyjął karabin z jego dłoni i jednym, zaskakująco zrelaksowanym ruchem uderzył McCaina dolną częścią kolby w skroń. McCain upadł na ziemię jak kupa szmat: Ruiz spokojnie wyciągnął nogę i postawił stopę na jego gardle. Potem obrócił karabin kolbą w swoją stronę; teraz przerażony McCain patrzył w lufę swojego własnego karabinu.

– Już nie jesteś taki zadowolony z siebie, prawda, gnojku? – powiedział Ruiz. – Wyobraź sobie, że jestem twoim wrogiem. Czy już prawie jest ci mnie żal? Właśnie rozbroiłem cię w czasie jednego kurwa wdechu. Tam, w górze, ci „biedni dranie” poruszają się szybciej, niż możesz sobie wyobrazić. Rozsmarują sobie twoją pieprzoną wątrobę na krakersach i zjedzą je, zanim zdążysz w ogóle ich dostrzec. Więc niech ci nigdy, przenigdy nie będzie żal tych „biednych drani”. Oni nie potrzebują twojego współczucia. Zapamiętasz to, co powiedziałem, rekrucie?

– Tak, starszy sierżancie! – wykrztusił spod buta McCain. Wyglądało na to, że zaraz zacznie łkać.

– Upewnijmy się – powiedział Ruiz, przyciskając lufę do skóry między oczami McCaina. Pociągnął za spust, i rozległo się suche kliknięcie.

Wszyscy członkowie plutonu wzdrygnęli się z przejęcia; McCain się zmoczył.

– Dureń – powiedział Ruiz, kiedy McCain zorientował się, że jednak wciąż żyje. – Nie słuchałeś tego, co mówiłem wcześniej. Na terenie bazy z danego WZ-35 może strzelać tylko jego właściciel. To znaczy ty, dupku! – Wyprostował się, pogardliwie rzucił karabin w stronę McCaina, i spojrzał na resztę plutonu.

– Wy rekruci, jesteście nawet głupszy, niż myślałem – oznajmił Ruiz. – Posłuchajcie tego, co wam teraz powiem. W całej historii ludzkości nie było ani jednej armii, która wyruszałaby na wojnę uzbrojona lepiej, niż to było potrzebne. Wojny są kosztowne. Płaci się za nie pieniędzmi i płaci się za nie ludzkim życiem; a żadna cywilizacja nie ma w nadmiarze obu tych rzeczy. Więc oszczędzajcie w czasie walki. Używajcie tylko tego, czego musicie użyć, niczego więcej. – Spojrzał na nas groźnie. – Czy coś z tego do was dotarło? Czy którekolwiek z was rozumie, co właśnie staram się wam powiedzieć? Nie macie tych lśniących nowych ciał i całkiem nowej broni dlatego, bo my chcemy wam dać nieuczciwe fory. Macie te ciała i tę broń, bo jest to minimum, które pozwoli wam tam walczyć i przetrwać. My nie chcieliśmy wam dać tych ciał, gnojki jedne. Po prostu gdybyśmy wam ich nie dali, ludzka rasa już dawno zostałaby wytępiona.

– Rozumiecie mnie teraz? Czy w końcu zaczynacie mieć pojęcie o tym, z czym przyjdzie się wam zmierzyć?



Nie wszystkie zajęcia odbywały się na świeżym powietrzu. Nie były to tylko ćwiczenia w zabijaniu dla dobra ludzkości. Czasami miewaliśmy też

„zwykle” lekcje.

– W czasie szkolenia waszej fizyczności, uczyliście się jak przełamywać zahamowania i obalać wcześniej przyjęte założenia, biorąc pod uwagę zdolności waszych nowych ciał. – Porucznik Oglethorpe zwrócił się do plutonów 60, 61, 62 i 63, zebranych w Sali wykładowej bazy Delta. – Teraz zrobimy to samo z waszymi umysłami. Nadeszła pora, żeby uwolnić głęboko w was skrywane z góry przyjęte osądy i uprzedzenia, których po części nawet nie jesteście świadomi.

Porucznik Oglethorpe nacisnął przycisk. Za podium, na którym stał, rozbłysły na ścianie dwa ekrany. Na ekranie z lewej strony pojawił się wcielony koszmar – coś czarnego i węzłowatego, z ząbkowanymi odnóżami, przypominającymi szczypcę homara, wetkniętymi pornograficznie w otwór tak przejmująco wilgotny, że prawie można było poczuć wydobywający się z niego smród. Nad bezkształtną bryłę ciała wystawały trzy czułki. Z ich końców wyciekało coś brunatno-żółtego. Na widok tego stworzenia H. P. Lovecraft uciekłby krzycząc z przerażenia.

Stworzenie po prawej stronie w jakiś sposób przypominało jelenia. Miało zwinne, prawie ludzkie dłonie i dziwną, pociągłą twarz, której wyraz, zdawało się, mówił o mądrości i pokojowym nastawieniu tej istoty. Jeśli nie można było się tym stworzeniem zaopiekować, to przynajmniej można było od niego na pewno wiele się dowiedzieć o prawdziwej naturze wszechświata.

Porucznik Oglethorpe skierował wskaźnik w stronę przerażającej istoty:

– Ten koleś jest przedstawicielem rasy Bathunga. Bathunga to lud o wyjątkowo pokojowym nastawieniu; ich kultura liczy sobie setki tysięcy lat, w matematyce osiągnęli poziom, przy którym nasze najnowsze osiągnięcia są czymś prostszym od tabliczki mnożenia. Żyją w oceanach, odżywiają się odfiltrowanym z wody planktonem i z prawdziwym



entuzjazmem koegzystują z ludźmi na kilku światach. Są z natury dobrymi, przyjaźnie nastawionymi stworzeniami, a ten koleś tutaj – postukał końcem wskaźnika w ekran – jest wśród nich prawdziwym przystojniakiem.

Wskazał na drugi z ekranów, na którym widać było przyjaźnie wyglądającego człowieka-jelenia:

– A ten skurwysyn to Salong. Nasze pierwsze oficjalne spotkanie z przedstawicielami tej rasy miało miejsce po tym, jak namierzyliśmy samotniczą kolonię ludzką. Ludzie nie powinni dokonywać kolonizacji na własną rękę, choćby z powodów, które zaraz wam przedstawię. Koloniści wylądowali na planecie, która była także kolonizacyjnym celem Salongów; w którymś momencie ci ostatni doszli do wniosku, że ludzie nadają się do jedzenia – zaatakowali więc naszą kolonię i założyli farmę, na której hodowali ludzi na mięso. Wszyscy dorośli mężczyźni poza nieliczną garstką zostali przez nich zabici; ci którzy przeżyli regularnie byli „dojeni” ze swojej spermy, za pomocą której zapładniano nadające się do reprodukcji kobiety. Noworodki umieszczano w zagrodach, gdzie były tuczone i traktowane jak bydło.

– Wszystko to stało się na wiele lat przed tym, zanim tam wylądowaliśmy. Kiedy odkryliśmy, co się tam dzieje, oddziały KSO zrównały z ziemią kolonię Salongów, a ich przywódca został usmażony jak prosię na jarmarku. Nie muszę chyba dodawać, że od tej pory walczymy z tymi pożerającymi dzieci skurwysynami.

– Wiecie już chyba do czego zmierzam – powiedział Oglethorpe. – Jeśli będziecie zakładać, że sami potraficie odróżnić tych dobrych od tych złych, to łatwo możecie przez to zginąć. Nie możecie sobie pozwalać na antropomorficzne uprzedzenia, bo część z tych podobnych do nas obcych chętniej widzi w nas posiłek niż partnerów do rozmowy.

Innym razem Oglethorpe kazał nam zgadywać, jaką przewagę mieli działający na Ziemi żołnierze nad żołnierzami KSO.

– Na pewno nie mieli przewagi po względem uzbrojenia i kondycji fizycznej – mówił – bo z całą pewnością przewyższamy ich w tych dwóch dziedzinach. Nie, żołnierze na Ziemi mają o tyle lepiej, o ile z góry wiedzą, kim będzie ich przeciwnik, a co za tym idzie, w jaki sposób (przynajmniej z grubsza) przebiegać będzie bitwa – jakie formacje wezmą w niej udział, jakiego typu broni będą używać, i jakie będą ich cele. Z tego powodu doświadczenie bojowe zdobyte podczas jednej wojny czy bitwy, może być zastosowane w następnej; nawet, jeśli inne są powody prowadzenia wojny, albo cele danej bitwy.

– KSO nie mają takiej przewagi. Dla przykładu możemy wziąć ostatnią bitwę z Efgami. – Oglethorpe dotknął wskaźnikiem jednego z ekranów, na którym ukazało się podobne do wieloryba stworzenie z masywnymi, wyrastającymi z boków mackami, rozgałęziającymi się w coś na kształt szczątkowych dłoni. – Efgowie dorastają do czterdziestu metrów długości i dysponują technologią, która pozwala na polimeryzację wody. Straciliśmy parę okrętów, ponieważ woda wokół nich zamieniła się w działający jak ruchome piaski szlam. Poszły na dno razem z ludźmi na ich pokładach. W jaki sposób doświadczenie zebrane w czasie prowadzenia walki z tymi kolesiami mielibyśmy zastosować w przypadku, dajmy na to, ludu Finwe. – Na drugim ekranie ukazał się gadopodobny czaruś. – Jeśli Finwe są drobnymi mieszkańcami pustyni, preferującymi długodystansowe ataki bronią biologiczną?

– Nie da się tego zrobić w żaden sposób. A jednak służba żołnierza KSO polega na uczestniczeniu w różnych rodzajach bitew. To jeden z powodów, dla których śmiertelność w KSO jest tak wysoka – każda bitwa jest inna, i każda sytuacja bojowa, przynajmniej w doświadczeniu pojedynczego

żołnierza, jest jedyna w swoim rodzaju. Z tych naszych pogawędek możecie wynieść jedną, jedyną naukę, która brzmi: „Wszystkie dotychczasowe poglądy na temat prowadzenia wojny można wyrzucić za okno”. Wasze szkolenie tutaj może was po części przygotować na to, z czym będziecie mieli do czynienia w praktyce bojowej. Ale pamiętajcie – to jest piechota, często to wy będziecie mieli pierwszy kontakt z obcymi, wrogimi rasami o nieznanym (a często nawet niemożliwym do poznania) metodach działania. Musicie myśleć szybko; i nie zakładać, że to, co działało wcześniej, zadziała i teraz. Taki sposób myślenia to najszybsza droga do śmierci.

Na jednym ze spotkań któryś z rekrutów zapytał Oglethorpe’a, dlaczego żołnierze KSO mieliby się w ogóle przejmować losem kolonistów i samych kolonii:

– Ciągłe wkłada nam się do głowy, że tak naprawdę nie jesteśmy już ludźmi – powiedział. – A jeśli tak jest, dlaczego mielibyśmy czuć jakiegokolwiek przywiązanie do kolonistów? W końcu oni są tylko ludźmi. Dlaczego nie mielibyśmy uznać, że żołnierze KSO to następne ogniwo w ewolucyjnym rozwoju człowieka, i zacząć dbać tylko o siebie?

– Nie myśl, rekrucie, że jako pierwszy zadajesz to pytanie – powiedział Oglethorpe, co wywołało na sali ogólny chichot. – Krótka wersja odpowiedzi brzmi – nie możemy tak zrobić. Całe to majstrowanie w materiale genetycznym spowodowało, że żołnierze KSO nie mogą mieć potomstwa. Zwykły materiał genetyczny, użyty do stworzenia matrycy każdego z was, ma obecnie zbyt wiele groźnych cech recesywnych, by proces rozmnażania mógł zajść dostatecznie daleko. Na dodatek macie w sobie zbyt wiele materiału genetycznego pozaludzkiego pochodzenia, by można było dokonać skrzyżowania ras z normalnymi ludźmi. Żołnierze KSO są niezwykłym osiągnięciem inżynierskim, ale jeśli chodzi o rozwój

ewolucyjny ludzkości, są jego ślepy m. Dlatego właśnie żadne z was nie powinno być zbyt zadowolone z siebie. Możecie przebiec kilometr w dwie minuty, ale nie możecie zrobić dziecka.

– Ujmując to zagadnienie w szerszym planie, po prostu nie ma takiej potrzeby. Ewolucja na naszych oczach sama wykonuje następny krok. Podobnie jak sama Ziemia, większość z kolonii nie ma ze sobą kontaktu. Niemal wszyscy ludzie urodzeni na danej planecie zostają na niej do końca swojego życia. Ludzie adaptują się w swoich nowych światach; proces ten zaczyna się od aspektu kulturowego. Niektóre z najdłużej istniejących kolonii zaczynają wykazywać językową i kulturową odmienn. Za dziesięć tysięcy lat pojawi się także odmienn. Kiedy minie odpowiednio dużo czasu, będzie tyle samo różnych gatunków człowieka, ile jest skolonizowanych planet. Różnorodność stanowi klucz do przetrwania.

– W sensie metafizycznym, być może powinniście czuć się związani z koloniami, ponieważ poddanie się przez was przemianie, powoduje wzrost potencjału ludzkości do przetrwania we wszechświecie. Mówiąc bardziej wprost, powinniście troszczyć się o kolonie, ponieważ są one przyszłością ludzkiej rasy. A wy, zmienieni, czy nie, wciąż jesteście bliżsi człowieka, niż jakiegokolwiek innego gatunku inteligentnych istot.

– Ostatecznie, powinno was to obchodzić, ponieważ jesteście wystarczająco starzy, żeby wiedzieć, że tak trzeba. KSO wybiera na żołnierzy starych ludzi z jednego powodu – poza tym oczywiście, że na Ziemi, jako emeryci stanowicie zbędne ekonomiczne obciążenie. Dzieje się tak dlatego, ponieważ żyjecie już wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie tylko wasze życie jest cenne. Wielu z was miało rodziny, wychowało dzieci i wnuki, i zna wartość robienia rzeczy, które wykraczają poza nasze egoistyczne cele i zachcianki. Nawet jeśli wy sami nigdy nie staniecie się

kolonistami, to wciąż przecież możecie zrozumieć, że kolonie są dla ludzkości jako takiej czymś dobrym, i że warto o nie walczyć. Trudno wtłoczyć takie przekonanie do mózgu dziewiętnastoletniego człowieka. Ale wy to wiecie dzięki własnemu doświadczeniu. A w tym wszechświecie doświadczenie popłaca.



Ćwiczyliśmy musztrę. Strzelaliśmy. Uczyliśmy się. Wciąż byliśmy w ruchu. Nie spaliśmy zbyt dużo.

W szóstym tygodniu szkolenia usunąłem Sarah O'Connell ze stanowiska dowódcy oddziału. Oddział E w czasie ćwiczeń zespołowych wciąż pozostawał w tyle, przez co cały nasz pluton tracił punkty na rzecz innych. Za każdym razem, kiedy jakiś inny pluton odbierał nagrodę, Ruiz szczerząc się, odgrywał się za to na mnie. Sarah przyjęła decyzję z godnością. Powiedziała tylko: „Niestety, to nie to samo, co prowadzenie przedszkola”. Jej miejsce zajął Alan i szybko doprowadził oddział do porządku. W siódmym tygodniu szkolenia sześćdziesiąty trzeci odebrał nagrodę ze strzelania pięćdziesiątemu ósmemu i to właśnie Sarah, o ironio, okazała się najlepszym strzelcem zawodów.

W ósmym tygodniu przestałem mówić do swojego MózGościa. Dupek przyglądał mi się wystarczająco długo, żeby móc odczytywać wzorce działania mojego mózgu i bez słów odgadywać moje potrzeby. Odkryłem to w czasie symulacyjnego ćwiczenia strzeleckiego, kiedy mój WZ-35 przestawił się z naboju karabinowych na zdalnie sterowane pociski rakietowe, namierzył, zestrzelił dwa odległe cele, po czym przestawił się na miotacz ognia w ostatniej chwili, żeby zdążyć usmażyć wstrętnego

sześcionożnego robala, który wylazł z za pobliskiej skały. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że nie wymówiłem na głos ani jednego polecenia, przeszedł mnie zimny dreszcz przerażenia. Po paru dniach odkryłem, że czuję irytację, ilekroć muszę Dupka o coś prosić. Jak szybko coś, co cię najpierw przeraża, staje się najnormalniejszą na świecie rzeczą.

W dziewiątym tygodniu, razem z Alanem i Martinem Garabedianem, przeprowadziliśmy małe dyscyplinujące postępowanie administracyjne w stosunku do jednego z rekrutów Martina, który uznał, że chce przejąć od Martina stanowisko dowódcy oddziału. Żeby to osiągnąć, nie cofał się nawet przed niewielkimi aktami sabotażu. Rekrut ten w swoim poprzednim życiu był dość sławną gwiazdą popu, i przywykł osiągać swoje cele za pomocą wszelkich dostępnych środków. Był na tyle sprytny, że udało mu się wciągnąć do konspiracji paru kolegów z oddziału; ale nie był na tyle sprytny, żeby zdać sobie sprawę z tego, że Martin, jako dowódca oddziału, ma dostęp do wszelkich przesyłanych wewnątrz niego wiadomości. Martin przyszedł do mnie; uznałem, że nie ma powodu, by angażować Ruiza, czy któregoś z pozostałych instruktorów w sprawę, którą bez trudu możemy rozwiązać sami.

Nawet jeśli ktoś tej nocy zauważył nieuzasadnione, szybkie oddalenie się jednego z wahadłowców, to nie powiedziano nam na ten temat ani słowa. Nikt nie mówił też nic o tym, że widział dyndającego pod wahadłowcem jednego z rekrutów, podwieszono go do podwozia za przeguby obu rąk, huśtającego się w locie niebezpiecznie blisko wierzchołków mijanych drzew. Nikt także nie słyszał ani desperackiego krzyku tego rekruta, ani niezbyt pochlebnej recenzji najśłynniejszego albumu byłej gwiazdy pop, wygłoszonej ustami Martina. Starszy sierżant Ruiz zauważył jedynie następnego dnia w czasie śniadania, że jestem jakiś niepozbierany i jakby owiany przez wiatr tego ranka. Odpowiedziałem, że

przyczyną tego stanu może być trzydziestokilometrowa przebieżka, którą kazał nam wykonać tuż przed posiłkiem.

W czasie jedenastego tygodnia szkolenia wraz z paroma innymi plutonami, zostaliśmy zrzućeni w górach na północ od bazy. Zadanie, które mieliśmy do wykonania, było bardzo proste; znaleźć i zlikwidować jak największą liczbę członków pozostałych plutonów – po wykonaniu zadania, ci którzy przeżyją, mieli wrócić do bazy; wszystko w ciągu czterech dni. Żeby uatrakcyjnić całą zabawę, każdy z rekrutów wyposażony został w urządzenie, które rejestrowało oddane w jego stronę strzały; w wypadku celnego trafienia, rekrut czuł paraliżujący ból, po którym następowało krańcowe, graniczące z omdleniem osłabienie (w skrajnym wypadku mógł udzielić mu pomocy któryś ze znajdujących się w pobliżu instruktorów). Doskonale wiedziałem jak to działa, ponieważ jeszcze w bazie, na żądanie Ruiza, służyłem za królika doświadczalnego. Potem uporczywie wciskałem do głowy moim podwładnym, że w żadnym razie nie chcą poczuć tego, co wtedy czułem.

Zaatakowano nas gdy zaledwie dotknęliśmy stopami ziemi. Czterech spośród moich rekrutów „poległo” zanim zdążyłem namierzyć strzelców i wskazać ich pozostałym żołnierzom. Załatwiliśmy dwóch; dwóch pozostałych uciekło. Sporadyczne ataki, powtarzające się w ciągu najbliższych godzin, pozwalały się domyślać, że większość z pozostałych plutonów rozdzieliła się na oddziały liczące trzy lub cztery osoby – i tak rozproszone polowały na „wrogie” oddziały.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. MózGoście pozwalały nam utrzymywać ciągły, bezsłowny kontakt – niezależnie od odległości, jaka nas dzieliła. Pozostałe plutony zdawały się nie dostrzegać wynikających z tego faktu możliwych rozwiązań – tym gorzej dla nich. Poleciałem każdemu członkowi plutonu otworzyć obejmujący cały pluton bezpieczny kanał

komunikacyjny MózGościa – przy czym każdy z żołnierzy miał mieć na oku określony kawałek terenu i zawiadamiać pozostałych o zauważonych „wrogich” oddziałach. W ten sposób uzyskaliśmy coś w rodzaju rozległej i szczegółowej mapy terenu z zaznaczonymi na niej pozycjami wroga. Nawet jeśli jeden z naszych rekrutów został „zlikwidowany”, to informacje, które dostarczył, mogły pomóc innym członkom plutonu pomścić jego (albo jej) „śmierć” (albo przynajmniej pozwolić im samym uniknąć natychmiastowej śmierci). Pojedynczy żołnierz mógł, poruszając się szybko i cicho, nękać oddziały innych plutonów, wciąż jednak współpracując ze swoimi kolegami z oddziału, kiedy tylko było to możliwe.

To działało. Moi rekruci strzelali, kiedy tylko mogli, leżeli w ukryciu, przekazywali informację, kiedy mogli ją przekazać i pracowali razem, kiedy nadarzała się okazja. Drugiego dnia, razem z rekrutem o nazwisku Riley namierzaliśmy dwa oddziały wrogich plutonów; byli tak zajęci strzelaniem do siebie, że nawet nie zauważyli, że ja i Riley celujemy do nich z dużej odległości. Riley załatwił dwóch, ja trzeciego, pozostali trzej najwyraźniej wystrzelali się nawzajem. To było całkiem miłe. Kiedy skończyliśmy, nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, po prostu wycofaliśmy się z powrotem do lasu i od nowa zaczęliśmy polowanie.

W końcu pozostałe plutony poznały naszą taktykę i zaczęły postępować w ten sam sposób, ale na tym etapie rozgrywki było ich już za mało w stosunku do nieuszczonego liczebnie sześćdziesiątego trzeciego. Załatwiliśmy ich wszystkich, ostatni został zdjęty w południe. Zaraz potem zaczęliśmy nasz bieg do bazy, która znajdowała się w odległości około osiemdziesięciu kilometrów. Ostatni członek plutonu dotarł na miejsce około 18:00. Ostatecznie straciliśmy dziewiętnastu ludzi, wliczając w to tych czterech, którzy zginęli na początku. Byliśmy jednak odpowiedzialni za ponad połowę „zabitych” we wszystkich siedmiu plutonach, tracąc przy



tym mniej niż jedną trzecią własnych ludzi. Nawet starszy sierżant Ruiz nie mógł powiedzieć nam złego słowa. Kiedy dowódca bazy odznaczył go nagrodą Gier Wojennych, udało mu się nawet uśmiechnąć. Trudno mi było sobie wyobrazić, jak bardzo musiało go to zaboлеć.



Zawsze będziemy mieli fart – powiedział nowo mianowany szeregowy Alan Rosenthal, podchodząc do mnie na lądowisku wahadłowców. – Dostaliśmy przydział na ten sam okręt.

Tak też było. Na transportowcu „Francis Drake” odbyliśmy krótką przejażdżkę z powrotem do Feniksa, gdzie czekaliśmy na przepustkę na przybycie OKSO „Modesto”. Potem przyłączyliśmy się do Drugiego Plutonu, Kompanii D, dwieście trzydziestego trzeciego Batalionu Piechoty KSO. Jeden batalion na jeden okręt – ponad tysiąc żołnierzy. Łatwo było się zgubić w tłumie. Cieszyłem się, że wciąż mam przy sobie Alana.

Przyjrzałem się Alanowi, podziwiając jego czysty, nowy, błękitny mundur KSO – bynajmniej nie dlatego, że miałem na sobie taki sam.

– Do diabła, Alan – powiedziałem. – Wyglądamy cholernie dobrze.

– Zawsze uwielbiałem mężczyzn w mundurach – powiedział Alan. – I teraz sam jestem mężczyzną w mundurze, i uwielbiam się jeszcze bardziej.

– O ho, ho – powiedziałem. – Nadchodzi starszy sierżant Ruiz.

Ruiz dostrzegł mnie w tłumie oczekujących na odlot wahadłowca; kiedy się zbliżał postawiłem na ziemi torbę, w której miałem swój codzienny mundur i parę osobistych drobiazgów i nienagannie zasalutowałem mu na przywitanie.

– Spocznij, szeregowy – powiedział Ruiz, salutując w odpowiedzi. – Dokąd was przydzielono?

– Na „Modesto”, starszy sierżancie – powiedziałem. – Szeregowego Rosenthala i mnie.

– Żarty sobie, kurwa, robicie – oznajmił Ruiz. – Do dwieście trzydziestego trzeciego? Do której kompanii?

– D, starszy sierżancie. Drugi Pluton.

– Dajcie spokój, kurwa, spocznij, szeregowy – powiedział Ruiz.

– Będziecie mieć przyjemność służyć w plutonie porucznika Arthura Keyesa, jeśli ten durny sukinsyn do tej pory nie dał poznać swojej dupy jakiemuś obcemu. Kiedy go zobaczycie, przekazcie mu ode mnie pozdrowienia, jeśli możecie. Możecie też dodać, że starszy sierżant Antonio Ruiz oświadczył, że nie jesteście takimi ciemniakami, jakimi okazała się większość spośród waszych kolegów.

– Dziękuję, starszy sierżancie.

– Niech wam to nie uderzy do głowy, szeregowy. Wciąż jesteście ciemniakiem. Po prostu nie największym na świecie.

– Oczywiście, starszy sierżancie.

– No dobra. A teraz, wybaczcie. Czasem po prostu musisz ruszyć z miejsca. – Starszy sierżant Ruiz zasalutował. My zrobiliśmy to samo. Ruiz spojrzął na nas obu, bardzo leciutko się uśmiechnął i odszedł, nie oglądając się za siebie.

– Na widok tego człowieka mam ochotę zesrać się ze strachu – powiedział Alan.

– No nie wiem. W jakiś sposób go lubię.

– Oczywiście, że go lubisz. On uważa, że niemal nie jesteś ciemniakiem. W jego świecie to komplement.

– Nie myśl, że tego nie wiem – powiedziałem. – Teraz muszę tylko podciągnąć się do tego poziomu.

– Dasz sobie radę – powiedział Alan. – Przecież w końcu jednak musisz być ciemniakiem.

– To mi ułatwia sprawę – powiedziałem. – Przynajmniej będę miał towarzystwo.

Alan wyszczerzył zęby w uśmiechu. Drzwi wahadłowca otworzyły się, wzięliśmy nasze rzeczy i weszliśmy do środka.

# DZIEWIĄTY

– Mógłbym teraz strzelić – powiedział Watson, wyglądając zza swojego głazu. – Pozwólcie mi podziurawić chociaż jedną z tych rzeczy.

– Nie – powiedziała Viveros, nasz kapral. – Wciąż mają podniesioną tarczę. Tylko marnowałbyś amunicję.

– To bez sensu – powiedział Watson. – Jesteśmy tu już od wielu godzin. My siedzimy tutaj, oni siedzą tam. Kiedy opuszczą tarczę, co niby mamy zrobić? Wyjść tam i zacząć się z nimi strzelać? Nie żyjemy kurwa w czternastym wieku. Nie musimy z drugim gościem wyznaczać spotkania, żeby go zabić.

Viveros spojrzała na niego z irytacją.

– Watson, nikt ci nie płaci za myślenie. Więc zamknij gębę i przygotuj się do walki. To już nie potrwa długo. Ich rytuał przewiduje już tylko jeden punkt programu, zanim przejdziemy do rzeczy.

– Taa? A co to będzie? – spytał Watson.

– Oni będą śpiewać – odpowiedziała Viveros.

– Co będą śpiewać? – parsknął Watson. – Piosenki z musicali?

– Nie – odparła Viveros. – Będą opiewać naszą śmierć.

Jakby na umówiony znak masywna, półokrągła tarcza ochronna osłaniająca obozowisko Consu zamigotała u podstawy, w odległości kilkuset metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Dostosowałem parametry swojego widzenia i spojrzałem na przechodzącego przez tarczę pojedynczego Consu. Elektrostatyczne włókna osłony przyczepiły się do masywnego pancerza jego skorupy, po czym jak krople świetlistej gumy arabskiej wróciły do powierzchni tarczy. Był to trzeci z kolei i ostatni

Consu, który wychodził poza zasłonę przed rozpoczęciem bitwy. Pierwszy pojawił się mniej więcej dwanaście godzin temu; był to pośledniej rangi żołnierz piechoty, którego wywrzeszczane wyzwanie było formalnym sposobem oznajmienia, że Consu pragną stoczyć bitwę. Niska ranga posłańca miała dać nam do zrozumienia, że Consu zbyt nie szanują naszych żołnierzy; gdybyśmy byli dla nich ważni, wysłaliby kogoś wyższego rangą. Nikt z naszych nie poczuł się urażony; na posłańców zawsze wybierano niskich rangą żołnierzy, niezależnie od przeciwnika. Poza tym, dla nas wszyscy Consu wyglądają tak samo, i nie sposób ich odróżnić; chyba, że jest się szczególnie wyczulonym na ich feromony.

Drugi Consu wyszedł spoza osłony kilka godzin później, zaryczał jak stado krów wpędzone pod młockarnię, i natychmiast eksplodował. Odbryzgi różowawej krwi, kawałki jego ciała i fragmenty pancerza spadły jak deszcz na powierzchnię tarczy i skwiercząc spłynęły po niej na ziemię. Consu podobno wierzyli w to, że jeśli pojedynczy żołnierz podda się wcześniej odpowiednim rytuałom, to po takim akcie samozniszczenia jego dusza może przez pewien czas przeprowadzać rekonesans na terenie zajęтым przez wroga, zanim nie uda się tam, dokąd odchodzą dusze wszystkich Consu. Czy coś w tym rodzaju. To był ogromny zaszczyt, niedostępny wszystkim wojownikom. Dla mnie wyglądało to na dobry sposób szybkiego pozbycia się swoich najlepszych żołnierzy, ale ponieważ byłem ich wrogiem, trudno mi było ich za to krytykować.

Trzeci Consu był członkiem najwyższej kasty, a jego zadaniem było po prostu powiedzenie nam, dlaczego umrzemy, jak również opisanie sposobu, w jaki Consu wyprawiają nas na tamten świat. Po tym punkcie programu można przystąpić do zabijania i umierania. Jakakolwiek próba przyspieszenia biegu spraw przez przedwczesne strzelanie do tarczy osłonowej Consu spełzłaby na niczym – poza wrzuceniem do rdzenia

supernowej niewiele rzeczy we wszechświecie mogłoby jej zaszkodzić. Zabicie posłańca spowodowałoby jedynie ponowne rozpoczęcie rytuałów otwarcia, jeszcze bardziej odwlekając walkę i zabijanie.

Poza tym, Consu wcale nie ukrywali się za swoją tarczą osłonową. Po prostu mieli do odprawienia tyle przedbitewnych rytuałów, że nie chcieli, żeby przeszkadzały im w tym tak niewygodne zjawiska jak pociski, wiązki jakiś cząstek czy ładunki wybuchowe. Tak naprawdę nic tak nie cieszyło Consu jak stoczenie dobrej walki. Nie mieli nic przeciwko takim pomysłom jak wylądowanie na jakiejś planecie, osiedlenie się tam, i prowokowanie tubylców do walki, mającej na celu wypędzenie Consu.

Tak było i tym razem. Consu w żadnym razie nie byli zainteresowani skolonizowaniem tej planety. Rozwalili w kawałki założoną przez ludzi kolonię tylko po to, żeby dać w ten sposób KSO do zrozumienia coś w rodzaju – jesteśmy w okolicy i szukamy jakiejś akcji. Consu nie można było zignorować, po prostu zabijali kolonistów, dopóki nie pojawił się ktoś, z kim mogliby walczyć w sposób sformalizowany. Nigdy nie wiadomo, kiedy uznają wyzwanie za wystarczające z przyczyn formalnych. Po prostu posyła się partiami coraz więcej żołnierzy aż do momentu, kiedy posłaniec Consu wyjdzie poza tarczę i zapowie bitwę.

Poza ich potężną, nieprzenikalną tarczą osłonową, technika wojenna Consu była na podobnym poziomie, co nasza. Nie było to tak zachęcające, jak możecie sobie pomyśleć. Z wszelkich doniesień o bitwach, które Consu toczyli z przedstawicielami innych ras wynikało, że Consu zawsze dysponowali podobnej klasy uzbrojeniem jak ich przeciwnicy. Prawdopodobnie Consu nie uprawiali wcale sztuki wojennej, tylko rodzaj sportu. Trochę podobnego do gry w piłkę, z tym że zamiast stadionu pełnego widzów, tutaj jedyną widownią były stosy zarżniętych kolonistów.

Nie można było rozpocząć ataku na Consu. Cały zajęty przez nich teren chroniony był tarczą osłonową. Energii dla tej osłony dostarczał towarzyszący macierzystemu słońcu Consu biały karzeł, który został w całości zamknięty w pewnego rodzaju mechanizmie zbierającym energię, dzięki czemu cała energia białego karła generowała pole osłonowe. Realistycznie rzecz ujmując, nie pogrywa się z kimś, kto potrafi zrobić takie rzeczy. Ale kodeks honorowy Consu był dość dziwaczny; jeśli wygra się z nimi bitwę, to opuszczają planetę i nigdy więcej na nią nie wracają. Tak, jakby bitwa była szczepionką, a my lekami przeciwwirusowymi.

Wszystkie te informacje zawierała baza danych naszej misji. Nasz dowódca, porucznik Keyes, przed bitwą kazał nam do niej wejść i poczytać na ten temat. Fakt, że Watson nie wiedział nic o Consu świadczył o tym, że nie przeczytał żadnego z raportów. Nie zaskoczyło mnie to zupełnie, ponieważ od pierwszej chwili sprawił na mnie wrażenie pewnego siebie ignoranta, zarozumiałego sukinsyna, który może doprowadzić do śmierci swojej lub swoich współtowarzyszy z oddziału. Moim problemem było to, że byłem jego współtowarzyszem z oddziału.

Consu rozłożył swoje tnące ramiona – najprawdopodobniej wyspecjalizowane w pewnym momencie ewolucji do rozprawiania się z jakimś niewyobrażalnie przerażającym stworzeniem z ich macierzystej planety – a spod nich wyciągnął ku niebu bardziej przypominające ludzkie ręce przednie kończyny.

- Zaczyna – powiedziała Viveros.
- Mógłbym go teraz bardzo łatwo zdjąć – westchnął Watson.
- Zrób to, a sama cię zastrzelę – powiedziała Viveros.

Przez niebo przetoczył się potężny, przeciągły grzmot, jakby sam Bóg Ojciec wystrzelił ze swojego karabinu; po którym rozległ się dźwięk przywodzący na myśl piłę łańcuchową rozcinającą zrobiony z blachy dach.

Consu śpiewał. Za pomocą Dupka przetłumaczyłem jego pieśń od samego początku:

---

*Spójrzcie, przeciwnicy, którzy dostąpiliście honoru  
Jesteśmy instrumentami waszej radosnej śmierci.  
Na swoje sposoby pobłogosławiliśmy was,  
Duch najlepszych spośród nas uświęcił naszą bitwę.  
Będziemy was chwalić przechodząc pośród was  
I opiewać wasze dusze, zbawione, dla ich nagrody.  
Nie jest waszym losem urodzić się pośród Ludu,  
Więc nakierujemy was na ścieżkę, która prowadzi do odkupienia.  
Bądźcie dzielni i walczcie zaciekle,  
Żebyście mogli odrodzić się w naszej owczarni  
Błogosławiona bitwa uświęca tę ziemię  
I wszyscy którzy tu umierają i rodzą się są od tej pory wybawieni.*

---

– Cholera, ale głośno – powiedział Watson, wciskając do lewego ucha palec i przekręcając go. Raczej wątpliwe było, że chciało mu się włączyć tłumacza.

– Chryste to nie jest wojna, ani mecz piłki nożnej – powiedziałem do Viveros. – To jest chrzest.

Viveros wzruszyła ramionami.

– KSO myśli inaczej. Oni zaczynają w ten sposób każdą bitwę. Zdaniem KSO to odpowiednik hymnu narodowego. Taki rodzaj rytuału. Patrzcie, wyłączają tarczę osłonową. – Wskazała na tarczę, która właśnie zaczęła migotać na całej swojej długości.



– W samą, kurwa, porę – powiedział Watson. – Właśnie miałem zamiar się zdrzemnąć.

– Posłuchajcie mnie obaj – powiedziała Viveros. – Zachowajcie spokój, nie rozpraszajcie się, i trzymajcie swoje dupy przy ziemi. Mamy tutaj dogodną pozycję. Porucznik chce, żebyśmy stąd wystrzelali tych drani, kiedy będą schodzić w dół. Nic szczególnie błyskotliwego – po prostu trzeba strzelać im w tułów. Tam są ich mózgi. Jeśli uda nam się jak najwięcej ich zlikwidować na początku, tym mniej będziemy mieli zmartwień później. Używamy tylko naboju karabinowych, żeby starczyło nam amunicji na jak najdłużej. I żadnego gadania, porozumiewamy się tylko za pomocą MózGościów. Wszystko jasne?

– Jasne – powiedziałem.

– Jasne jak kurwa Supernowa – powiedział Watson.

– Świetnie – powiedziała Viveros. Tarcza w końcu została ostatecznie wyłączona. Przestrzeń oddzielająca ludzi i Consu natychmiast zapełniła się dymnymi śladami silników pocisków rakietowych, które od wielu godzin czekały wycelowane w stanie gotowości. Po wstrząsających hukach ich eksplozji natychmiast rozległy się ludzkie krzyki i metaliczne ryki Consu. Przez kilka sekund była tylko cisza i dym; potem ciszę rozdarł długi, wysoki dźwięk, wydany przez Consu, którzy ruszyli w kierunku pozycji zajmowanych przez ludzi. Ludzie z kolei, ze swoich pozycji starali się wystrzelać jak najwięcej Consu, zanim fronty obu wrogich formacji zderzą się ze sobą.

– No to zaczynamy – powiedziała Viveros. Po czym podniosła swój Wuzet, wycelowwała go w jednego z widocznych w oddali Consu, i zaczęła strzelać. Za jej przykładem cała reszta oddziału otworzyła ogień.



Jak przygotować się do bitwy.

Najpierw należy dokonać sprawdzenia systemów swojego karabinu piechoty WZ-35. To najłatwiejsza część przygotowań; WZ-35 ma zdolności dokonywania samodiagnozy i samonaprawy, w razie potrzeby może użyć materiału z bloku amunicyjnego do wykonania koniecznych części zamiennych. Jedynym sposobem zniszczenia WZ-35 jest umieszczenie go w strumieniu wylotowym silników rakietowych manewrującego statku kosmicznego. Zresztą, gdyby w takiej sytuacji było się dołączonym do swojego karabinu, miałyby się na głowie inne problemy niż utrata broni.

Potem trzeba ubrać swój kostium bojowy. Jednocześnie, samouszczelniający się kostium bojowy zakrywa całe ciało oprócz twarzy. Został stworzony po to, żebyś na czas trwania bitwy mógł zapomnieć o swoim ciele. Jego stworzona z mikrorobotów „tkanina” przepuszcza światło, by umożliwić skórze fotosyntezę i reguluje bilans cieplny organizmu; na arktycznym lodowcu i na piachach Sahary twoje ciało czuje się tak samo, zmienia się tylko sceneria wokół niego. Jeśli jednak w jakiś sposób uda ci się spocić, twój kostium wchłonie pot, przefiltruje go i przechowa wodę do momentu, kiedy będziesz mógł przelać ją do manierki. W ten sam sposób można postępować z moczem. Defekacja w kostiumie bojowym jest, oględnie rzecz ujmując, niewskazana.

Jeśli kula trafi cię w brzuch (albo gdziekolwiek indziej), w miejscu uderzenia kostium sztywnieje i ściąga energię z całej swojej powierzchni, żeby nie pozwolić kuli wbić się do wnętrza ciała. Jest to bardzo bolesne, ale i tak lepsze niż kula wędrująca przez twoje wnętrze. Niestety mechanizm ten działa jednak tylko do pewnego momentu, więc unikanie strzałów przeciwnika jest jak najbardziej wskazane.

Na kostium zakłada się pas, który zawiera twój nóż bojowy, wielozadaniowe narzędzie, które jest tym, czym chciałby być nóż szwajcarskiej armii, kiedy dorośnie, składane do zadziwiająco małych rozmiarów jednoosobowe schronienie, manierka, wystarczający na tydzień zapas wysokokalorycznych sucharów, oraz trzy specjalne otwory, w których umieszcza się bloki amunicyjne. Następnie trzeba posmarować twarz stworzonym z mikrorobotów kremem, który wspólnie z kostiumem przetwarza dane pobierane z otoczenia i włączyć swój kamuflaż. Potem można spróbować znaleźć swoje odbicie w lustrze.

Po trzecie, trzeba otworzyć w swoim MózGościu kanał do komunikowania się z pozostałymi członkami twojego oddziału i pozostawić go otwartym, dopóki nie wrócisz na statek, albo nie umrzesz. Zdawało mi się, że w obozie szkoleniowym zrozumiałem na ten temat wszystko, co było do zrozumienia. Później, w ogniu prawdziwej bitwy pojąłem dopiero, że jest to jedna z najświętszych, nieoficjalnych zasad postępowania żołnierzy KSO. Komunikacja za pomocą MózGościów nie pozwala na przesyłanie niejasnych rozkazów czy informacji, nie zdradza również twojego położenia, bo nie musisz w ogóle się odzywać. Jeśli w czasie trwania bitwy słyszy się głos żołnierza KSO znaczy to, że ten żołnierz jest albo głupi, albo właśnie został postrzelony.

Jedyną wadą komunikowania się za pomocą MózGościa jest fakt, że jeśli nie zwraca się na to uwagi, MózGość może przesyłać również informacje natury emocjonalnej. W czasie walki może trochę przeszkadzać przejmujące odczucie, że zaraz posikasz się ze strachu – dopiero po dłuższej chwili orientujesz się, że to nie ty tracisz właśnie władzę nad pęcherzem, tylko ktoś inny z twojego oddziału. Bywa i tak. Notabene, takie rzeczy ciągną się potem za człowiekiem do końca jego służby.

Trzeba być połączonym tylko z pozostałymi członkami swojego oddziału – jeśli w czasie walki otworzy się kanał dla całego plutonu, w twojej głowie nagle sześćdziesięciu ludzi zaczyna przeklinać, walczyć i umierać. Ty tego nie potrzebujesz.

Ostatecznie chodzi w tym wszystkim o to, żeby zapomnieć o wszystkim oprócz bieżących rozkazów, zacząć zabijać wszystko, co nie jest człowiekiem i pozostać przy życiu. KSO bardzo ułatwia takie podejście. Przez pierwsze dwa lata służby każdy jest żołnierzem piechoty – nieważne, czy w swoim poprzednim życiu był stróżem, chirurgiem czy kloszardem. Jeśli jakoś przeżyjesz te dwa lata, wtedy możesz zdobyć specjalizację, dostać stały Kolonialny przydział i znaleźć swoje miejsce w potężnym, różnorodnym organizmie KSO, zamiast pętać się od bitwy do bitwy. Ale zanim miną te dwa lata musisz tylko iść tam, dokąd każą ci iść, stać ze swoim karabinem, zabijać i nie dać się zabić. To proste, ale proste nie znaczy łatwe.

Żeby powalić wojownika Consu potrzeba było dwóch strzałów. To było coś nieoczekiwanego – żaden z zebranych przez służby wywiadowcze raportów nie wspominał nic o tym, żeby każdy Consu miał własne pole osłonowe. Coś jednak pozwalało im bez widocznego uszczerbku przeżyć pierwsze trafienie; co prawda przewracało ono ich na to, co można było uznać za ich dupy, ale w ciągu kilku sekund byli znowu na nogach. A więc dwa strzały; jeden, żeby ich powalić, drugi, żeby zatrzymać ich na ziemi.

Trudno oddać dwa strzały jeden po drugim, w kierunku jednego, poruszającego się celu, który znajduje się w odległości kilkuset metrów na bardzo zatłoczonym i pełnym zamieszania polu bitwy. Kiedy zorientowałem się, że to jest na nich sposób, za pomocą Dupka stworzyłem odpowiedni porządek strzelania, przy czym pierwszy strzał oddawany był pociskiem z pustą końcówką, natomiast drugi z końcówką wypełnioną

ładunkiem wybuchowym. Ta specyfikacja przekazywana była mojemu Wuzetowi pomiędzy strzałami; w jednej sekundzie wystrzeliwałem standartowy pocisk karabinowy, a w następnej specjalny pocisk „mordercę Consu”.

Uwielbiałem swój karabin.

Przekazałem specyfikację prowadzenia skutecznego ognia Watsonowi i Viveros, a Viveros podała ją dowódcy plutonu. W ciągu minuty pole bitwy rozbrzmiewało już odgłosami podwójnych wystrzałów, po których rozlegały się odgłosy wybuchających ciał Consu, którym trafienia ładunkami wybuchowymi wyrzucały wnętrzości na wierzch porozrywanych pancerzy. Brzmiało to jak pękający popcorn. Spojrzałem na Viveros. Beznamiętnie przyglądała się wszystkiemu i strzelała. Watson strzelał z uśmiechem dziesięcioletniego chłopca, który wygrał pluszowego misia na strzelnicy w wesołym miasteczku.

*O ho, ho – przesłała Viveros. – Namierzyli nas kryjcie się.*

– Co? – zapytał na głos Watson i wystawił głowę do góry. Chwyciłem go za pasek i ściągnąłem w dół, a wtedy w głaz, który służył nam za schronienie uderzyły rakiety. Zostaliśmy zasypani nowo powstałym żwirem. Spojrzałem w górę w ostatniej chwili, żeby zdążyć dostrzec odłamek wielkości kuli do gry w kręgle z wściekłą prędkością spadający prosto w stronę mojej czaszki. Bez zastanawiania się odtrąciłem go uderzeniem ręki; rękaw kostiumu stwardniał wzdłuż mojej całej ręki i kamień odleciał w bok jak miękka piłka. Ręka bolała mnie aż do ramienia; w tamtym życiu zdobyłbym tym uderzeniem co najmniej trzy punkty, nie, raczej dorobiłbym się otwartego złamania z przemieszczeniami kości. Nie zamierzałem tego robić nigdy więcej.

– Jasny gwint, mało brakowało – powiedział Watson.

– Zamknij się – powiedziałem, i wysłałem do Viveros pytanie: – *Co dalej?*

– *Trzymaj się* – odpowiedziała i odczepiła od pasa swoje wielozadaniowe narzędzie. Rozkazała mu zamienić się w lustro i wystawiła je nad krawędź swojego głazu. *Sześciu nie siedmiu w drodze do góry.*

Nagle w pobliżu rozległy się dwa odgłosy wybuchających w czymś miękkim ładunków wybuchowych. *Teraz już pięciu* – poprawiła się. – *Teraz granaty a potem ruszamy.*

Skinąłem głową, Watson wyszczerzył się, i kiedy Viveros przesłała rozkaz – *Już* – wszyscy przrzuciliśmy granaty ponad głazami. Policzyłem do trzech; po dziewiątej eksplozji odetchnąłem, zmówiłem modlitwę i wyjrzałem nad krawędzią swojego kamienia. Zobaczyłem szczątki jednego Consu, drugi, najwyraźniej oszołomiony odczołgiwał się od naszej pozycji, dwóch pozostałych szamotało się w poszukiwaniu schronienia. Viveros załatwiła rannego, ja i Watson zdjeliśmy po jednym z pozostałych dwóch.

– Jak się bawicie, durne żuki? – ryknął Watson, i w podnieceniu wyskoczył nad swój gład w odpowiedniej chwili, żeby zdążyć dostać prosto w twarz od piątego Consu, któremu udało się ujść cało granatom – najwyraźniej czekał cicho, kiedy wymiataliśmy jego kolegów. Consu przystawił lufę do nosa Watsona i strzelił; twarz Watsona wcisnęła się do wnętrza jego czaszki, a potem wytrysnęła na Consu w formie deszczu SprytnejKrwii i fragmentów tego, co przedtem było Watsonem. Kostium Watsona, zaprojektowany tak, by twardnieć w miejscu uderzenia pocisku, naprężył się i stwardniał w tylnej części kaptura, gdzie uderzyła kula Consu, przez co wypchnął SprytnąKrew, odłamki czaszki, mózg i MózGościa jedynym dostępnym otworem – przodem.

Watson nie wiedział, co się stało. Ostatnią rzeczą, jaką przesłał jego MózGość była mieszanka emocji, którą można opisać jako pełne

dezorientacji zakłopotanie, plus rodzaj dość powściągliwego zdziwienia kogoś, kto widzi coś, czego nie spodziewał się zobaczyć – przy czym jeszcze nie wie, czym to jest. Potem połączenie z nim zostało przerwane, jakby nagle urwała się transmisja danych.

Consu, który zastrzelił Watsona śpiewał, kiedy naciskał spust. Wciąż miałem włączony obieg translatora, więc zobaczyłem śmierć Watsona z dodanymi na dole ekranu napisami. W pieśni wciąż powtarzało się słowo „odkupiony”, podczas gdy resztki głowy Watsona spływały po pancerzu śpiewaka. Krzyknąłem i zacząłem strzelać. Consu został odrzucony do tyłu, po czym jego ciało eksplodowało; posyłałem w jego stronę kulę za kulą, a każda z nich wybuchała pod powierzchnią jego pokrywy piersiowej. W końcu zdałem sobie sprawę z tego, że zmarnowałem trzydzieści ładunków, strzelając do od dawna martwego ciała Consu. Dopiero wtedy przestałem strzelać.

– Perry – powiedziała Viveros; mówiła na głos, żeby wyrwać mnie z dziwnego morderczego transu, w którym byłem pogrążony. – Jest ich tam więcej. Musimy zmienić pozycję. Chodźmy.

– A co z Watsonem? – zapytałem.

– Zostawmy go – odpowiedziała Viveros. – On jest już martwy a ty nie, i nikt tu teraz nie będzie go opłakiwać. Przyjdziemy po ciało później. Chodźmy stąd. My musimy przeżyć.



Wygraliśmy. Technika podwójnego strzału przerzedziła szeregi Consu zanim zmadrzeli i zaczęli zmieniać taktykę, wracając do ostrzału raketowego zamiast bezpośredniego starcia w polu. Po paru godzinach

Consu wycofali się i podnieśli swoją tarczę osłonową, zostawiając na polu bitwy oddział, który dokonał rytualnego samobójstwa, sygnalizując pogodzenie się Consu z przegraną. Po tym jak zatopili swoje ceremonialne noże w swoich otworach mózgowych, pozostało nam tylko pozbierać z pola bitwy ciała naszych rannych i zabitych.

Tego dnia Drugi Pluton wypadł całkiem dobrze; mieliśmy dwóch zabitych (jednym z nich był Watson), i czterech rannych, w tym tylko jedną ciężko ranną kobietę. Miała ona spędzić następny miesiąc czekając, aż odrośnie jej dolna część układu pokarmowego, podczas gdy pozostała trójka rannych miała stanąć na nogi i wrócić na służbę w ciągu paru dni. Biorąc pod uwagę cały przebieg zdarzeń, mogło być znacznie gorzej. Załadowany materiałami wybuchowymi wahadłowiec Consu przedarł się na pozycje zajmowane przez Czwarty Pluton Kompanii C i detonował, zabijając szesnastu naszych żołnierzy, wśród których znalazł się dowódca plutonu i dwóch dowódców oddziałów i ciężko raniąc wielu innych. Jeśli porucznik dowodzący czwartym plutonem przeżyłby ten atak, to po takim krwawym rozpiardolu nie chciałby już dalej żyć.

Kiedy porucznik Keyes ogłosił koniec zagrożenia i zezwolił na dalsze działania, wróciłem po Watsona. Wokół ciała krzątało się stado ośmionogich padlinożerców; zastrzeliłem jednego, co odstraszyło pozostałe. W tak krótkim czasie wykonały kawał dobrej roboty; ponurym zaskoczeniem dla mnie było to, jak mało waży ciało człowieka, jeśli pozbawi się je głowy i większej części tkanek miękkich. Włożyłem to, co z niego zostało do strażackiego nosidła i ruszyłem do oddalonej o kilka kilometrów tymczasowej kostnicy. Tylko raz musiałem zatrzymać się, żeby wymiotować.

Po drodze przydybał mnie Alan.

– Pomóc ci? – zapytał, dołączając do mnie.



- Nie trzeba – powiedziałem. – On już nie jest ciężki.
- Kto to?
- Watson.
- A, Watson – powiedział Alan i skrzywił się. – No cóż, jestem pewien, że ktoś gdzieś tam będzie za nim tęsknił.
- Nie musisz strzelać takich płaczliwych tekstów – powiedziałem. – Jak ci dzisiaj poszło?
- Całkiem nieźle – odpowiedział Alan. – Przez większość czasu nie wychylałem się, czasem wystawiałem karabin i parę razy wystrzeliłem; ogólnie raczej w kierunku, w którym znajdował się wróg. Mogłem kogoś trafić. Nie jestem pewien.
- Słuchałeś tej pieśni śmierci przed bitwą?
- Oczywiście – odparł Alan. – To brzmiało jak dwa pociągi towarowe w czasie godów. Nie można było tego nie usłyszeć.
- Nie o to pytam – powiedziałem. – Chodzi mi o to, czy włączyłeś tłumaczenie? Słuchałeś tego o czym śpiewał?
- Tak – odpowiedział Alan. – Nie wiem, czy podoba mi się ich plan nawrócenia mnie na ich religię, biorąc pod uwagę, że muszą nas przy tym zabić i tak dalej.
- KSO uważa, że to tylko rytuał. Tak jak recytowanie modlitw przed bitwą tylko dlatego, bo zawsze się tak robi – powiedziałem.
- A ty co o tym myślisz? – zapytał Alan.
- Wskazałem ruchem głowy ciało Watsona.
- Consu, który go zabił ryczał na całe gardło: „Odkupiony, odkupiony!”. Jestem pewien, że robiłby tak samo, gdyby udało mu się wypruć mi flaki. Myślę, że KSO niewłaściwie ocenia to, co się tu dzieje. Myślę, że Consu po przegranej bitwie nie wracają wcale nie dlatego, że ją przegrali. Moim zdaniem tu wcale nie chodzi o przegraną albo wygraną bitwę. W ich

pojęciu ta planeta jest teraz uświęcona krwią. Dlatego uważają, że należy do nich.

– To dlaczego jej nie okupują?

– Może jeszcze nie nadszedł na to czas – powiedziałem. – Być może muszą poczekać na coś w rodzaju Armagedonu. Ale chodzi mi o to, że moim zdaniem KSO nie ma pojęcia, czy Consu uważają teraz tę planetę za swoją własność, czy nie. I za jakiś czas KSO może się nieźle zdziwić.

– Okay, to brzmi sensownie – stwierdził Alan. – Każde wojsko o jakim słyszałem miało w swojej historii etap nieuzasadnionego zadowolenia z siebie. Ale co proponowałbyś z tym zrobić?

– Cholera, Alan, nie mam zielonego pojęcia. Wiem tylko tyle, że wtedy zamierzam już od dawna nie żyć.

– Zmieniając temat na mniej przygnębiający – powiedział Alan. – Odwaliłeś kawał dobrej roboty wymyślając ten sposób prowadzenia ognia. Byliśmy nieźle wkurzeni, że ci dranie w chwilę po trafieniu wstają i jak gdyby nigdy nic idą dalej. Przez najbliższych parę tygodni wszyscy będą ci stawiać drinki.

– Przecież nie płacimy za drinki – powiedziałem. – Na naszej wycieczce do piekła wszystko jest z góry opłacone.

– No to gdybyśmy płacili, to ty byś nie musiał – powiedział Alan.

– Chyba nie zrobią z tego jakiejś wielkiej sprawy – powiedziałem i zauważyłem, że Alan zatrzymał się i stanął na baczność. W naszą stronę szła Viveros z porucznikiem Keyesem i jakimś nieznanym mi oficerem.

– Perry – powiedział porucznik Keyes.

– Panie poruczniku – powiedziałem. – Proszę mi wybaczyć, że nie salutuję, ale właśnie niosę ciało do kostnicy.

– Tam właśnie trzeba je zanieść – powiedział Keyes i wskazał na trupa. – Kto to jest?

- Watson, sir.
- A, to on – powiedział Keyes. – Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu.
- Trochę zbyt łatwo się ekscytował, sir – powiedziałem.
- Pewnie macie rację – powiedział Keyes. – Mniejsza z tym. Perry, to jest podpułkownik Rybicki, dowódca dwieście trzydziestego trzeciego.
- Sir – powiedziałem. – Przepraszam, że nie salutuję.
- Tak, wiem, martwe ciało – powiedział Rybicki. – Synu, chciałem ci pogratulować opracowania sposobu prowadzenia ognia. Oszczędziłeś nam wiele czasu i uratowałeś niejedno ludzkie życie. Ci dranie Consu ciągle nas zaskakują. Od niedawna używają tych osobistych pól osłonowych i zdążyło nam to już sprawić dużo kłopotów. Przedstawię was do pochwały, szeregowy. Co o tym myślicie?
- Dziękuję, sir – powiedziałem. – Ale jestem pewien, że w końcu ktoś by na to wpadł.
- To prawda, ale to wy wpadliście na to pierwsi, i to się liczy.
- Tak jest, sir.
- Kiedy wrócimy na „Modesto”, pozwolisz chyba, żeby stary żołnierz piechoty postawił ci drinka, synu.
- Z przyjemnością, sir – powiedziałem, i zobaczyłem, że stojący za oficerami Alan ironicznie się uśmiecha.
- A więc dobrze. Jeszcze raz gratuluję – Rybicki wskazał na ciało Watsona. – Przykro mi z powodu waszego przyjaciela.
- Dziękuję, sir – Alan zsalutował za nas obu. Rybicki także zsalutował i oddalił się, Keyes poszedł za nim. Viveros odprowadziła ich wzrokiem i odwróciła się w naszą stronę.
- Wyglądasz na rozbawionego – Viveros zwróciła się do mnie.
- Właśnie pomyślałem, że ostatni raz ktoś nazwał mnie synem pięćdziesiąt lat temu – powiedziałem.

Viveros uśmiechnęła się i wskazała na Watsona.

– Wiesz, dokąd go zabrać? – zapytała.

– Kostnica jest za tym wzgórzem – powiedziałem. – Chcę zanieść tam Watsona i załapać się na pierwszy wahadłowiec odlatujący na „Modesto”, jeśli to będzie okay.

– Kurwa, Perry – powiedziała Viveros. – Jesteś bohaterem dnia. Możesz robić to, na co masz ochotę. – Odwróciła się i odeszła.

– Hej, Viveros! – powiedziałem. – Czy to zawsze tak wygląda?

Odwróciła się ponownie.

– Jakie to?

– No to – powiedziałem. – Wojna. Walka. Bitwy.

– Co? – zapytała, a potem wzruszyła ramionami. – No co ty, Perry. Dzisiaj to była bułka z masłem. Za każdym razem jest inaczej – stwierdziła i odeszła, najwyraźniej rozbawiona.

Tak wyglądała moja pierwsza bitwa. Zaczęła się dla mnie era wojny.

# DZIESIĄTY

Spośród wszystkich Starych Pierdzieli jako pierwsza umarła Maggie. Zginęła w górnej warstwie atmosfery kolonii o nazwie Umiar. Nazwa ta miała wydźwięk ironiczny, ponieważ, podobnie jak wiele koloni i utrzymujących się z górnictwa, planeta Umiar była pełna barów i burdeli. Kolonia ta, ze względu na swoje bogactwa naturalne (głównie rudy metali ciężkich) była trudna do zdobycia i utrzymania – KSO utrzymywały tam trzy razy więcej ludzi, niż na zwykłych koloniach – a i tak wciąż trzeba było dosyłać kolejne oddziały wsparcia. „Dayton”, okręt Maggie, właśnie wiozł jeden z takich transportów, kiedy siły Ohu wtargnęły do wnętrza przestrzeni terytorialnej Umiaru i wystrzeliły w stronę powierzchni planety armię robotów bojowych.

Pluton Maggie miał uczestniczyć w odbiciu z rąk Ohu kopalni aluminium znajdującej się w odległości około stu kilometrów od Murphy, głównego portu Umiaru. Nie dotarli nawet na powierzchnię planety. Pocisk raketowy Ohu rozerwał kadłub ich transportowca w czasie podchodzenia do lądowania. Przez wyrwę w kadłubie paru żołnierzy zostało wyspanych na zewnątrz okrętu, Maggie była wśród nich. Większość natychmiast zginęła – zabił ich wybuch głowicy pocisku bądź ostre krawędzie rozerwanego kadłuba, które porozrywały ich ciała.

Maggie jeszcze żyła. Została wyszana w przestrzeń kosmiczną nad Umiarem w pełni świadoma, jej kostium bojowy automatycznie zakrył jej twarz, zapobiegając zwymiotowaniu powietrza z płuc. Maggie natychmiast zawiadomiła dowódców swojego oddziału i plutonu. To, co zostało z dowódcy jej oddziału unosiło się obok niej, wciąż zapięte w uprzęży.

Dowódca jej plutonu także nie mógł jej pomóc, ale nie było w tym jego winy. Transportowiec nie był wyposażony w sprzęt ratowniczy. Na dodatek w tym momencie, wciąż pod ostrzałem wroga, z uszkodzonym kadłubem kierował się w stronę najbliższego okrętu KSO, żeby uratować choć tych spośród pasażerów, którzy przeżyli atak rakietowy.

Zawiadomienie samego „Dayton” także okazało się daremne – okręt nie mógł w tym momencie rozpocząć akcji ratowniczej, ponieważ przez cały czas prowadzono z jego pokładu wymianę ognia z paroma okrętami Ohu. Nie mógł jej również pomóc żaden z pozostałych okrętów. W normalnej sytuacji także byłoby trudno jakkolwiek jej pomóc – znajdowała się pod zbyt słabym wpływem siły ciężenia Umiaru, a jednocześnie zbyt blisko atmosfery planety – tylko jakaś wyjątkowo brawurowa akcja ratownicza mogłaby ją ocalić. W czasie, kiedy wokół trwała zażarta walka, była skazana na śmierć.

Tak więc Maggie, w chwili, kiedy jej SprytnaKrew zaczęła tracić zdolność przenoszenia resztek tlenu, w chwili, w której jej ciało bez wątpienia zaczęło boleśnie błagać o tlen, chwyciła swój Wuzet, wycelowiła w najbliższy z okrętów Ohu i odpaliła w jego stronę serię rakiet. Odrzut każdego z wystrzałów odpychał ją jeszcze dalej w nocne niebo planety Umiar. Sprawdzone później dane bitewne wykazały, że wystrzelone przez nią rakiety osiągnęły swój cel i wyrządziły na jego pokładzie pomniejsze szkody.

Potem Maggie obróciła się twarzą do powierzchni planety, która miała ją zabić i, jako prawdziwa znawczyni religii Dalekiego Wschodu, którą była przedtem, skomponowała *jisei*, wiersz śmierci w formie haiku:

*Nie płaczcie nade mną, przyjaciele  
Jestem gwiazdą, spadającą*

*W następne życie.*

Przesłała ten wiersz, razem z ostatnimi chwilami swojego życia do całej naszej pozostałej szóstki i umarła, pędząc jak srebrna iskra przez nocne niebo planety Umiar.

Była moją przyjaciółką. Przez krótki czas była moją kochanką. W chwili śmierci zachowała się dzielniej, niż ja kiedykolwiek będę w stanie się zachować. Do diabła, Maggie była prawdziwą spadającą gwiazdą.



– Z Kolonialnymi Siłami Obrony jest jeden problem – nie chodzi o to, że nie są świetnym wojskiem. Chodzi o to, że o wiele za łatwo się ich używa.

Słowa te wypowiedział Thaddeus Bender, dwa razy wybrany senatorem z ramienia partii demokratów w stanie Massachusetts; były ambasador przy ONZ, we Francji i Japonii; Sekretarz Stanu w skądinąd, delikatnie mówiąc, szkodliwej dla kraju administracji Crowe’a; autor wielu książek, wykładowca, i w końcu – ostatni nabytek Plutonu D. Prawdę mówiąc najbardziej osobisty stosunek mieliśmy do ostatniego z podanych przed chwilą faktów – wszyscy zgodnie uznaliśmy, że szeregowy senator ambasador sekretarz Bender był chodzącą skarbnicą bzdur.

To zadziwiające jak łatwo żółtodziób staje się starym wygą. Kiedy przybyliśmy z Alanem na „Modesto”, przydzielono nam po prostu kwatery. Porucznik Keyes przywitał nas miło, choć trochę zdawkowo – kiedy przekazywaliśmy mu pozdrowienia od sierżanta Ruiza, jedynie uniósł jedną brew. Pozostali członkowie plutonu traktowali nas życzliwie, ale również bez wielkiej wylewności. Dowódcy naszych oddziałów zwracali się do nas

jedynie wtedy, kiedy zachodziła taka potrzeba, a nasi koledzy z oddziałów przekazywali nam niezbędne informacje. Gdyby nie to, zupełnie wypadlibyśmy z obiegu.

Nie było w tym nic osobistego. Pozostali trzej nowicjusze – Watson, Gaiman i McKean – traktowani byli w ten sam sposób. Działo się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli przychodził ktoś nowy, to któryś ze „starych wyg” musiał odejść – a „odejść” zwykle oznaczało „umrzeć”. Na poziomie instytucjonalnym żołnierze mogą być wymieniani jak pionki. Jednak na poziomie rzeczywistego plutonu, albo oddziału, przychodzisz na miejsce zabitego współtowarzysza walki, a czasem nawet przyjaciela. W takiej sytuacji pomysł, że będziesz mógł – kimkolwiek jesteś – zastąpić nieżyjącego przyjaciela i kolegę, jest nawet trochę obraźliwy dla tych, którzy zostali.

Po drugie – traktują cię tak a nie inaczej, bo jeszcze nigdy nie walczyłeś. I dopóki tak się nie stanie, nie będziesz mógł zostać jednym z nich. Nie ma takiej możliwości. To nie twoja wina – zresztą bez wątpienia wkrótce będzie inaczej. Ale póki co, jesteś po prostu kimś, kto zajmuje miejsce należące do kogoś, kto był od ciebie lepszy.

Zaczęto traktować mnie inaczej natychmiast po zakończeniu naszej bitwy z Consu. Zwracano się do mnie po imieniu, zapraszano do stołów w mesie i na grę w bilard, wciągano mnie do wspólnych rozmów. Dowodząca moim oddziałem Viveros zaczęła pytać mnie o zdanie na temat różnych rzeczy, zamiast mówić mi jak te rzeczy mają wyglądać. Porucznik Keyes opowiedział mi niewiarygodną historię o sierżancie Ruizie, w której występował wahadłowiec i piękna córka kolonistów. Krótko mówiąc, stałem się jednym z nich – jednym z nas. Wykrycie sposobu prowadzenia ognia w czasie bitwy z Consu i udzielona mi później pochwała na pewno



mi pomogły, ale Alan, Gaiman i McKean także zostali przyjęci do stada, a jedynie walczyli w tej bitwie – i nie dali się zabić. To wystarczyło.

W trzy miesiące później sami już parę razy byliśmy świadkami przybycia żółtodziobów i widzieliśmy, jak zastępują ludzi, z którymi zdążyliśmy się zaprzyjaźnić – wiedzieliśmy już, co czuli pozostali członkowie plutonu, kiedy się pojawiliśmy, żeby zająć czyjeś miejsce. Reagowaliśmy w ten sam sposób – dopóki nie zaczniesz walczyć, po prostu zajmujesz tylko miejsce. Większość spośród nowicjuszy wykazywała się zrozumieniem, przystosowywała się i dzielnie znosiła te kilka pierwszych dni.

Szeregowy senator ambasador sekretarz Bender zachowywał się zupełnie inaczej. Odkąd pojawił się wśród nas, starał się wkupić w łaski całego plutonu, odwiedzając wszystkich osobiście i starając się z każdym nawiązać jakąś osobistą więź. To było bardzo irytujące. „Tak jakby prowadził jakąś kampanię” narzekał Alan – i nie mijał się zbytnio z prawdą. Jeśli przez całe życie ubiegasz się o jakiś urząd, może to odcisnąć na tobie takie właśnie piętno. Po prostu sam nie wiesz, kiedy z tym skończyć.

Szeregowy senator ambasador sekretarz Bender miał też głębokie, umacniane przez całe życie przeświadczenie, że ludzie z niezwykłym zainteresowaniem podchodzą do wypowiedzianych przez niego sądów; dlatego też nigdy nie mógł się zamknąć – nawet, jeśli nikt go nie słuchał. Więc kiedy rozwodził się w mesie na temat problemów KSO, w gruncie rzeczy mówił sam do siebie. Ale jego wypowiedzi były na tyle prowokujące, że doczekał się odzewu ze strony Viveros, z którą jadłem lunch.

– Słucham? – powiedziała. – Mógłbyś powtórzyć ostatnie zdanie?

– Powiedziałem, że problemem KSO wcale nie jest to, że nie są dobrze walczącym wojskiem, ale fakt, że zbyt łatwo się ich używa – odpowiedział

Bender.

– Naprawdę? – powiedziała Viveros. – Muszę usłyszeć jakieś uzasadnienie.

– To naprawdę proste – powiedział Bender, i natychmiast przyjął pozycję ciała, którą rozpoznałem natychmiast, przypominając sobie jego plakaty wyborcze z Ziemi: ręce wyciągnięte do przodu, a jednocześnie wygięte odrobinę do wewnątrz, jakby miał zaraz chwycić w dłonie koncept, który właśnie go olśnił – chwycić i przekazać go innym. Uderzyła mnie niezwykła protekcyjność tego gestu. – Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że Kolonialne Siły Obrony są niezwykle skuteczną w działaniu formacją wojskową. Ale w istocie rzeczy nie o to w tym wszystkim chodzi. Rzecz w tym, co robimy, żeby spróbować uniknąć korzystania z ich siły bojowej? Czy zdarzają się przypadki zaangażowania KSO w sytuacji, w której konflikt mógłby być rozwiązany na drodze skomplikowanych działań dyplomatycznych?

– Musiałeś nie słuchać tego, co mówiłem o niedoskonałym wszechświecie i ekonomicznej rywalizacji we wszechświecie, który rządzi się okrutnymi prawami – powiedziałem.

– Nie, słyszałem to wszystko – powiedział Bender. – Ale to nie znaczy, że się z tym zgadzam. Jak wiele gwiazd jest w tej galaktyce? Około stu miliardów? Większość z nich posiada jakieś systemy planetarne. Ilość planet jest praktycznie nieskończona. Moim zdaniem używamy siły wobec innych inteligentnych istot tylko dlatego, bo jest to najłatwiejszy sposób, by zdobyć to, czego chcemy. Przemoc jest szybka, bezpośrednia i – w porównaniu z całym skomplikowaniem dyplomacji – prosta. Albo zdobędziesz jakiś obszar, albo nie. Dyplomacja jest pod każdym względem trudniejszym wyzwaniem.

Viveros spojrzała na mnie, a potem znowu na Bendera.

– Więc uważasz, że to, co robimy, jest proste? – zapytała.

– Nie, nie – Bender uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w pojedynczym geście. – Powiedziałem, że jest to proste w porównaniu z dyplomacją. Jeśli dam ci broń i każę odebrać jakieś wzgórze jego mieszkańcom, sytuacja będzie względnie prosta. Ale jeśli powiem ci, żebyś poszedł do mieszkańców tego wzgórza i wynegocjował z nimi układ, który pozwoli ci to wzgórze zająć, sytuacja się skomplikuje. Trzeba będzie rozstrzygnąć, co się stanie z dotychczasowymi mieszkańcami, w jaki sposób zostaną rozmieszczeni, jakie prawa do wzgórza w dalszym ciągu będą im przysługiwać, i tak dalej.

– Zakładając oczywiście, że ten lud ze wzgórza nie zastrzeli cię natychmiast po wylądowaniu, kiedy pojawisz się między nimi z pocztą dyplomatyczną w ręku – powiedziałem.

Bender uśmiechnął się do mnie i triumfalnie wykrzyknął:

– Widzisz? Właśnie o to mi chodzi! Zakładamy, że wszyscy pozostali mają równie wojownicze nastawienie jak my. Ale gdyby tak uchylić – choćby odrobinę – dzielące nas drzwi za pomocą dyplomacji? Czy każda inteligentna, czująca istota nie chciałaby przez te drzwi przejść? Weźmy na przykład Waidian. Właśnie rozpoczynamy z nimi wojnę, prawda?

Tak właśnie było. Waidianie i ludzie od ponad dziesięciu lat krążyli wokół siebie jak para bokserów szukająca swoich słabych punktów – walka toczyła się o układ Earnhardta, w którego skład wchodziły trzy planety nadające się do zamieszkania zarówno dla jednych, jak i dla drugich. Układy z paroma nadającymi się do zamieszkania planetami były prawdziwą rzadkością. Waidianie byli wytrzymałą rasą, jednak nie dysponowali znaczącą siłą; sieć waidiańskich planet nie była zbyt duża i cały przemysł wciąż skupiony był na ich macierzystej planecie. Ponieważ Waidianie nie zrozumieli kierowanych w ich stronę aluzji i nie zamierzali

dobrowolnie oddać układu Earnhardta, powstał plan, by przeskoczyć do ich przestrzeni, zniszczyć ich porty kosmiczne i główne obiekty przemysłowe, przez co można by cofnąć zdolności kolonizacyjne tej rasy co najmniej o parę dziesięcioleci. Dwieście trzydziesty trzeci miał być częścią sił uderzeniowych, które miały wylądować w ich stolicy i rozpieprzyć trochę to miejsce – mieliśmy jednak, w miarę możliwości, unikać zabijania cywilów – mieliśmy po prostu podziurawić trochę budynki ich parlamentu i główne obiekty tamtejszego kultu religijnego. Nie miało to przynieść żadnych korzyści natury ekonomicznej – miał to być rodzaj wiadomości mówiącej, że możemy z nimi zrobić co chcemy. To powinno nimi trochę wstrząsnąć.

– Co z tymi Waidianami? – zapytała Viveros.

– No cóż, więc poszperałem trochę na temat tej rasy – powiedział Bender. – Ich kultura jest naprawdę niezwykła. Najwyższą formą wyrazu artystycznego jest u nich chóralny, masowy śpiew, trochę przypominający gregoriańskie chorały. Wszyscy mieszkańcy waidiańskiego miasta zbierają się i zaczynają śpiewać. Podobno ten ich śpiew słychać z odległości kilkudziesięciu kilometrów, a mogą tak śpiewać godzinami.

– I co z tego?

– To jest kultura, którą powinniśmy z szacunkiem i podziwem poznawać, zamiast tłumić ich potencjał na jednej planecie, tylko dlatego, że stoją nam na drodze. Czy Unia Kolonialna w ogóle próbowała dojść z nimi do jakichś pokojowych rozwiązań? W każdym razie nie natknąłem się na żadne wzmianki o jakichkolwiek próbach rozwiązania konfliktu drogą negocjacji. Myślę, że to my powinniśmy podjąć takie próby. Może to właśnie jest naszą powinnością.

Viveros wzruszyła ramionami.

– Negocjowanie jakichkolwiek układów troszeczkę wykracza poza nasze rozkazy, Bender.

– W czasie mojej pierwszej kadencji senatorskiej pojechałem do Irlandii Północnej jako członek komisji handlowej i w wyniku zbiegu okoliczności zająłem się tam przygotowywaniem traktatu pokojowego między protestantami a katolikami. Nie miałem upoważnień do negocjowania takich porozumień, co wywołało w Stanach dużo kontrowersji. Ale gdy pojawia się możliwość pokojowego rozwiązania, musimy ją wesprzeć – powiedział Bender.

– Pamiętam tę historię – powiedziałem. – Zaraz potem nastąpił okres najbardziej krwawych marszów od dwustu lat. Niezbyt udane porozumienie pokojowe.

– To nie była wina tego porozumienia – powiedział Bender, broniąc swojego stanowiska. – Jakiś odurzony katolicki dzieciak rzucił granatem w marsz Oranżystów i zaprzepaścił wszystko.

– Cholernie prawdziwi żywi ludzie, wchodzący w drogę twoim pacyfistycznym ideałom – powiedziałem.

– Posłuchaj, powiedziałem przecież, że dyplomacja to trudna dziedzina – powiedział Bender. – Ale myślę, że ostatecznie więcej możemy zyskać próbując z tym ludem współpracować, niż próbując ich wyniszczyć. W każdym razie na pewno powinno się choćby brać pod uwagę taką opcję.

– Dzięki za wykład, Bender – powiedziała Viveros. – A teraz, jeśli pozwolisz, mam na ten temat dwie uwagi. Po pierwsze – dopóki nie weźmiesz udziału w akcji bojowej, twoja wiedza i twoje poglądy gówno znaczą dla mnie i dla wszystkich innych. To nie jest Irlandia Północna, ani Waszyngton, to nie jest w ogóle planeta Ziemia. Kiedy się zaciągnąłeś, zaciągnąłeś się jako żołnierz, i lepiej o tym pamiętaj. Po drugie – bez względu na to, co sobie myślisz, szeregowy, odpowiadasz teraz nie przed

całym wszechświatem ani ludzkością jako taką – teraz jesteś odpowiedzialny wobec mnie, wobec twoich kolegów z oddziału, plutonu i wobec KSO. Kiedy dostaniesz rozkaz, wykonasz go. Jeśli wykroczysz poza zakres przydzielonych ci zadań, będziesz odpowiadał przede mną. Czy to jasne?

– Wiele zła zostało uczynione pod przykrywką „wykonywania rozkazów” – stwierdził Bender mierząc Viveros chłodnym wzrokiem. – Mam nadzieję, że my nie będziemy musieli uciekać się do tej wymówki.

Viveros zmrużyła oczy.

– Skończyłam już jeść – powiedziała, wzięła swoją tacę i wstała od stołu.

Bender uniósł brwi ze zdziwienia, odprowadzając ją wzrokiem.

– Nie chciałem jej obrazić – zwrócił się do mnie.

Przypatrywałem mu się uważnie.

– Czy ty w ogóle rozpoznajesz nazwisko „Viveros”, Bender? – zapytałem po chwili.

Skrzywił się i odpowiedział:

– Nie kojarzę tego nazwiska.

– Przypomnij sobie – powiedziałem. – To było w okolicach piątego, szóstego roku, czy coś koło tego.

Twarz mu się rozjaśniła.

– Był wtedy peruwiański prezydent o tym nazwisku. Został zamordowany, o ile dobrze pamiętam.

– Właśnie, Pedro Viveros – powiedziałem. – W czasie wojskowego puczu zabito nie tylko jego, ale i jego żonę, jego brata, jego szwagierkę i większość członków obu rodzin. Ocalała tylko jedna z córek Pedro Viverosa. Jej niania wrzuciła ją do zsypu z brudną bielizną, kiedy żołnierze

przeszukiwali pałac prezydencki w poszukiwaniu członków rodziny. Zresztą sama niania została zgwałcona, a potem poderżnięto jej gardło.

Twarz Bendera zmieniła kolor na szarzielony.

– Przecież ona nie może być jego córką – powiedział.

– Ona jest jego córką – powiedziałem. – I wiesz co? Kiedy pucz upadł, żołnierze, którzy wymordowali jej rodzinę stanęli przed sądem i usprawiedliwiali się właśnie tym, że jedynie wykonywali rozkazy. Więc niezależnie od tego, co chciałeś osiągnąć i czy w ogóle miałeś rację, mówiłeś to ostatniej osobie w całym wszechświecie, która potrzebowałaby wykładu na temat banalności zła. Ona wie na ten temat wszystko. Cała jej rodzina została zaszlachtowana, podczas gdy ona leżała w piwnicy na dnie kosza na brudną bieliznę, krwawiąc i starając się nie rozpłakać.

– O Boże, tak mi przykro – powiedział Bender. – Gdybym o tym wiedział nie odezwałbym się ani słowem. Ale przecież nic o tym nie wiedziałem.

– Oczywiście, że nie wiedziałeś, Bender – powiedziałem. – I o to właśnie chodziło Viveros. Tutaj właśnie jest tak, że nic nie wiesz. Nic a nic.



– Posłuchajcie – powiedziała Viveros, kiedy zbliżaliśmy się do powierzchni planety. – Mamy tam wpaść na szybki numerek, porozwalać trochę i się zmyć. Wylądujemy w pobliżu ich centrum rządowego – niszczymy budynki i urządzenia, unikając jednocześnie żywych celów; chyba, że zostaniemy zaatakowani jako pierwsi. Kopnęliśmy już tych koleśki w jaja, teraz po prostu osikamy ich, póki zginają się jęcząc z bólu. Wszystko jasne?

Do pewnego momentu wszystko przebiegało bez najmniejszych przeszkód; Waidianie byli zupełnie nieprzygotowani na pojawienie się w przestrzeni ich ojczystej planety dwóch tuzinów wojennych okrętów kosmicznych KSO. Parę dni wcześniej KSO rozpoczęło odwracającą uwagę ofensywę w układzie Earnhardta, która przywabiła tam prawie całą ich flotę wojenną – nieliczne broniące ich rodzinnej planety okręty zostały zdmuchnięte z nieba w ciągu jednego, błyskawicznego ataku.

Nasze niszczyciele natychmiast zajęły się głównym portem kosmicznym Waidian, dziurawiąc jego wielokilometrowej długości strukturę w krytycznych, wcześniej dokładnie wybranych punktach, pozwalając w ten sposób własnym siłom dośrodkowym portu dokonać reszty dzieła zniszczenia (nie ma sensu marnować amunicji, jeśli można tego uniknąć). Nie zostały wystrzelone żadne głowice skokowe, które mogłyby zawiadomić o naszym ataku waidiańskie siły zebrane w układzie Earnhardta, więc nasi przeciwnicy nie mogli zorientować się, że zostali wyprowadzeni w pole, dopóki nie było za późno na podjęcie sensownej kontrakcji. Jeśli jakiegokolwiek waidiańskie okręty przetrwały tamtą bitwę, to kiedy wrócą do domu, zobaczą, że nie mają gdzie wylądować ani dokonać napraw. A nas już wtedy dawno tu nie będzie. Po oczyszczeniu z wszelkich zagrożeń waidiańskiej przestrzeni kosmicznej, KSO bez przeszkód zajęły się niszczeniem ośrodków przemysłowych, baz wojskowych, kopalni, rafinerii, urzędów odsalających wodę, tam, tablic baterii słonecznych, portów, wyrzutni rakiet kosmicznych, głównych ciągów komunikacyjnych – krótko mówiąc wszystkiego, co wymagać będzie odbudowy, zanim Waidianie przystąpią do odbudowy swojej floty międzygwiazdnej i jej zaplecza. Po sześciu godzinach nieustannego bombardowania Waidianie zostali zepchnięci wstecz do epoki silników spalinowych, w której mieli przez jakiś czas pozostać.



KSO unikało szerokoskalowego bombardowania głównych miast, ponieważ śmierć przypadkowych cywilów nie była celem tego ataku. Wywiad KSO przewidywał pewne ofiary wśród ludności cywilnej, głównie z powodu zerwania tam – ale tego nie można było uniknąć. Waidianie w żaden sposób nie mogli przeszkodzić KSO w zrujnowaniu ich głównych ośrodków, zakładano, że w wyniku naszego ataku ich władze będą musiały uporać się z epidemiami chorób zakaźnych, głodem, a także z politycznymi i społecznymi niepokojami, które muszą pojawić się, kiedy ktoś wyszarpuje ci spod stóp wszystkie przemysłowe i technologiczne podstawy porządku społecznego. Dlatego atakowanie ludności cywilnej uznano za niehumanitarne, a także (co równie ważne dla grubych ryb KSO) nieefektywne. Nie brano nawet pod uwagę innych celów poza stolicą Waidian – która została zaatakowana w ramach działań wojny psychologicznej.

Mieszkańcy waidiańskiej stolicy chyba tego jednak nie docenili. Pociski i strumienie niszczycielskiego promieniowania zalewały ich miasto nawet wtedy, kiedy w nim lądowaliśmy. Od wewnątrz brzmiało to jakby olbrzymi grad walił w pancerz naszego transportowca, na którym jakiś olbrzym smażyłby jednocześnie jaja wielkiej kury.

– Idziemy w parach – powiedziała Viveros, szykując oddział przed akcją. – Nie ma żadnego chodzenia w pojedynkę. Patrzcie uważnie na mapy i nie dajcie się wciągnąć w pułapkę. Perry, ty będziesz miał oko na Bendera. Postaraj się go powstrzymać przed podpisywaniem jakichkolwiek traktatów pokojowych, jeśli łaska. W ramach bonusu wy dwaj wychodzicie jako pierwsi. Bawcie się dobrze i uważajcie na snajperów.

– Bender – skinąłem w jego stronę głową. – Ustaw swój Wuzet na rakiety i idź za mną. Włącz kamuflaż. Rozmawiamy tylko przez MózGościa.

Rampa transportowca opuściła się i obaj wyskoczyliśmy na zewnątrz. Dokładnie naprzeciwko mnie, w odległości mniej więcej czterdziestu metrów stała jakaś abstrakcyjna rzeźba. Strzeliłem do niej, kiedy przebiegaliśmy z Benderem obok. Nigdy nie przepadałem za sztuką abstrakcyjną.

Zmierzałem w stronę dużego budynku stojącego na północny zachód od miejsca naszego lądowania; w jego przeszklonym hallu udało mi się dostrzec paru Waidian z podłużnymi przedmiotami w szponach. Wystrzeliłem w ich stronę kilka pocisków, które prawdopodobnie trafiły tylko w szyby; raczej nie zabiły znajdujących się wewnątrz Waidian, ale odwróciły ich uwagę na dość długo, byśmy mogli z Benderem zniknąć im z oczu. Przesłałem Benderowi wiadomość, żeby rozbił pociskiem okno na drugim piętrze budynku. Potem wystrzeliliśmy się w górę i wylądowaliśmy w miejscu, które wyglądało na ogromne biuro, pełne małych boksów. Hm, nawet obcy muszą chodzić do pracy. W pobliżu nie było widać ani jednego żywego Waidianina. Pomyślałem sobie, że w taki dzień pewnie po prostu nie przyszli do pracy. Cóż, trudno im się dziwić.

Znaleźliśmy z Benderem rodzaj podjazdu, który spiralnie piął się w górę budynku. Żaden ze znajdujących się w hallu Waidian nie pojawił się na drugim piętrze. Pewnie tak zajęci byli innymi żołnierzami KSO, że zupełnie zapomnieli o naszym istnieniu. Podjazd prowadził na dach. Powolutku wysunąłem się nad krawędź podjazdu i zobaczyłem trzech Waidian mierzących w naszą stronę z przeciwległego brzegu dachu. Zdjąłem dwóch spośród nich, Bender zdjął trzeciego.

– *Co teraz* – przesłał Bender.

– *Chodź za mną* – odpowiedziałem.

Przeciętny Waidianin wygląda jak skrzyżowanie niedźwiedzia brunatnego z wściekłą, latającą wiewiórką. Waidianie, których

zastrzeliliśmy wyglądali jak wielkie niedźwiedziowiewiórki z karabinami w łapach i odstrzelonymi tyłami głów. Tak szybko, jak tylko było to możliwe podpełzaliśmy do krawędzi dachu. Skinięciem głowy kazałem Benderowi podejść do jednego z nieżywych snajperów; ja wybrałem sąsiednie ciało.

– *Wejź pod to* – przesłałem.

– *Co?* – przesłał Bender.

Wskazałem na sąsiednie dachy.

– Inni Waidianie na dachach – przesłałem. – To kamuflaż na czas, kiedy będę ich zdejmował.

– *Co mam robić?* – przesłał Bender.

– Obserwuj wejście na dach i nie pozwól im zrobić tego, co my zrobiliśmy tym tutaj – przesłałem.

Bender skrzywił się i wszedł pod swojego martwego Waidianina. Ja zrobiłem to samo i natychmiast zacząłem tego żałować. Nie wiem, jaki zapach mają żywi Waidianie, w każdym razie martwi śmierdzą jak cholera. Bender przesunął się i wymierzył w stronę wyjścia na dach; za pomocą MózGościa przesłałem Viveros ogólny obraz sytuacji i zacząłem likwidować snajperów z innych dachów.

Załatwiłem sześciu strzelców z czterech różnych dachów, zanim zaczęli powoli orientować się w sytuacji. W końcu zobaczyłem jak jeden z nich kieruje broń w stronę naszego dachu. Za pomocą mojego ukochanego karabinu posłałem w jego czaszkę pożegnalny dar i posłałem Benderowi wiadomość, żeby zrzucił z siebie martwe ciało i uciekał. W parę sekund potem w dach uderzyły rakiety.

W drodze na dół natknęliśmy się na Waidian, których spodziewałem się spotkać wcześniej, kiedy szliśmy do góry. Było to zaskoczeniem zarówno dla nas, jak i dla nich – jednak to my bardziej spodziewaliśmy się tego spotkania, czego dowiedliśmy, strzelając jako pierwsi. Pobiegliśmy na

najbliższe piętro budynku. Rzuciłem na podjazd parę granatów, żeby zająć Waidian w czasie naszej ucieczki.

– Co do diabła mamy teraz robić? – wrzasnął Bender, kiedy biegliśmy przez piętro.

– *Używaj MózGościa, debilu* – przesłałem i skręciłem za róg. – *Przez ciebie nas namierzą* – podszedłem do szyby i wyjrzałem na zewnątrz. Byliśmy na wysokości co najmniej trzydziestu metrów; zbyt wysoko na skok, nawet z naszymi udoskonalonymi ciałami.

– *Nadchodzą* – przesłał Bender. Gdzieś za nami słychać było coś, co jak sądzę było odgłosami wydawanymi przez bardzo wkurzonych Waidian.

– *Kryj się* – przesłałem do Bendera, wymierzyłem mój Wuzet w najbliższą szybę i wystrzeliłem. Szyba popękała, ale nie rozbiła się. Chwyciłem coś, co jak sądzę mogło być waidiańskim krzesłem i wyrzuciłem je przez okno. Potem przykucnąłem w kabinie obok Bendera.

– Co do diabła – przesłał Bender. – Teraz przyjdą prosto do nas.

– *Czekaj* – przesłałem. – Nie ruszaj się. Zaczynaj strzelać kiedy powiem. Ustaw automat.

Czterech Waidian skręciło za róg i zaczęło ostrożnie zbliżać się do wybitej szyby. Słyszałem jak trajkoczą coś do siebie; włączyłem obwód translacyjny.

– ... wyszli przez dziurę w ścianie – mówił jeden z nich do drugiego, kiedy zbliżali do ściany.

– Niemożliwe – powiedział drugi. – Tu jest zbyt wysoko. Umarliby.

– Widziałem, jak skaczą na duże odległości – powiedział pierwszy – Może udało im się przeżyć.

– Nawet te [nieprzekładalne] nie mogą spaść ze 130 degów [miara odległości] i przeżyć – powiedział trzeci podchodząc do pierwszych dwóch.

– Ci [nieprzekładalne] zjadacze [nieprzekładalne] wciąż gdzieś tu są.

– Czy widziałeś [nieprzekładalne – prawdopodobnie imię własne] na podjeździe? Ci [nieprzekładalne] rozerwali [go] na strzępy swoimi granatami – powiedział czwarty.

– Weszliśmy tym samym podjazdem co ty – powiedział trzeci. – Oczywiście, że [go] widzieliśmy. Teraz uciszcie się i przeszukajcie teren. Jeśli tu są, dokonamy zemsty na tych [nieprzekładalne] i uczcimy to w czasie ceremonii.

Czwarty zbliżył się do trzeciego z Waidian i wyciągnął w jego stronę pazur, jak gdyby ze współczuciem. Wszyscy czterej stali teraz naprzeciwko wybitego okna – tak jak chciałem.

– *Teraz* – przesłałem do Bendera i otworzyłem ogień. Przez parę sekund Waidianie epileptycznie podrygiwali jak marionetki, a potem siła wystrzałów popchnęła ich na szklaną szybę, której już za nimi nie było. Poczekaliśmy z Benderem parę kolejnych sekund, a potem rzuciliśmy się w stronę podjazdu. Nie było na nim nikogo, oprócz szczątków [nieprzekładalne – prawdopodobnie imię własne], który śmierdział nawet gorzej niż martwy snajper na dachu. Muszę przyznać, że do tej pory całe doświadczenie pobytu na ojczystej planecie Waidian powodowało jedynie cierpienie mojego narządu węchu. Zbiegliśmy z powrotem na drugie piętro i ruszyliśmy tą samą drogą którą weszliśmy na górę, mijając po drodze tych czterech Waidian, którym pomogliśmy wyskoczyć przez okno.

– Prawdę mówiąc, nie tego oczekiwałem – powiedział Bender, gapiąc się na szczątki Waidian, które mijaliśmy.

– A czego się spodziewałeś? – zapytałem.

– Naprawdę nie wiem – odparł.

– Więc skąd wiesz, że nie tego właśnie oczekiwałeś? – powiedziałem i przełączyłem MózGościa, żeby porozmawiać z Viveros. – *Jesteśmy na dole* – przesłałem.

– *Chodź tutaj* – przesłała Viveros i podała swoją lokalizację.  
– Przeprowadź ze sobą Bendera. Nie uwierzycie, co się tu dzieje.  
– Kiedy odebrałem jej wiadomość, usłyszałem, o czym mówiła – usłyszałem to pomimo odgłosu wciąż prowadzonego ostrzału i wybuchów granatów – niski, gardłowy chóralny śpiew, odbijający się echem pomiędzy budynkami rządowego kompleksu.

– Właśnie o tym wam przedtem mówiłem – radośnie oznajmił Bender, kiedy w końcu wyszliśmy za ostatni róg i zaczęliśmy schodzić w dół zbocza naturalnego amfiteatru. Na jego dnie zebrały się setki Waidian, kołyszących się i wymachujących jakimiś kosturami w rytm własnego, chóralnego śpiewu. Dookoła nich rozstawiono się na pozycjach kilkudziesięciu żołnierzy KSO. Gdyby otworzyli ogień, byłoby to jak strzelanie do stada indyków. Włączyłem obwód translacyjny, ale nie podał żadnego odczytu; albo pieśń nie miała tekstu, albo śpiewano ją w nieznanym kolonialnym językoznawcom dialekcie.

Dostrzegłem Viveros i podszedłem do niej.

– Co tu się dzieje? – wrzasnąłem, przekrzykując hałas.  
– Ty mi powiedz, Perry – odkrzyknęła. – Ja jestem tu tylko widzem. – Wskazała głową na lewo, gdzie porucznik Keyes konferował z innymi oficerami. – Próbują ustalić, co mamy dalej robić.

– Dlaczego nikt nie zaczął strzelać? – zapytał Bender.

– Ponieważ oni nie zaczęli strzelać do nas – powiedziała Viveros. – Według rozkazu mieliśmy bez potrzeby nie strzelać do cywilów. Ci tutaj są chyba cywilami. Co prawda wszyscy mają jakieś kije, ale nie grozili nam za ich pomocą; po prostu wymachują nimi, kiedy śpiewają. Poza tym nie ma potrzeby ich zabijać. Myślałam, że to cię ucieszy, Bender.

– To mnie cieszy – powiedział Bender i wyciągnął rękę w stronę tłumu Waidian, najwyraźniej czymś zachwycony. – Patrzcie, ten tam

przewodniczy temu zgromadzeniu. To Feuy, ich przywódca religijny. Jest wśród nich ważną figurą. Prawdopodobnie sam napisał pieśń, którą teraz śpiewają. Czy ktoś ma tłumaczenie?

– Nie – powiedziała Viveros. – Nie używają żadnego znanego nam języka. Nie mamy pojęcia o czym śpiewają.

Bender wystąpił krok do przodu.

– To modlitwa o pokój – stwierdził. – To musi być modlitwa o pokój. Przecież muszą wiedzieć, co zrobiliśmy z ich planetą. I sami widzą, co robimy z ich miastem. Każdy, komu zrobiono by coś takiego, musiałby chcieć, żeby to się skończyło.

– Och, jesteś cały wypełniony gównem – ucięła Viveros. – Nie masz pieprzonego pojęcia, o czym śpiewają. Mogą śpiewać o tym, jak oderwą nam głowy i naszczają do kikutów naszych szyj. Być może śpiewają do swoich zmarłych. Mogą wyśpiewywać swoją pieprzoną listę zakupów na jutro. Nie wiemy tego. Ty też tego nie wiesz.

– Mylisz się – powiedział Bender. – Przez pięćdziesiąt lat walczyłem na frontach bitwy o pokój na Ziemi. Wiem, kiedy ludzie są gotowi na pokój. Wiem, kiedy go potrzebują. – Wskazał na śpiewających Waidian. – Ci tutaj są gotowi, Viveros. Czuję to. I zamierzam wam to udowodnić. – Bender odstawił swój Wuzet i zaczął schodzić w dół amfiteatru.

– Bender, do jasnej cholery! – wrzasnęła Viveros. – Wracaj tu natychmiast! To rozkaz!

– Nie zamierzam więcej „tylko wykonywać rozkazów”, kapralu! – odkrzyknął Bender i zaczął biec sprintem.

– Kurwa! – krzyknęła Viveros i ruszyła za nim. Usiłowałem ją zatrzymać, ale mi się nie udało; chwyciłem dłonią powietrze.

W tym momencie porucznik Keyes i inni oficerowie spojrzeli w tę stronę i zobaczyli, że Bender, ścigany przez Viveros, biegnie w kierunku

Waidian. Zobaczyłem, że Keyes coś krzyczy i Viveros nagle się zatrzymała; Keyes musiał jej także przesłać rozkaz za pomocą MózGościa. Jeśli wydał rozkaz zatrzymania się Benderowi, to Bender najwyraźniej zignorował go, bo wciąż biegł w stronę Waidian.

Wreszcie dobiegł do krawędzi amfiteatru i spokojnie stanął. W końcu Feuy, ich mistrz ceremonii, zauważył, że samotny człowiek stoi na krawędzi ich zgromadzenia i przerwał śpiew. Waidianie, zdezorientowani, przestali śpiewać i przez jakąś minutę mruzcili coś do siebie, zanim również dostrzegli Bendera i odwrócili się w jego stronę.

Bender właśnie na to czekał. Zanim go zauważyli, musiał przygotować sobie to, co miał do powiedzenia i przetłumaczyć to na waidiański, ponieważ kiedy przemówił, bez trudu posługiwał się ich językiem, w sposób zrozumiały nawet dla naszych translatorów.

– Przyjaciele, moi współtowarzysze w poszukiwaniu pokoju... – zaczął, wyciągając w ich stronę dłonie w charakterystycznym dla siebie geście dzielenia się zdobytym doświadczeniem.

Odtworzone od tej chwili dane pokazały, że nie mniej niż czterdzieści tysięcy drobnych, przypominających igły pocisków (które Waidianie nazywają „avdgur”) uderzyło w ciało Bendera w ciągu niecałej sekundy. Wystrzelono je z kosturów, które wcale nie były kosturami, tylko świętymi dla ludu Waidian tradycyjnymi wyrzutniami pocisków w kształcie gałęzi drzew. Bender dosłownie roztopił się, kiedy każdy ze srebrnych „avdgurów” przebił jego kostium bojowy i ciało, ścierając wszystko na miazgę. Wszyscy potem zgodzili się, że była to jedna z najbardziej interesujących śmierci, jakie dane było im na własne oczy oglądać.

Ciało Bendera rozbryzgiwało się w formie czerwonych chmur i kałuż, kiedy żołnierze KSO otworzyli ogień skierowany do wnętrza amfiteatru. To rzeczywiście przypominało strzelanie do indyków; spośród wszystkich



zebranych w amfiteatrze nie ocalał ani jeden Waidianin, a poza Benderem żaden z żołnierzy KSO nie został ranny ani zabity. Wszystko to trwało niecałą minutę. Viveros poczekała na rozkaz przerwania ostrzału, podeszła do kałuży, która została z Bendera i z furią zaczęła tupać w nią nogami.

– Jak ci się teraz podoba pokój, skurwysynu?! – krzyczała, kiedy upłynnione organy wewnętrzne Bendera splamiły dolną część jej nóg.



– Wiesz, myślę, że Bender miał rację. – Viveros powiedziała do mnie, kiedy wracaliśmy na „Modesto”.

– Co do czego? – zapytałem.

– Co do tego, że używa się KSO zbyt szybko i zbyt często – powiedziała Viveros. – Że łatwiej jest walczyć niż negocjować. – Machnęła ręką w stronę ojczystej planety Waidian, która znikła za nami. – I wiesz co? Wcale nie musieliśmy tego robić. Wykurzać tych biednych sukinsynów z przestrzeni kosmicznej i robić tego wszystkiego, co spowoduje, że najbliższe parędziesiąt lat spędzą umierając z głodu i zabijając się nawzajem. Dzisiaj nie mordowaliśmy cywilów – może poza tymi, którzy załatwili Bendera. Ale to właśnie cywile będą teraz przez długi czas umierać na różne choroby i mordować się nawzajem, z braku innego wyboru. To ni mniej, ni więcej, tylko ludobójstwo. A my po prostu możemy czuć się lepiej, bo kiedy to wszystko będzie się tutaj działo, będziemy już gdzie indziej.

– Nigdy wcześniej nie zgadzałaś się z Benderem – powiedziałem.

– Nieprawda – powiedziała Viveros. – Powiedziałam, że gówno wie, bo takie są wymagania tej służby. Ale wcale nie mówiłam, że nie ma racji.

Powinien się mnie posłuchać. Gdyby wykonywał pieprzone rozkazy, teraz by żył. Zamiast tego, teraz zeszkrobuję go sobie z podeszew moich butów.

– On prawdopodobnie powiedziałby, że umarł za coś, w co wierzył – powiedziałem.

Viveros wzruszyła ramionami.

– Proszę cię – powiedziała. – Bender umarł za Bendara. Kurwa mać. Podszedł do grupy koleśki, których planetę właśnie zniszczyliśmy i zachowywał się, jakby był ich przyjacielem. Co za dupek. Gdybym była jedną z nich, też bym do niego strzelała.

– Cholerni prawdziwi, żywi ludzie, którzy wchodzą w drogę pacyfistycznym ideałom – powiedziałem.

Viveros uśmiechnęła się.

– Gdyby Bender naprawdę interesował się pokojem, a nie swoim własnym ego, zrobiłby to, co ja robię, i co powinieneś zrobić ty, Perry – powiedziała. – Wykonywać rozkazy. Pozostać przy życiu. Przetrwac okres naszej służby w piechocie. Zaczac szkolenie oficerskie i wspinać się w góre stopień po stopniu. Zostac jednym z tych ludzi, którzy wydaja rozkazy, zamiast tylko je wykonywac. My jedynie w taki sposob mozemy czynic pokoj. Wlasnie dlatego moge zyc „tylko wykonujac rozkazy”. Poniewaz wiem, ze ktoregos dnia bede mogla te rozkazy zmienic. – Oparla sie wygodnie, zamknela oczy i przespala reszte drogi na „Modesto”.

Luisa Viveros zginęła dwa miesiące później, na błotnistym zadupiu nazywanym Głębokie Wody. Nasz oddział wszedł w pułapkę, zastawioną w naturalnych katakumbach, pod kolonią rasy Hann'i, którą mieliśmy „oczyścić”. W czasie bitwy zostaliśmy zagnani do jaskini, do której prowadziły cztery dodatkowe tunele, wszystkie obsadzone przez piechotę Hann'i. Viveros rozkazała nam wycofać się do naszego tunelu i zaczęła strzelać w jego nasadę, powodując jego zawalenie się, które odcięło go od

główniej komory. Dane z MózGościa pokazują, że potem odwróciła się i zaczęła zdejmować poszczególnych Hann'i. Nie pożyła długo. Reszta oddziału przedarła się na powierzchnię, co nie było łatwą sprawą, biorąc pod uwagę, jak głęboko zapędziliśmy się na początku – jednak lepsze to niż umrzeć w zasadzce.

Viveros została pośmiertnie odznaczona medalem za odwagę; ja dostałem awans na kaprała i przejąłem jej oddział. Koję i szafkę Viveros przejął nowy koleś o nazwisku Whitford, który od samego początku wydawał się dość przyzwoity.

Urzednicy wymienili pionki na planszy. A mi brakowało Viveros.

# JEDENASTY

Thomas umarł z powodu czegoś, co zjadł.

To, co połąknał było dla KSO czymś na tyle nowym, że nawet nie nadano temu jeszcze nazwy; istniał jedynie oficjalny opis: Kolonia 622, 47 Wielka Niedźwiedzica (w KSO w dalszym ciągu używano ziemskich nazw gwiazdozbiorów, z tych samych powodów, dla których wciąż posługiwano się dwudziestoczterogodzinną dobą i rokiem składającym się z 365 dni – ponieważ tak było wygodniej). Według standardowych procedur operacyjnych, nowe kolonie codziennie transmitowały zbiór wszystkich danych koloni i za pomocą skokowego statku bezzałogowego, dzięki czemu Kolonialni na Feniksie mogli na bieżąco kontrolować sytuację.

Kolonia 622 przesyłała bezzałogowe statki skokowe od chwili jej założenia sześć miesięcy wcześniej; poza zwykłymi sporami i narzekaniami, które towarzyszą zakładaniu każdej nowej kolonii, nie doniesiono o niczym szczególnym – poza faktem, że rodzaj miejscowej śluzowatej pleśni przylepia się prawie do wszystkiego, wciska się do wnętrza maszyn, komputerów, zagród ze zwierzętami, a nawet do kwater mieszkalnych kolonistów. Na Feniksa przesłano analizę genetyczną tej materii organicznej, z prośbą o stworzenie środka grzybobójczego, który mógłby pomóc kolonistom pozbyć się ohydnej mazi. Zaraz potem na Feniksa zaczęły przybywać puste, bezzałogowe statki skokowe, na których nie umieszczono żadnych wiadomości z kolonii.

Thomas i Susan stacjonowali na „Tucsonie”, który został wysłany na miejsce, żeby zbadać sprawę. „Tucson” najpierw próbował nawiązać z kolonią kontakt z orbity – bez powodzenia. Wizualne namierzenie

budynków kolonii nie wykazało między nimi żadnego ruchu – nie było widać ludzi, zwierząt, niczego. Same budynki jednak wydawały się być nienaruszone. Pluton Thomasa dostał rozkaz wykonania rekonesansu.

Cała kolonia pokryta była lepka mazią, pokrywa śluzowatej pleśni w niektórych miejscach miała kilka centymetrów grubości. Skapywała z linii wysokiego napięcia, pokrywała sprzęt komunikacyjny. To mogła być dobra wiadomość – możliwe, że pleśń po prostu zagłuszyła zdolność transmisyjną sprzętu. Ten chwilowy wybuch optymizmu minął, kiedy oddział Thomasa dotarł do zagród dla zwierząt – wszystkie były martwe, ich ciała były zniekształcone pod wpływem pracowitego działania pleśni. Wkrótce potem znaleźli samych kolonistów; ich ciała były w podobnym stanie. Prawie wszyscy spośród nich (a raczej to, co z nich zostało) znajdowali się we własnych łózkach lub w ich pobliżu. Wyjątek stanowili członkowie rodzin, których ciała często znajdowano w dziecięcych pokojach albo prowadzących do nich korytarzach, a także ci spośród kolonistów, którym właśnie przypadła zmiana cmentarna – tych znaleziono na ich stanowiskach pracy. Cokolwiek uderzyło w kolonię, uderzyło późno w nocy i na tyle szybko, że koloniści nie mieli czasu na ten atak zareagować.

Thomas zasugerował, żeby wziąć jedno z ciał do ośrodka medycznego kolonii, gdzie mógłby przeprowadzić szybką autopsję, dzięki której być może dowiedzą się, co zabiło kolonistów. Dowódca jego oddziału wyraził zgodę. Thomas i jego kolega z oddziału przykucnęli nad jednym z mniej naruszonych ciał. Thomas chwycił je pod ramiona, a jego kolega za nogi. Thomas powiedział koledze, że podniosą ciało na trzy; doszedł do dwóch, kiedy śluzowata pleśń oderwała się od zwłok i z mokrym plaśnięciem uderzyła go w twarz. W odruchu zdziwienia nabrał powietrza; śluzowata pleśń wślizgnęła mu się do ust i dalej, w dół, do gardła.

Pozostali członkowie oddziału Thomasa natychmiast rozkazali swoim kostiumom zakryć twarze – jak się okazało w ostatniej chwili, ponieważ po paru sekundach śluzowata pleśń zaczęła nadlatywać w ich stronę ze wszystkich szczelin i otworów w okolicy. W całej kolonii w tym samym momencie doszło do identycznych ataków. Sześciu członkom plutonu Thomasa śluzowata pleśń także dostała się do ust.

Thomas próbował wypluć maź, która wypełniała mu usta, ale ta wcisnęła się głębiej do jego gardła, zablokowała drogi oddechowe, wślizgnęła się do płuc i przez przełyk do wnętrza brzucha. Za pomocą swojego MózGościa Thomas przekazał swoim kolegom, żeby zanieśli go do ośrodka medycznego, gdzie będzie można odessać maź z wnętrza jego ciała i przywrócić mu oddech; dzięki SprytnejKrwii mieli prawie piętnaście minut do chwili, w której mózg Thomasa ulegnie nieodwracalnemu uszkodzeniu. To był świetny pomysł i prawdopodobnie zadziałałby, gdyby pleśń nie zaczęła wydzielać stężonych kwasów trawiennych do wnętrza płuc Thomasa, żywcem pożerając go od środka. Płuca Thomasa natychmiast zaczęły się rozpuszczać; zmarł pod wpływem szoku i uduszenia w parę minut potem. Sześciu pozostałych członków plutonu podzieliło jego los – a także, z czym wszyscy się zgodzili, los kolonistów.

Dowódca plutonu rozkazał zostawić ciała Thomasa i pozostałej szóstki na miejscu; pluton wrócił do transportowców i z powrotem na pokład „Tucsona”. Nie udzielono im zgody wstępu na pokład. Członkowie plutonu zostali pojedynczo wprowadzeni do komory próżniowej, żeby zabić całą pleśń, która przyczepiła się do ich kostiumów, po czym poddani zostali procesowi intensywnego wewnętrznego i zewnętrznego odkażania, który był równie bolesny, co skomplikowany.

Wysłane natychmiast potem bezzałogowe sondy nie wykryły żadnych ocalałych ludzi na całym terenie Kolonii 622. Okazało się również, że

śluzowata pleśń jest nie tylko obdarzona dostateczną inteligencją, by przeprowadzić dwa oddzielne, skoordynowane ze sobą ataki, ale na dodatek jest odporna na tradycyjne środki rażenia. Pociski, granaty i rakiety działały tylko na małą jej część, większą pozostawiając nienaruszoną; miotacze ognia przysmażały wierzch śluzowatej pleśni, pozostawiając nietknięte, głębiej położone warstwy; promienie cząstek niszczących przenikały przez nią, nie powodując większej szkody. Kiedy okazało się, że pleśń zajmuje niemal całą powierzchnię planety, zaprzestano prac nad szczepionką, o którą wcześniej prosili koloniści. Bardziej opłacalne było znalezienie nowej, nadającej się do skolonizowania planety, niż wytępienie pleśni na globalną skalę.

Śmierć Thomasa była przypomnieniem faktu, że nie tylko nie wiemy, z czym przyjdzie nam się zmierzyć w czasie służby w KSO – czasem po prostu nie możemy sobie nawet wyobrazić tego, czemu będziemy musieli stawić czoła. Thomas popełnił błąd zakładając, że wróg będzie bardziej podobny do nas. Mylił się. I zapłacił za tę pomyłkę życiem.



Powoli zaczynało do mnie docierać, jak naprawdę wygląda podbój kosmosu.

Pierwsze przebłyski tej świadomości przydarzyły mi się na Gindal, gdzie wciągnęliśmy w pułapkę gindaliańskich żołnierzy, kiedy wracali do swoich orlich gniazd. Podziurawiwszy ich ogromne skrzydła wiązkami promieni i raketami, posłaliśmy ich w dół dwukilometrowej wysokości klifów – spadali koziołkując i przeraźliwie skrzecząc. Jednak tak naprawdę dotarło to do mnie nad Udaspri, gdzie zaopatrzeni w tłumiące inercję plecaki

skakaliśmy wewnątrz pierścieni Udaspri z jednego kawałka skały na drugi, bawiąc się w chowanego z przypominającymi pająki Vindi, którzy plotąc zwodnicze orbity grawitacyjne ciskali odłamkami pierścieni w dół, dokładnie na założoną przez ludzi kolonię Halford. Kiedy przybyliśmy na Cova Banda, byłem już bliski załamania.

Być może z powodu samych Covandu, którzy pod wieloma względami przypominali ludzi – byli dwunożnymi ssakami, niezwykle utalentowanymi artystycznie (szczególnie w dziedzinie poezji i dramatu), szybko się rozmnażali; byli też niezwykle agresywną rasą – zwłaszcza kiedy w grę wchodziła ich pozycja we wszechświecie. Ludzie i Covandu prowadzili ze sobą nieustanne wojny o różne niezagospodarowane kosmiczne nieruchomości. Cova Banda najpierw została skolonizowana przez ludzi, którzy jednak musieli się stamtąd szybko wycofać, ponieważ jakiś miejscowy wirus powodował, że osadnikom rosły dodatkowe, szpetne kończyny i dodatkowe, mordercze osobowości. Ten sam wirus nie powodował u Covandu nawet bólu głowy, więc natychmiast się tam wprowadzili. Sześćdziesiąt trzy lata później Kolonialni w końcu wykryli zwalczającą go szczepionkę, więc zapragnęli odzyskać planetę. Niestety zbyt podobni do ludzi Covandu wcale nie chcieli się nią dzielić. Prysłano więc nas na Cova Bandę, żebyśmy odebrali ją zadziornym Covandu.

Najwyższy z nich miał trzy centymetry wzrostu.

Covandu nie są oczywiście na tyle głupi, żeby posyłać armie swoich malutkich żołnierzy przeciw ludziom, którzy są od nich sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt razy więksi. Najpierw uderzają w nas rajdami lotnictwa, moździerzami dalekiego zasięgu, czołgami i innym wojskowym sprzętem, który może nam wyrządzić pewne szkody – i rzeczywiście, trudno poradzić sobie z latającym z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę samolotem o długości dwudziestu centymetrów. Ale w takiej sytuacji robi się wszystko,



żeby utrudnić wykorzystanie takich opcji (my wylądowaliśmy w głównym miejskim parku Cova Bandy, więc każdy chybiony ostrzał artyleryjski trafiał w mieszkających w okolicy cywilów) i w końcu można się pozbyć wszystkich tych drobnych niedogodności. Nasi ludzie wkładali w walkę z Covandu więcej serca niż zwykle – nie tylko dlatego, że tamci byli malutcy i trudniej było ich trafić. Po prostu nikt nie chciał zginąć z ręki przeciwnika, który miał dwa i pół centymetra wzrostu.

W końcu jednak udawało ci się zestrzelić wszystkie samoloty i rozwalić wszystkie czołgi; wtedy trzeba było się rozprawić z samymi Covandu. Walczy się z nimi w następujący sposób: nadeptuje się na nich. Po prostu stawiasz na nich stopę, lekko dociskasz i po wszystkim. W czasie, kiedy to robisz, Covandu przez cały czas strzela do ciebie i krzyczy ile sił w malutkich płucach, wydając pisk, który możesz nawet usłyszeć. Ale nie robi ci krzywdy. Twój kostium bojowy został zaprojektowany w taki sposób, by znosić uderzenia odpowiednich do twojego wzrostu pocisków o dużej mocy, więc trudno ci w ogóle poczuć, że jakieś drobiny materii uderzają o twoje kostki. Zwykle natomiast udaje ci się zarejestrować chrupnięcie, jakie wydaje miazdżona przez ciebie istotka. Potem znajdujesz następnego i robisz z nim to samo.

Robiliśmy tak przez długie godziny. Brnęliśmy przez główne miasto Cova Bandy, raz po raz zatrzymując się, żeby wymierzyć pocisk raketowy w któryś z pięcio- lub sześciometrowej wysokości drapaczy chmur i rozwalić go jednym strzałem. Niektórzy członkowie plutonu woleli strzelać do budynków seriami pocisków karabinowych, z których każdy mógł oderwać jednemu z Covandu głowę – było to o tyle zabawne, że kule dziurawiące budynki przypominały szalone kulki do gry w paczinko. Jednak w większości przypadków walka sprowadzała się do rozdeptywania.

Słynny japoński potwór Godzilla, który, kiedy opuszczałem Ziemię, przeżywał swoje kolejne przebudzenie, poczułby się tu jak w domu.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zacząłem krzyczeć i kopać w drapacze chmur; w każdym razie trwało to już dłuższą chwilę, kiedy Alan w końcu przybył mi na ratunek. W tym momencie Dupek właśnie informował mnie o tym, że zdążyłem już złamać sobie trzy palce u stóp. Alan zaprowadził mnie z powrotem do miejskiego parku, w którym wylądowaliśmy. Kiedy tylko usiedliśmy na trawie, zza pobliskiego głazu wyskoczył jakiś Covandu i wystrzelił prosto w moją twarz. Poczułem, jakby w policzek wbijały mi się drobne ziarnka piasku.

– Cholera jasna! – krzyknąłem, chwyciłem Covandu jakbym chwycił plastikowego żołnierzyka i ze złością cisnąłem nim w najbliższy wieżowiec. Wirując w powietrzu poleciał w jego stronę, uderzył o ścianę z cichym, głuchym młaśnięciem i spadł na znajdującą się dwa metry niżej ziemię. W tym momencie wszyscy inni znajdujący się w okolicy Covandu najwyraźniej uznali, że nie będą mnie więcej atakować. Odwróciłem się do Alana:

– Czy nie powinienes pilnować swojego oddziału? – zapytałem. Alan został mianowany dowódcą oddziału po tym, jak jakiś wściekły Gindalianin zerwał poprzedniemu dowódcy twarz.

– Mógłbym cię spytać o to samo – odparł i wzruszył ramionami. – Mój oddział ma się dobrze. Znają rozkazy i nikt nie stawia tu już prawdziwego oporu, jest posprzątane i zamiecione. Tipton, który mnie zastępuje, na pewno da sobie radę. Keyes powiedział mi, żebym polał cię zimną wodą i zorientował się, co się do diabła z tobą dzieje. Więc co się do diabła z tobą dzieje?

– Chryste, Alan – powiedziałem. – Właśnie przez trzy godziny rozdeptywałem inteligentne istoty, jakby były jakimiś robakami, to się

właśnie ze mną dzieje. Rozgniatam na śmierć małych ludzi swoimi pieprzonymi stopami. Alan, to wszystko... – wyciągnąłem ramię przed siebie – ... jest totalnie popieprzone. Ci ludzie mają niecałe trzy centymetry wzrostu. Czuję się jak zły Guliwer w kraju Liliputów.

– Nie mamy prawa wybierać naszych bitew, John – powiedział Alan.

– A ciebie jak nastraja ta bitwa? – zapytałem.

– Za bardzo mi się nie podoba – powiedział Alan. – To nie jest prawdziwa walka; po prostu ot tak sobie wysyłamy tych maluchów do piekła. Jednak z drugiej strony, najgorszym zranieniem w moim oddziale jest dzisiaj pęknięty bębenek uszny. To prawdziwy cud, biorąc pod uwagę codzienność naszych bitew. Więc ogólnie rzecz biorąc, raczej mi się to wszystko podoba. Na dodatek Covandu nie są tak zupełnie bezbronni. Ogólny bilans naszych walk jest wyrównany.

O dziwo, było to prawdą. W czasie pojedynków w przestrzeni kosmicznej rozmiar Covandu działał na ich korzyść; ich statki trudno było namierzyć, a ich małe myśliwce, które pojedynczo nie mogły wyrządzić naszym okrętom większej szkody, w większej grupie stanowiły poważne zagrożenie. Jedynie w czasie bitew lądowych mieliśmy nad nimi znaczącą przewagę. Cova Banda była broniona przez stosunkowo małą flotę okrętów Covandu; był to jeden z głównych powodów, dla których KSO zdecydowało się odzyskać tę kolonię.

– Nie chodzi mi o to, kto wygrywa w ogólnym rozrachunku, Alan – powiedziałem. – Chodzi mi o to, że nasi przeciwnicy mają pieprzone trzy centymetry wzrostu. Przedtem walczyliśmy z pajakami. Jeszcze wcześniej z cholernymi pterodaktylami. To wszystko nie współgra z moim poczuciem proporcji. To nie współgra ze mną samym. Nie czuję się już człowiekiem, Alan.

– Technicznie rzecz biorąc, nie jesteś już człowiekiem – powiedział Alan, próbując poprawić mi nastrój. Nie udało mu się.

– No cóż, w takim razie nie czuję już związku z tym, co kiedyś było człowiekiem – powiedziałem. – Nasza praca polega na tym, że spotykamy obce ludy i kultury, i zabijamy tych sukinsynów tak szybko jak to możliwe. Wiemy o nich tylko tyle, ile musimy wiedzieć, żeby skutecznie prowadzić z nimi walkę. Pomijając fakt, że są na tyle sprytni, żeby w inteligentny sposób móc stawiać nam opór, równie dobrze moglibyśmy walczyć ze zwierzętami.

– Dzięki temu dla większości z nas to wszystko staje się łatwiejsze – powiedział Alan. – Jeśli nie identyfikujesz się z pająkiem, to nie czujesz się tak źle, kiedy zabijasz pająka; nawet jeśli jest duży i inteligentny. Być może zwłaszcza wtedy, kiedy jest duży i inteligentny.

– Być może to właśnie mnie niepokoi – powiedziałem. – Nie ma w tym żadnej konsekwencji. Przed chwilą wziąłem żywą, myślącą rzecz i cisnąłem nią w ścianę budynku. To, że to zrobiłem, w ogóle mnie nie zaniepokoiło. Niepokoi mnie to, że mnie to nie zaniepokoiło, Alan. Powinny być jakieś konsekwencje naszych czynów. Musimy przyznać się przynajmniej do tego, że robimy okropne rzeczy – niezależnie od tego, czy mamy ku temu powody, czy nie. Nie czuję odrazy do tego, co robię. Ja się tego boję. Boję się tego, co to znaczy. Biegam po tym mieście, rozdeptując jego mieszkańców jak jakiś cholerny potwór. I zaczynam już myśleć, że tym właśnie jestem. Że tym się stałem. Że jestem potworem. Że ty jesteś potworem. Że wszyscy jesteśmy pieprzonymi, nieludzkimi potworami i nie widzimy w tym nic, kurwa, złego.

Alan nic na to nie odpowiedział. Milcząc obserwowaliśmy naszych żołnierzy, rozdeptujących Covandu na śmierć. W końcu nie było już kogo rozdeptywać.



– Więc co do diabła się z nim dzieje? – porucznik Keyes zapytał Alana, mając na myśli mnie, pod koniec pobitewnej odprawy dowódców oddziałów.

– Uważa, że wszyscy jesteśmy nieludzkimi potworami – powiedział Alan.

– Ach, to – powiedział porucznik Keyes i zwrócił się do mnie. – Jak długo jesteś w armii, Perry?

– Prawie rok – powiedziałem.

Porucznik Keyes pokiwał głową.

– Więc wszystko przebiega zgodnie z planem, Perry. Właśnie mniej więcej tyle czasu zajmuje większości ludzi zorientowanie się, że staliśmy się jakimiś bezdusznymi maszynami do zabijania, pozbawionymi sumienia i moralności. Do niektórych dociera to wcześniej, do niektórych później. Jensen, na przykład... – wskazał na jednego z pozostałych dowódców oddziałów – ... dotrwał mniej więcej do piętnastego miesiąca służby, zanim się załamał. Powiedz mi, co wtedy zrobiłeś, Jensen.

– Strzeliłem do Keyesa – powiedział Ron Jensen. – Uznałem go za uosobienie całego zła systemu, który przekształcił mnie w maszynę do zabijania.

– Przy okazji prawie odstrzelił mi głowę – powiedział Keyes.

– To był szczęśliwy traf – zadrwił Jensen.

– Taa, miałeś szczęście, że spudłowałeś. W przeciwnym razie ja bym nie żył, a ty, jako mózg pływający w zbiorniku, wariowałbyś z powodu braku bodźców zewnętrznych. Posłuchaj, Perry, to zdarza się każdemu.

Otrząsniesz się, kiedy zdasz sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie jesteś nieludzkim potworem – po prostu próbujesz pojąć totalnie popieprzoną sytuację. Przez siedemdziesiąt pięć lat prowadziłeś życie, w którym najbardziej ekscytujące były momenty, w których szedłeś z kimś do łóżka. A zaraz potem znajdujesz się w sytuacji, w której próbujesz ustrzelić swoim Wuzetem jakąś kosmiczną ośmiornicę, zanim ona zabije ciebie. Chryste. Tak naprawdę to nie ufam właśnie tym, którzy tego nie przeżywają.

– Alan tego nie przeżył – powiedziałem. – A jest w wojsku tyle samo co ja.

– To prawda – powiedział Keyes. – Co powiesz na to, Rosenthal?

– Jestem kotłem kipiącym, pełnym oderwanej od swoich przyczyn wściekłości, poruczniku.

– Acha, tłumienie – powiedział Keyes. – Świetnie. Postaraj się nie strzelić do mnie, kiedy w końcu wybuchniesz, jeśli łaska.

– Nie mogę nic obiecać, sir – powiedział Alan.

– Wiecie, co mi pomogło? – powiedziała Aime Weber, jedna z dowódców oddziałów. – Zrobiłam sobie listę ziemskich rzeczy, za którymi tęsknię. To było trochę przygnębiające, ale z drugiej strony pozwoliło mi przypomnieć sobie rzeczy, z którymi wciąż coś mnie łączy. Jeśli za czymś tęsknisz, to wciąż coś cię z tym wiąże.

– Więc za czym tęskniłaś? – zapytałem.

– Za plenerowym przedstawieniem Szekspira, na przykład – powiedziała. – Ostatniego wieczoru na Ziemi widziałam doskonałą inscenizację „Makbeta”. Boże, to było świetne. A w tych okolicach nie widzimy raczej dobrych przedstawień teatralnych na żywo.

– Tęsknię za kruchymi ciasteczkami czekoladowymi mojej córki – powiedział Jensen.

– Można dostać kruche czekoladowe ciasteczka na „Modesto” – powiedział Keyes. – Cholernie dobre ciasteczka.

– Na pewno nie tak dobre, jak te zrobione przez moją córkę. Sekretem tego przepisu jest melasa.

– Robi mi się niedobrze – powiedział Keyes. – Nienawidzę melasy.

– Dobrze, że o tym nie wiedziałem, kiedy do ciebie strzelałem – powiedział Jensen. – Wtedy bym nie spudłował.

– Ja tęsknię za pływaniem – powiedział Greg Ridley. – Najczęściej pływałem w rzece płynącej obok mojej posiadłości w Tennessee. Przez większość roku woda była zimna jak diabli, ale strasznie lubiłem tam pływać.

– Tęsknię za kolejką górską – powiedział Keyes. – Na tych dużych czujesz, jakby flaki miały ci wypaść przez nogawki.

– A mnie brakuje książek – powiedział Alan. – Dużej, grubej książki w twardej okładce w niedzielny poranek.

– A ty, Perry? – powiedziała Weber. – Czy jest coś, za czym teraz tęsknisz?

Wzruszyłem ramionami.

– Tęsknię tylko za jedną rzeczą – powiedziałem.

– To nie może być głupsze niż tęsknota za kolejką górską – powiedział Keyes. – Wyduś to z siebie. To rozkaz.

– Jedyną rzeczą za jaką tęsknię jest bycie żonatym – powiedziałem. – Tęsknię za siedzeniem z moją żoną, zwykłymi rozmowami, wspólnym czytaniem, i tak dalej.

Po mojej wypowiedzi zapadła cisza.

– To dla mnie coś nowego – w końcu odezwał się Ridley.

– Cholera, ja w ogóle za tym nie tęsknię – powiedział Jensen. – Całe ostatnie dwadzieścia lat mojego małżeństwa było jednym wielkim

nieporozumieniem.

Rozejrzałam się dookoła.

– Czy nie macie współmałżonków, którzy się zaciągnęli? Nie utrzymujecie z nimi kontaktu?

– Mój mąż zaciągnął się przede mną – powiedziała Weber. – Kiedy dostałam pierwszy przydział już nie żył.

– Moja żona stacjonuje na „Boise” – powiedział Keyes. – Czasem coś do mnie skrobnie. Naprawdę nie sędzę, żeby jakoś strasznie za mną tęskniła. Chyba wystarczyło jej trzydzieści osiem lat życia ze mną.

– Ludzie, kiedy tu przybywają, nie chcą już żyć swoim dawnym życiem – powiedział Jensen. – Pewnie, że tęsknimy za niektórymi drobiazgami; jak powiedziała Aime; to jedna z rzeczy, która utrzymuje nas przy zdrowych zmysłach. Ale z drugiej strony to jakby podróż w czasie, jakby cofnąć się do momentu przed podjęciem wszystkich decyzji, które spowodowały, że twoje życie było takie, jakie było. Jeśli mógłbyś się cofnąć w czasie, to czy dokonałbyś tych samych wyborów? Tamto życie już przeżyłeś. Na marginesie mówiąc, nie żałuję wyborów, których dokonałem. Ale nie spieszy mi się znowu tak bardzo, żeby dokonać ich jeszcze raz. Moja żona gdzieś tu jest, to prawda. Ale jest szczęśliwa żyjąc swoim własnym życiem beze mnie. A ja, muszę przyznać, także nie mam wielkiej ochoty zaciągać się do tamtej służby jeszcze raz.

– Wiecie co, wcale nie poprawiliście mi nastroju – powiedziałem.

– Więc za czym konkretnie tęsknisz? – zapytał Alan.

– No wiecie, tęsknię za swoją żoną – powiedziałem. – Ale tęsknię też za uczuciem, no wiecie, komfortu. Poczuciem, że jesteś tam, gdzie powinieneś być – z tym kimś, z kim być powinieneś. Jest jasne jak diabli, że tutaj tego nie czuję. Udajemy się do miejsc, do których musimy się udawać, żeby



walczyć u boku ludzi, którzy mogą umrzeć choćby jutro albo pojutrze. Bez obrazy.

– Nikt się nie obraża – powiedział Keyes.

– Tutaj nie ma się stałego gruntu pod nogami – powiedziałem. – Nie ma się poczucia bezpieczeństwa. Moje małżeństwo, jak wszystkie, miało swoje wzloty i upadki. Ale kiedy dochodziło co do czego, wiedziałem, że jest czymś trwałym. Tęsknię za tym rodzajem poczucia bezpieczeństwa i za tym rodzajem związku z kimś. Po części czyni nas ludźmi to, czym jesteśmy dla innych i czym inni są dla nas. Tęsknię za byciem kimś ważnym dla kogoś innego, za tą częścią człowieczeństwa. Za tym właśnie tęsknię w małżeństwie.

Znowu zapadła cisza.

– Do diabła, Perry – w końcu odezwał się Ridley. – Kiedy tak to przedstawiasz, ja także zaczynam tęsknić za małżeństwem.

Jensen wzruszył ramionami:

– Ja nie. Ty sobie tęsknij za byciem żonatym, Perry. Ja dalej będę tęsknił za ciasteczkami mojej córki.

– Z melasą – powiedział Keyes. – To obrzydliwe.

– Proszę znów nie zaczynać, sir – powiedział Jensen. – Bo pójdę po swój Wuzet.



Śmierć Susan była jakby lustrzanym odbiciem śmierci Thomasa. Strajk wiertaczy na Elysium znacznie ograniczył wydobycie ropy naftowej. „Tucson” został wyznaczony do przetransportowania wiertaczylamistrajków i chronienia ich w czasie, kiedy będą dokonywać odwiertów.

Susan była na jednej z platform, którą strajkujący wiertacze zaatakowali za pomocą prowizorycznej artylerii; eksplozja zepchnęła Susan i dwóch innych żołnierzy z platformy kilkadziesiąt metrów w dół, do morza. Pozostali dwaj żołnierze już nie żyli w chwili uderzenia o powierzchnię wody, ale Susan ciężko poparzona i półprzytomna, pozostała jednak przy życiu.

Została wyciągnięta z morza przez strajkujących wiertaczy, którzy dokonali ataku; po naradzie wiertacze uznali, że posłuży jako przykład dla innych. W morzach Elysium żyje olbrzymi padlinożerca nazywany ziewaczem, którego zawiasowe szczęki z łatwością połykają człowieka w całości. Ziewacze często żerują w pobliżu platform wiertniczych, ponieważ odżywiają się wyrzucanymi do morza odpadkami. Wiertacze wyciągnęli Susan z wody, ocucili ją, klepiąc po twarzy, po czym wyrecytowali jej naprędce zredagowane oświadczenie; wiedząc, że za pomocą jej MózGościa jego treść dotrze do dowództwa KSO. Potem uznali Susan za winną kolaboracji z wrogiem, skazali ją na śmierć i zepchnęli z powrotem do morza, dokładnie pod zsypem na śmieci platformy.

Ziewacz nie kazał długo na siebie czekać; otworzył paszczę i Susan znalazła się w jego wnętrzu. W tym momencie Susan wciąż żyła i starała się wydostać tym samym otworem, którym dostała się do środka. Jednak zanim udało jej się tego dokonać, jeden ze strajkujących wiertaczy trafił ziewacza dokładnie poniżej płetwy grzbietowej – w miejsce, w którym znajduje się jego mózg. Zabity ziewacz natychmiast zatonął, zabierając Susan ze sobą na dno oceanu. Susan zginęła nie dlatego, że została zjedzona, nie utopiła się – zabiło ją olbrzymie ciśnienie wody w otchłani, w której zatonąła razem z rybą, która ją połknęła.

Strajkujący wiertacze nie świętowali zbyt długo tego wątpliwego zwycięstwa. Z „Tucsona” przybyło wsparcie, żołnierze otoczyli

kilkudziesięciu prowadzących, zastrzelili ich i nakarmili nimi ziewacze. Ci, którzy zabili Susan, zostali połknięci żywcem – nie strzelano do nich przedtem. Strajk skończył się wkrótce potem.

Śmierć Susan rozjaśniła mi w głowie. Przypomniała mi, że ludzie mogą być tak samo nieludzcy jak inne, obce rasy. Gdybym to ja był na pokładzie „Tucsona”, także karmiłbym ziewacze tymi łajdakami, którzy zabili Susan, nie czując przy tym nawet najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie wiem, czy stałem się lepszy czy gorszy – jednak stałem się tym, czym obawiałem się być w czasie bitwy z Covandu. Ale nie martwiło mnie już to, że staję się coraz bardziej nieludzki.

# DWANAŚCIE

Ci, spośród nas, którzy brali udział w bitwie o Koral, doskonale pamiętają, kiedy po raz pierwszy usłyszeli o tym, że planeta została zdobyta. Słuchałem właśnie Alana, który wyjaśniał dlaczego wszechświat, który znałem, odszedł bezpowrotnie.

– Opuściliśmy go, kiedy dokonaliśmy pierwszego skoku – powiedział. – W tym momencie przeskoczyliśmy do sąsiedniego wszechświata. Tak właśnie działa napęd skokowy.

Te słowa wywołały długą chwilę milczenia. Milczałem ja i Ed McGuire, z którym siedzieliśmy w świetlicy batalionu Alana. W końcu Ed, który przejął oddział po Aime Weber, wydał z siebie nieśmiały pisk:

– Nie nadążam za tobą, Alan. Myślałem, że napęd skokowy po prostu przemieszcza nas z prędkością większą od prędkości światła, czy coś w tym rodzaju. Że tak to działa.

– Nie – powiedział Alan. – Einstein wciąż ma rację: maksymalną możliwą do osiągnięcia prędkością jest prędkość światła. Poza tym, nie chciałbyś zacząć latać po kosmosie nawet z ułamkiem prędkości światła. Kiedy lecisz z prędkością kilkuset tysięcy kilometrów na sekundę, nawet drobina kurzu może wyrwać w kadłubie twojego statku kosmicznego olbrzymią dziurę. To po prostu szybki sposób, żeby umrzeć.

Ed zamrugał i przesunął dłonią po głowie.

– No, teraz znowu mi uciekłeś – powiedział.

– No dobra, posłuchajcie – powiedział Alan. – Pytaliście mnie, jak działa napęd skokowy. Tak jak powiedziałem, to jest bardzo proste: bierze obiekt z jednego wszechświata, na przykład „Modesto”, i przerzuca go do innego

wszechświata. Problemem jest to, że nazywamy to „napędem”. Tak naprawdę nie jest to w ogóle napęd, ponieważ przyspieszenie nie jest tu czynnikiem decydującym – decydującym czynnikiem jest lokalizacja wewnątrz wieloświata.

– Alan – powiedziałem. – właśnie robisz nad nami kolejny pokazowy przelot odrzutowców.

– Sorry – powiedział Alan i zastanowił się przez chwilę. – Jak dobrze znacie matematykę, chłopaki?

– Z trudnością przypominam sobie tabliczkę mnożenia – powiedziałem. A Ed McGuire potakująco skinął głową.

– Okay – powiedział Alan. – Będę więc mówił w jak najprostszym sposobie. Mam nadzieję, że się nie obrażicie.

– Spróbujemy – powiedział Ed.

– Okay. Po pierwsze, wszechświat, w którym jesteście – wszechświat w którym jesteśmy w tym momencie – jest tylko jednym z nieskończonej ilości możliwych wszechświatów, których istnienie dopuszcza fizyka kwantowa. Na przykład, za każdym razem, kiedy namierzymy elektron znajdujący się w pewnej pozycji, tym samym funkcjonalnie definiujemy nasz wszechświat, podczas gdy w alternatywnym wszechświecie, pozycja tego elektronu jest zupełnie inna. Nadażacie za mną?

– Zupełnie nie – powiedział Ed.

– Nie jesteście naukowcami. No cóż, więc musicie mi uwierzyć na słowo. Mówię o wielości wszechświatów, o wieloświecie. Napęd skokowy po prostu otwiera drzwi do jednego z tych innych wszechświatów.

– W jaki sposób to robi? – zapytałem.

– Nie znasz matematyki na tyle, bym mógł ci to wytłumaczyć – powiedział Alan.

– Więc to magia – powiedziałem.

– Z twojego punktu widzenia, tak – odparł Alan. – Ale dopuszczalna przez prawa fizyki.

– Nie łapię tego – powiedział Ed. – W takim razie byliśmy w wielu wszechświatach, przy czym każdy wszechświat, w którym byliśmy, był dokładnie taki jak nasz. Wszystkie „alternatywne wszechświaty”, o których czytałem w utworach science-fiction, znacznie różniły się między sobą. Dzięki temu można było rozpoznać, że jest się w alternatywnym wszechświecie.

– Istnieje ciekawa odpowiedź na to pytanie – powiedział Alan. – Przyjmijmy za wiadome, że przeniesienie jakiegoś obiektu z jednego wszechświata do drugiego jest zasadniczo nieprawdopodobnym wydarzeniem.

– Mogę się z tym zgodzić – przyznałem.

– Z punktu widzenia fizyki, jest to dopuszczalne, chociaż na najbardziej podstawowym poziomie mówimy tu o wszechświecie fizyki kwantowej, w którym prawie wszystko może się zdarzyć, nawet jeśli nie ma to konsekwencji natury praktycznej. Z drugiej strony, w takich samych warunkach, każdy wszechświat woli ograniczać nieprawdopodobne wydarzenia do minimum, szczególnie na poziomie subatomowym.

– W jaki sposób wszechświat może cokolwiek „woleć”? – zapytał Ed.

– Nie znacie na tyle matematyki – powiedział Alan.

– Oczywiście, że nie – odparł Ed, wywracając oczami.

– Ale wszechświat woli jedne rzeczy od drugich. Woli dążyć do stanu entropii, na przykład. Woli mieć prędkość światła jako stałą. W pewnym zakresie i z olbrzymim nakładem sił można te jego preferencje modyfikować i wykorzystywać. Na przykład w tym wypadku przenoszenie obiektu z jednego wszechświata do drugiego jest tak nieprawdopodobne, że zwykle wszechświat, do którego przenosisz ten obiekt jest taki sam, jak ten

wyjściowy – możecie to nazwać prawem zachowania nieprawdopodobieństwa.

– Ale jak wytłumaczysz przemieszczanie obiektów z jednego miejsca w drugie? – zapytałem. – W jaki sposób dostajemy się z jednego punktu przestrzeni w jednym wszechświecie, do zupełnie innego punktu przestrzeni w innym?

– Pomyślmy sekundę – powiedział Alan. – Przemieszczenie całego statku kosmicznego do innego wszechświata jest niewiarygodnie nieprawdopodobnym zabiegiem. Z punktu widzenia wszechświata pytanie o to, w jakim miejscu tego nowego wszechświata okręt się pojawi, jest naprawdę trywialne. Dlatego powiedziałem, że błędnie używamy słowa „napęd”. Tak naprawdę pomiędzy początkiem i końcem skoku nie ma żadnej podróży. Po prostu przybywamy na miejsce.

– A co się dzieje we wszechświecie, który właśnie opuściliśmy? – zapytał Ed.

– Na nasze miejsce z jakiegoś innego wszechświata wskakuje inna wersja „Modesto” z alternatywnymi wersjami nas samych na pokładzie – powiedział Alan. – Najprawdopodobniej. Jest nieskończenie mała szansa, że tak się nie stanie, ale generalną zasadą jest to, że zostaniemy zastąpieni.

– Więc czy uda nam się kiedykolwiek wrócić? – zapytałem.

– Wrócić dokąd? – zapytał Alan.

– Do tego wszechświata, z którego zaczynaliśmy naszą podróż.

– Nie – odpowiedział Alan. – Co prawda teoretycznie jest to możliwe, chociaż wysoce nieprawdopodobne. Wszechświaty są w stanie nieustannego tworzenia się poprzez rozgałęzianie się możliwości, a wszechświaty, do których się udajemy, generalnie rzecz ujmując, powstają tuż przed tym, jak do nich wskakujemy, ponieważ są tak bardzo podobne do naszego. Im dłużej jesteś poza danym wszechświatem, tym bardziej staje

się on rozbieżny i tym mniej prawdopodobnym staje się fakt, żeby udało ci się do niego powrócić. Nawet powrót do wszechświata, który opuściłeś zaledwie przed sekundą jest, fenomenologicznie rzecz ujmując, nieprawdopodobny. Powrót do tego, który zostawiliśmy ponad rok temu, kiedy po raz pierwszy przeskoczyliśmy z Ziemi do Feniksa, wykracza poza wszelkie prawdopodobieństwo.

– To przykre – powiedział Ed. – Lubiłem mój wszechświat.

– Musisz przywyknąć do tego – powiedział Alan. – Nie przybyłeś nawet z tego samego wszechświata co John i ja, ponieważ dokonałeś przeskoku kiedy indziej. Co więcej, nawet ludzie, którzy razem z nami dokonali pierwszego przeskoku są w tym momencie w innych wszechświatach niż my, bo przeskoczyli tam na pokładach innych okrętów – jeśli spotkamy jakichś swoich starych przyjaciół, to tak naprawdę spotkamy ich alternatywne wersje. Będą oczywiście wyglądać i zachowywać się w ten sam sposób, ponieważ poza okazjonalnymi przemieszczeniami elektronów, są teraz tacy sami jak przedtem. Ale nasze wyjściowe wszechświaty są od siebie zupełnie różne.

– Więc ty i ja jesteśmy wszystkim, co zostało z naszego wszechświata – powiedziałem.

– Jest całkiem prawdopodobne, że tamten wszechświat wciąż istnieje – powiedział Alan. – Ale prawie na pewno my jesteśmy jedyną pochodzącą z niego parą ludzi w tym wszechświecie.

– Sam nie wiem, co mam o tym myśleć – powiedziałem.

– Nie przejmuj się tym za bardzo – powiedział Alan. – Z codziennego punktu widzenia całe to skakanie między wszechświatami jest zupełnie bez znaczenia. A funkcjonalnie rzecz biorąc, wszystko jest mniej więcej takie samo, niezależnie od tego, w którym wszechświecie właśnie się znajdujesz.

– Więc po co w ogóle potrzebne są nam statki kosmiczne? – zapytał Ed.



– To dość oczywiste; po to, żeby dostać się tam, dokąd chcemy się dostać, kiedy już znajdziemy się w nowym wszechświecie – odpowiedział Alan.

– Nie, nie – powiedział Ed. – Chodzi mi o to, że jeśli można po prostu przeskakiwać z jednego wszechświata do drugiego, dlaczego nie mielibyśmy przeskakiwać z planety na planetę, nie używając statków kosmicznych? Można by przerzucać ludzi prosto na powierzchnię danej planety. Dzięki temu przynajmniej uniknęlibyśmy wystrzeliwania w kosmos.

– Wszechświat woli, żeby przeskoki odbywały się z dala od dużych źródeł grawitacyjnych, takich jak gwiazdy i planety – powiedział Alan. – Szczególnie przeskoki do innych wszechświatów. Można dokonać przeskoku w bardzo bliskiej odległości od źródła grawitacyjnego, dlatego właśnie wkraczamy do nowych wszechświatów w pobliżu miejsc naszego przeznaczenia. Jednak o wiele łatwiej dokonywać wyjściowego przeskoku w większej odległości od nich, więc przed każdym skokiem przemierzamy część drogi konwencjonalnym sposobem. Zachodzi tu pewien wykładniczy związek, który mógłbym wam przedstawić, ale...

– Tak, wiem, nie znamy dość dobrze matematyki – powiedział Ed.

Alan zamierzał chyba jakoś łagodząco na to odpowiedzieć, kiedy cała nasza trójca uaktywniły się MózGoście. „Modesto” właśnie otrzymał wiadomość o masakrze na Koralu. Były to przerażające wieści, niezależnie od tego, w jakim akurat był wszechświecie.



Koral był piątą zasiedloną przez ludzi planetą; i jednocześnie pierwszą, która klimatycznie bardziej odpowiadała ludziom niż Ziemia. Geologicznie stabilna, o układzie meteorologicznym, który umożliwił rozciągnięcie się stref umiarkowanego wzrostu na większą część powierzchni jej lądów, wypełniona gatunkami roślin i zwierząt genetycznie na tyle podobnymi do ziemskich, żeby spełniały ludzkie potrzeby żywieniowe, a nawet estetyczne. Na początku zastanawiano się nawet nad tym, czy nie nazwać tej kolonii Edenem, ale ostatecznie uznano, że taka nazwa w sensie karmicznym byłaby, delikatnie mówiąc, kuszeniem losu.

Wybrano więc nazwę Koral, nawiązując do przypominających koralowce organizmów, które tworzyły wspaniałe podmorskie rafy i archipelagi wzdłuż tropikalnej strefy równikowej planety. Co nietypowe, ludzka ekspansja na Koralu została ograniczona do minimum, a większość spośród żyjących tam ludzi wybierała proste życie, swoimi wzorcami sięgające ery przedindustrialnej. Było to jedno z niewielu miejsc w kosmosie, w którym ludzie próbowali przystosować się do istniejącego ekosystemu, zamiast drastycznie w niego ingerować, sprowadzając z Ziemi chociażby kukurydzę i bydło rogate. Okazało się, że takie podejście sprawdza się doskonale; społeczność ludzka, dyskretna w swojej obecności na planecie i niezbyt liczna, zazębiła się z biosferą Koralu i prosperowała w skromny, rozsądnie kontrolowany sposób.

Dlatego więc społeczność Koralu była zupełnie nieprzygotowana na inwazję wojsk rasy Rraey, które przybyły w liczbie odpowiadającej ilości osadników. Żołnierze KSO stacjonujący na powierzchni planety i na jej orbicie walczyli dzielnie, chociaż krótko, i szybko ulegli liczebnej przewadze przeciwnika. Sami koloniści także zadali Rraeyom poważne straty. Jednak, pomimo stawianego oporu, kolonia szybko została

spustoszona a sami koloniści dosłownie zaszlachtowani, ponieważ Rraeyowie już dawno zasmakowali w ludzkim mięsie.

Za pomocą MózGościów przedstawiono nam urywki transmisji z Koralu, między innymi fragment przechwyconego programu kulinarnego, w którym jeden z rraeyskich mistrzów kuchni omawiał najlepsze sposoby oprawiania ludzkiej tuszy i wykorzystania poszczególnych części ciała jako składników różnych potraw – szyjny odcinek kręgosłupa najbardziej ceniony był jako baza zup i rosółów. To nagranie wzbudziło w nas niesmak; poza tym stanowiło dowód na to, że Rraeyowie planowali masakrę na Koralu z dużym wyprzedzeniem, skoro przywieźli ze sobą nawet swoje drugorzędne sławy, by mogły brać udział w świętowaniu zwycięstwa. Najwyraźniej zamierzali tam zostać na dobre.

Rraeyowie, nie marnując czasu, natychmiast przystąpili do realizacji planu, który był przyczyną ich inwazji. Po zabiciu wszystkich kolonistów sprowadzili z orbity platformy służące do odkrywkowej eksploatacji wysp Koralu. Wcześniej próbowali negocjować z rządem Kolonialnym założenie kopalni na wyspach; na ich ojczystej planecie odpowiedniki raf koralowych uległy wyniszczeniu w wyniku zatrucia środowiska i rabunkowego górnictwa. Rząd Kolonialny nie udzielił im zgody na zakładanie kopalń z dwóch powodów – po pierwsze koloniści chcieli zachować ekosystem planety w stanie nienaruszonym. po drugie, wszyscy wiedzieli o ludożerczych skłonnościach Rraeyów, i nikt nie chciał mieć sąsiadów, którzy przelatując nad tobą zastanawialiby się, czy nadasz się na kolację.

Rząd Kolonialny źle rozpoznał powody, dla których Rraeyom tak bardzo zależało na eksploatacji złóż rafy koralowej – oprócz pobudek natury ekonomicznej kierowały nimi nie do końca wyjaśnione motywy religijne. Nie doceniono także środków, których Rraeyowie będą skłonni użyć dla osiągnięcia swojego celu. Spory między Rraeyami i Rządem Kolonialnym

wybuchwały już parę razy; wzajemne stosunki nigdy nie układały się najlepiej – jak zresztą można mieć dobre stosunki z kimś, kto widzi w tobie tylko składnik pożywnej potrawy. Jednak ogólnie rzecz biorąc każda ze stron zajmowała się swoimi sprawami, nie wchodząc sobie w drogę. Działo się tak do czasu, kiedy zniknęła ostatnia z raf koralowych na rodzinnej planecie Rraeyów – właśnie ten brak skłonił ich do zadania nam ciosu. Teraz rafy koralowe należały do nich, a my musieliśmy uderzyć ich jeszcze mocniej, żeby je odzyskać.



– To całkiem, kurwa, ponure – mówił porucznik Keyes do dowódców oddziałów. – A będzie jeszcze bardziej ponure, kiedy my się tam znajdziemy.

Siedzieliśmy w pokoju odpraw naszego plutonu. Kawa stygła nam w kubkach, kiedy strona za stroną przeglądaliśmy obrazy bestialstw dokonywanych przez wroga i raporty służb wywiadowczych z Koralu. Te spośród naszych bezzałogowych statków, które uniknęły zestrzelenia, donosiły o nieprzerwanym strumieniu statków wroga przybywającym do systemu Koral – były to zarówno jednostki bojowe, jak i służące do prac górniczych i transportu surowców. W dwa dni po masakrze w przestrzeni nad Koralem unosiło się prawie tysiąc rraeyskich okrętów, które oczekiwały na rozpoczęcie grabieży.

– Oto co wiemy w tej chwili – powiedział Keyes i nasze MózGoście pokazały nam graficzne przedstawienie systemu Koralu. – Szacujemy, że olbrzymia większość rraeyskich okrętów w systemie Koralu to jednostki służące celom komercyjnym i przemysłowym; z tego, co wiemy na temat

konstrukcji ich okrętów, mniej więcej jedna czwarta spośród nich – jakieś trzysta jednostek – ma bojowe zdolności ofensywne i defensywne; wiele z nich to transportowce, słabo chronione i o niskiej sile rażenia. Ale te o klasie bojowych okrętów liniowych przewyższają wielkością i mocą rażenia nasze jednostki tego typu. Szacuje się, że na powierzchni planety znajduje się około stu tysięcy żołnierzy wroga, którzy zaczynają przygotowywać się do odparcia naszego ataku. . ‘

– Dobrze wiedzą, że będziemy chcieli odebrać im Korał, ale nasz wywiad twierdzi, że spodziewają się nas za cztery do sześciu dni – ponieważ tyle czasu trzeba, żeby wymanewrować odpowiednią ilość naszych dużych okrętów na pozycje skokowe. Rraeyowie wiedzą, że KSO woli działać wystawiając do walki przeważające siły, a to musi zabrać nam trochę czasu.

– Więc kiedy zaatakujemy? – zapytał Alan.

– Za jakieś jedenaście godzin od tej chwili – powiedział Keyes. Wszyscy zaczęliśmy się niespokojnie wiercić na swoich krzesłach.

– Jak to możliwe, sir? – zapytał Ron Jensen. – Mamy do dyspozycji tylko te okręty, które są w tej chwili na pozycjach skokowych; plus te, które mogą je osiągnąć w ciągu najbliższych paru godzin. Ile mamy ich razem?

– Sześćdziesiąt dwa, wliczając w to „Modesto” – powiedział Keyes i nasze MózGoście wyświetliły listę dostępnych okrętów. Zauważyłem, że jest wśród nich „Hampton Roads”, na którego pokładzie stacjonowali Harry i Jesse. – Oprócz tego jeszcze sześć dodatkowych jednostek z maksymalną prędkością zmierza w tym momencie na pozycje skokowe, ale nie możemy liczyć na to, że będą na miejscu, kiedy uderzymy.

– Chryste, Keyes – powiedział Ed MacGuire. – To daje stosunek pięć do jednego, jeśli chodzi o okręty i dwa do jednego, jeśli chodzi o siły lądowe;

przy założeniu, że uda nam się wylądować bez strat. Chyba jednak wolę naszą tradycję atakowania z dużą przewagą liczebną.

– Ale kiedy uda nam się zebrać wystarczającą ilość dużych okrętów, oni zdążą się już przygotować na nasze przybycie – powiedział Keyes. – Lepiej zaatakować mniejszymi siłami, kiedy są jeszcze nie przygotowani i wyrządzić im tyle szkód, ile tylko się da. Za cztery dni będziemy już mieli w odwodzie większe siły: dwieście okrętów w pełnej gotowości bojowej. Jeśli wykonamy naszą robotę tak jak trzeba, będą musieli tylko dokończyć sprzątanie resztek Rraeyów.

– Tylko wtedy może nas tam już nie być i nie będziemy mogli tego docenić – parsknął Ed.

Keyes uśmiechnął się leciutko:

– Taki pech. Ludzie, posłuchajcie. Wiem, że to nie jest wesoła przejażdżka po księżycu. Ale nie będziemy postępować głupio. Nie zamierzamy bić się z nimi jeden na jednego. Zaatakujemy jedynie konkretne, namierzone cele. Zestrzelimy ich transportowce, żeby uniemożliwić im wsparcie sił już znajdujących się na powierzchni Koralu. Dokonamy desantów, które uniemożliwią im eksploatację kopalń koralowych i postaramy się sprawić, by Rraeyowie nie mogli nas trafić, nie trafiając jednocześnie w swoich ludzi i swój sprzęt. Kiedy tylko będzie taka możliwość zaatakujemy także ich flotę komercyjną i przemysłową, postaramy się także odciągnąć ich duże okręty z orbity Koralu, tak, byśmy byli z obu ich stron, kiedy nadejdzie nasze wsparcie.

– Wróciłbym jeszcze na chwilę do tej części, która mówiła o oddziałach lądowych – powiedział Alan. – Najpierw lądujemy, a potem nasze okręty starają się odciągnąć okręty Rraeyów z orbity? Czy dla nas, którzy będziemy na ziemi, znaczy to właśnie to, co myślę?

Keyes pokiwał głową:

– Będziemy tam odcięci przez co najmniej trzy, cztery dni.  
– Nieźle – powiedział Jensen.  
– To jest wojna, matyły – rzucił Keyes. – Bardzo mi przykro, że nie stwarza wam dostatecznie komfortowych warunków.  
– Co się stanie, jeśli plan nie zadziała i nasze okręty zostaną zestrzelone z nieba? – zapytałem.

– No cóż, podejrzewam, że wtedy będziemy nieźle udupieni, Perty – powiedział Keyes. – Ale nie ma potrzeby wychodzić z takiego założenia. Jesteśmy zawodowcami, mamy robotę do wykonania. Do tego właśnie nas wyszkolono. Plan zawiera pewne elementy ryzyka, ale nie jest to głupie ryzyko – i jeśli plan zadziała, odzyskamy planetę, jednocześnie wyrządzając Rraeyom poważne szkody. Lepiej będzie, jeśli wyjdziemy z takiego założenia, nie uważacie? To jest szalony pomysł, ale może się sprawdzić. Jeśli będziemy tak myśleć, szanse powodzenia trochę wzrosną. Zgadza się ze mną?

Nerwowo wierciliśmy się na krzesłach. Ostatecznie nas to nie przekonało, ale nic więcej nie można było zrobić. Czy nam się to podobało, czy nie, i tak mieliśmy wziąć udział w tej akcji.

– Co to będzie za sześć okrętów? Które potem dołączą do imprezy? – zapytał Jensen.

Keyes przez chwilę przeglądał dane MózGościa:

– „Little Rock”, „Mobile”, „Vaco”, „Muncie”, „Burlington” i „Krogulec”.

– „Krogulec”? – powiedział Jensen. – Bez jaj.

– O co chodzi z tym „Krogulcem”? – zapytałem. Nazwa okrętu była nietypowa; okrętom kosmicznym o sile ogniowej batalionu zwykle nadawano nazwy średniej wielkości amerykańskich miast.

– To Brygady Duchów, Perry – powiedział Jensen. – Siły Specjalne KSO. Fabrycznie wzmocnione skurwysyny.

– Nigdy o nich wcześniej nie słyszałem – powiedziałem. Prawdę mówiąc wydawało mi się, że kiedyś o nich słyszałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć kiedy i gdzie.

– KSO trzyma ich na specjalne okazje – powiedział Jensen. – Nie są zbyt mili dla innych. Mimo to dobrze byłoby ich mieć przy boku, kiedy będziemy lądować na tej planecie. To mogłoby nam oszczędzić kłopotliwego umierania.

– Byłoby miło, ale prawdopodobnie tak nie będzie – powiedział Keyes. – To nasze przedstawienie, chłopcy i dziewczęta. Na dobre i na złe.



„Modesto” dokonał przeskoku na orbitę Koralu dziesięć godzin później i w ciągu pierwszych sekund po przybyciu na miejsce trafiło go sześć pocisków wystrzelonych z bliskiej odległości przez krążownik Rraeyów. Silniki rufowe na prawej burcie „Modesto” zostały zniszczone, w wyniku czego okręt zaczął dziko koziółkować. Kiedy pociski uderzyły w okręt, nasze oddziały – mój i Alana – były już na pokładzie wahadłowca transportowego; siła wybuchu cisnęła paru żołnierzy na grodzie transportowca. W przystani wahadłowców nieprzymocowany do podłoża sprzęt latał po całym wnętrzu, uszkadzając pozostałe okręty, ale oszczędzając nasz. Same wahadłowce, przymocowane do podłoża za pomocą elektromagnesów, na szczęście pozostały na swoich miejscach.

Aktywowałem MózGościa, żeby sprawdzić stan okrętu. „Modesto” został poważnie uszkodzony, a aktywne skanowanie, dokonywane przez



okręt Rraeyów wskazywało na to, że wróg szykuje się do wystrzelenia kolejnej serii pocisków.

– Musimy się stąd zmywać! – wrzasnąłem do Fiony Eaton, naszego pilota.

– Nie mam pozwolenia z mostka – powiedziała.

– Mniej więcej za dziesięć sekund trafi w nas kolejna salwa pocisków – powiedziałem. – To jest twoje pieprzone pozwolenie. – Fiona warknęła coś w odpowiedzi.

Alan, który także podłączył się do systemu komputerowego „Modesto”, wrzasnął z tyłu:

– Odpalili pociski! Uderzą za dwadzieścia sześć sekund!

– Zdążymy się w tym czasie wydostać? – zapytałem Fionę.

– Zobaczymy – powiedziała i otworzyła kanał komunikacyjny do innych wahadłowców – Tu mówi Fiona Eaton, pilotująca transport szósty. Musicie wiedzieć, że za trzy sekundy dokonam procedury awaryjnego otwarcia głównej bramy przystani wahadłowców. Powodzenia.

– Natychmiast zapnij pasy – powiedziała do mnie i nacisnęła czerwony przycisk.

Drzwi przystani obrysowały się białym ostrym światłem; odgłos ich otwierania zagłuszony został przez ryk uciekającego z wnętrza okrętu powietrza. Wszystkie nie przymocowane przedmioty wystrzeliły na zewnątrz; za rojem szczątków gwiazdziste niebo chorobliwie obracało się w miarę wirowania „Modesto”. Fiona zwiększyła moc silników i poczekała, aż ostatnie przedmioty wylecą przez bramę przystani, oczyszczając drogę, po czym zwolniła elektromagnetyczne cumy i wahadłowiec wystrzelił na zewnątrz. Fiona starała się skompensować wirowanie „Modesto”, jednak i tak wylatując zahaczyliśmy dachem o krawędź bramy.

Wyświetliłem MózGościem obraz przystani wahadłowców. Pozostałe transportowce w parach i trójkami wystrzeliwały przez bramę. Pięć wydostało się na zewnątrz. Potem w okręt uderzyła następna salwa pocisków, nagle zmieniając trajektorię obrotów „Modesto”, przez co kilka właśnie wylatujących transportowców roztrzaskało się. Przynajmniej jeden z nich eksplodował; jego szczątki uderzyły w kamerę i obraz zgasł.

– Przerwij połączenie swojego MózGościa z „Modesto” – powiedziała Fiona. – Mogą nas namierzyć za jego pomocą. Przekaż to pozostałym oddziałom. Werbalnie.

Zrobiłem, jak kazała. Dołączył do nas Alan.

– Mamy tam z tyłu parę drobnych obrażeń – powiedział, wskazując swoich żołnierzy. – Ale to nic poważnego. Jaki mamy plan?

– Skierowałam nas w stronę Koralu i wyłączyłam silniki – powiedziała Fiona. – Chcąc nas namierzyć, będą prawdopodobnie szukać śladów napędu i transmisji MózGościów. Dopóki sprawiamy wrażenie martwych, być może zostawią nas w spokoju do chwili, gdy uda nam się dotrzeć do atmosfery.

– Być może? – zapytał Alan.

– Jeśli masz jakiś lepszy plan, cała zamieniam się w słuch.

– Nie mam w ogóle pojęcia, co się tu dzieje – powiedział Alan. – Więc chętnie zgadzam się na twój plan.

– Co tu się właściwie do diabła stało? – zapytała Fiona. – Trafili nas w momencie, kiedy wychodziliśmy z przeskoku. W żaden sposób nie mogli wiedzieć, gdzie się pojawimy.

– Być może po prostu byliśmy w złym miejscu o złym czasie – powiedział Alan.

– Nie sądzę – powiedziałem i wskazałem ręką za okno. – Spójrzcie na to.

Wskazałem na znajdujący się po naszej lewej stronie rraeyski krążownik, który właśnie rozbłyskał światłem ognia dobywającego się z dysz odpalanych pocisków. Po naszej prawej stronie nagle pojawił się krążownik KSO. W parę sekund później, wystrzelone wcześniej pociski, uderzyły w burtę na całej jego długości.

– To kurwa niemożliwe – powiedziała Fiona.

– Wiedzą dokładnie, gdzie wychodzą nasze okręty – powiedział Alan. – To pułapka.

– Jak oni, kurwa, to robią? – Fiona domagała się odpowiedzi. – Co tu się, kurwa, dzieje?

– Alan? – powiedziałem. – Jesteś fizykiem.

Alan wpatrywał się w zniszczony krążownik KSO, który w tej chwili przechylony na bok, przyjmował kolejną salwę pocisków.

– Nie mam pojęcia, John. To dla mnie coś zupełnie nowego.

– To jest do dupy – powiedziała Fiona.

– Trzymajmy się blisko – powiedziałem. – Wszyscy mamy kłopoty, a zgubienie się nic nam nie pomoże.

– Jeśli masz lepszy plan, cała zamieniam się w słuch – powtórzyła Fiona.

– Czy mogę korzystać z MózGościa, jeśli nie będę starał się połączyć z „Modesto”? – spytałem.

– Pewnie – powiedziała Fiona. – Wszystko jest w porządku dopóki żadne transmisje nie opuszczają pokładu wahadłowca.

Wszedłem w Dupka i wyświetliłem mapę geograficzną Koralu.

– No cóż – powiedziałem. – Myślę, że dzisiejszy atak na kopalnię Koralu możemy uznać za odwołany. Zbyt mało oddziałów opuściło „Modesto”, żebyśmy mogli stanowić prawdziwe zagrożenie. Na dodatek nie sądzę, że wszystkim uda się dotrzeć na powierzchnię planety w jednym kawałku. Nie wszyscy piloci są tacy szybcy, jak ty, Fiona.

Fiona pokiwała głową; z tego co widziałem, trochę się rozluźniła. Pochwały zawsze dobrze działają, szczególnie w chwilach kryzysu.

– Okay, oto nasz nowy plan – powiedziałem i przesłałem mapę Fionie i Alanowi. – Siły Rraeyów skoncentrowane są w okolicy raf koralowych i głównych miast kolonii, wzdłuż tego wybrzeża. Więc my polecimy tutaj...  
– wskazałem sam środek największego kontynentu Koralu – ... ukryjemy się w tych górach i poczekamy, aż nadejdzie wsparcie.

– Jeśli w ogóle nadejdzie – powiedział Alan. – Statki bezzałogowe mają wdrukowany rozkaz powrotu na Feniksa, więc nasi będą wiedzieć, że Rraeyowie czekają na ich przybycie. Jeśli nasi będą to wiedzieć, być może w ogóle się nie pojawią.

– Na pewno przylecą – powiedziałem. – Po prostu być może nie pojawią się wtedy, kiedy będziemy tego najbardziej chcieli. Możliwe, że będziemy musieli na nich długo czekać. Na szczęście środowisko Koralu jest przyjazne dla ludzi. Będziemy mogli się tam wyżywić tak długo, jak będzie trzeba.

– Nie jestem w nastroju do kolonizacji – powiedział Alan.

– Nie osiadziemy tam na stałe – powiedziałem. – W tej sytuacji trudno znaleźć lepsze rozwiązanie.

– Z tym się zgadzam – powiedział Alan.

Odwróciłem się do Fiony:

– Czego potrzebujesz, żeby dowieźć nas na miejsce w jednym kawałku?

– Modlitwy – odpowiedziała. – Wciąż jesteśmy w całości, ponieważ wyglądamy jak dryfujący śmieć, ale każdy większy od ludzkiego ciała przedmiot, który wpadnie do atmosfery, zostanie przez Rraeyów namierzony. Zauważą nas, kiedy tylko zaczniemy manewrować.

– Jak długo możemy zostać tu w górze? – spytałem.

– Niezbyt długo – odpowiedziała Fiona. – Nie mamy jedzenia, wody, i nawet z naszymi nowymi, udoskonalonymi ciałami w kilkadziesiąt osób dość szybko zużyjemy zapas świeżego powietrza.

– Jak szybko po wejściu do atmosfery zamierzasz zacząć pikować w dół? – zapytałem.

– Szybko – powiedziała. – Jeśli zaczniemy koziółkować, to już nie odzyskam kontroli nad sterami i będziemy tak spadać, póki się nie rozbijemy.

– Zrób, co w twojej mocy – powiedziałem. Pokiwała głową.

– Dobra, Alan – powiedziałem. – Czas zawiadomić naszych ludzi o zmianie planu.

– Zaczynamy – powiedziała Fiona i włączyła silniki. Siła przyspieszenia wcisnęła mnie w krzesło drugiego pilota. Nie spadaliśmy już swobodnie w stronę powierzchni Koralu, teraz lecieliśmy w jej stronę jak pocisk.

– Teraz uważajcie! – krzyknęła Fiona i weszliśmy w atmosferę. Wahadłowiec zaczął grzechotać jak marakasy.

Coś zabrzęczało na tablicy rozdzielczej.

– Aktywne skanowanie – powiedziałem. – Zostaliśmy namierzeni.

– Zrozumiałam – powiedziała Fiona, przechylając stery. – Za parę sekund wejdziemy w wysokie chmury. Być może to pomoże nam ich zgubić.

– Czy zwykle pomaga? – zapytałem.

– Nie – odpowiedziała i wlecieliśmy w nie, mimo wszystko.

Przelecieliśmy parę kilometrów na wschód i znów nas namierzono.

– Mają nas – powiedziałem. – Myśliwiec w odległości 350 kilometrów i wciąż się zbliża.

– Zamierzam maksymalnie zbliżyć się do powierzchni, zanim wejdą nam na kark – powiedziała. – Wtedy będziemy mogli ich zgubić albo

zestrzelić. Prawdę mówiąc, możemy mieć tylko nadzieję, że kiedy zejdziemy niżej, ich pociski trafią w szczyty drzew, a nie w nas.

– To nie dodaje mi otuchy – powiedziałem.

– Nie jestem tu po to, żeby dodawać otuchy – powiedziała Fiona. – Trzymaj się.

Ostro zanurkowaliśmy. W tym momencie statek Rraeyów był już nad nami.

– Pociski! – krzyknąłem. Fiona skręciła w lewo i skierowała nas w stronę powierzchni planety. Jeden z pocisków przeleciał nad nami i oddalił się; drugi uderzył w szczyt wzgórza, które mijaliśmy.

– Fajnie – powiedziałem, po czym prawie odgryzłem sobie język, kiedy trzeci z pocisków detonował dokładnie za nami, pozbawiając Fionę kontroli nad sterami. Wybuch czwartego pocisku wstrząsnął pokładem, a jeden ze szrapneli rozerwał bok wahadłowca; przez ryk uciekającego powietrza słyszałem krzyki moich ludzi.

– Spadamy – powiedziała Fiona, starając się zapanować nad sterami. Z niezwykłą prędkością zmierzaliśmy w stronę małego jeziora. – Uderzymy w powierzchnię wody i rozbijemy się – powiedziała. – Przykro mi.

– I tak dobrze sobie poradziłaś – powiedziałem, a potem czubek wahadłowca uderzył w powierzchnię jeziora.

Przednia część wahadłowca z rozdzierającym uszy zgrzytem zagięła się do dołu, odrywając kokpit od reszty statku. Przed oczami przeleciały mi twarze żołnierzy mojego oddziału i oddziału Alana – nieruchome ujęcie pełne otwartych ust, krzyków zagłuszonych przez ryk strzępiącego się o powierzchnię wody, wirującego kokpitu. Przednia część wahadłowca obracała się szybko, zrzucając z siebie metalowe pokrywy i instrumenty pokładowe. Ostry ból, kiedy coś uderzyło mnie w szczękę i zabrało ją ze sobą. Rzęząc starałem się krzyczeć, szara SprytnaKrew wylatywała z rany

szerokim strumieniem pod wpływem siły odśrodkowej. Przez przypadek rzuciłem okiem na Fionę, której głowa i prawe ramię były gdzieś daleko za nami.

Czułem w ustach posmak metalu, kiedy moje siedzenie oderwało się od reszty kokpitu i runąłem w dół, do tyłu, w stronę nagiej skały, mój fotel leniwie obracał mną w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i spadałem, spadałem, spadałem w stronę kamiennej powierzchni. Szybka, powodująca zawrót głowy zmiana momentu obrotowego, kiedy moja prawa noga uderzyła w skałę, po czym zobaczyłem żółto-biały wybuch dwustuprocentowego bólu, kiedy moja kość udowa złamała się jak precelek w rękach dziecka. Moja stopa zawinęła się do góry, dokładnie w miejsce, w którym wcześniej była szczeka i stałem się prawdopodobnie pierwszą osobą w historii ludzkości, która kopnęła się w swój własny jęczyczek podniebienny. Szerokim łukiem opadłem na suchą ziemię, w miejscu, na które wciąż spadały gałęzie, połamane uderzeniem spadającego z nieba kokpitu wahadłowca. Jeden z konarów z głuchym łomotem spadł na moją klatkę piersiową, łamiąc mi co najmniej trzy żebra. Po kopnięciu siebie samego w jęczyczek podniebienny, wydawało mi się to niezbyt interesujące.

Spojrzałem w górę (nie miałem innego wyboru) i zobaczyłem nad sobą Alana wiszącego głową w dół. Roztrzaskana końcówka grubej gałęzi podtrzymywała jego tułów, wchodząc klinem w miejsce, w którym wcześniej była jego wątroba. SprytnaKrew skapywała z jego czoła na moją szyję. Dostrzegłem drgnienie jego gałek ocznych – najwyraźniej on także mnie dostrzegł. Potem mój MózGość odebrał wiadomość.

– *Wyglądasz okropnie* – przesłał.

Nie mogłem odpowiedzieć, mogłem tylko patrzeć.

– *Mam nadzieję, że tam dokąd idę, zobaczę gwiazdozbiory* – przesłał.

Przesłał to znowu. I znowu. A potem nie przesłał już nic.



Świergotanie. Jakieś łapy chwytające mnie za ramię. Dupek rozpoznaje to świergotanie i przedstawia mi tłumaczenie.

– *Ten tutaj jeszcze żyje.*

– *Zostaw go. Wkrótce sam umrze. Ci zieloni nie są dobrzy do jedzenia. Są jeszcze niedojrzali.*

Parskanie, które Dupek przekłada jako [śmiech].



– O kurwa, spójrz tylko na to – ktoś mówi. – Ten sukinsyn wciąż żyje.

Kolejny głos. Znajomy:

– Niech spojrzę.

Cisza. A potem znów ten znajomy głos:

– Zdejmij z niego ten kloc. Bierzemy go z powrotem.

– Jezu Chryste, szefowo – mówi pierwszy głos. – Proszę na niego spojrzeć. Powinna pani władować mu pieprzoną kulę w mózg. To byłby miłosierny uczynek.

– Kazano nam zebrać ocalałych – mówi znajomy głos. – I wiesz co, on właśnie przeżył. Ocalał jako jedyny.

– Jeśli to można nazwać ocaleniem.

– Skończyłeś?

– Tak, proszę pani.



– To dobrze. A teraz podnieś tę cholerną gałąź. Rraeyowie wkrótce dobiorą nam się do dupy.

Otwarcie oczu jest dla mnie jak próba uchylenia metalowych drzwi. Pozwala mi to zrobić dopiero wybuch bólu, który czuję, kiedy gałąź zostaje zdjęta z mojej klatki piersiowej. Moje oczy się otwierają i z potwornym przydechem wydaję z siebie bezszczękowy ekwiwalent krzyku.

– Chryste! – słyszę pierwszy głos i widzę, że mówi to jasnowłosa mężczyzna, odciągający na bok grubą gałąź. – Odzyskał przytomność!

Ciepła dłoń na lewej stronie tego, co zostało z mojej twarzy.

– Hej – mówi znajomy głos. – Hej. Już wszystko w porządku. Już dobrze. Jesteś już bezpieczny. Zabieramy cię z powrotem. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Jej twarz wchodzi w zakres mojego pola widzenia. Znam tę twarz. Byłem jej mężem.

Kathy przyszła po mnie.

Zaczynam płakać. Wiem, że nie żyje. Nie obchodzi mnie to.

Zaczynam pogrążyć się w ciemności.

– Widziała kiedyś pani tego gościa? – słyszę jak pyta jasnowłosa koleś.

– Nie bądź głupi – dociera do mnie głos Kathy. – Oczywiście, że nie.

Odchodzę.

Do innego wszechświata.

# CZĘŚĆ III

# TRZYNASTY

– O, obudził się pan. – Ktoś odezwał się do mnie, ledwo otworzyłem oczy. – Proszę nie próbować mówić. Jest pan zanurzony w specjalnym roztworze. Ma pan w szyi rurę, przez którą pan oddycha. I nie ma pan dolnej szczęki.

Rozejrzałem się dookoła. Unosiłem się zanurzony w wannie pełnej półprzeźroczystego, ciepłego, gęstego płynu; spostrzegłem znajdujące się obok wanny przedmioty, ale na żadnym z nich nie mogłem skupić wzroku. Tak, jak powieki dziano, ze znajdującego się tuż obok panelu wychodziła sięgająca do mojej szyi rura respiratora; próbowałem przerw śledzić wzrokiem całą jej długość, ale zasięg mojego widzenia ograniczony był przez aparat, który unieruchamiał dolną część mojej głowy. Próbowałem go dotknąć, ale nie mogłem poruszyć rękami. To mnie zmartwiło.

– Proszę się tym nie martwić – powiedział głos. – Wyłączyliśmy pańską zdolność do poruszania się. Kiedy wyjdzie pan z kąpieli, włączymy ją ponownie. Za kilka dni. Tak przy okazji, wciąż ma pan dostęp do swojego MózGościa. Jeśli chce się pan wypowiedzieć, może pan go użyć. My właśnie w ten sposób komunikujemy się w tej chwili z panem.

– *Gdzie ja kurwa jestem* – przesłałem. – I co się ze mną stało.

– Jest pan w Module Medycznym Brennemana, nad Feniksem – powiedział głos. – Mamy tu najlepszą opiekę medyczną w całym wszechświecie. Jest pan na oddziale intensywnej terapii. Ja jestem doktor Fiorina, zajmuję się panem odkąd pana tu dostarczono. Biorąc pod uwagę to, co się panu przydarzyło – no cóż, spójrzmy. Po pierwsze, jest pan teraz w dobrym stanie. Więc proszę się nie martwić. Jednak mimo wszystko

stracił pan dolną szczękę, język, większą część prawego policzka i ucho. Pańska prawa noga była najprawdopodobniej odgryziona poniżej połowy długości kości udowej; kości pańskiej lewej nogi połamały się w wielu miejscach, w pańskiej lewej stopie brakowało trzech palców i pięty – podejrzewamy, że stracił je pan w wyniku nadgryzienia. A teraz dobra wiadomość – pański rdzeń kręgowy został przerwany na wysokości klatki piersiowej, więc najprawdopodobniej nie czuł pan zbyt wiele, kiedy pana, hm... kosztowano. Jeśli już mowa o klatce piersiowej, to doznał pan złamań sześciu żeber, z których jedno przedziurawiło pański pęcherzyk żółciowy. Miał pan też rozległy krwotok wewnętrzny. Nie wspominając o posocznicy i całej hordzie innych ogólnych i miejscowych infekcji, których nabawił się pan pozostając przez tak długi czas z otwartymi ranami.

– *Myślałem, że umarłem* – przesłałem. – *A w każdym razie, że umieram.*

– Ponieważ teraz nie grozi już panu śmierć, to powiem panu prawdę – powinien pan już nie żyć – powiedział doktor Fiorina. – Gdyby był pan niezmodyfikowanym człowiekiem, na sto procent byłby pan już martwy. Żyje pan dzięki swojej Sprytnej Krwi, która zaczęła krzepnąć zanim się pan wykrwawił, a potem przez cały czas trzymała infekcje pod kontrolą. Jednak było bardzo blisko. Gdyby nie został pan odnaleziony, wkrótce prawdopodobnie już by pan nie żył. Na „Krogulcu” wepchnęli pana do komory hipostatycznej, w której przywieziono pana tutaj. Na pokładzie okrętu nie mogli panu pomóc. Potrzebował pan specjalistycznej opieki.

– *Widziałem moją żonę* – przesłałem. – *To ona mnie uratowała.*

– Czy pańska żona jest żołnierzem?

– *Nie żyje od wielu lat.*

– Och – powiedział doktor Fiorina. – No cóż, odszedł pan dość daleko. W takim stanie halucynacje nie są czymś niezwykłym. Tunel ze światłem na końcu, zmarli krewni i tak dalej. Proszę posłuchać, kapralu, pańskie

ciało wciąż wymaga dużego nakładu pracy, a łatwiej będzie nam ją wykonać, kiedy będzie pan spał. Nie ma pan nic innego do roboty, jak tylko unosić się w tym zbiorniku. Za chwilę znowu wprowadzę pana w stan snu. Kiedy się pan obudzi, nie będzie pan już w wannie i odrośnie panu wystarczająco duża część szczęki, żeby umożliwić prawdziwą rozmowę. W porządku?

– *Co się stało z moim oddziałem?* – przesłałem. – *Roztrzaskaliśmy się.*

– Proszę teraz zasnąć – powiedział doktor Fiorina. – Porozmawiamy, kiedy wyjdzie pan z wanny.

Próbowałem wydobyć z siebie pełną irytacji odpowiedź, ale uderzyła mnie fala zmęczenia. Zasnąłem, zanim zdążyłem zdać sobie sprawę z tego, jak szybko zasypiam.



– Hej, patrzcie kto wrócił – powiedział nowy głos. – Człowiek, który jest zbyt głupi, żeby umrzeć.

Tym razem nie pływałem już w kadzi pełnej lepkiej mazi. Rozejrzałem się i udało mi się dostrzec, skąd dochodził głos.

– Harry.. – powiedziałem, tak wyraźnie jak tylko mogłem z unieruchomioną szczęką.

– Ten sam – powiedział, lekko się kłaniając.

– Sorry, ale nie mogę wstać – wymamrotałem. – Jestem trochę zrąbany.

– On mówi, że jest trochę zrąbany – powiedział Harry, wywracając oczami. – Chryste na kucyku. Brakowało ci więcej ciała, niż ci zostało, John. Wiem coś o tym. Widziałem jak przywieźli na górę twoje cielsko z Koralu. Kiedy powiedzieli, że wciąż żyjesz, szczeka opadła mi na podłogę.

– Zabawne – powiedziałem.

– Sorry – powiedział Harry. – Niezamierzona gra słów. Ale byłeś prawie nie do poznania, John. Jakieś krwawe kikuty. Nie zrozum mnie źle, ale modliłem się, żebyś umarł. Nie mogłem wyobrazić sobie, że uda im się złożyć cię do kupy, tak jak to zrobili.

– Cieszę się, że cię zawiodłem – powiedziałem.

– Ja też się cieszę, że mnie zawiodłeś – powiedział i wtedy do pokoju wszedł ktoś inny.

– Jesse – powiedziałem.

Jesse obeszła łóżko i pocałowała mnie w policzek.

– Witamy z powrotem w świecie żywych, John – powiedziała i odsunęła się krok do tyłu. – Spójrz na nas, znowu jesteśmy razem. Jak trzech muszkietierowie.

– Raczej dwóch i pół muszkietierów – powiedziałem.

– Będzie dobrze – powiedziała Jesse. – Doktor Fiorina mówi, że w pełni odzyskasz sprawność. Szczęka odrośnie ci w całości już jutro, noga za parę dni. Już niedługo będziesz mógł nawet skakać.

Sięgnąłem ręką w dół i dotknąłem swojej prawej nogi. Była tam w całości, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zsunąłem prześcieradło, żeby na nią spojrzeć i rzeczywiście tam była: moja noga. Coś w rodzaju mojej nogi. Tuż pod kolanem, przecinała ją zielona szrama, powyżej której moja noga wyglądała jak moja noga; poniżej szramy wyglądała jak proteza.

Wiedziałem, co to znaczy. Jeden z członków mojego oddziału utracił nogę w czasie bitwy i odtworzono mu ją w ten sam sposób. Przyłączali ci bogatą w substancje odżywcze sztuczną kończynę w miejscu amputacji, a potem wstrzykiwali strumień mikrorobotów w obszar zrostu. Używając twojego własnego DNA za przewodnika, mikroroboty przekształcały substancje odżywcze i surową materię sztucznej kończyny w ciało i kości,

łącząc je z już istniejącymi mięśniami, nerwami, naczyniami krwionośnymi i tak dalej. Pierścień mikrorobotów powoli przesuwiał się w dół sztucznej kończyny, dopóki nie przekształcił jej całej w żywą tkankę; kiedy mikroroboty kończyły swoją robotę, migrowały układem krwionośnym do wnętrzości, skąd mogłeś je wydalić.

Było to niezbyt subtelne, niemniej dobre rozwiązanie – żadnych zabiegów chirurgicznych, żadnego czekania na stworzenie klonowanych części, żadnych niezgrabnych sztucznych kończyn dołączonych do twojego ciała. Na dodatek odtworzenie kończyny zajmowało jedynie parę tygodni – proces mógł być odpowiednio dłuższy lub krótszy w zależności od zasięgu amputacji. W ten sam sposób odtworzyli moją szczękę i (według wszelkiego prawdopodobieństwa) piętę i palce mojej lewej stopy, które były już tam w całości, gotowe do użycia.

– Od jak dawna tu jestem? – zapytałem.

– W tym pokoju jesteś mniej więcej od doby – powiedziała Jesse. – Przedtem mniej więcej tydzień spędziłeś w tamtej wannie.

– Dotarcie tutaj zajęło nam cztery dni, przez ten czas byłeś w kąpieli hipostatycznej; wiedziałeś w ogóle o tym? – zapytał Harry. Skinąłem głową. – I dopiero po paru dniach znaleźli cię na Koralu. Więc byłeś nieprzytomny mniej więcej przez dwa tygodnie.

Spojrzałem na nich.

– Cieszę się, że widzę was oboje – powiedziałem. – Nie zrozumcie mnie źle. Ale dlaczego tu jesteście? Dlaczego nie jesteście na „Hampton Roads”?

– „Hampton Roads” został zniszczony, John – powiedziała Jesse. – Trafili nas w momencie wychodzenia z przeskoku. Nasz wahadłowiec z ledwością wydostał się z przystani i uszkodził sobie przy tym silniki. Tylko my ocaleliśmy. Dryfowaliśmy prawie półtorej doby, zanim „Krogulec” nas odnalazł. Byliśmy bliscy uduszenia się.

Przypomniałem sobie, jak okręt Raeyów rozwalił nasz krążownik wychodzący ze skoku; zastanawiałem się, czy tak samo było z „Hampton Roads”.

– Wiecie, co się stało z „Modesto”? – zapytałem.

Jesse i Harry spojrzeli na siebie.

– „Modesto” też został zestrzelony – w końcu powiedział Harry. – Wszyscy zginęli, John. To była masakra.

– Nie mogli zestrzelić wszystkich – powiedziałem. – Mówiliście, że przejął was „Krogulec”. Mnie także znaleźli ludzie z „Krogulca”.

– „Krogulec” przyleciał później, po pierwszej fali okrętów – powiedział Harry. – Wyszedł z przeskoku z dala od planety. Chociaż Raeyowie namierzili nasze okręty, to „Krogulec” jakoś uszedł ich uwadze; zauważyli go dopiero wtedy, kiedy zaparkował nad miejscem, w którym wylądowałeś. Ledwo udało im się uniknąć zestrzelenia.

– Jak wielu ludzi ocalało? – zapytałem.

– Ty ocalałeś z „Modesto” jako jedyny – powiedziała Jesse.

– Innym wahadłowcom też udało się opuścić przystań – powiedziałem.

– Zostały zestrzelone – powiedziała Jesse. – Raeyowie zestrzelili wszystko, co było większe od skrzynki do chleba. Nasz wahadłowiec ocalał tylko dlatego, że nie działały mu silniki. Prawdopodobnie nie chcieli marnować na nas pocisków.

– A ogółem ilu ludzi ocalało? – spytałem. – Przecież nie tylko ja i wasz wahadłowiec.

Jesse i Harry stali milcząc.

– To kurwa niemożliwe! – powiedziałem.

– To była zasadzka, John – powiedział Harry. – Każdy z dokonujących przeskoku okrętów został trafiony w momencie wynurzania się w przestrzeni Koralu. Nie wiemy, jak to zrobili, ale to zrobili. A potem na



dodatek zniszczyli wszystkie wahadłowce, które udało im się znaleźć. Dlatego właśnie „Krogulec” ryzykował życie nas wszystkich, żeby cię odnaleźć – ponieważ oprócz nas, ty byłeś jedynym ocalałym. Twój wahadłowiec jako jedyny dotarł do powierzchni planety. Odnaleźli cię, śledząc drogę boi wahadłowca, którą wasz pilot wystrzelił tuż przed katastrofą.

Przypomniałem sobie Fionę. I Alana.

– Jak wielu ludzi zginęło? – zapytałem.

– Sześćdziesiąt dwa krążowniki o sile bojowej batalionu, z pełnymi załogami na pokładach – powiedziała Jesse. – Dziewięćdziesiąt dwa tysiące ludzi. Mniej więcej.

– Jest mi niedobrze – powiedziałem.

– To było to, co nazywa się starym, dobrym rozpiździelem – powiedział Harry. – Nie ma co do tego wątpliwości. Dlatego właśnie wciąż tu jesteśmy. Nie mamy się gdzie podziać.

– No i dlatego, że wciąż nas przesłuchują – powiedziała Jesse.

– Zupełnie, jakbyśmy coś wiedzieli. Byliśmy już w naszym wahadłowcu, kiedy okręt został trafiony.

– Umierają z niecierpliwości, czekając aż dojdiesz do siebie na tyle, żeby mogli z tobą porozmawiać – powiedział do mnie Harry.

– Oficerowie śledczy KSO wkrótce złożą ci wizytę, jak sądzę.

– Jacy oni są? – zapytałem.

– Pozbawieni poczucia humoru – powiedział Harry.



– Proszę nam wybaczyć, jeśli nie jesteśmy w nastroju do żartów, kapralu Perry – powiedział podpułkownik Newman. – Kiedy straci pan sześćdziesiąt okrętów i sto tysięcy ludzi, pański umysł jest nastrojony raczej poważnie.

Chodziło mu o to, że na jego pytania o moje samopoczucie, odpowiedziałem, że jestem „w kawałkach”. Pomyślałem, że trochę sarkastyczne rozpoznanie mojego stanu fizycznego było całkiem na miejscu. Chyba się myliłem.

– Przepraszam – powiedziałem. – Ale, prawdę mówiąc, wcale nie żartowałem. Jak panowie dobrze wiedzą, dużą część swojego ciała zostawiłem na Koralu.

– A w jaki sposób w ogóle dotarł pan na Koral? – zapytała major Javna, druga z prowadzących przesłuchanie.

– Chyba pamiętam, jak wzięliśmy wahadłowiec – powiedziałem. – Chociaż właściwie lepiej byłoby użyć pierwszej osoby liczby pojedynczej.

Javna spojrzała na Newmana jakby mówiąc: „Znowu zaczyna żartować”.

– Kapralu, w pańskim raporcie przeczytaliśmy, że wydał pan pilotowi wahadłowca pozwolenie na awaryjne otwarcie bramy przystani „Modesto”.

– To prawda – powiedziałem. Napisałem raport poprzedniego wieczora, wkrótce po tym, jak odwiedzili mnie Jesse i Harry.

– Z czyjego upoważnienia wydał pan to polecenie?

– Zrobiłem to na własną odpowiedzialność – powiedziałem. – W tym momencie „Modesto” był uszkodzony przez pociski wroga. Uznałem, że odrobina własnej inicjatywy w tym momencie nie zaszkodzi.

– Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, ile wahadłowców opuściło okręty floty nad Koralem?

– Nie – powiedziałem. – Chociaż wydaje mi się, że niezbyt wiele.

– Mniej niż sto, włączając w to siedem wahadłowców z Modesto” – powiedział Newman.

– A wie pan ile spośród nich dotarło do powierzchni Koralu? – spytała Javna.

– Z tego, co wiem, tylko mój dotarł tak daleko – powiedziałem.

– To prawda – powiedziała Javna.

– A więc? – zapytałem.

– A więc – powiedział Newman. – Wydaje się, że miał pan niezłe szczęście, wydając rozkaz otwarcia bramy we właściwym momencie; tak, że dotarł pan na powierzchnię Koralu żywy.

Uważnie spojrzałem na Newmana.

– Czy pan mnie o coś podejrzewa, sir? – zapytałem.

– Musi pan przyznać, że to interesujący zbieg okoliczności – powiedziała Javna.

– Do diabła, pewnie, że muszę przyznać – powiedziałem. – Wydałem ten rozkaz po tym, jak „Modesto” został trafiony. Mój pilot dysponował odpowiednim wyszkoleniem i wystarczającą trzeźwością umysłu, żeby doprowadzić nas do Koralu, na tyle blisko powierzchni planety, że udało mi się przeżyć. I jeśli państwo sobie przypominają – przeżyłem z ledwością; większa część mojego ciała została rozrzucona na powierzchni o rozmiarach Rhode Island. Miałem to szczęście, że odnaleziono mnie, zanim umarłem. Wszystko poza tym było kwestią sprawności albo inteligencji, mojej lub mojego pilota. Proszę nam wybaczyć, jeśli wyszkolono nas zbyt dobrze, sir.

Javna i Newman spojrzeli na siebie.

– My tylko rozwijamy wszystkie wątki dochodzenia – powiedział Newman pojednawczo.

– Chryste – powiedziałem. – Proszę pomyśleć. Jeśli naprawdę planowałem zdradzić KSO i przeżyć, to raczej spróbowałbym to zrobić w taki sposób, by nie stracić przy okazji swojej własnej pieprzonej szczęki! – Zakładałem, że w moim stanie może mi ująć na sucho warczenie na starszych stopniem oficerów. Miałem rację.

– Idźmy dalej – powiedział Newman.

– Proszę bardzo – odparłem.

– Podobno widział pan, jak krążownik Rraeyów strzela do krążownika KSO, kiedy ten wskakiwał w przestrzeń Koralu.

– To prawda – powiedziałem.

– To ciekawe, że właśnie panu udało się to zobaczyć – stwierdziła Javna. Westchnąłem.

– Zamierzacie to robić przez całą naszą rozmowę? – zapytałem. – Pójdzie nam o wiele szybciej, jeśli co chwilę nie będziecie zmuszać mnie do przyznania się, że jestem szpiegiem.

– Atak rakietowy, kapralu – powiedział Newman. – Pamięta pan, czy pociski zostały odpalone przed tym czy po tym jak okręt KSO wskoczył w przestrzeń Koralu?

– Moim zdaniem zostały odpalone tuż przed tym – powiedziałem. – Przynajmniej tak mi się wydawało. Wiedzieli kiedy i w którym miejscu ten okręt wyjdzie z przeskoku.

– Myśli pan, że w jaki sposób udało im się to przewidzieć? – zapytała Javna.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem. – Do dnia poprzedzającego atak nie wiedziałem nawet, w jaki sposób działa napęd skokowy. Wiedząc to, co wiem teraz, nie wydaje mi się, żeby można było dowiedzieć się, że pojawi się jakiś okręt, który dokonuje przeskoku.

– Co pan ma myśli mówiąc „wiedząc to, co wiem teraz”? – zapytał Newman.

– Alan, dowódca innego oddziału... – nie chciałem wspominać o tym, że Alan był moim przyjacielem, ponieważ podejrzewałem, że to może im się wydać podejrzane – ... powiedziała, że napęd skokowy działa przemieszczając okręt do innego wszechświata, który jest prawie taki sam jak ten, który opuściłeś; przy czym zarówno zniknięcie w jednym, jak i pojawienie się w drugim są fenomenologicznie nieprawdopodobne. Jeśli tak jest rzeczywiście, to wydaje się niemożliwe, żeby można było przewidzieć kiedy i gdzie okręt się pojawi. On po prostu się pojawia.

– Więc co się tam stało, jak pan sądzi? – zapytała Javna.

– To znaczy? – zapytałem.

– Mówi pan, że nie można w żaden sposób dowiedzieć się, że okręt dokonuje przeskoku – powiedziała Javna. – Więc możemy wytłumaczyć tę zasadzkę tylko w jeden sposób – ktoś przekazał Rraeyom tajne informacje.

– Znowu to samo – powiedziałem. – Proszę posłuchać, nawet jeśli założymy obecność zdrajcy, to musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób zdradził. Nawet jeśli w jakiś sposób udało mu się zawiadomić Rraeyów o tym, że nadciąga nasza flota, to niemożliwe jest, żeby mógł wiedzieć gdzie dokładnie w przestrzeni Koralu pojawi się każdy z okrętów – proszę pamiętać, że Rraeyowie na nas czekali. Uderzyli, kiedy wychodziliśmy z przeskoku w przestrzeń Koralu.

– Więc spytam jeszcze raz – powiedziała Javna. – Co się tam stało? Jak pan sądzi?

Wzruszyłem ramionami.

– Być może dokonywanie przeskoków nie jest czymś tak nieprawdopodobnym i nieprzewidywalnym jak nam się wydawało – powiedziałem.



– Nie przejmuj się za bardzo tymi przesłuchaniami – powiedział Harry, wręczając mi kubek soku owocowego, który dostał w kantynie modułu medycznego. – Nam też dali do zrozumienia, że to „trochę podejrzone, że właśnie ty przeżyłeś”.

– Jak na to zareagowałeś? – zapytałem.

– Do diabła! – powiedział Harry. – Zgodziłem się z nimi. To cholernie podejrzone. Zabawne było to, że ta odpowiedź też nie przypadła im do gustu. Ale ostatecznie trudno im się dziwić. Wszystkim koloniom właśnie wyrwano dywan spod stóp. Jeśli nie dowiemy się, co się stało na Koralu, będziemy mieli kłopoty.

– No cóż, to rzeczywiście ciekawa kwestia – powiedziałem. – A co twoim zdaniem się tam stało?

– Nie wiem – powiedział Harry i wypił łyk swojego soku. – Być może przeskoki nie są tak nieprawdopodobne i nieprzewidywalne jak nam się wydawało.

– To zabawne, powiedziałem im to samo.

– Naprawdę tak myślę – powiedział Harry. – Nie mam takiego teoretycznego zaplecza jakie miał Alan, Panie świeć nad jego duszą, ale cały teoretyczny model, za pomocą którego tłumaczymy sobie przeskoki musi być nieadekwatny. Rraeyowie najwyraźniej znaleźli sposób, żeby z dużą dozą prawdopodobieństwa przewidzieć w jakie miejsce nasze okręty dokonają przeskoku. Ale w jaki sposób to robią?

– Myślę, że nie uda ci się znaleźć odpowiedzi na to pytanie – stwierdziłem.

– Pewnie, że nie. Ale oni jednak to robią. Więc oczywiste jest, że nasz model działania napędu skokowego jest błędny. Teorię należy wyrzucić przez okno, kiedy praktyka jej nie potwierdza. Teraz chodzi o to, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, co tak naprawdę się tam stało.

– Masz jakieś propozycje? – zapytałem.

– Nawet parę, chociaż to nie jest moja działka – powiedział Harry. – Tak naprawdę to nie znam wystarczająco matematyki.

Roześmiałem się i powiedziałem:

– Wiesz co? Całkiem niedawno Alan powiedział do mnie coś bardzo podobnego.

Harry uśmiechnął się i wzniosł kubek do góry.

– Za Alana! – powiedział.

– Za Alana! – powiedziałem. – Za wszystkich naszych nieobecnych przyjaciół.

– Amen – powiedział Harry i napiliśmy się.

– Harry, powiedziałaś, że byłeś przy tym jak wnosili mnie na pokład „Krogulca” – powiedziałem.

– Byłem przy tym – potwierdził. – Wyglądałaś jak kupa gówna, bez obrazy.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Pamiętasz cokolwiek na temat oddziału, który mnie tam przyniósł?

– Troszeczkę – odparł Harry. – Naprawdę niewiele. Przez większą część podróży trzymali nas w odosobnieniu od reszty okrętu. Widziałem, jak wnieśli cię do szpitala okrętowego. Właśnie nas tam badali.

– Czy w skład tego oddziału wchodziła jakaś kobieta?

– Tak – odpowiedział Harry. – Wysoka. Szatynka. To wszystko, co w tej chwili mogę sobie przypomnieć. Szczerze mówiąc więcej uwagi

poświęcałem tobie niż tym, którzy cię wnosili. Ciebie znałem. Ich nie znałem w ogóle. Czemu pytasz?

– Harry, jedną z osób, które mnie uratowały była moja żona. Mogę przysiąc, że to była ona.

– Myślałem, że twoja żona nie żyje – powiedział Harry.

– Moja żona nie żyje – powiedziałem. – Ale to była ona. To nie była taka Kathy, jaką pamiętam. Była żołnierzem KSO, miała zieloną skórę i tak dalej.

Harry spojrział na mnie z niedowierzaniem.

– Prawdopodobnie miałeś halucynacje, John – stwierdził po chwili.

– Nawet jeśli miałem halucynacje, to czemu widziałem Kathy jako żołnierza KSO? Czy nie powinienem raczej widzieć jej taką, jaka była dawniej?

– Nie wiem – odparł Harry. – Halucynacje z samej swojej definicji nie są czymś prawdziwym. Nie powstają według jakichś zasad. Nie ma powodu, żebyś nie mógł w halucynacji zobaczyć swojej zmarłej żony jako żołnierza KSO.

– Harry, wiem że to zabrmi, jakbym zwariował, ale ja widziałem moją żonę – powtórzyłem. – Być może byłem pocięty na kawałki, ale mój mózg działał prawidłowo. Wiem, co widziałem.

Harry przez chwilę siedział w milczeniu, po czym powiedział:

– Mój oddział na „Krogulcu” musiał dusić się we własnym sosie. Upchali nas wszystkich w jednej sali. Nie mieliśmy nic do roboty, nie mogliśmy też stamtąd wychodzić. Nie pozwolili nam nawet korzystać z rozrywkowych serwerów okrętu. Pilnowali nas aż do końca podróży. Więc mieliśmy dużo czasu, żeby porozmawiać sobie o załodze okrętu, i o żołnierzach Sił Specjalnych. Nikt z nas nie słyszał nigdy o żadnym niższym rangą żołnierzu, który kiedykolwiek wstąpiłby do Sił Specjalnych. Może to



jednak nic nie znaczyć. Większość z nas jest na służbie dopiero od paru lat. Jednak to interesujące.

– Może najpierw musisz być na służbie odpowiednio długi czas – powiedziałem.

– Może – powiedział Harry. – Ale może chodzi tu o coś innego. W końcu nazywają ich Brygadami Duchów. Wziął kolejny łyk swojego soku i postawił kubek na stojącym przy moim łóżku nocnym stoliku. – Myślę, że trochę w tym pogrzebię. Jeśli nie wrócę, pomścij moją śmierć.

– Zrobię wszystko, co będę mógł, biorąc pod uwagę mój obecny stan – powiedziałem.

– Trzymam cię za słowo – stwierdził Harry, szczerząc się do mnie. – Ty też możesz spróbować się czegoś dowiedzieć. Czeka cię jeszcze co najmniej parę przesłuchań. Możesz je wykorzystać do przeprowadzenia własnego śledztwa.



– O co chodzi z tym „Krogulcem”? – zapytała major Javna w czasie naszego następnego przesłuchania.

– Chciałbym wysłać na „Krogulca” wiadomość – powiedziałem. – Chcę im podziękować za uratowanie mi życia.

– To nie jest konieczne – powiedział podpułkownik Newman.

– Wiem, ale wypadałoby tak zrobić – powiedziałem. – Kiedy ktoś ratuje cię od zjedzenia kawałek po kawałku przez leśne stworzenia, to możesz przynajmniej przesłać mu krótkie podziękowanie. Chciałbym przesłać je tym ludziom, którzy mnie odnaleźli. Jak mam to zrobić?

– To niemożliwe – powiedziała Javna.

– Dlaczego? – zapytałem niewinnie.

– „Krogulec” jest okrętem Sił Specjalnych – powiedział Newman. – Objęci są ciszą informacyjną. Komunikacja pomiędzy okrętami Sił Specjalnych a resztą floty jest bardzo ograniczona.

– To nie jest w porządku – powiedziałem. – Jestem na służbie już od ponad roku i nigdy nie miałem problemu z wysyłaniem wiadomości do moich przyjaciół na innych okrętach. Proszę pomyśleć, przecież nawet żołnierze Sił Specjalnych chcą utrzymywać kontakt ze swoimi przyjaciółmi ze świata zewnętrznego.

Newman i Javna spojrzeli na siebie znacząco.

– Zbaczamy z tematu – powiedział Newman.

– Ja chcę tylko przesłać wiadomość – powiedziałem.

– Zobaczmy, co da się zrobić – powiedziała Javna tonem, który mówił, że nie zrobią nic.

Westchnąłem i prawdopodobnie po raz dwudziesty powiedziałem im, dlaczego dałem pozwolenie na awaryjne otwarcie bramy przystani wahadłowców na „Modesto”.



– Jak pańska szczeka? – zapytał doktor Fiorina.

– W pełni sprawna i gotowa, żeby coś przeżuć – powiedziałem. – Nie żebym nie lubił pić zupy przez słomkę, ale po jakimś czasie staje się to dosyć monotonne.

– Zgadza się – powiedział Fiorina. – Teraz rzućmy okiem na nogę.

Odkryłem nogę i pozwoliłem mu na nią spojrzeć – pierścień był już w połowie długości łydki.

– Świetnie – powiedział. – Chcę, żeby zaczął pan na tym chodzić. Nieprzekształcona część utrzyma pański ciężar a trzeba będzie tę nogę trochę rozćwiczyć. Dam panu laskę, której będzie pan używał przez kilka najbliższych dni. Zauważyłem, że odwiedzają pana przyjaciele. Dlaczego nie zabiorą pana na przykład na lunch?

– Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać – powiedziałem i rozprostowałem trochę nową nogę. – Jak nowa.

– Nawet lepsza – powiedział Fiorina. – Dokonaliśmy paru udoskonaleń w stosunku do struktury ciała nadanej przez KSO w początkowym stadium. Zostały one włączone do wnętrza pańskiej nogi, ale reszta ciała także odczuje zmianę na lepsze.

– Nie zastanawia pana, dlaczego KSO nie poszło tą drogą aż do końca? – zapytałem. – Dlaczego nie zamienili ciała na coś, co byłoby przeznaczone jedynie do walki?

Fiorina spojrzał na mnie znad ekranu swojego notatnika:

– Ma pan zieloną skórę, kocie oczy i komputer we wnętrzu głowy. Chciałby pan być jeszcze mniej ludzki?

– Słuszna uwaga – stwierdziłem.

– To prawda – powiedział Fiorina. – Każę sanitariuszowi przynieść laskę. – Wstukał rozkaz w swój notatnik.

– Doktorze – powiedziałem. – Czy leczył pan kogokolwiek innego, kto zszedł z pokładu „Krogulca”?

– Nie – powiedział. – Pan, kapralu, doprawdy stanowił dla mnie wystarczające wyzwanie.

– Więc nikogo z załogi „Krogulca”?

Fiorina uśmiechnął się krzywo:

– Och, nie. To przecież Siły Specjalne.

– Więc?

– Powiedzmy, że mają specjalne potrzeby – powiedział Fiorina, kiedy wszedł sanitariusz z moją laską w rękę.



– Wiesz, co można znaleźć na temat Brygad Duchów? Oficjalnie, oczywiście – spytał Harry.

– Domyślam się, że niezbyt wiele – powiedziałem.

– Niezbyt wiele to za dużo powiedziane – powiedział Harry. – Nic nie można znaleźć, dosłownie nic.

Harry, Jesse i ja jedliśmy lunch w jednej z kantyn stacji kosmicznej. Po raz pierwszy wyszedłem na zewnątrz i zasugerowałem, żebyśmy odeszli tak daleko od modułu medycznego, jak to tylko możliwe. Ta kantyna znajdowała się na drugiej stronie stacji. Widok z kantyny nie był może najciekawszy (za oknami widać było małą stocznnię remontową), ale znana była na całej stacji ze swoich hamburgerów – ta reputacja miała swoje uzasadnienie; szef kuchni, w poprzednim życiu, prowadził sieć restauracji specjalizujących się właśnie w hamburgerach. Małe wnętrze kantyny było zawsze zatłoczone. Jednak moje i Harry'ego hamburgery stygły na talerzach, ponieważ rozmawialiśmy o Brygadach Duchów.

– Spytałem Javnę i Newmana o to, czy mogę wysłać wiadomość na „Krogulca” i zaczęli wymigiwać się od jednoznacznej odpowiedzi.

– Nie dziwi mnie to – powiedział Harry. – Co prawda oficjalnie „Krogulec” istnieje, ale to wszystko, czego się można na jego temat dowiedzieć. Nie można się dowiedzieć niczego na temat jego załogi, rozmiarów, uzbrojenia i aktualnego położenia. Po prostu nie ma tych informacji w systemie. Poszukiwania na temat Sił Specjalnych czy „Brygad

Duchów” w wewnętrznym systemie danych KSO także nie dają żadnych rezultatów.

– Więc niczego, chłopaki, nie znaleźliście – orzekła Jesse.

– Tego nie powiedziałem – powiedział Harry z uśmiechem. – Niczego nie można znaleźć oficjalnie, ale można się dużo dowiedzieć nieoficjalnie.

– A jak ci się udało dotrzeć do tych nieoficjalnych informacji? – zapytała Jesse.

– No wiesz – odparł Harry. – Moja szampańska osobowość czyni cuda.

– Proszę cię – powiedziała Jesse. – Ja tu jem. Czego nie można powiedzieć o was dwóch.

– Więc czego się dowiedziałeś? – zapytałem i ugryzłem pierwszy kęs swojego hamburgera. Był rewelacyjny.

– Pamiętajcie tylko, że to wszystko plotki i insynuacje – ostrzegł Harry.

– Co oznacza, że może to być bliższe prawdy niż wszystko, czego dowiedzielibyśmy się oficjalnie – powiedziałem.

– Może tak być – przyznał Harry. – Najważniejsza wiadomość to ta, że nie bez powodu nazywają ich „Brygadami Duchów”. To nie jest oficjalne określenie. To przydomek. Plotka, którą słyszałem w wielu miejscach głosi, że członkowie Sił Specjalnych to zmarli ludzie.

– Słucham? – powiedziałem. Jesse podniosła głowę znad swojego hamburgera.

– Nie zmarli dosłownie, oczywiście – powiedział Harry. – To nie są zombie. Ale wiele osób zaciągnęło się do służby w KSO i nie dożyło swoich siedemdziesiątych piątych urodzin. Wynika z tego, że w takich wypadkach KSO wcale nie wyrzuca na śmietnik twojego materiału genetycznego. Używają go do stworzenia członków Sił Specjalnych.

Nagle coś mi się przypomniało.

– Jesse, przypominasz sobie jak umarł Leon Deak? Pamiętasz, co powiedział człowiek ze służby medycznej? „W ostatniej chwili załapał się do Brygad Duchów”. Wtedy myślałem, że to jakiś chory żart.

– Jak oni mogą to robić? – zapytała Jesse. – To jest nieetyczne. – Nieetyczne? – powiedział Harry. – Kiedy się zaciągasz, dajesz KSO prawo użycia wszystkich środków koniecznych do podniesienia twojej sprawności bojowej, a nie możesz mieć żadnej sprawności bojowej, jeśli jesteś martwy. Nawet jeśli jest to nieetyczne, to nie jest nielegalne.

– Tak, ale jest różnica między wykorzystaniem mojego DNA do stworzenia nowego ciała, którego ja będę używała, a używaniem mojego nowego ciała, w którym mnie nie będzie – powiedziała Jesse.

– To szczegóły, szczegóły – stwierdził Harry.

– Nie podoba mi się pomysł, żeby moje ciało biegало sobie samopas – powiedziała Jesse. – I nie uważam, żeby KSO miało do tego moralne prawo.

– Oni robią różne rzeczy – powiedział Harry. – Wiecie, że te nasze nowe ciała są mocno zmodyfikowane pod względem genetycznym. Najwyraźniej ciała członków Sił Specjalnych są nawet jeszcze bardziej zmodyfikowane od naszych. Żołnierze Sił Specjalnych są królikami doświadczalnymi dla nowych udoskonaleń i zdolności, które wypróbowuje się na nich, zanim zaczniesz je stosować na szerszą skalę. Krążą plotki, że niektóre z tych modyfikacji są naprawdę radykalne – ich ciała są zmodyfikowane do tego stopnia, że nie wyglądają już na ludzkie.

– Mój doktor powiedział coś o tym, że żołnierze Sił Specjalnych mają specjalne potrzeby – powiedziałem. – Ale nawet jeśli miałem halucynacje, to ludzie, którzy mnie uratowali, wyglądali wystarczająco ludzko.

– My na „Krogulcu” też nie widzieliśmy żadnych mutantów ani dziwadeł – powiedziała Jesse.

– Ale nie mieliśmy też wstępu na wszystkie pokłady okrętu – dodał Harry. – Trzymali nas w jednym miejscu i nie pozwalali na kontakty zewnętrzne i spacery. Widzieliśmy tylko szpital okrętowy i to wszystko.

– Ludzie widują Siły Specjalne w akcji i wciąż chodzą po tym świecie – powiedziała Jesse.

– Oczywiście – powiedział Harry. – Ale to nie znaczy, że widują wszystkich ich członków.

– Twoja paranoja znowu się obudziła, kochanie – powiedziała Jesse i wyciągnęła do Harry’ego frytkę.

– Dziękuję, najdroższa – powiedział Harry, przyjmując poczęstunek. – Ale nawet jeśli odrzucimy plotkę o superzmodyfikowanych Siłach Specjalnych, to wciąż nie można wykluczyć tego, że John widział swoją żonę. Chociaż to właściwie nie była Kathy, tylko ktoś, kto używał jej ciała.

– Kto? – zapytałem.

– No cóż, to właśnie jest pytanie, prawda? – powiedział Harry.

– Twoja żona nie żyje, więc nie mogli umieścić w jej ciele jej osobowości. Albo mają jakiś rodzaj wstępnie sformatowanej osobowości, który umieszczają w ciałach żołnierzy Sił Specjalnych...

– ... albo ktoś inny przeszedł do jej nowego ciała, zostawiając swoje stare – powiedziałem.

Jesse wzdrygnęła się:

– Przepraszam, John. Ale to trochę przerażające.

– John? Dobrze się czujesz? – zapytał Harry.

– Co? Aa, tak, nic mi nie jest – powiedziałem. – Po prostu za dużo tego wszystkiego naraz. Pomysł, że moja żona mogłaby żyć – ale nie do końca – że ktoś inny, kto nie jest nią, mógłby chodzić w jej skórze. Lepiej się czułem, kiedy byłem przekonany, że widziałem ją w czasie halucynacji.

Spojrzałem na Harry'ego i na Jesse. Oboje nagle znieruchomieli i zaczęli wpatrywać się w jeden punkt.

– Co z wami? – zapytałem.

– O wilku mowa – powiedział Harry.

– Co? – zapytałem.

– John – powiedziała Jesse. – Ona stoi w kolejce po hamburgera.

Odwróciłem się do tyłu, przy okazji zrzucając swoją tacę na podłogę. A potem poczułem, jakbym wpadł do przerębli.

– O cholera! – powiedziałem.

To była ona. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.



# CZTERNASTY

Chciałem wstać od stołu. Harry powstrzymał mnie, chwytając za rękę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Chcę z nią porozmawiać – powiedziałem.

– Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? – zapytał.

– O co ci chodzi? – zapytałem. – Oczywiście, że chcę.

– Może lepiej byłoby, gdyby najpierw porozmawiała z nią Jesse albo ja – powiedział Harry. – Żeby zobaczyć, czy ona w ogóle chce się z tobą spotkać.

– Jezu, Harry – powiedziałem. – To nie jest pieprzona szósta klasa. To jest moja żona.

– To nie jest twoja żona, John – powiedział Harry. – To ktoś zupełnie inny. Nie wiesz, czy ona w ogóle będzie chciała z tobą rozmawiać.

– John, nawet jeśli ona będzie z tobą rozmawiać, to i tak będziecie dla siebie parą zupełnie obcych sobie ludzi – powiedziała Jesse. – Jeśli czegoś oczekujesz po tym spotkaniu, to wiedz, że na pewno tego nie dostaniesz.

– Niczego nie oczekuję – powiedziałem.

– My po prostu nie chcemy, żeby stała ci się krzywda – powiedziała Jesse.

– Nic mi nie będzie – powiedziałem i spojrzałem na nich oboje. – Proszę was. Puść mnie, Harry. Nic mi nie będzie.

Harry i Jesse spojrzeli na siebie. Harry puścił moją rękę.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Co zamierzasz jej powiedzieć? – chciał wiedzieć Harry. – Zamierzam jej podziękować za uratowanie mi życia – powiedziałem i wstałem od stołu.

W tym czasie kobieta i jej dwaj towarzysze odebrali już swoje zamówienia i doszli do małego stolika, stojącego pod tylną ścianą kantyny. Ruszyłem w tamtą stronę. Cała trójka była zajęta rozmową, która urwała się, kiedy się do nich zbliżyłem. W tym momencie odwrócona była do mnie tyłem, zwróciła się w moją stronę, kiedy jej towarzysze zaczęli się na mnie gapić. Zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy mogłem zobaczyć jej twarz.

Oczywiście, była zupełnie inna. Rzecz jasna miała inną skórę i oczy, była też znacznie młodsza od Kathy – miała jej twarz sprzed pół wieku. Różniła się także pod innymi względami; była szczuplejsza, niż Kathy w którymkolwiek momencie jej życia, zgodnie z generalnie zainstalowaną przez KSO predyspozycją do szczupłości. Włosy Kathy zawsze układały się w trudną do opanowania grzywę, nawet kiedy się postarzała i inne kobiety w jej wieku nosiły bardziej dostojne fryzury; kobieta przede mną miała włosy przyлизane do głowy i płasko opadające na kołnierz.

Właśnie jej włosy zrobiły na mnie najbardziej uderzające wrażenie. Od dawna nie widziałem kogoś, kto nie miałby zielonej skóry, więc nie zwracałem już na to uwagi. To właśnie jej włosy i jej fryzura nie zgadzały się z moimi wspomnieniami.

– To niezbyt miło tak się komuś przypatrywać – powiedziała kobieta, używając głosu Kathy. – Zanim zapytasz, musisz wiedzieć, że nie jesteś w moim typie.

*Ależ jestem*, powiedziała jakaś część mojego mózgu.

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać – powiedziałem. – Po prostu zastanawiałem się, czy mnie rozpoznasz.

Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów:

– Nie rozpoznaję cię. I na pewno nie byliśmy razem na szkoleniu podstawowym.

– Uratowałaś mnie – powiedziałem. – Na Koralu.

Odzyskała animusz:

– Bez jaj. Nic dziwnego, że cię nie poznałam. Kiedy widziałam cię ostatnim razem, brakowało ci dolnej połowy głowy. Bez obrazy. Dziwi mnie, że jednak przeżyłeś; o to też się nie obrażaj. Nie obstawiałabym na ciebie zakładów.

– Miałem powód, żeby żyć – powiedziałem.

– Najwyraźniej – powiedziała.

– Jestem John Perry – powiedziałem i wyciągnąłem do niej rękę. – Obawiam się, że nie znam twojego imienia.

– Jestem Jane Sagan – przedstawiła się, ściskając moją dłoń. Trzymałem jej rękę w swojej dłoni trochę dłużej niż powinienem. Kiedy w końcu ją puściłem, wyglądała na trochę zakłopotaną i zaintrygowaną jednocześnie.

– Kapralu Perry – zaczął jeden z jej współtowarzyszy; najwyraźniej zdążył za pomocą swojego MózGościa zasięgnąć informacji na mój temat.

– Trochę się spieszmy i chcielibyśmy szybko zjeść; za pół godziny musimy być z powrotem na naszym statku, więc jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu...

– A może rozpoznasz mnie skądinąd? – zapytałem Jane, przerywając tamtemu.

– Nie – chłodno odrzekła. – Dzięki za pamięć, ale teraz naprawdę chciałabym zjeść.

– Pozwól, że ci coś prześlę – powiedziałem. – Jedno zdjęcie. Na twojego MózGościa.

– To naprawdę nie jest konieczne – powiedziała Jane.

– Tylko jedno zdjęcie – powiedziałem. – Potem sobie pójdę. Proszę.

– No dobrze – odparła. – Tylko szybko.

Wśród paru rzeczy, które wziąłem ze sobą, kiedy opuszczałem ziemię, był cyfrowy album rodzinny. Kiedy po raz pierwszy aktywowałem swojego

MózGościa, wgrałem do jego pamięci wszystkie zdjęcia – co okazało się sprytnym posunięciem, ponieważ album wraz z wszystkimi innymi pamiątkami z Ziemi przepadł razem z „Modesto”. Wybrałem jedno zdjęcie i przesłałem jej. Patrzyłem, jak wchodzi do swojego MózGościa i znowu odwraca się w moją stronę.

– Teraz mnie poznajesz? – spytałem.

Poruszała się szybko, szybciej niż przeciętny żołnierz KSO. Chwyła mnie i rąbnęła mną w najbliższą ściankę działową.

Byłem całkiem pewien, że złamała mi jedno ze świeżo zrosniętych żeber. Z drugiej strony kantyny w naszą stronę rzucili się Harry i Jesse; towarzysze Jane ustawili się na ich drodze. Ja starałem się oddychać.

– Kim ty kurwa jesteś? – Jane syknęła mi w twarz. – I w co starasz się mnie zrobić?

– Jestem John Perry – wyrzeziłem. – I nie chcę cię w nic zrobić.

– Gówno prawda. Skąd masz to zdjęcie? – powiedziała prawie szeptem, przybliżając twarz do mojej. – Kto je dla ciebie zrobił?

– Nikt go dla mnie nie zrobił – powiedziałem równie cichym głosem. – Zrobiono mi to zdjęcie na weselu. To... moje ślubne zdjęcie – prawie powiedziałem *nasze ślubne zdjęcie*, ale w porę ugryzłem się w język. – Kobieta na tym zdjęciu to moja żona, Kathy. Umarła, zanim wstąpiła do służby. Wzięli jej DNA i użyli go do stworzenia ciebie. Po części jesteś nią. Część ciebie jest na tym zdjęciu. Część tego, czym jesteś dała mi to. – Wyciągnąłem swoją lewą rękę i pokazałem jej moją obrączkę – jedyną rzecz, jaka została mi z Ziemi.

Jane warknęła, podniosła mnie i cisnęła mną przez całe pomieszczenie. Zahaczyłem o parę stołów, strącając na podłogę hamburgery, koszyki z przyprawami i serwetki, a w końcu sam wylądowałem na ziemi. Po drodze uderzyłem głową w metalowy róg stołu; z mojej skroni natychmiast zaczął

wypływać strumyczek Sprytnej Krwi. Harry i Jesse przerwali swój ostrożny taniec z towarzyszami Jane i skierowali się w moją stronę. Jane zrobiła to samo, ale w połowie drogi została zatrzymana przez jednego ze swoich przyjaciół.

– Posłuchaj mnie, Perry – powiedziała. – Od tej pory trzymaj się, kurwa, ode mnie z daleka. Następnym razem, kiedy cię zobaczę, będziesz żałował, że nie zostawiłam cię tam, żebyś umarł. – odwróciła się i odeszła.

Jeden z jej towarzyszy ruszył za nią; drugi, ten, który mówił do mnie wcześniej, podszedł do nas. Jesse i Harry stanęli mu na drodze, ale mężczyzna wyciągnął dłoń w pojednawczym geście.

– Perry – powiedział. – O co wam w ogóle poszło? Co jej przesłałeś?

– Sam jej zapytaj, koleś – powiedziałem.

– Dla was jestem porucznik Tagore, kapralu – Tagore spojrzał na Harry’ego i Jesse. – Znam was dwoje – powiedział. – Byliście na „Hampton Roads”.

– Tak jest, sir – powiedział Harry.

– Posłuchajcie mnie, wszyscy – powiedział. – Nie mam pojęcia o co wam poszło, ale powiem to bardzo wyraźnie. Cokolwiek to było, my nie byliśmy częścią tego. Możecie opowiadać na ten temat co chcecie, ale jeśli w tych opowieściach pojawią się słowa „Siły Specjalne”, to sam osobiście zadbam o to, żeby wasze dalsze wojskowe kariery były krótkie i bolesne. Ja nie żartuję. Wyjebię wasze czaszki. Czy to jasne?

– Tak jest, sir – powiedziała Jesse. Harry jej przytaknął. Ja zarzęziłem.

– Zajmijcie się swoim przyjacielem. Wygląda, jakby wykopano mu gównem z dupy – powiedział i odszedł.

– Chryste, John – powiedziała Jesse, wycierając mi serwetką ranę na skroni. – Co ty zrobiłeś?

– Przesłałem jej ślubne zdjęcie – powiedziałem.

– Niezwykle subtelne posunięcie – powiedział Harry i zaczął rozglądać się po kantine. – Gdzie jest twoja laska?

– Myślę, że pod tą ścianą, na którą mnie rzuciła – odparłem. Harry poszedł szukać laski.

– Dobrze się czujesz? – zapytała mnie Jesse.

– Myślę, że mam co najmniej obite żebro – powiedziałem.

– Nie o to mi chodziło – powiedziała.

– Wiem, o co ci chodziło – powiedziałem. – I myślę, że w tym momencie jeszcze ktoś inny jest obity.

Jesse pogłaskała mnie po twarzy. Harry wrócił z moją laską. Pokuśtykaliśmy z powrotem do szpitala. Doktor Fiorina był ze mnie bardzo niezadowolony.



Ktoś obudził mnie szturchnięciem. Kiedy zobaczyłem kto to, chciałem coś powiedzieć. Przykryła mi usta dłonią.

– Cicho – powiedziała Jane. – Nie powinno mnie tutaj być.

Skinąłem głową. Odsłoniła mi usta.

– Mów po cichu – powiedziała.

– Moglibyśmy używać MózGościów – powiedziałem.

– Nie, chcę słyszeć twój głos. Tylko mów po cichu.

– Okay.

– Przepraszam za to dzisiaj – powiedziała. – To było po prostu nieoczekiwane. Nie wiem, jak na coś takiego reagować.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Nie powinienem przekazywać ci tego w taki sposób.

– Zrobiłam ci krzywdę? – zapytała.

– Mam pęknięte żebro.

– Przepraszam – powiedziała.

– Już się zrosło – odparłem.

Przyglądała się mojej twarzy, jej oczy błędziły po niej w tę i z powrotem.

– Posłuchaj, nie jestem twoją żoną – powiedziała nagle. – Nie wiem, za kogo czy za co mnie uważasz, ale ja nigdy nie byłam twoją żoną. Nie wiedziałam nawet o jej istnieniu, dopóki dzisiaj nie pokazałeś mi tego zdjęcia.

– Musiałaś przecież wiedzieć, skąd się wzięłaś – powiedziałem.

– Czemu tak sądzisz? – zapytała ze złością. – Wiemy, że zostaliśmy stworzeni za pomocą czyichś genów, ale nie powiedziano nam czyich. Zresztą po co mieliby to robić? Tamte osoby to nie my. Nie jesteśmy nawet ich klonami – część mojego DNA nawet nie pochodzi z Ziemi. Jesteśmy królikami doświadczalnymi KSO, nie słyszałeś o tym?

– Słyszałem – powiedziałem.

– Więc nie jestem twoją żoną. Przyszłam, żeby ci to powiedzieć. Przykro mi, ale nią nie jestem.

– W porządku – powiedziałem.

– Okay – powiedziała ona. – No dobrze. Pójdę już. Jeszcze raz przepraszam za to, że cisnęłam tobą przez całą kantynę.

– Ile masz lat? – spytałem.

– Co? Czemu pytasz? – zapytała.

– Jestem po prostu ciekawy – odparłem. – I nie chcę, żebyś już sobie poszła.

– Nie wiem, jakie znaczenie może mieć dla ciebie mój wiek – powiedziała.

– Kathy nie żyje od dziewięciu lat – powiedziałem. – Chcę się dowiedzieć, jak długo czekali, zanim za pomocą jej genów stworzyli ciebie.

– Mam sześć lat – powiedziała.

– Mam nadzieję, że nie obrazisz się, kiedy powiem, że nie wyglądasz jak większość sześciolatek, które wcześniej spotkałem – powiedziałem.

– Jestem wyjątkowo rozwinięta, jak na swój wiek – powiedziała, a po chwili dodała – To był żart.

– Wiem – powiedziałem.

– Ludzie czasem go nie rozumieją – powiedziała. – Być może dlatego, że większość ludzi, których znam jest mniej więcej w tym samym wieku co ja.

– Jak to działa? – powiedziałem. – Chodzi mi o to, jak to jest? Mieć sześć lat, nie mając żadnej przeszłości.

Jane wzruszyła ramionami:

– Obudziłam się pewnego dnia i nie wiedziałam, gdzie jestem, ani co się ze mną dzieje. Ale byłam już w tym ciele i dużo rzeczy jednak już wiedziałam. Jak mówić, jak się poruszać. Jak myśleć i jak walczyć. Powiedziano mi, że jestem w Siłach Specjalnych i że właśnie jest pora na rozpoczęcie szkolenia. Powiedziano mi też, że nazywam się Jane Sagan.

– Ładne nazwisko – stwierdziłem.

– Zostało wybrane losowo – powiedziała. – Mamy zwykłe, często używane imiona, ale nasze nazwiska to w większości nazwiska naukowców i filozofów. W moim oddziale jest Ted Einstein i Julia Pasteur. Najpierw się tego nie wie, oczywiście. O nazwiskach. Później uczysz się trochę o tym, jak cię stworzono. Potem pozwalają ci nabrać poczucia siebie samego i tego kim jesteś. Nikt spośród nas nie ma wielu wspomnień. Dopóki nie spotkasz nikogo naprawdę urodzonego, nie wiesz, że czymkolwiek różnisz się od innych. A my nie spotykamy ich zbyt często. Nie mieszamy się z nimi.



– Naprawdę urodzonego? – zapytał.  
– W ten sposób nazywamy całą resztę żołnierzy KSO – powiedziała.  
– Jeśli nie mieszacie się z nami, to co robiliście tam w kantynie? – spytałem.

– Miałam ochotę na hamburgera – powiedziała. – Nie chodzi o to, że nie możemy tego robić. Po prostu tego nie robimy.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, z kogo zostałaś zrobiona? – spytałem.

– Czasami – powiedziała Jane. – Ale nie możemy tego wiedzieć. Nie mówią nam nic na temat naszych programów – ludzi, z których nas zrobiono. Niektórzy z nas zrobieni są z materiału pochodzącego od dwóch lub więcej osób. W każdym razie wszystkie te osoby nie żyją. Musi tak być – w innym wypadku, nie użyto by ich do stworzenia nas. A my nawet nie wiemy, kto ich znał, a nawet jeśli ludzie, którzy ich znali, wstępują na służbę, to zwykle nas nie odnajdują. Na dodatek wy, naprawdę urodzeni, cholernie szybko tutaj wymieracie. Nie znam nikogo innego, kto kiedykolwiek spotkałby krewnego swojego programu. Albo męża.

– Pokazałaś swojemu porucznikowi to zdjęcie? – spytałem.

– Nie – odparła. – Spytał mnie o nie. Powiedziałam, że przesłałam mi swoje zdjęcie i że je usunęłam. Rzeczywiście tak zrobiłam, na wypadek, gdyby chciał to sprawdzić. Nikomu nie mówiłam, o czym rozmawialiśmy. Mogę dostać je znowu? To zdjęcie?

– Oczywiście – powiedziałem. – Jeśli chcesz, mam też inne. Mogę ci też opowiedzieć o Kathy, jeśli masz na to ochotę.

W przyciemnionym pokoju Jane wpatrywała się we mnie; w słabym świetle bardziej niż przedtem przypominała Kathy. Patrzenie na nią sprawiało mi lekki ból.

– Sama nie wiem – odezwała się w końcu. – Nie wiem, co chcę wiedzieć. Pozwól, że się zastanowię. A teraz daj mi tamto zdjęcie. Proszę.

– Już ci je przesyłam – powiedziałem.

– Muszę już iść – powiedziała. – Posłuchaj, w ogóle mnie tutaj nie było. A jeśli zobaczysz mnie gdziekolwiek indziej, nie daj po sobie poznać, że się już spotkaliśmy.

– Dlaczego? – zapytałem.

– To teraz bardzo ważne – odpowiedziała wymijająco.

– Dobrze – powiedziałem.

– Pokaż mi swoją obrączkę – poprosiła Jane.

– Proszę – powiedziałem, zsunąłem ją z palca i dałem jej do obejrzenia. Trzymała ją ostrożnie w palcach, uważnie się przyglądając.

– Tu jest coś napisane – powiedziała po chwili.

– „Moja Miłość jest Wieczna – Kathy” – powiedziałem. – Kazała to wygrawerować, zanim mi ją dała.

– Jak długo byliście małżeństwem? – zapytała.

– Czterdzieści dwa lata – odpowiedziałem.

– Jak bardzo ją kochałeś? – spytała Jane. – Twoją żonę, Kathy. Kiedy ludzie są małżeństwem przez długi czas, mogą być ze sobą z przyzwyczajenia.

– Czasem tak jest – przyznałem. – Ale ja ją bardzo kochałem. Przez cały czas, kiedy byliśmy małżeństwem. Kocham ją teraz.

Jane wstała, spojrzała na mnie jeszcze raz, oddała mi obrączkę i wyszła bez pożegnania.



– Tachyony – powiedział Harry, podchodząc do stołu, przy którym jadłem z Jesse śniadanie.

– Bądź błogosławiony – powiedziała Jesse.

– Bardzo zabawne – powiedział, siadając. – Być może to dzięki tachyonom Rraeyowie wiedzieli, że się pojawimy.

– Świetnie – powiedziałem. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, czym są tachyony, bylibyśmy tym bardziej poruszeni.

– Są niezwykłymi, subatomowymi cząstkami – powiedział Harry. – Podróżują wstecz czasu z prędkością większą od prędkości światła. Jak dotąd istniały tylko w teorii, ponieważ trudno jest namierzyć coś, co jest zarówno szybsze od światła i jednocześnie porusza się wstecz strumienia czasu. Jednak teorie fizyczne napędu skokowego dopuszczają obecność tachyonów w czasie dokonywania każdego przeskoku – kiedy twoja materia i energia są przekładane na inny wszechświat, tachyony z docelowego wszechświata przemieszczają się z powrotem do wszechświata początkowego. W czasie dokonywania przekładu, napęd skokowy tworzy określony wzór tachyonów. Jeśli możesz namierzyć tachyony formujące ten wzór, wtedy możesz się dowiedzieć, że pojawi się okręt z napędem skokowym – możesz też przewidzieć kiedy to się stanie.

– Gdzie o tym usłyszałeś? – spytałem.

– W przeciwieństwie do was, nie obijam się tu całymi dniami – powiedział Harry. – W interesujących miejscach poznaję nowych przyjaciół.

– Jeśli wiedzieliśmy o tym wzorze tachyonów, to dlaczego wcześniej z tym nic nie zrobiliśmy? – spytała Jesse. – Z tego, co mówisz, wynika, że przez cały czas byliśmy zagrożeni atakiem, tylko do tej pory mieliśmy szczęście.

– No cóż, przypomnijcie sobie, co powiedziałem o tachyonach do tej pory istniejących tylko w teorii – powiedział Harry. – To taki rodzaj niedomówienia. One są mniej niż prawdziwe – są co najwyżej matematyczną abstrakcją. Nie mają związku z prawdziwymi wszechświatami, w których żyjemy i przemieszczamy się. Żadna znana nam inteligentna rasa nigdy się nimi w żaden sposób nie posługiwała. Nie mają praktycznego zastosowania.

– Albo tylko tak dotąd myśleliśmy – powiedziałem.

Harry zrobił ręką potwierdzający gest:

– Jeśli to prawda, to Rraeyowie mają technologię znacznie doskonalszą od naszej. W rozwoju technologicznym jesteście daleko za nimi.

– Więc jak możemy ich dogonić? – zapytała Jesse.

Harry uśmiechnął się:

– A kto tu mówi o doganianiu? Pamiętajcie, co mówiłem o rozwiniętej technologii kolonii, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się na pędzie fasoli? Pamiętajcie, jak mówiłem skąd ją mają?

– W wyniku spotkań z obcymi – odparła Jesse.

– Właśnie – powiedział Harry. – Zdobywamy je w walce lub na drodze wymiany. Jeśli naprawdę jest sposób, żeby namierzyć przemieszczające się z jednego wszechświata do drugiego tachyony, to prawdopodobnie udałoby się nam samemu opracować umożliwiającą to technologię. Ale w tym celu musielibyśmy poświęcić czas i zasoby, których nie mamy. O wiele bardziej praktycznie będzie wziąć ją po prostu od Rraeyów.

– Mówisz, że KSO planuje wrócić na Koral? – spytałem.

– Oczywiście – odparł Harry. – Ale teraz celem nie będzie samo odzyskanie planety. To nawet nie będzie głównym powodem ataku. Teraz naszym głównym celem jest przechwycić ich technologię wykrywania tachyonów i w jakiś sposób ją unicestwić, lub obrócić przeciwko Rraeyom.

– Za ostatnim razem na Koralu nieźle dostaliśmy po dupie – powiedziała Jesse.

– Chyba nie mamy wyboru, Jesse – łagodnie powiedział Harry.

– Musimy zdobyć tę technologię. Jeśli ona się rozprzestrzeni, wszystkie obce rasy będą w stanie nas namierzyć. Będą wiedzieć, że przybywamy, zanim się tam pojawimy.

– To znowu skończy się masakrą – powiedziała Jesse.

– Podejrzewam, że tym razem zaatakujemy przy pomocy większej ilości Sił Specjalnych – powiedział Harry.

– Skoro już o nich mówimy – zacząłem, po czym opowiedziałem Harry’emu o moim spotkaniu z Jane poprzedniej nocy. Opowiadałem o tym, aż do chwili, kiedy Jesse i Harry wstali od stołu.

– Wygląda na to, że przynajmniej nie zamierza cię zabić – stwierdził Harry, kiedy skończyłem.

– Musiało ci się dziwnie z nią rozmawiać – powiedziała Jesse. – Chociaż wiesz, że tak naprawdę nie jest twoją żoną.

– Nie wspominając o tym, że ma tylko sześć lat. Człowieku, to jest dopiero dziwne – powiedział Harry.

– To zresztą po niej widać – powiedziałem. – To, że jest sześciolatką. Nie ma w sobie emocjonalnej dorosłości. Nie wie, co robić z emocjami, kiedy już je odczuwa. Rzuciła mną przez całą kantynę, ponieważ nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić z tym, co wtedy poczuła.

– No cóż, ona wie tylko jak walczyć i zabijać – powiedział Harry. – My mamy za sobą całe życie wspomnień i doświadczeń, które mogą nas ustabilizować. Nawet młodszy żołnierze w zwykłych armiach mają dwadzieścia lat życiowych doświadczeń. W gruncie rzeczy ci żołnierze Sił Specjalnych to dziecięcy wojownicy. Etycznie rzecz biorąc jest to dość wątpliwe.

– Nie chciałabym rozdrapywać żadnych starych ran – powiedziała Jesse.  
– Ale czy widzisz w niej coś z Kathy?

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Oczywiście wygląda jak Kathy – powiedziałem. – Myślę, że zobaczyłem w niej odrobinę poczucia humoru Kathy, i trochę jej temperamentu. Kathy bywała bardzo impulsywna.

– Czy zdarzało jej się rzucać tobą po pokoju? – z uśmiechem zapytał Harry.

Też się do niego wyszczerzyłem i powiedziałem:

– Na pewno parę razy zrobiłaby to, gdyby mogła.

– Jeden zero dla genetyków – stwierdził Harry.

Nagle aktywował się mój Dupek. Dostałem wiadomość: Kapralu Perry, proszę stawić się na odprawę z generałem Keeganem o 10:00 w Głównej Kwaterze Operacyjnej w Module Eisenhowera Stacji Feniks. Proszę przybyć punktualnie. Potwierdziłem odbiór wiadomości i powiedziałem o wezwaniu Harry'emu i Jesse.

– Myślałem, że to ja mam przyjaciół w interesujących miejscach – powiedział Harry. – A ty pozwalałeś nam ścisnąć swoją dłoń.

– Nie mam pojęcia o co chodzi – powiedziałem. – Nigdy nie spotkałem Keegana osobiście.

– To tylko głównodowodzący Drugą Armią KSO – powiedział Harry. – Na pewno nie chodzi o nic ważnego.

– Bardzo śmieszne – powiedziałem.

– Jest już 09:15, John – powiedziała Jesse. – Musisz już iść. Chcesz, żebyśmy poszli z tobą?

– Nie, skończcie jeść śniadanie – powiedziałem. – Dobrze mi zrobi, jak się trochę przejdę. Moduł Eisenhowera jest tylko parę kilometrów stąd; wystarczy iść dookoła stacji. Bez trudu zdążę na czas. – Wstałem,

chwyciłem pączek na drogę, dałem Jesse przyjacielskiego całusa w policzek i ruszyłem w drogę.

Prawdę mówiąc Moduł Eisenhowera był w większej odległości od naszej mesy, niż myślałem, ale moja noga w końcu odrosła i chciałem ją rozćwiczyć. Doktor Fiorina miał rację – nowa noga była lepsza od starej. Na dodatek czułem się, jakby przybyło mi energii. Co prawda mogło to wynikać z tego, że jeszcze niedawno byłem w bardzo ciężkim stanie – tak ciężkim, że cudem z niego wyszedłem. Po czymś takim każdy odczułby przypływ świeżej energii.

– Nie odwracaj się. – Prosto do mojego ucha powiedziała Jane, stojąc tuż za mną. Prawie udławiłem się kawałkiem pączka.

– Wolałbym, żebyś się tak do mnie nie podkradała – powiedziałem po chwili, nie odwracając się w jej stronę.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam cię przestraszyć. Ale muszę z tobą porozmawiać. Chodzi mi o tę odprawę, na którą właśnie idziesz.

– Jak się o niej dowiedziałeś? – zapytałem.

– To nieważne. Ważne jest, żebyś zgodził się na to, o co cię poproszą. Zrób to. Dzięki temu będziesz bezpieczny, kiedy to się stanie. Na tyle bezpieczny, na ile to możliwe.

– Kiedy co się stanie? – zapytałem.

– Wkrótce sam się dowiesz – odpowiedziała.

– Co z moimi przyjaciółmi – zapytałem. – Co z Harrym i Jesse? Czy oni też będą mieli kłopoty?

– Wszyscy będziemy mieli kłopoty – powiedziała Jane. – Nie mogę nic dla nich zrobić. Mogę tylko prosić cię, żebyś się zgodził. Zgódź się. To ważne. – Lekko dotknęła dłonią mojego ramienia i po chwili już jej za mną nie było.



– Spoczniej, kapralu Perry – powiedział generał Keegan, salutując mi w odpowiedzi.

Zostałem wprowadzony do sali konferencyjnej, w której znajdowało się więcej wyższych stopniem oficerów niż na osiemnastowiecznym szkunerze. Byłem z pewnością najniższym stopniem żołnierzem w pomieszczeniu; następny w kolejności najniższy stopień miał podpułkownik Newman, mój szanowny interlokutor. Poczuję się trochę niewyraźnie.

– Wyglądasz na trochę zagubionego, synu. – Zwrócił się do mnie generał Keegan. Wyglądał, jak wszyscy w Sali konferencyjnej, jak wszyscy żołnierze KSO, na dwudziestokilkulatka.

– Rzeczywiście, czuję się trochę zagubiony, sir – przyznałem.

– Cóż, to zrozumiałe – powiedział Keegan. – Usiądź, proszę. – Wskazał na stojące przy stole puste krzesło, na którym posłusznie usiadłem. – Wiele o tobie słyszałem, Perry.

– Tak jest, sir – powiedziałem, starając się nie patrzeć na Newmana.

– Za bardzo to was nie poruszyło, kapralu – powiedział.

– Nie staram się niczym wyróżniać, sir – powiedziałem. – Po prostu staram się robić swoje.

– Ale tak się złożyło, że zostałeś zauważony – powiedział Keegan. – Nad Koralem swoje przystanie opuściło sto wahadłowców, ale tylko twój dotarł do powierzchni planety, w dużej mierze dzięki twojemu rozkazowi awaryjnego otwarcia bramy przystani, który pozwolił wam się stamtąd



zmyć na czas. – Wskazał kciukiem Newmana. – Newman mi wszystko opowiedział. Uważa, że powinniśmy ci za to dać medal.

Gdyby Keegan powiedział: *Newman uważa, że powinieneś wystąpić w głównej roli w corocznym wojskowym przedstawieniu „Jeziora Łabędziego”*, mniej by mnie to zdziwiło. Keegan zauważył wyraz mojej twarzy i wyszczerzył się do mnie:

– Wiem, o czym myślisz. Newman ma najbardziej poważną i nieprzyjemną twarz w całej armii, dlatego właśnie robi to, co robi. Więc jak, kapralu? Waszym zdaniem zasługujecie na ten medal?

– Z całym szacunkiem nie zasługuję, sir – powiedziałem. – Rozbiliśmy się i nie ocalał nikt oprócz mnie. To niezbyt chwalebne osiągnięcie. Poza tym, wszystkie pochwały za dotarcie na powierzchnię Koralu należą się mojemu pilotowi, Fionie Eaton.

– Fiona Eaton została już pośmiertnie odznaczona – powiedział generał Keegan. – To dla niej niewielkie pocieszenie, ponieważ już nie żyje, ale dla KSO ważne jest, żeby w ogóle takie akcje doceniać. I pomimo waszej skromności, kapralu, wy także zostanieie odznaczeni. Bitwę o Koral przeżyli także inni żołnierze, ale wyłącznie przez szczęśliwy przypadek. Wy wzięliście inicjatywę w swoje ręce i okazaliście zdolności przywódcze w niesprzyjających okolicznościach. Przedtem także wykazywaliście zdolność do samodzielnego myślenia. Tamto znalezienie sposobu prowadzenia ognia w czasie bitwy z Consu. Wasze skuteczne dowodzenie plutonem szkoleniowym. Starszy sierżant Ruiz złożył osobny raport na temat waszego sposobu wykorzystania MózGościa w czasie kończącej szkolenie gry wojennej. Służyłem z tym sukinsynem, kapralu. Ruiz nie pochwaliby swojej własnej matki za to, że wydała go na świat, jeśli wiecie o co mi chodzi.

– Myślę, że wiem, sir – powiedziałem.

– Tak właśnie myślałem. Więc Brązowa Gwiazda dla ciebie, synu. Gratulacje.

– Tak jest, sir – powiedziałem. – Dziękuję, sir.

– Ale nie kazałem ci tu przyjść tylko z tego powodu – powiedział generał Keegan i wskazał na jednego z mężczyzn siedzących przy stole. – Nie sądzę, żebyś znał generała Szilarda, który dowodzi naszymi Siłami Specjalnymi. Spocznij, nie ma potrzeby salutować.

– Sir – powiedziałem, skinąwszy jedynie głową w jego stronę.

– Kapralu – powiedział Szilard. – Proszę mi powiedzieć, co słyszeliście o sytuacji na Koralu?

– Niezbyt dużo, sir – powiedziałem. – Po prostu parę razy rozmawiałem o tym z przyjaciółmi.

– Doprawdy? – oschle zapytał Szilard. – Wydawało mi się, że wasz przyjaciel, szeregowy Wilson, do tej pory zdążył już wyczerpująco przedstawić wam sytuację na planecie.

Zdałem sobie sprawę z tego, że moja pokerowa twarz tego dnia sprawdza się jeszcze gorzej niż zwykle.

– Tak, oczywiście wiemy o szeregowym Wilsonie – powiedział Szilard. – Możecie mu powtórzyć, że jego węszenie nie było tak subtelne, jak mu się wydawało.

– Harry będzie zdziwiony, kiedy to usłyszy – powiedziałem.

– Nie wątpię – odparł Szilard. – Nie wątpię też, że zdążył objaśnić wam naturę żołnierzy Sił Specjalnych. Zresztą, instytucjonalnie rzecz biorąc, to nie jest tajemnicą, chociaż informacji na temat Sił Specjalnych nie ma w ogólnej bazie danych. Większość naszego czasu spędzamy na misjach, które wymagają zachowania ścisłej tajemnicy. Bardzo rzadko mamy możliwość spędzenia większej ilości czasu z pozostałymi żołnierzami KSO. Zresztą za bardzo nas to nie pociąga.

– Generał Szilard i Siły Specjalne przejmują dowodzenie nad naszym kontratakiem przeciwko Rraeyom na Koralu – powiedział generał Keegan.  
– Co prawda chcemy odebrać im planetę, ale naszym głównym celem jest przejęcie ich aparatu wykrywającego tachyony, w miarę możliwości odłączenie go bez dokonania zniszczeń, a w razie konieczności zniszczenie go. Pułkownik Golden... – Keegan wskazał na ponuro wyglądającego mężczyznę, siedzącego obok Newmana – ... sądzi, że wie, gdzie ten aparat się znajduje. Pułkowniku...

– Będę mówił bardzo skrótowo, kapralu – powiedział Golden. – Przed pierwszym atakiem na Koral nasze służby wywiadowcze doniosły, że Rraeyowie rozmieszczają szeregi małych satelitów na orbitach dookoła Koralu. Najpierw myśleliśmy, że są to satelity szpiegowskie, które mają pomóc Rraeyom zidentyfikować nasze siły i kontrolować ilość żołnierzy sprowadzanych na planetę. Teraz jednak myślimy, że te satelity służą namierzaniu wzorów tachyonów. Sądzimy, że stacja namierzająca, która zbiera i przetwarza dane z satelitów, znajduje się na powierzchni planety i wylądowała tam w czasie pierwszej fali ataku.

– Uważamy, że stacja znajduje się na planecie, ponieważ Rraeyowie sądzą, że tam będzie najbezpieczniejsza – powiedział generał Szilard. – Gdyby znajdowała się na pokładzie okrętu, atakująca go jednostka KSO mogłaby w nią trafić, nawet przez przypadek. A jak wiecie, żaden okręt oprócz waszego wahadłowca nie dotarł w pobliże powierzchni Koralu. Więc prawie na pewno właśnie tam ją umieścili.

– Mogę o coś spytać, sir? – zwróciłem się do Keegana.

– Proszę bardzo – odpowiedział Keegan.

– Dlaczego panowie mi o tym mówicie? – spytałem. – Jestem kapralem, który nie ma własnego oddziału, plutonu ani batalionu. Nie widzę powodu, dlaczego miałbym to wszystko wiedzieć.

– Powinieneś to wiedzieć, ponieważ jako jeden z nielicznych przeżyłeś bitwę o Koral, a jako jedyny przeżyłeś dzięki czemuś więcej niż zwykły przypadek – powiedział Keegan. – Generał Szilard i jego ludzie uważają, z czym się zgadzam, że ich kontratak będzie miał większe szanse powodzenia, jeśli obserwował go będzie i doradzał im ktoś, kto przeżył pierwszy atak; to znaczy ty, synu.

– Z całym należnym szacunkiem, sir – powiedziałem. – Mój udział w tym ataku był minimalny i katastrofalny w skutkach.

– Mniej katastrofalny niż udział większości pozostałych – powiedział Keegan. – Kapralu, nie będę was okłamywał, sam wolałbym zobaczyć w tej roli kogoś innego. Jednak, w obecnych warunkach, nikogo innego nie mamy. I chociaż długość waszej służby, a co za tym idzie wasza wiedza, są minimalne, to jest to jednak lepsze niż nic. Poza tym, wykazaliście zdolność do improwizacji i szybkiego działania w sytuacjach bojowych. Teraz będziecie mogli te zdolności wykorzystać.

– Co miałbym robić? – zapytałem. Keegan spojrzał na Szilarda.

– Będziecie stacjonować na „Krogulcu” – powiedział Szilard. – Na którym stacjonują Siły Specjalne z największym doświadczeniem w tej sytuacji bojowej. Waszym zadaniem będzie doradzać starszym stopniem oficerom „Krogulca”, korzystając z waszego doświadczenia zebranego na Koralu. Będziecie też musieli obserwować rozwój sytuacji i działać jako łącznik pomiędzy regularnymi siłami KSO a Siłami Specjalnymi.

– Czy będę uczestniczył w walce? – spytałem.

– Będziecie żołnierzem nadliczbowym – odparł Szilard. – Najprawdopodobniej nie będziecie uczestniczyć w działaniach wojennych.

– Rozumiesz chyba, synu, że jest to niezwykle wyjątkowy przydział – powiedział Keegan. – W praktyce, z powodu różnych celów misji i rodzajów żołnierzy, siły regularne KSO prawie nigdy nie działają razem z

Siłami Specjalnymi. Nawet w czasie bitew, w których udział biorą obie te formacje, zarówno jedni, jak i drudzy starają się działać osobno, wykonując zadania o odmiennym charakterze.

– Rozumiem – powiedziałem. Rozumiałem więcej niż mogli wiedzieć. Jane stacjonowała na „Krogulcu”.

Jak gdyby śledząc ciąg moich myśli, Szilard powiedział:

– Kapralu, wiem, że doszło do jakiegoś incydentu z jednym z moich ludzi – z kobietą, która stacjonuje na „Krogulcu”. Muszę mieć pewność, że więcej do takich incydentów nie dojdzie.

– Tak jest, sir – powiedziałem. – Ten incydent był wynikiem zwykłego nieporozumienia. Przypadek niewłaściwie rozpoznanej tożsamości. To się więcej nie powtórzy.

Szilard skinął głową w stronę Keegana.

– Bardzo dobrze – powiedział Keegan. – Kapralu, biorąc pod uwagę wasze nowe zadanie, myślę, że wasza obecna ranga jest niewystarczająca. Niniejszym, z efektem natychmiastowym, otrzymuje pan stopień porucznika. O 15:00 stawi się pan przed majorem Crickiem, głównodowodzącym „Krogulcem”. Powinno panu wystarczyć czasu na uporządkowanie swoich spraw i pożegnania. Jakies pytania?

– Nie, sir – powiedziałem. – Ale mam jedną prośbę.

– To niezwykła prośba – powiedział Keegan po tym, jak mu ją przedstawiłem. – W innych warunkach, odmówiłbym w obu przypadkach.

– Rozumiem, sir – powiedziałem.

– Niemniej, da się to zrobić. Być może wyniknie z tego coś dobrego. Bardzo dobrze, poruczniku. Jest pan wolny.



Przesłałem wiadomość Harry'emu i Jesse, i spotkałem się z nimi tak szybko, jak to było możliwe. Powiedziałem im o swoim nowym przydziale i promocji na stopień porucznika.

– Myślisz, że Jane to wszystko zaaranżowała? – spytał Harry.

– Wiem, że to zrobiła – powiedziałem. – Zresztą sama mi o tym powiedziała. Wynika z tego, że mogę im być do czegoś potrzebny. Ale jestem pewien, że musiała umieścić komuś pluskwę w uchu. Mam się tam przenieść za parę godzin.

– Znowu nas rozłączą – powiedziała Jesse. – To, co zostało z naszego plutonu też zamierzają rozdzielić. Nasi koledzy dostają przydziały na inne okręty. My wciąż czekamy na nasze przydziały.

– Kto wie, John – powiedział Harry. – Być może wrócimy z tobą na Koral.

– Nie, nie wróćcie – powiedziałem. – Poprosiłem generała Keegana, żeby zwolnił was ze służby w piechocie, a on się zgodził. Wasz pierwszy okres służby się skończył. Oboje dostaliście nowe przydziały.

– O czym ty mówisz? – zapytał Harry.

– Oboje dostaliście przydziały do Działu Badań Wojskowych KSO – powiedziałem. – Harry, oni wiedzą o tym, że dużo węszyłeś na stacji. Przekonałem ich, że w ten sposób wyrządzisz mniej szkody sobie i innym. Będziesz pracował nad tym, co przywieziemy z Koralu.

– Nie poradzę sobie – powiedział Harry. – Nie znam wystarczająco matematyki.

– Jestem pewien, że to cię nie powstrzyma – powiedziałem. – Jesse, ty także dostałaś przydział do DBW; z tym, że do służb pomocniczych. Tylko tyle mogłem ci w tym momencie załatwić. To nie będzie zbyt interesujące,

ale kiedy już tam będziesz, możesz się nauczyć czegoś nowego. I oboje będziecie poza linią ognia.

– To nie w porządku, John – powiedziała Jesse. – Nie odsłużyliśmy wymaganego czasu. Nasi koledzy z plutonu wrócą do walki, podczas gdy my będziemy siedzieć tutaj dzięki czemuś, czego nie zrobiliśmy. Ty sam tam wracasz. To mi się nie podoba. Powinnam odsłużyć swoje – powiedziała, a Harry jej przytaknął.

– Jesse, Harry, proszę – powiedziałem. – Posłuchajcie. Alan nie żyje. Susan i Thomas nie żyją. Maggie nie żyje. Wszyscy z mojego oddziału i plutonu też zginęli. Wszyscy ważni dla mnie tutaj ludzie, oprócz was dwojga, nie żyją. Dostałem szansę zachowania was przy życiu i skorzystałem z niej. Nie mogłem zrobić niczego więcej dla nikogo innego. Mogłem zrobić coś dla was. Chcę, żebyście żyli. Tutaj mam tylko was.

– Masz też Jane – powiedziała Jesse.

– Sam jeszcze nie wiem, czym Jane jest dla mnie – powiedziałem. – Ale wiem, czym wy dla mnie jesteście. Teraz jesteście moją rodziną. Jesse, Harry. Jesteście moją rodziną. Nie bądźcie na mnie źli, ja po prostu chciałem wam zapewnić bezpieczeństwo. Nic wam się nie może stać. Zróbcie to dla mnie. Proszę.

# PIĘTNASTY

„Krogulec” był cichym okrętem. Przeciętny okręt jest pełen odgłosów ludzi, którzy rozmawiają, śmieją się, wrzeszczą i wydają wszystkie te dźwięki, które wydają zwykli, żywi ludzie. Żołnierze Sił Specjalnych nie robili żadnej z tych bzdur.

Głównodowodzący „Krogulca” wyjaśnił mi to, kiedy wszedłem na pokład.

– Proszę nie oczekiwać, że ludzie będą się do pana odzywać – powiedział major Crick, kiedy mu się przedstawiłem.

– Sir? – zapytałem.

– Żołnierze Sił Specjalnych – powiedział. – To nic osobistego, my po prostu za dużo nie mówimy. Między sobą komunikujemy się prawie wyłącznie za pomocą MózGościów. To jest szybsze i przez to nie mamy skłonności do mówienia, jaką ma pan. Urodziliśmy się z MózGościami. Od początku mówiono do nas za ich pomocą. Więc przez większość czasu rozmawiamy ze sobą właśnie w ten sposób. Proszę więc nie czuć się urażonym. W każdym razie rozkazałem żołnierzom, żeby mówili do pana, kiedy będą musieli panu coś przekazać.

– To nie jest konieczne, sir – powiedziałem. – Mogę korzystać ze swojego MózGościa.

– Nie mógłby pan za nami nadążyć – powiedział major Crick. – Pański mózg komunikuje się z pewną prędkością, nasz z inną. Mówienie do naprawdę urodzonego jest jak mówienie o połowę wolniej. Gdyby porozmawiał pan z jednym z nas przez dłuższy czas, być może uznałby go



pan za pochopnego i szorstkiego w obejściu. To uboczny efekt odczucia, jakby mówił pan do opóźnionego w rozwoju dziecka. Bez obrazy.

– Nie obraża mnie to, sir – powiedziałem. – Z panem rozmawia mi się normalnie.

– No cóż, jako głównodowodzący spędzam dużo czasu z ludźmi spoza Sił Specjalnych – powiedział Crick. – Poza tym jestem dużo starszy niż większość spośród moich żołnierzy. Zdążyłem nabrać trochę dobrych manier.

– Ile ma pan lat? – zapytałem.

– W przyszłym tygodniu skończę czternaście – odpowiedział.

– A teraz do rzeczy, jutro o 6:00 odbędzie się u mnie spotkanie z moimi ludźmi, do tej pory proszę się wygodnie rozgościć, załatwić sobie jakieś żarcie i trochę odpocząć. Porozmawiamy jutro rano. – Zasalutował i zostałem odprawiony.

Jane czekała na mnie w mojej kabinie.

– To znowu ty – powiedziałem z uśmiechem.

– Znowu ja – powiedziała po prostu. – Chciałam się dowiedzieć, jak sobie dajesz radę.

– Radzę sobie nieźle – odparłem. – Biorąc pod uwagę fakt, że jestem na okręcie od piętnastu minut.

– Wszyscy o tobie rozmawiamy – powiedziała Jane.

– Tak, cały okręt aż kipi od rozmów – powiedziałem. Jane otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale uniosłem rękę do góry. – To był żart – powiedziałem. – Major Crick powiedział mi o tym, że używacie MózGościów.

– Właśnie dlatego lubię z tobą rozmawiać w ten sposób – powiedziała Jane. – Nie rozmawiam tak z nikim innym.

– O ile pamiętam, kiedy mnie ratowaliście, chyba mówiliście do siebie?  
– zapytałem.

– Wtedy nie chcieliśmy, żeby nas namierz yli – odparła Jane.

– Mówienie było bezpieczniejsze. Mówimy też na głos, kiedy jesteśmy w miejscach publicznych. Nie lubimy bez potrzeby zwracać na siebie uwagi.

– Dlaczego to zaaranżowałaś? – zapytałem. – Przeniesienie mnie na „Krogulca”.

– Bo możesz się nam przydać – powiedziała Jane. – Masz doświadczenie, które może okazać się pomocne; zarówno to z Koralu, jak i z innych miejsc, w których służyłeś.

– To znaczy? – spytałem.

– Major Crick będzie o tym mówił na jutrzejszej odprawie – powiedziała Jane. – Ja też tam będę. Dowodzę plutonem i wykonuję robotę wywiadowczą.

– Czy to jedyny powód? – zapytałem. – To, że jestem użyteczny?

– Nie – odpowiedziała. – Nie, ale to właśnie z tego powodu stacjonujesz na „Krogulcu”. Posłuchaj, nie będę z tobą spędzać dużo czasu. Czeka mnie zbyt dużo przygotowań w związku z naszą misją. Ale chcę się o niej dowiedzieć jak najwięcej. O Kathy. Kim była. Jaka była. Chcę, żebyś mi to powiedział.

– Opowiem ci o niej – powiedziałem. – Pod jednym warunkiem.

– Jakim? – spytała Jane.

– Będziesz musiała opowiedzieć mi o sobie – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Ponieważ przez dziewięć lat żyłem ze świadomością, że moja żona nie żyje, a teraz ty jesteś tutaj i to miesza mi w głowie – powiedziałem. – Im

więcej dowiem się o tobie, tym bardziej przywyknę do myśli, że nie jesteś nią.

– Nie jestem aż tak interesująca – powiedziała. – Mam tylko sześć lat. Nie miałam zbyt dużo czasu, żeby czegoś dokonać.

– Ja dokonałem więcej w ciągu ostatniego roku, niż w ciągu wszystkich lat, które go poprzedzały – powiedziałem. – Zaufaj mi. Sześć lat to wystarczająco dużo.



– Nie będzie panu przeszkadzać towarzystwo, sir? – spytał miły, młody (prawdopodobnie czteroletni) żołnierz Sił Specjalnych. Podobnie jak jego czterej koledzy stał na baczność, z tacą pełną jedzenia w rękach.

– Przy tym stole jest dużo wolnych miejsc – powiedziałem.

– Niektórzy ludzie wolą jeść w samotności – powiedział żołnierz.

– Nie jestem jednym z nich – odrzekłem. – Siadajcie, proszę.

– Dziękuję, sir – powiedział żołnierz, stawiając tacę na stole. – Jestem kapral Sam Mendel. To są szeregowi George Linnaeus, Will Hegel, Jim Bohr i Jan Fermi.

– Porucznik John Perry.

– Więc co pan sądzi o „Krogulcu”, sir? – zapytał Mendel.

– To miły i cichy okręt – odpowiedziałem.

– Rzeczywiście taki jest, sir – powiedział Mendel. – Właśnie mówiłem Linnaeusowi, że od miesiąca nie wypowiedziałem chyba więcej niż dziesięć słów.

– Więc przed chwilą chyba pobiłeś swój rekord – stwierdziłem.

– Czy mógłby rozstrzygnąć pan nasz zakład, sir? – spytał Mendel.

– Czy będzie to ode mnie wymagało dużego wysiłku? – spytałem.

– Nie, sir – odpowiedział Mendel. – Po prostu chcemy wiedzieć ile ma pan lat. Widzi pan, Hegel założył się, że przeżył pan więcej lat, niż podwójna suma lat składających się na wiek każdego z członków naszego oddziału.

– A ile wy razem macie lat? – zapytałem.

– Oddział razem ze mną liczy dziesięciu żołnierzy – powiedział Mendel. – Ja jestem najstarszy – mam pięć i pół roku. Pozostali mają od dwóch do pięciu lat. Łącznie mamy trzydzieści siedem lat i mniej więcej dwa miesiące.

– Ja mam siedemdziesiąt sześć lat – powiedziałem. – Więc miał rację. Chociaż każdy z rekrutów KSO pozwoliłby mu wygrać ten zakład. Zaczynamy służbę w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Ale muszę wam powiedzieć, że jest coś głęboko niepokojącego w fakcie, że jestem dwa razy starszy niż wszyscy członkowie waszego oddziału razem wzięci.

– Tak jest, sir – przyznał Mendel. – Ale z drugiej strony, my wszyscy żyjemy *tym* życiem co najmniej dwa razy dłużej niż pan. Więc ostatecznie wychodzi mniej więcej na to samo.

– Mniej więcej – powiedziałem.

– To musi być bardzo interesujące, sir – powiedział siedzący z drugiej strony stołu Bohr. – Ma pan za sobą doświadczenie całego życia, innego od tego tutaj. Jakie ono było?

– Co chcesz wiedzieć? Jakie było moje życie, czy jak to jest doświadczyć całego życia przed tym tutaj? – zapytałem.

– I to i to – odpowiedział Bohr.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że żaden z pięciu siedzących przy stole młodych żołnierzy jeszcze ani razu nie podniósł widelca do ust. W całej mesie, w której jeszcze przed chwilą słychać było przypominający

chóralny alfabet Morse'a odgłos uderzających o talerze sztuców, panowała zupełna cisza. Przypomniałem sobie słowa Jane o tym, że wszyscy na „Krogulcu” są zainteresowani moją osobą. Najwyraźniej miała rację.

– Lubiłem swoje życie – powiedziałem po chwili. – Nie wiem, czy byłoby ekscytujące, czy choćby interesujące dla kogoś, kto by go nie przeżywał. Ale dla mnie było to dobre życie. A jeśli chodzi o to, że miałem inne życie przed tym, to za bardzo nie zaprzęgam sobie tym głowy. Podobnie zresztą, zanim zacząłem żyć obecnym życiem, nie zadawałem sobie zbyt często pytania, jakie ono będzie.

– Dlaczego więc pan je wybrał? – zapytał Bohr. – Musiał mieć pan przecież jakieś pojęcie o tym, jakie ono będzie?

– Nie miałem zielonego pojęcia – powiedziałem. – Myślę, że żadne z nas nie miało. Większość z nas nigdy przedtem nie była ani na wojnie, ani w wojsku. Nikt spośród nas nie wiedział, że umieszczą nas w nowych ciałach, które tylko po części są tym, czym byliśmy przedtem.

– To brzmi trochę głupio, sir – powiedział Bohr, co przypomniało mi, że mając dwa czy trzy lata nie jest się zbyt taktownym. – Dlaczego ktoś miałby decydować się, nie mając najmniejszego pojęcia w co się ładuje?

– No cóż – odparłem. – Nie byłeś nigdy stary. Niezmodyfikowana siedemdziesięciopięcioletnia osoba dużo chętniej niż ty dokona takiego skoku w nieznane.

– Czy to aż tak duża różnica? – zapytał Bohr.

– Nie wiem jak to wytłumaczyć dwulatкови, który się nigdy nie zestarzeje – odparłem.

– Ja mam trzy lata – powiedział Bohr, jakby się broniąc.

Podniosłem do góry rękę i powiedziałem:

– Posłuchajcie, na chwilę odwróćmy sytuację. Ja mam siedemdziesiąt sześć lat i dokonałem skoku w nieznane, kiedy zaciągnąłem się do KSO. Z

drugiej jednak strony zrobiłem to z własnego wyboru. Nie musiałem. Jeśli wam jest trudno wyobrazić sobie jakie to było dla mnie trudne, pomyślcie przez chwilę o tym wszystkim z mojej perspektywy. – Wskazałem na Mendela – Kiedy miałem pięć lat ledwo umiałem zawiązać sobie buty. Jeśli nie możecie sobie wyobrazić, jak to jest w moim wieku zaciągnąć się do wojska, wyobraźcie sobie, jak trudno mi jest wyobrazić sobie bycie dorosłym pięcioletkiem, który wie tylko jedną rzecz – czym jest wojna. Nawet, jeśli nie mam nic innego, to mam przynajmniej pojęcie o tym, czym jest życie poza KSO. A czym ono jest dla was?

Mendel spojrzał na swoich kolegów, którzy spojrzeli na niego.

– Zwykle nie myślimy o tym zbyt dużo, sir – powiedział Mendel. – Przede wszystkim nie uważamy, żeby było w nim coś niezwykłego. Wszyscy, których znamy, „urodzili się” w ten sam sposób. Z naszej perspektywy to pan jest kimś niezwykłym. Miał pan dzieciństwo i przeżył pan całe życie, zanim zaczął pan żyć tym życiem. Prawdę mówiąc wydaje się to niezbyt efektywne.

– Czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad tym, jakby to było, gdybyście nie byli w Siłach Specjalnych? – zapytałem.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić – powiedział Bohr, a pozostali mu przytaknęli. – Wszyscy jesteśmy żołnierzami. To właśnie robimy. Właśnie tym jesteśmy.

– Dlatego pan jest dla nas taki interesujący – powiedział Mendel. – Podobnie jak myśl, że to życie mogłoby być wyborem. Sam pomyśl, że można by żyć inaczej. To dla nas nowe i obce.

– Czym pan się zajmował, sir? – spytał Bohr. – W swoim poprzednim życiu?

– Byłem pisarzem – odpowiedziałem. Wszyscy spojrzeli po sobie. – Co? – zapytałem.

– Dziwny sposób na życie, sir – stwierdził Mendel. – Dostawać pieniądze za zestawianie ciągów słów.

– Bywały na świecie gorsze zawody – powiedziałem.

– Nie chcieliśmy pana obrazić, sir – powiedział Bohr.

– Wcale mnie nie obraziliście – powiedziałem. – Po prostu patrzycie na wszystko z innej perspektywy. Ale zastanawia mnie, dlaczego to robicie.

– Dlaczego co robimy? – spytał Bohr.

– Dlaczego walcycie – odpowiedziałem. – No wiecie, w olbrzymiej większości ludzie w KSO są tacy, jak ja. A większość ludzi w koloniach jeszcze bardziej różni się od was niż ja. Dlaczego mielibyście za nich walczyć? Na dodatek przy naszym boku?

– Jesteśmy ludźmi, sir – powiedział Mendel. – Nie mniej niż pan.

– Biorąc pod uwagę obecny stan mojego DNA, to nie znaczy zbyt wiele – powiedziałem.

– Pan wie, że jest pan człowiekiem – powiedział Mendel. – Podobnie jak my. Jesteśmy sobie bliżsi niż się panu wydaje. Wiemy, w jaki sposób KSO wybiera sobie rekrutów. Walczy pan za kolonistów, których nigdy pan nie spotkał – za kolonistów, którzy w pewnym momencie byli wrogami pańskiego kraju. Dlaczego więc pan za nich walczy?

– Ponieważ są ludźmi i dlatego, że obiecałem to robić – odparłem. – Przynajmniej z tych powodów walczyłem na początku. Teraz nie walczę już za kolonistów. To znaczy nie tylko – teraz walczę za ludzi z mojego oddziału i plutonu. Ja chronię ich, oni chronią mnie. Walczę, ponieważ gdybym tego nie robił, zawiódłbym ich.

Mendel pokiwał głową.

– My walczymy z tego samego powodu, sir – powiedział. – To właśnie trzyma wszystkich nas, ludzi, razem. Dobrze to wiedzieć.

– To prawda – powiedziałem.

Mendel wyszczerzył się i podniósł widelec do ust. Po chwili w mesie rozległ się zwykły dźwięk stukających o talerze sztućców. Rozejrzałem się i napotkałem spojrzenie siedzącej w odległym kącie mesy Jane.



Na porannej odprawie major Crick od razu przeszedł do rzeczy:

– Służby wywiadowcze KSO uważają, że Rraeyowie są oszustami. Pierwszą częścią naszej misji będzie przekonanie się, czy tak jest naprawdę. W tym celu złożymy małą wizytę Consu.

To natychmiast mnie rozbudziło. Najwyraźniej nie tylko mnie.

– Co do diabła Consu mają z tym wspólnego? – spytał siedzący po mojej lewej stronie porucznik Tagore.

Crick skinął w stronę siedzącej obok niego Jane.

– Na prośbę majora Cricka i innych, przebrałam dokumentację dotychczasowych spotkań KSO z Rraeyami, żeby sprawdzić, czy wcześniej wykazywali jakieś oznaki technologicznej ewolucji – powiedziała Jane. – W ciągu ostatniego stulecia mieliśmy z Rraeyami dwanaście znacznych konfliktów militarnych i kilkadziesiąt potyczek – przy czym w ciągu ostatnich pięciu lat jeden główny konflikt i sześć potyczek. Przez cały ten czas Rraeyowie pod względem technologicznym pozostawali za nami daleko w tyle. Składa się na to wiele czynników, w tym immanentna dla ich kultury niechęć do systematycznego rozwoju technologicznego i fakt, że najczęściej wchodzili w konflikty z rasami bardziej zaawansowanymi pod względem technologicznym.

– Innymi słowy, są zacofani i bigoteryjni – powiedział major Crick.



– Ich zacofanie było szczególnie widoczne w przypadku napędu skokowego – powiedziała Jane. – Do czasu bitwy o Koral rraeyska technologia skokowa pozostawała daleko w tyle za naszą – w gruncie rzeczy, w dziedzinie fizyki przeskoku mieli pojęcie odpowiadające naszej wiedzy sprzed ponad stu lat, kiedy to KSO, w czasie przerwanej misji handlowej na ich planecie, przekazało im informacje na ten temat.

– Dlaczego przerwano tę misję? – zapytał siedzący przy drugim końcu stołu kapitan Jung.

– Rraeyowie zjedli około trzydziestu naszych przedstawicieli handlowych – odpowiedziała Jane.

– Nieźle! – powiedział kapitan Jung.

– Chodzi o to, że biorąc pod uwagę sam charakter Rraeyów, jak również poziom rozwoju ich techniki, wydaje się niemożliwe, żeby tak znacząco prześcignęli nas jednym zaledwie skokiem – powiedział major Crick. – Z czego wynika, że musieli dostać technologię przewidywania użycia napędu skokowego od jakiejś innej rasy. Znamy te same rasy, które znają Rraeyowie. Naszym zdaniem spośród nich wszystkich tylko jedna kultura ma potencjalną technologiczną zdolność osiągnięcia czegoś takiego.

– Consu – powiedział Tagore.

– Tak jest, Consu – zgodził się Crick. – Ci dranie mają białego karła zaprzęgniętego do kołowrotu. Więc właściwie niby czemu nie mieliby skonstruować urządzenia przewidującego użycie napędu skokowego.

– Ale dlaczego w ogóle mieliby w jakikolwiek sposób współpracować z Rraeyami? – zapytał siedzący przy samym końcu stołu porucznik Dalton. – Z nami wchodzili w interakcję jedynie wtedy, kiedy mieli ochotę trochę sobie poćwiczyć, a przecież pod względem technologicznym jesteśmy dużo bardziej zaawansowani od Rraeyów.

– Być może Consu wcale nie motywują się względami natury technologicznej, tak jak my – powiedziała Jane. – Dla nich nasze najnowsze osiągnięcia techniczne są bezwartościowe, podobnie jak dla nas pozbawione wartości byłyby tajemnice konstrukcji silnika parowego. Uważamy, że motywują ich inne czynniki.

– Religia – powiedziałem. Oczy wszystkich siedzących przy stole zwróciły się w moją stronę i poczułem się nagle jak chłopiec z kościelnego chóru, który pierdnął w czasie niedzielnej mszy.

– Kiedy mój pluton walczył z Consu, nasi przeciwnicy zmówili najpierw modlitwę, która uświęciła całą bitwę. Powiedziałem wtedy do przyjaciela, że moim zdaniem Consu w pewien sposób chrzczą planetę za pomocą bitwy. – Wszyscy dalej na mnie patrzyli – Oczywiście, mogłem się mylić.

– Nie mylił się pan – powiedział Crick. – Przez długi czas debatowaliśmy w dowództwie KSO nad tym, dlaczego Consu w ogóle walczą, skoro dzięki swojej technologii mogliby w jednej chwili zniszczyć każdą z odbywających podróże kosmiczne ras w regionie. W czasie tych debat przeważało przekonanie, że robią to dla rozrywki; że uprawiają wojnę, tak jak my uprawiamy piłkę nożną czy baseball.

– My nigdy nie gramy w piłkę nożną czy baseball – powiedział Tagore.

– Grają w nie inni ludzie, durniu – powiedział Crick z krzywym uśmiechem, po czym znowu spowaźniał. – Jednak mniejszość, z tym, że znacząca mniejszość członków kierownictwa służb wywiadowczych KSO uważa, że bitwy mają dla nich znaczenie rytualne, zgodnie z sugestią porucznika Perry’ego. Rraeyowie nie mogą prowadzić z Consu równorzędnej wymiany technologicznej, być może jednak dysponują czymś, na czym Consu bardzo zależy. Mogą im oddać swoje dusze.

– Ale Rraeyowie sami są fanatykami – powiedział Dalton. – Przed wszystkim właśnie z tego powodu zaatakowali Koral.

– Mają parę kolonii, niektóre z nich są dla nich mniej cenne od innych – powiedziała Jane. – Niezależnie od tego, czy są fanatykami, czy nie, mogli uznać, że opłaca im się przehandlować jedną ze swoich drugorzędnych kolonii za Koral.

– Co nie będzie się opłacało tylko Rraeyom z tej przehandlowanej kolonii – powiedział Dalton.

– Naprawdę, raczej nie obchodzi mnie ich los – stwierdził Crick.

– Consu dali Rraeyom technologię, która pozwala im znacznie wyprzedzić wszystkie pozostałe kultury w tej części kosmosu – powiedział Jung. – Zaburzenie równowagi sił w całym regionie może mieć swoje reperkusje nawet dla potężnych Consu.

– Chyba, że Consu wydali Rraeyom za mało reszty – powiedziałem.

– Co ma pan na myśli? – zapytał Jung.

– Zakładamy, że Consu przekazali Rraeyom dokumentację technologiczną, która pozwoliła im stworzyć system detekcji napędu skokowego – powiedziałem. – Ale być może dali im tylko jedną maszynę z instrukcją obsługi. W ten sposób dostali to, co chcieli – czyli sposób, w jaki będą mogli obronić Koral przed naszą inwazją, podczas gdy Consu uniknęły poważnego naruszenia równowagi sił w regionie.

– Dopóki Rraeyowie nie wykryją, w jaki sposób to cholerstwo działa – powiedział Jung.

– Biorąc pod uwagę poziom ich obecnego rozwoju technologicznego, to może zająć im lata – powiedziałem. – Zanim to nastąpi zdążymy skopać im tyłki i odebrać im tę technologię. Jeśli Consu w ogóle im tę technologię przekazali. Jeśli Consu dali im tylko pojedynczą maszynę. Jeśli Consu w ogóle przejmują się zachowaniem równowagi sił w regionie. Dużo tych „jeśli”.

– Zamierzamy odwiedzić Consu właśnie po to, by znaleźć odpowiedzi na te wszystkie „jeśli” – powiedział Crick. – Wysłaliśmy już bezzałogowy statek skokowy, żeby powiadomić ich o naszych zamiarach. Zobaczymy, co uda nam się z nich wydobyć.

– Którą kolonię zaoferujemy im w zamian? – zapytał Dalton. Trudno było powiedzieć, czy żartuje.

– Nie zaoferujemy im żadnych kolonii – powiedział Crick. – Mamy jednak coś, co może pomóc skłonić ich do udzielenia nam audiencji.

– Co takiego mamy? – zapytał Dalton.

– Mamy jego – powiedział Crick, wskazując na mnie.

– Jego? – spytał Dalton.

– Mnie? – spytałem.

– Ciebie – odpowiedziała Jane.

– Jestem zupełnie zmieszany i wstrząśnięty – przyznałem.

– Pański dwustrzałowy sposób prowadzenia ognia w jednej chwili pozwolił siłom KSO zabić tysiące Consu – powiedziała Jane. – W przeszłości Consu bywali szczególnie przychylni wobec ambasad kolonii, na których służyli żołnierze KSO, którzy w czasie bitew zabili dużą ilość przedstawicieli ich rasy. Ponieważ to właśnie wykryty przez pana sposób prowadzenia ognia pozwolił szybko wykończyć dużą ilość wojowników Consu, więc ich śmierć jest pańską zasługą.

– Ma pan na rękach krew ośmiu tysięcy czterystu trzydziestu trzech Consu – powiedział Crick.

– Świetnie – powiedziałem.

– Świetnie, to prawda – przyznał Craig. – Pańska obecność otworzy nam do nich drzwi.

– A co się stanie ze mną, kiedy wejdziemy przez te drzwi? – zapytałem.

– Proszę sobie wyobrazić, co my byśmy zrobili z Consu, który zabiłby

osiem tysięcy naszych żołnierzy.

– Oni nie traktują tego tak jak my – powiedziała Jane. – Raczej nic panu nie zrobią.

– Raczej – powtórzyłem.

– Jediną alternatywą jest to, że zestrzelą nas od razu, kiedy tylko pojawimy się w przestrzeni Consu – powiedział Crick.

– Rozumiem – powiedziałem. – Po prostu wolałbym mieć trochę więcej czasu, żeby przywyknąć do tej myśli.

– Sytuacja rozwijała się nagle i w nieoczekiwanym kierunku. – nonszalancko powiedziała Jane. Nagle dostałem wiadomość na MózGościa. Składała się zaledwie z dwóch słów – *Zaufaj mi*. Spojrzałem na Jane, która odpowiedziała mi łagodnym i spokojnym spojrzeniem. Skinąłem głową, potwierdzając odbiór wiadomości, a gdzieś głęboko we wnętrzu potwierdzając jeszcze odbiór czegoś innego.

– Co zrobimy, po tym jak skończą już podziwiać porucznika Perry’ego? – zapytał Tagore.

– Jeśli wszystko odbędzie się podobnie do poprzednich tego typu spotkań, będziemy mieli możliwość zadania Consu do pięciu pytań – powiedziała Jane. Ostateczna liczba pytań uzależniona będzie od wyników pojedynków stoczonych między pięcioma naszymi żołnierzami i pięcioma wojownikami Consu. Będą to walki jeden na jeden. Consu walczą nieuzbrojeni, ale nasi żołnierze będą mogli używać noży, żeby zrekompensować brak odnóży tnących. Musimy pamiętać o tym, że kiedy wcześniej odprawialiśmy ten rytuał, Consu, z którymi walczyliśmy byli popadłymi w niełaskę wojownikami lub kryminalistami i pojedynek ten był dla nich drogą do odzyskania honoru. Nie muszę więc wspominać o tym, że byli bardzo zdeterminowani. Będziemy mogli zadać tyle pytań, ile pojedynków uda nam się zwyciężyć.

– W jaki sposób wygrywa się te pojedynki? – zapytał Tagore.

– Zabijasz Consu, albo on zabija ciebie – powiedziała Jane.

– To fascynujące – wyznał Tagore.

– Jest jeszcze jeden ważny szczegół – powiedziała Jane. – Spośród tych, których przywozimy ze sobą, Consu wybierają czynnych żołnierzy, więc protokół wymaga, byśmy mieli ze sobą przynajmniej piętnastu czynnych żołnierzy. Wyborowi nie podlega jedynie przewodniczący naszej delegacji, który, dzięki uprzejmości Consu, nie może zniżyć się do walki z nieudacznikami i kryminalistami.

– Perry, pan będzie przewodniczącym delegacji – powiedział Crick. – Ponieważ to pan zabił osiem tysięcy tych robali, to w ich oczach będzie pan oczywistym przywódcą. Będzie pan również jedynym żołnierzem spoza Sił Specjalnych, więc nie dysponuje pan szybkością i modyfikacjami wydolnościowymi, jakimi dysponujemy my wszyscy. Jeśli zostałby pan wybrany, mógłby pan zostać zabity.

– Wzrusza mnie pańska troskliwość – powiedziałem.

– To nie jest troskliwość – powiedział Crick. – Gdyby gwiazda naszego programu została zabita przez jakiegoś kryminalistę, mogłoby to spowodować, że Consu nie zechcieliby z nami dalej współpracować.

– Aha – odpowiedziałem. – Po raz drugi mylnie wydawało mi się, że zaczął pan łagodnieć.

– Na to nie ma szans – stwierdził Crick. – Idźmy dalej. Za czterdzieści trzy godziny znajdziemy się na pozycji skokowej. Delegacja składać się będzie z czterdziestu osób, wliczając w to wszystkich dowódców oddziałów i plutonów. Resztę wybiorę osobiście. Znaczy to, że do chwili wykonania przeskoku będziecie ćwiczyć ze swoimi ludźmi techniki walki wręcz. Perry, przesłałem panu protokoły delegacji; proszę je dokładnie przestudiować i nie zawieść nas wszystkich. Po dokonaniu przeskoku przekażę panu

pytania, które będziemy chcieli im zadać, w kolejności, w której będziemy je zadawać. Jeśli nam się powiedzie, będziemy mieli prawo do zadania pięciu pytań, ale musimy przygotować się na to, że będziemy mogli ich zadać mniej. No to do roboty. Jesteście wolni.



W ciągu tych czterdziestu trzech godzin, Jane chciała dowiedzieć się o Kathy wszystkiego. Dopadała mnie w różnych miejscach, w których akurat byłem, zadawała pytania, wysłuchiwała odpowiedzi i znikła, żeby zająć się swoimi obowiązkami. Był to dziwny sposób prowadzenia wspólnego życia.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła, kiedy studiowałem informacje protokolarne w przednim hallu okrętu.

– Poznałem ją, kiedy była w pierwszej klasie – powiedziałem, a potem musiałem wytłumaczyć jej, co to jest pierwsza klasa szkoły podstawowej. Potem opowiedziałem jej swoje pierwsze związane z Kathy wspomnienie – w pierwszej i drugiej klasie razem chodziliśmy na lekcje plastyki, na któreś z nich dzieliliśmy się klejem, za pomocą którego mieliśmy pozlepić jakieś papierowe konstrukcje. Opowiedziałem jej o tym, jak Kathy przyłapała mnie wtedy na jedzeniu kleju i powiedziała, że jestem brzydki. O tym, że uderzyłem ją za to, a ona w odpowiedzi walnęła mnie w oko. Została zawieszona na cały dzień. O tym, że potem nie odzywaliśmy się do siebie aż do pierwszej klasy szkoły średniej.

– Ile ma się lat w pierwszej klasie? – zapytała.

– Sześć – odpowiedziałem. – Tyle, ile ty masz teraz.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła znowu, parę godzin później, już w innym miejscu.

– Kiedyś Kathy o mało co się ze mną nie rozwiodła – powiedziałem. – Byliśmy małżeństwem od dziesięciu lat i miałem romans z inną kobietą. Kiedy Kathy się o tym dowiedziała, wpadła w furję.

– Dlaczego w ogóle przejmowała się tym, że spałeś z kimś innym? – zapytała Jane.

– Tak naprawdę nie chodziło jej o seks – odparłem. – Tylko o to, że ją w związku z tym okłamałem. Dla niej seks z kimś innym był tylko oznaką hormonalnej słabości. Kłamstwo było oznaką braku szacunku, a nie chciała być żoną kogoś, kto jej nie szanował.

– Dlaczego się nie rozwiedliście? – zapytała Jane.

– Ponieważ mimo tego romansu wciąż się kochaliśmy – odpowiedziałem. – Jakoś to przepracowaliśmy, ponieważ chcieliśmy być ze sobą. Zresztą parę lat później ona też miała romans, więc można powiedzieć, że osiągnęliśmy remis. Zresztą po tych przejściach układało nam się nawet lepiej niż przedtem.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła jeszcze innym razem.

– Kathy piekła niewiarygodnie dobre ciasta – powiedziałem. – Jej truskawkowo-rabarbarowy placek mógł zwalić z nóg każdego. Kiedyś wystawiła swój placek w konkursie organizowanym z okazji stanowego jarmarku; sędzią był gubernator stanu Ohio. Pierwszą nagrodą była nowa kuchenka od Searsa.

– Wygrała ten konkurs? – spytała Jane.

– Nie, zajęła drugie miejsce, za które dostała kupon do sklepu z wyposażeniem wewnątrz na sto dolarów. Ale mniej więcej w tydzień później zadzwonili do niej z biura gubernatora. Jego asystent wytłumaczył Kathy, że z przyczyn politycznych gubernator dał pierwszą nagrodę żonie



najbliższego przyjaciela swojego najważniejszego sponsora, ale odkąd zjadł kawałek jej placeka, nie może przestać mówić o tym, jak świetne to było ciasto. Więc jeśli by nie sprawiło jej to kłopotu, to czy mogłaby upiec mu jeszcze jeden placek, żeby w końcu przestał o nim mówić?

– Opowiedz mi o niej – poprosiła.

– Zakochałem się w niej, kiedy była w pierwszej klasie szkoły średniej – powiedziałem. – W wystawianym w naszej szkole przedstawieniu „Romea i Julii” Kathy dostała rolę Julii. Byłem asystentem reżysera sztuki, co spowodowało się do tego, że pomagałem w budowaniu dekoracji i przynosiłem kawę profesor Amos, nauczycielce, która to przedstawienie reżyserowała. Kiedy Kathy zaczęła mieć kłopoty z zapamiętywaniem kwestii, pani Amos przydzieliła jej do pomocy mnie. Przez dwa tygodnie, codziennie po próbach, chodziliśmy do niej i pracowaliśmy nad jej rolą; właściwie to tylko mieliśmy tak robić, bo większość czasu rozmawialiśmy na różne tematy, jak zwykła para nastolatków. Wszystko to było bardzo niewinne. W czasie próby kostiumowej usłyszałem, jak Kathy mówi swoje kwestie do Jaffa Greene’a, który grał Romea. Poczujęm, że jestem zazdrosny. Ona przecież powinna mówić te słowa do mnie.

– Co zrobiłeś? – spytała Jane.

– Unikając Kathy jak ognia włączyłem się bez celu przez cały czas trwania sztuki, którą wystawiono cztery razy między piątkiem wieczór a niedzielnym popołudniem. Na imprezie kółka teatralnego w niedzielny wieczór znalazła mnie Judy Jones, która grała służącą Julii, i powiedziała mi, że Kathy siedzi płacząc samotnie na rampie podjazdowej stołówki. Myślała, że ją znienawidziłem, ponieważ przez ostatnie dni zupełnie ją ignorowałem, a ona nie miała pojęcia dlaczego. Judy potem powiedziała mi, że gdybym nie poszedł tam i nie powiedział Kathy, że ją kocham, to na pewno znalazłaby jakąś łopatę i mnie nią zatłukła.

– Skąd wiedziała, że byliście w sobie zakochani? – spytała Jane.

– Kiedy jesteś zakochanym nastolatkiem, wiedzą o tym wszyscy oprócz ciebie i osoby, w której jesteś zakochany – powiedziałem. – Nie pytaj mnie, dlaczego tak jest. Po prostu tak to już jest. Więc wyszedłem na tamtą rampę, i zobaczyłem, że Kathy siedzi tam sama, na krawędzi, bujając w powietrzu spuszczone stopami. Była pełnia i na jej twarz padało światło księżyca, chyba nigdy przedtem, ani nigdy potem nie wydała mi się tak piękna jak wtedy. Serce biło mi jak szalone, bo wiedziałem, naprawdę wiedziałem, że kocham ją tak mocno, że nigdy nie zdołam jej powiedzieć, jak bardzo jej pragnę.

– Co zrobiłeś? – spytała Jane.

– Dopuściłem się małego szachrajstwa – przyznałem. – Wykorzystałem to, że akurat znałem na pamięć duże fragmenty „Romea i Julii”. Podeszedłem do niej, tam na tej betonowej rampie, i powiedziałem do niej dużą część drugiej sceny drugiego aktu: „Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna? Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem! Wnijdź, cudne słońce...” i tak dalej. Już wcześniej znałem te słowa, w tym momencie po prostu mówiłem je szczerze. Kiedy skończyłem podeszedłem do niej i po raz pierwszy ją pocałowałem. Ona miała piętnaście lat, ja szesnaście, a mimo to wiedziałem że się z nią ożenię i spędzę resztę życia przy jej boku.

– Opowiedz mi o tym, jak umarła – poprosiła Jane, tuż przed przeskokiem do przestrzeni Consu.

– Przygotowywała gofry na niedzielę rano, i dostała wylewu, kiedy szukała wanilii – powiedziałem. – W tym momencie byłem w dużym pokoju. Pamiętam, że na głos spytała samą siebie, gdzie położyła wanilię, a w sekundę później usłyszałem jakiś stukot i odgłos upadku. Pobiegnę do kuchni. Leżała na podłodze trzęsąc się, jej głowa krwawiła w miejscu, którym uderzyła o szafkę. Wezwałem pogotowie i objąłem ją. Starłem się

powstrzymać krwawienie i mówiłem, że ją kocham. Powtarzałem to, dopóki sanitariusze nie odciągnęli mnie od niej. Potem pozwolili mi trzymać ją za rękę przez całą drogę do szpitala. Trzymałem ją za rękę, kiedy umarła w tej karetce. Zobaczyłem, że światło gaśnie w jej oczach, ale powtarzałem jej jak bardzo ją kocham aż do chwili, kiedy w końcu nas rozdzielili.

– Dlaczego to robiłeś? – zapytała Jane.

– Chciałem mieć pewność, że ostatnią rzeczą jaką usłyszała, byłam ja mówiący jak bardzo ją kocham – odpowiedziałem.

– Jak to jest stracić kogoś, kogo kochasz? – zapytała Jane.

– Umierasz razem z tą osobą – powiedziałem. – A potem czekasz, aż twoje ciało do ciebie dołączy.

– Czy to właśnie teraz robisz? – spytała Jane. – Czekasz, aż twoje ciało do ciebie dołączy?

– Nie, już nie – powiedziałem. – W końcu wraca się do życia. Po prostu zaczynasz żyć innym życiem, to wszystko.

– Więc teraz żyjesz już swoim trzecim życiem – powiedziała Jane.

– Chyba tak – odparłem.

– I jak ci się ono podoba? – zapytała Jane.

– Podoba mi się – odpowiedziałem. – Podobają mi się ludzie, których spotykam.

Za oknem pojawiły się nowe gwiazdy. Byliśmy w przestrzeni Consu. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Na całym okręcie także panowała cisza.

# SZESNASTY

– Możecie nazywać mnie Ambasadorem, niegodny chociaż jestem tego tytułu – powiedział Consu. – Jestem kryminalistą, okryłem się niesławą w bitwie na Pahnshu, i dlatego też zrobiony jestem, żeby mówić do was językiem waszych ust. Przez te hańbę łakną śmierci i długiej sprawiedliwej kary zanim dane mi będzie się odrodzić. To moja nadzieja, że w wyniku tego postępowania będę widziany jako mniej niegodny, a zatem zostanie uwolniony do śmierci. Dlatego kalam się rozmową z wami.

– Mi również miło jest cię poznać – odpowiedziałem, w

Staliśmy pośrodku przykrytego kopułą gmachu wielkości boiska do piłki nożnej, który Consu zbudowali niecałą godzinę temu. My, ludzie, oczywiście nie mogliśmy dotknąć stopami ziemi Consu, czy też znaleźć się w jakimkolwiek miejscu, po którym potem Consu mogliby stąpać. Z okazji naszego przybycia w pełni zautomatyzowane maszyny Consu wybudowały ten gmach w od dawna podlegającym kwarantannie rejonie ich przestrzeni kosmicznej, w którym zwykle przyjmowali niemile widzianych gości, takich jak my. Po zakończeniu negocjacji gmach miał ulec implozji, a jego resztki miały zniknąć we wnętrzu najbliższej czarnej dziury, tak żeby ani jeden z jego atomów nie zanieczyszczał tego zakątka wszechświata. Moim zdaniem ostatnia część tego planu trąciła lekką przesadą.

– Rozumiemy, że macie pytania, które chcielibyście zadać dotyczące rasy Rraey – powiedział ambasador. – I że chcielibyście odwołać się do naszych rytuałów, żeby zaskarbić sobie honor wymówienia tych pytań do nas. – To wszystko prawda – powiedziałem. Piętnaście metrów za mną stało na baczność trzydziestu dziewięciu żołnierzy Sił Specjalnych w kostiumach

bojowych. Z informacji, którymi dysponowaliśmy wynikało, że Consu nie uważają, żeby było to spotkanie równych sobie przeciwników, więc nie było potrzeby silenia się na dyplomatyczne karesy; poza tym każdy z naszych ludzi mógł zostać wybrany do walki, więc wszyscy musieli być gotowi do bitwy. Ja również miałem na sobie część stroju bojowego, chociaż założyłem go z własnego wyboru; jeśli miałem udawać przywódcę tej małej delegacji, to przynajmniej zamierzałem wyglądać tak, jakbym był jej częścią.

W odpowiedniej odległości za ambasadorem stało pięciu innych Consu, każdy z nich trzymał dwa długie, przerażająco wyglądające noże. Nie musiałem pytać, jaka będzie ich rola.

– Mój wielki lud potwierdza, że właściwie poprosiliście o nasze rytuały i że przedstawiliście się zgodnie z naszymi wymaganiami – powiedział ambasador. – Jednak byśmy odprawili wasze prośby jako niegodne, gdybyście nie przynieśli ze sobą tego jednego, który tak honorowo odprawił naszych wojowników do cyklu ponownych narodzin. Czy ten jeden to ty?

– Jestem nim – powiedziałem.

Consu na chwilę zamilkł i zdawał się mnie oceniać.

– Dziwne że taki wielki wojownik może wyglądać tak – powiedział w końcu.

– Też mnie to dziwi – odparłem. Z naszych informacji wynikało, że jeśli Consu raz zgodzą się na naszą prośbę, to dotrzymają warunków umowy niezależnie od tego, w jaki sposób będziemy prowadzić negocjacje – bylebyśmy walczyli w odpowiedni sposób. Więc pozwoliłem sobie na ten mały żarcik. Zresztą po zastanowieniu się stwierdziłem, że Consu nawet wolą, gdy tak się zachowujemy, ponieważ to ich utwierdza w poczuciu własnej, rasowej wyższości. W każdym razie nic się nie stało.

– Pięciu kryminalistów zostało wybranych, żeby zmierzyć się z waszymi żołnierzami – powiedział ambasador. – Ponieważ ludziom brak fizycznych atrybutów Consu, zapewniliśmy noże dla waszych żołnierzy, jeśli tak oni wybiorą. Nasi uczestnicy je mają, i przez dostarczenie ich jednemu z waszych żołnierzy wybiorą tych, z którymi będą walczyć.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Wasz żołnierz przeżyje, to może zatrzymać noże jako dowód zwycięstwa – powiedział ambasador.

– Dzięki – powiedziałem.

– Nie będziemy życzyć sobie mieć je z powrotem. One będą nieczyste – powiedział ambasador.

– Zrozumiałem – powiedziałem.

– Odpowiemy na pytania na które zasłużycie po zawodach – powiedział ambasador. – Wybierzemy przeciwników teraz.

Ambasador wydał z siebie wrzask, którym można by ogolić nawierzchnię autostrady. Pięciu Consu za nim wystąpiło do przodu, minęło nas obu i podeszło do naszych żołnierzy, trzymając noże przed sobą.

Consu nie marnowali czasu na dokonywanie wyboru. Szli po prostych liniach i wręczali noże tym, którzy stali dokładnie naprzeciwko. Dla nich my wszyscy byliśmy tacy sami. Noże zostały wręczone kapralowi Mendelowi, z którym jadłem lunch, szeregowym Joe’mu Goodallowi i Jennifer Aquinas, sierżantowi Fredowi Hawkingowi i porucznik Jane Sagan. Wszyscy przyjęli noże bez słowa. Consu wycofali się za ambasadora, podczas gdy reszta naszych żołnierzy odsunęła się o parę metrów do tyłu za tych, którzy zostali wybrani.

– Ty będziesz zaczynał każde zawody – powiedział ambasador i wycofał się za swoich wojowników. Zostałem sam z dwoma szeregami przeciwników stojącymi po obu moich stronach w odległości piętnastu

metrów ode mnie, cierpliwie czekającymi, żeby móc się pozabijać. Odsunąłem się na bok, wciąż pozostając pomiędzy szeregami i wskazałem na żołnierza i wojownika Consu, którzy stali najbliżej mnie.

– Zaczynajcie – powiedziałem.

Consu rozłożył swoje ramiona tnące, ukazując płaskie, ostre jak brzytwa ostrza swojego zmodyfikowanego odwłoku, uwalniając jednocześnie drugą parę przypominających ludzkie ręce kończyn. Wypełnił kopułę zgrzytliwym dźwiękiem swojego wrzasku i ruszył do przodu. Kapral Mendel upuścił jeden z noży, drugi chwycił lewą dłonią i ruszył w stronę Consu. Kiedy znaleźli się w odległości trzech metrów od siebie, wszystko zamieniło się w jedną wielką zamazaną plamę. Po dziesięciu sekundach kapral Mendel miał głębokie do kości cięcie biegnące wzdłuż całej długości prawej strony klatki piersiowej, natomiast Consu miał nóż wbity głęboko w miękkie ciało w miejscu, w którym głowa łączyła mu się z tułowiem. Mendel został zraniony kiedy wtulał się w objęcia Consu, żeby dostać się do jego najsłabszego punktu. Consu drgnął, kiedy Mendel obrócił ostrze, przerywając przewód rdzeniowy stworzenia jednym pociągnięciem, odłączając wtórny kłęb nerwów w głowie od znajdującego się we wnętrzu tułowia mózgu, przy okazji przecinając również kilka głównych naczyń krwionośnych. Consu przewrócił się i znieruchomiał. Mendel wyjął z ciała nóż i wrócił do tylnego szeregu żołnierzy Sił Specjalnych, trzymając prawe ramię przy boku.

Dałem znak Goodallowi i kolejnemu Consu. Goodall wyszczerzył się i tanecznym krokiem opuścił szereg, trzymając oba noże w dole, zwrócone ostrzami do tyłu. Consu wrzasnął i zaatakował, z wyciągniętymi do przodu ramionami tnącymi. Goodall także zaczął szarżować, z tym że w ostatniej chwili wszedł w ślizg, jak napastnik usiłujący wbić piłkę między nogami bramkarza. Kiedy był w dole Consu odciął mu lewe ucho i spory kawałek

skóry twarzy. Goodall chwycił jedną z chitynowych nóg Consu i szarpnął – kończyzna z cichym trzaskiem złamała się jak szczytce homara i odchyliła się prostopadle do toru ruchu Goodalla. Consu przechylił się i upadł.

Goodall obrócił się na tyłku, podrzucił noże do góry i wykonawszy przewrót do tyłu stanął na nogach w odpowiednim momencie, żeby złapać spadające noże. Lewa strona jego głowy była jednym wielkim, szarym strupem, ale Goodall wciąż się uśmiechał, kiedy wystartował w stronę swojego Consu, który desperacko próbował odzyskać równowagę. Był jednak zbyt powolny i Goodall bez problemu przebił się przez jego obronę. Wykonał piruet i wbił jeden z noży w grzbietową część odwłoku, następnie wykonał podobny manewr i równie łatwo wbił drugi z noży w piersiową część odwłoku. Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i znalazł się przodem do Consu, chwycił za uchwyty obu noży i z całą siłą wprawił je w ruch obrotowy. Consu drgnął, kiedy pocięte kawałki jego ciała wypadały przez oba otwory w jego odwłoku a potem upadł po raz ostatni. Goodall nie przestając się uśmiechać wrócił do szeregu tańcząc jiga. Najwyraźniej dobrze się bawił.

Szeregową Aquinas nie tańczyła, i nie wyglądało na to, żeby dobrze się bawiła. Ona i jej Consu ostrożnie krążyli wokół siebie przez dobre dwadzieścia sekund zanim Consu w końcu zaatakował, wystawiając do góry jedno ze swoich tnących ramion, jakby chciał wbić je Aquinas w brzuch. Aquinas odchyliła się do tyłu i straciła równowagę. Consu podskoczył do niej, unieruchomił jej lewe ramię ściskając je między kością promieniową i kością łokciową swojego lewego ramienia tnącego, jednocześnie przystawiając jej do szyi drugie ze swoich tnących ramion. Po czym poruszył tylnymi nogami, ustawiając się we właściwej pozycji do zadania odcinającego głowę cięcia i przesunął swoje prawe ramię tnące odrobinę w lewo, żeby nabrać rozmachu.



Kiedy Consu zaczął wykonywać cięcie, mające odciąć głowę jego przeciwniczki, Aquinas wydała potężne stęknięcie i przechyliła swoje ciało w kierunku ruchu tnącego ramienia przeciwnika, rozrywając pod wpływem siły nacisku tkanki miękkie i ścięła swojej lewej ręki. Consu w końcu również się przechylił, kiedy dodała całą siłę przechyłu swojego ciała do siły rozmachu jego ramienia tnącego. Wciąż pozostając w jego objęciach, Aquinas odwróciła się w jego stronę i zaczęła dźgać w piersiową część jego odwłoku trzymanym w prawej ręce nożem. Consu próbował ją od siebie odepchnąć, więc owinęła wokół niego swoje nogi i dźgała dalej. Consu przed śmiercią także zdążył parę razy dźgnąć Aquinas w plecy, ale w tak bliskim zwarciu jego ramiona tnące nie mogły zadać jej śmiertelnych ran. W końcu Aquinas zwlekła się z martwego ciała przeciwnika. Zanim upadła, udało jej się o własnych siłach przejść połowę dzielącego ją od szeregu dystansu. Paru żołnierzy zaniósł ją na jej poprzednie miejsce.

Zrozumiałem, dlaczego nie mogłem wziąć udziału w walce. Nie tylko dlatego, że żołnierze Sił Specjalnych przewyższali mnie pod względem siły i szybkości reakcji. Oni stosowali strategię, które wynikały z innego rozumienia pojęcia dopuszczalnej straty. Zwykły żołnierz nie poświęciłby kończyny, tak, jak zrobiła to Aquinas; siedemdziesiąt lat przekonania, że strata kończyny jest nieodwracalna i może nawet doprowadzić do śmierci robiło swoje. Żołnierze Sił Specjalnych nie mieli tego problemu – nigdy nie mieli kończyn, które nie mogłyby odrosnąć. Zdawali sobie sprawę z tego, że ich ciała mogą tolerować poważne uszkodzenia – przeciętny żołnierz nie miał tej świadomości. Nie jest tak, żeby żołnierze Sił Specjalnych nie odczuwali strachu. Odczuwają strach tak jak wszyscy, z tym, że dopada ich później.

Dałem znak do rozpoczęcia walki sierżantowi Hawkingowi i jego Consu. Dla odmiany ten Consu nie rozłożył swoich ramion tnących;

najzwyczajniej w świecie wyszedł na środek areny i czekał na swojego przeciwnika. Hawking zbliżał się do niego pochylony do przodu, ostrożnie stawiał krok za krokiem, czekając na właściwy moment do rozpoczęcia ataku. W czasie, kiedy stawiał jeden z tych czujnych, powolnych kroków Consu wystrzelił w jego stronę jak olbrzymi pasikonik, momentalnie nadział go na ostrza obu ramion tnących i podniósł ciało Hawkinga do góry. Obracał go w powietrzu, tnąc i szlachtując od wewnątrz ciało bezbronnego już sierżanta; po chwili odciął mu głowę i przeciął tułów na wysokości bioder. Korpus z rękami i nogi poleciały w różne strony, głowa upadła naprzeciwko Consu. Wojownik przez chwilę trwał w bezruchu, po czym nadział odciętą głowę na ostrze jednego z ramion tnących i rzucił ją w kierunku ludzi. Z okropnym młaśnięciem odbiła się od ziemi i przeleciała im nad głowami, ochlapując ich mózgiem i SprytnąKrwia.

W czasie wszystkich dotychczas odbytych pojedynków Jane niecierpliwie stała w szeregu, podrzucając swoje noże jakby w nerwowym odruchu. Teraz wystąpiła krok do przodu gotowa zacząć walkę, podobnie zrobił jej przeciwnik, ostatni z pięciu Consu. Dałem im sygnał rozpoczęcia walki. Consu wykonał jeszcze jeden agresywny krok do przodu, rozłożył szeroko swoje ramiona tnące i wydał z siebie bitewny krzyk, który brzmiał tak przeraźliwie, jakby za chwilę miał rozsadzić czaszę kopuły i posłać nas wszystkich w przestrzeń kosmiczną. Kiedy tak wrzeszczał, otworzył szeroko swoje wielkie szczękoczułki. Jane zmrużyła oczy i z odległości trzydziestu metrów z całą siłą cisnęła w jego stronę jeden ze swoich noży. Ostrze wbiło się między otwarte owadzie szczęki z taką siłą, że jego końcówka przebiła na wylot głowę krzyczącego wojownika; rękojeść noża zatrzymała się dopiero na skraju pokrywy czaszkowej tłustego robala. Wstrząsający kopułą wrzask zmienił się nagle w odgłos krztuszenia się własną krwią i sporym, metalowym szpikulcem. Consu sięgnął, żeby wyjąć

wbity w paszczę rożen, ale zamarł w pół ruchu, przechylił się do przodu i upadł na ziemię z nieprzyjemnym chrzęstem.

Podszedłem do Jane.

– Nie sadzę, żeby można było używać noży w ten sposób – powiedziałem.

– Nikt przecież nie powiedział, że nie można ich tak używać – odpowiedziała.

Ambasador zbliżył się w do mnie, obchodząc dookoła ciało powalonego Consu.

– Wygraliście prawo czterech pytań – powiedział. – Możesz zadać je teraz.

Cztery pytania to więcej, niż się spodziewaliśmy. Mieliśmy nadzieję zadać trzy, a prawdę mówiąc planowaliśmy zadać dwa pytania. Wydawało nam się, że Consu okażą się trudniejszymi przeciwnikami. Jeden poległy żołnierz i parę brakujących części ciała nie były co prawda oznakami jakiegoś wielkiego zwycięstwa. Jednak bierze się to, co się dostaje. Cztery pytania powinny nam w zupełności wystarczyć.

– Czy Consu zaopatrzyli Rraeyów w technologię pozwalającą wykrywać użycie napędu skokowego? – zapytałem.

– Tak – odparł ambasador, nie dodając nic więcej. To wystarczyło; nie oczekiwaliśmy, że Consu powiedzą nam coś więcej, niż to, do czego byli zobowiązani. Ale udzielona przez ambasadora odpowiedź wyjaśniała też wiele innych kwestii. Ponieważ Rraeyowie otrzymali technologię od Consu, to raczej na pewno nie wiedzieli jak działa na podstawowym poziomie; nie musieliśmy martwić się o to, że zaczną ją rozpowszechniać czy sprzedawać innym rasom.

– Jak dużo urządzeń wykrywających napęd skokowy jest w posiadaniu Rraeyów? – Pierwotnie chcieliśmy zapytać o to, jak dużo tych urządzeń

Consu dostarczyli Rraeyom, ale postanowiliśmy, że lepiej będzie zadawać ogólniej sformułowane pytania.

– Jedno – powiedział ambasador.

– Jak wiele innych ras oprócz rasy ludzkiej wie o możliwości wykrywania napędu skokowego? – To było trzecie z naszych głównych pytań. Zakładaliśmy, że Consu znają inne rasy, o których my nie mieliśmy pojęcia, więc bardziej ogólne pytanie o to, ile ras dysponuje tą technologią nie miałyby sensu; podobnie jak pytanie o to, komu innemu jeszcze przekazali tę technologię, ponieważ jakaś rasa mogła opracować tę technologię na własną rękę. We wszechświecie nie wszystkie nowe technologie otrzymuje się w prezencie od bardziej rozwiniętych gatunków istot inteligentnych. Czasami wymyśla się nowe rzeczy bez pomocy z zewnątrz.

– Ani jedna – odpowiedział ambasador. Kolejny punkt dla nas. Wiadomo było, że mamy dość czasu, żeby poradzić sobie z bieżącymi kłopotami.

– Możesz zadać jeszcze jedno pytanie – powiedziała Jane i wskazała w stronę ambasadora, który stał i czekał, aż zadam ostatnie pytanie. *A niech tam*, pomyślałem sobie.

– Consu mogą bez trudu zlikwidować większość ras w tej części wszechświata – powiedziałem. – Dlaczego tego nie zrobicie?

– Ponieważ was kochamy – odparł ambasador.

– Słucham? – powiedziałem. Technicznie rzecz biorąc, moje ostatnie słowo mogło zostać uznane za piąte pytanie, na które Consu nie musiałyby udzielać odpowiedzi. Mimo to odpowiedział na nie.

– Miłujemy każde życie, które ma potencjał na *Ungkat*... – to ostatnie słowo brzmiało, jakby błotnik szorował o ceglany mur – ... który jest udziałem w wielkim cyklu ponownych narodzin – powiedział ambasador. – Pielęgujemy was, pielęgujemy wszystkie wasze pomniejsze rasy,

uświęcając wasze planety, by wszyscy, co na nich przebywają mogli odrodzić się w cyklu. Czujemy, że naszą służbą jest uczestniczyć w waszym wzroście. Rraeyowie sądzą, że dostarczyliśmy im technologii o którą pytacie ponieważ zaoferowali nam jedną ze swoich planet, ale nie jest tak. Zobaczyliśmy szansę, żeby przemieścić obie wasze rasy dalej na drodze do doskonałości, i radośnie to nam się udało.

Ambasador rozłożył swoje tnące ramiona, i zobaczyliśmy jego drugą parę rąk, z otwartymi jakby w błagalnym geście dłońmi.

– Czas, w którym wasz lud będzie godzien przyłączyć się do nas będzie o tyle dzisiaj bliższy. Dzisiaj jesteście nieczyści i trzeba wam urągać, chociaż jesteście przez nas kochani. Ale cieszcie się z wiedzy, że pewnego dnia wyzwolenie będzie na wyciągnięcie rąk. Ja idę teraz do mojej śmierci, nieczysty przez to, że mówiłem do was językiem waszych ust, ale mam znowu zapewnione miejsce w cyklu, ponieważ przemieściłem wasz lud w stronę jego miejsca w wielkim obrocie. Gardzę wami i was kocham, bo naraz jesteście moim przekleństwem i zbawieniem. Odejdźcie teraz, tak byśmy zniszczyć mogli to miejsce, i świętować wasz postęp. Idźcie.



– To mi się nie podoba – powiedział porucznik Tagore na naszej kolejnej odprawie, kiedy zdaliśmy relację z naszego spotkania z Consu. – To mi się w ogóle nie podoba. Consu dali Rraeyom tę technologię specjalnie po to, żeby mogli sobie z nami pogrywać. Ten cholerny robał przecież sam to powiedział. Tańczymy jak nam zagrają. Być może teraz mówią Rraeyom, że niedługo mogą się nas spodziewać.

– To byłoby zbyt duże – stwierdził kapitan Jung. – Biorąc pod uwagę sprzęt do wykrywania napędu skokowego.

– Wie pan, o co mi chodzi – odparł Tagore. – Consu nie zamierzają w żaden sposób nam pomagać, ponieważ najwyraźniej chcą żebyśmy walczyli z Rraeyami w celu „przemieszczenia” się na kolejny poziom kosmicznego rozwoju, cokolwiek to, kurwa, miałoby znaczyć.

– Consu i tak nie zamierzali nam w żaden sposób pomagać, więc dość już o nich – uciął major Crick. – Być może rzeczywiście działamy zgodnie z ich planami; ale pamiętajcie o tym, że do pewnego momentu ich plany są zgodne z naszymi. I nie sądzę, żeby Consu w ogóle przejmowali się tym, kto wygra – my czy Rraeyowie. Więc skoncentrujmy się na tym, co robimy, zamiast koncentrować się na tym, co robią Consu.

Mój MózGość kliknął; Crick przesłał nam obraz Koralu i macierzystej planety Rraeyów.

– Fakt, że Rraeyowie używają pożyczonej technologii oznacza, że możemy działać. Uderzymy szybko i mocno, zarówno w Koral, jak i w ich rodzinną planetę – powiedział. – Kiedy gawędziliśmy sobie z Consu, KSO przemieszczało okręty na dogodną odległość skokową. Mamy sześćset okrętów – to prawie jedna trzecia całej naszej floty – ustawionych w gotowości skokowej. Kiedy damy znak, KSO zacznie odliczać czas do symultanicznego ataku na Koral i rodzinną planetę Rraeyów. W ten sposób zarówno odzyskamy Koral, jak i przyszpilimy potencjalne rraeyskie siły wsparcia. Uderzenie na ich planetę zatrzyma tam ich flotę i zmusi znajdujące się gdzie indziej okręty do dokonania wyboru między powrotem do domu a wsparciem obrońców Koralu.

– Powodzenie obu ataków jest uzależnione od tego, czy uda nam się spowodować, żeby nie wiedzieli, że nadciągamy. Oznacza to, że musimy przejąć ich stację namierzającą i wyłączyć ją – ale nie możemy jej

zniszczyć. KSO będzie mogło skorzystać z wykorzystywanej w tej stacji technologii. Być może Rraeyowie nie mogli jej rozgryźć, ale nam powinno się to udać. Zniszczymy stację tylko w wypadku, kiedy nie będzie innej możliwości jej wyłączenia. Ale na razie plan jest taki – przejmujemy stację i utrzymujemy ją w swoich rękach do czasu, kiedy nasze siły wsparcia dotrą na powierzchnię planety.

– Jak długo to może potrwać? – zapytał Jung.

– Oba ataki symultaniczne zaczną się w cztery godziny po tym, jak wejdziemy w przestrzeń Koralu – powiedział Crick. – W zależności od tego, jak intensywne będą walki naszych okrętów z flotą wroga, możemy się spodziewać pierwszych oddziałów KSO najwcześniej po paru godzinach.

– Ataki zaczną się w cztery godziny po tym, jak wejdziemy w przestrzeń Koralu? – zapytał Jung. – Nie po tym, jak zdobędziemy stację namierzającą?

– Dokładnie – potwierdził Crick. – Więc lepiej, żebyśmy zdobyli tę cholerną stację.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem. – Ale martwi mnie jeden szczegół tego planu.

– Tak, poruczniku Perry – powiedział Crick.

– Powodzenie całej ofensywy jest uzależnione od tego, czy zdobędziemy stację namierzającą, która wykrywa nasze okręty wchodzące przeskokiem w ich przestrzeń – powiedziałem.

– Racja – potwierdził Crick.

– Więc ta właśnie stacja namierzy nas, kiedy będziemy wychodzić z przeskoku w przestrzeń Koralu – powiedziałem.

– Racja – powtórzył Crick.

– Jeśli sobie panowie przypominają, byłem na okręcie, który został namierzony w chwili wejścia w przestrzeń Koralu – powiedziałem. – Okręt został wypatroszony i poza mną wszystkie znajdujące się na jego pokładzie osoby zginęły. Dlaczego więc to samo nie miałoby się przydarzyć temu okrętowi?

– Już raz przekradliśmy się do przestrzeni Koralu niezauważeni – powiedział Tagore.

– Zdaję sobie z tego sprawę, bo to przecież właśnie „Krogulec” mnie uratował – powiedziałem. – I wierzcie mi, jestem za to wdzięczny. Ale taki trik może się udać tylko raz. Nawet jeśli wskoczymy w przestrzeń Koralu na tyle daleko od planety, żeby uniknąć namierzenia, to dotarcie do Koralu zajmie nam parę dobrych godzin. A wtedy będziemy mieli za mało czasu, żeby zdążyć wykonać nasze zadanie. Jeśli to wszystko ma zadziałać, to „Krogulec” musi wyjść z przeskoku w bezpośrednim sąsiedztwie planety. Chcę więc wiedzieć, w jaki sposób to zrobimy, nie narażając jednocześnie okrętu na zniszczenie.

– Rozwiązanie tego problemu jest naprawdę bardzo proste – powiedział major Crick. – My będziemy narażać nasz okręt. Spodziewamy się, że zostanie natychmiast zestrzelony. Prawdę mówiąc, właśnie na to liczymy.

– Słucham? – spytałem. Rozejrzałem się po siedzących przy stole, spodziewając się, że wszyscy będą równie zdezorientowani jak ja. Zamiast tego zobaczyłem same poważnie zamyślane twarze. To wszystko było naprawdę niepokojące.

– A więc wstawka z wysokiej orbity? – zapytał porucznik Dalton.

– Tak jest – odparł Crick. – Oczywiście zmodyfikowana.

– Robiliście to już przedtem? – spytałem, gapiąc się na nich wszystkich jak dureń.



– Robiliśmy już podobne rzeczy, poruczniku Perry – powiedziała Jane, zwracając moją uwagę na siebie. – Zdarzało nam się dokonywać zrzutu desantu bezpośrednio z pokładu statku kosmicznego; zwykle w sytuacjach takich jak ta, kiedy nie wchodziło w grę użycie wahadłowców. Dysponujemy specjalnymi kostiumami zrzutowymi, które izolują nas od gorąca powstającego w czasie wchodzenia w atmosferę; poza tym wygląda to jak zwykły desant z powietrza.

– Poza tym, że twój okręt zostaje zestrzelony spod twoich stóp – powiedziałem.

– I to jest właśnie mała zagwozdka – przyznała Jane.

– Wszyscy jesteście zupełnie szaleni – stwierdziłem.

– To doskonałe posunięcie taktyczne – oznajmił major Crick. – Kiedy nad planetą zostaje zestrzelony jakiś okręt, to ciała są oczywistym składnikiem deszczu jego szczątków. KSO właśnie przesłała nam bezzałogowy statek skokowy z najświeższym uściśleniem miejsca położenia stacji namierzającej, więc bez trudu możemy wyskoczyć nad powierzchnią planety w dogodnym miejscu do dokonania zrzutu naszych ludzi. Rraeyowie będą myśleć, że udaremniłi nasz atak, zanim tak naprawdę zaatakujemy. Nie będą nawet wiedzieli, że tam jesteśmy, dopóki w nich nie uderzymy. A wtedy będzie już za późno.

– Oczywiście przy założeniu, że ktokolwiek przeżyje ich pierwsze uderzenie – stwierdziłem.

Crick spojrział na Jane i lekko skinął głową.

– KSO zafundowało nam trochę dodatkowego czasu – powiedziała Jane. – Zaczęli montować napęd skokowy na opancerzonych wiązkach pocisków i wrzucać je do przestrzeni Koralu. Kiedy coś trafi w ich pancerze, wystrzelują pociski, które same w sobie są bardzo trudne do zestrzelenia. W ten sposób w ciągu ostatnich dwóch dni pozbyliśmy się kilku rraeyskich

okrętów – teraz odczekują parę sekund przed oddaniem strzału, żeby upewnić się, że uda im się trafić we wszystko, co wystrzeli z przeskoku w ich stronę. Powinno nam to dać od dziesięciu do czterdziestu sekund zapasu, zanim „Krogulec” zostanie trafiony. Dla okrętu, który nie spodziewa się ataku to stanowczo za mało, ale my w tym czasie spokojnie zdążymy opuścić „Krogulca”. Być może załoga mostka zdąży również przeprowadzić odwracający uwagę przeciwnika atak raketowy.

– Załoga mostka będzie w tym czasie na swoich stanowiskach? – zapytałem.

– Tak jak pozostali ubrani w kostiumy zrzutowe będziemy operować okrętem za pomocą naszych MózGościów – powiedział major Crick. – Z tym, że będziemy musieli pozostać na pokładzie okrętu co najmniej do chwili, kiedy zostanie odpalona pierwsza salwa naszych pocisków. Po opuszczeniu okrętu nie chcemy używać MózGościów przynajmniej do czasu, kiedy wejdziemy głęboko do wnętrza atmosfery Koralu; ponieważ mogłoby to zdradzić monitorującym nas Rraeyom, że wciąż żyjemy. To prawda, jest w tym pewien element ryzyka, ale pamiętajmy, że zagrożeni będą wszyscy znajdujący się na pokładzie tego okrętu. Co, nawiasem mówiąc, prowadzi nas do pana, poruczniku Perry.

– Do mnie? – zapytałem.

– To oczywiste, że nie chce pan być na pokładzie tego okrętu, kiedy zostanie zestrzelony – powiedział Crick. – A z drugiej strony, nie przeszedł pan szkolenia przewidującego tego typu akcje. Na dodatek obiecaliśmy, że będzie pan tu w charakterze obserwatora i doradcy. Nie możemy w dobrej woli prosić pana, by wziął pan w tym udział. Po tej odprawie zostanie panu przydzielony wahadłowiec, natychmiast wyślemy też na Feniksa bezzałogowy statek skokowy z koordynatami pańskiego wahadłowca i prośbą o odszukanie go. Feniks trzyma statki ratownicze w ciągłej

gotowości skokowej; powinni pana przejąć najpóźniej po kilkunastu godzinach. Jednak na wszelki wypadek zaopatrzymy pana w zapasy wystarczające na miesięczną podróż. Na dodatek w razie potrzeby będzie pan mógł skorzystać z bezzałogowych statków skokowych, w które wahadłowiec jest wyposażony.

– A więc chcecie się mnie pozbyć – stwierdziłem.

– Proszę tego nie brać do siebie – powiedział Crick. – Generał Keegan na pewno będzie chciał usłyszeć z ust bezpośredniego świadka sprawozdanie z naszych negocjacji z Consu i ogólny opis naszej sytuacji. Jako nasz łącznik z konwencjonalnymi siłami KSO jest pan najlepszą osobą do wykonania tego zadania.

– Sir, chciałbym zostać, za pańskim pozwoleniem – powiedziałem.

– Naprawdę nie ma tu dla pana miejsca, poruczniku – powiedział Crick.

– Znacznie lepiej może się nam pan przysłużyć na Feniksie.

– Sir, z całym należnym szacunkiem, jest u was przynajmniej jedno wolne miejsce – powiedziałem. – W czasie naszych negocjacji z Consu zginął sierżant Hawking, a szeregową Aquinas straciła pół lewej ręki. Do chwili rozpoczęcia misji nie uda wam się tych braków uzupełnić. Co prawda nie jestem członkiem Sił Specjalnych, ale jestem doświadczonym żołnierzem; weteranem, można powiedzieć. To chyba lepsze niż nic.

– Przypominam panu, że nazwał nas pan wszystkich kompletnymi wariatami. – Zwrócił się do mnie kapitan Jung.

– To prawda, wszyscy jesteście zupełnie szaleni – powtórzyłem. – Więc jeśli chcecie wykonać ten swój szalony plan, to będziecie potrzebowali każdej możliwej pomocy. Proszę także nie zapominać, sir – zwróciłem się do Cricka – że straciłem na Koralu wszystkich swoich ludzi. Więc nie czułbym się dobrze nie mogąc uczestniczyć w tej walce.

Crick spojrział na Daltona.

– W jakim stanie jest Aquinas? – spytał.

Dalton wzruszył ramionami.

– Jest poddawana leczeniu w trybie przyspieszonym – powiedział. – To boli jak cholera, kiedy ramię tak szybko odrasta, ale w chwili przeskoku będzie już gotowa. Nie potrzebuję go.

Crick zwrócił się w stronę Jane, która patrzyła na mnie.

– Decyzja należy do ciebie, Sagan – powiedział. – Hawking był twoim podoficerem. Jeśli chcesz, możesz go sobie wziąć.

– Ja go nie chcę – powiedziała Jane, patrząc mi prosto w oczy. – Ale on ma rację. Brakuje mi jednego człowieka.

– Dobrze – orzekł Crick. – Więc przyspiesz go trochę – powiedział i zwrócił się do mnie – Jeśli porucznik Sagan uzna, że nie da pan sobie rady, zostanie pan zapakowany do wahadłowca i odesłany na Feniksa. Jasne?

– Jak najbardziej, majorze – odparłem i znów spojrzałem na Jane.

– No dobra – powiedział Crick. – Witam w Siłach Specjalnych, Perry. Z tego co wiem, jest pan pierwszym naprawdę urodzonym, który wstępuje do naszych szeregów. Tylko proszę nie nawalić. Jeśli pan spieprzy sprawę, to obiecuję, że Rraeyowie będą najmniejszym z pańskich zmartwień.



Jane weszła do mojej kabiny nie pytając o pozwolenie; mogła to teraz zrobić, ponieważ była moim oficerem przełożonym.

– Co ty sobie kurwa wyobrażasz? – rzuciła jeszcze w drzwiach.

– Brakuje wam jednego człowieka – powiedziałem. – Ja jestem tym człowiekiem. Oblicz to sobie sama.

– Sprowadziłam cię na ten okręt, ponieważ wiedziałam, że wsadzą cię na wahadłowiec – powiedziała Jane. – Gdybyś wrócił do piechoty, byłbyś prawdopodobnie na jednym z tych okrętów, które będą dokonywały symultanicznego ataku. Wiesz, co się stanie z tymi okrętami i z wszystkimi ludźmi na ich pokładach, jeśli nie uda nam się zdobyć stacji namierzającej. To był, moim zdaniem, jedyny sposób, w jaki mogłam ci zapewnić bezpieczeństwo, a ty to sobie po prostu ot tak odrzuciłeś.

– Mogłaś powiedzieć Crickowi, że nie chcesz mnie w swoim oddziale – powiedziałem. – Słyszałaś, co mówił. Z radością włądowałby mnie do wahadłowca i zostawił dryfującego w przestrzeni kosmicznej Consu, dopóki ktoś nie pojawiłby się, by uratować mój tyłek. Nie zrobiłaś tego, ponieważ wiesz, jak bardzo szalony jest ten wasz plan. Wiesz, że będziesz potrzebowała wszelkiej możliwej pomocy. Nie wiedziałem przecież, że będę służył pod twoimi rozkazami, Jane. Gdyby Aquinas miała nie być jeszcze gotowa, równie dobrze w czasie tej misji mógłbym służyć w plutonie Daltona. Nie wiedziałem nawet, że Hawking był twoim podoficerem, dopóki Crick nie powiedział czegoś na ten temat. Wiem tylko, że jeśli to wszystko ma zadziałać, przyda wam się każdy dodatkowy człowiek.

– Co cię to obchodzi? – zapytała Jane. – To nie jest twoja misja. Nie jesteś jednym z nas.

– Teraz jestem już jednym z was, prawda? – powiedziałem. – Jestem na tym okręcie. Jestem tutaj dzięki tobie. Zresztą nie miałbym gdzie indziej się podziąć. Nie ma już mojej kompanii, a większość z moich przyjaciół nie żyje. Poza tym, jak powiedział jeden z was, wszyscy jesteśmy ludźmi. Cholera, ja przecież dokładnie tak samo jak ty zostałem wyhodowany w laboratorium. A przynajmniej moje ciało. Równie dobrze mógłbym być jednym z was. Więc teraz jestem.

Jane zezłościła się.

– Nie masz pojęcia jak to jest być jednym z nas – powiedziała. – Powiedziałeś, że chcesz mnie poznać. Jaką część mnie chcesz poznać? Chcesz wiedzieć jak to jest obudzić się pewnego dnia, z całą biblioteką informacji w głowie – od tego, jak zarzynać świnie do tego, jak prowadzić statek kosmiczny – ale nie znać swojego imienia? Ani nawet nie wiedzieć, że się w ogóle ma jakieś imię? Chcesz wiedzieć, jak to jest nigdy nie być dzieckiem i nawet nie widzieć żadnego dziecka, aż do chwili, kiedy wśród zgliszcz jakiejś spalonej kolonii, nie zobaczysz przed sobą martwego? A może chciałbyś posłuchać o tym, jak to jest, że kiedyś któreś z nas musi po raz pierwszy rozmawiać z naprawdę urodzonym, musi się powstrzymywać, żeby go nie uderzyć, bo mówicie tak wolno, powoli się poruszacie i tak kurwa powoli myślicie, że właściwie nie mamy pojęcia, dlaczego w ogóle przyjęli was do wojska?

– A może chciałbyś się dowiedzieć o tym, że każdy z żołnierzy Sił Specjalnych wymyśla sobie swoją przeszłość. Zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy monstrami doktora Frankenstein. Wiemy, że zostaliśmy złożeni w całość z części i fragmentów zmarłych. Patrzymy w lustro i wiemy, że widzimy kogoś innego, że istniejemy tylko z tego powodu, że oni już nie istnieją – i że straciliśmy ich na zawsze. Więc wszyscy wymyślamy sobie osobę, którą oni mogli być. Wyobrażamy sobie ich życie, ich dzieci, ich mężów i żony. I wiemy, że żadna z tych rzeczy nigdy nie będzie nasza.

Jane podeszła bliżej i zbliżyła twarz do mojej twarzy.

– A może chcesz wiedzieć, jak to jest spotkać męża kobiety, którą kiedyś byłaś? Zobaczyć w jego oczach błysk rozpoznania, ale samej w ogóle tego nie odczuć, bez względu na to, jak bardzo byś chciała? Wiedzieć, że on tak desperacko chce nazwać cię imieniem, które nie jest twoje? Wiedzieć, że

kiedy patrzy na ciebie, widzi całe dziesięciolecia wspólnego życia – a ty nie pamiętasz z tego ani jednej chwili. Wiedzieć, że był z tobą, był w tobie, trzymał cię za rękę, kiedy umierałaś, mówiąc ci, jak bardzo cię kocha. Wiedzieć, że nie może sprawić, byś stała się naprawdę urodzoną, ale może zapewnić ci jakąś kontynuację, jakąś historię, pojęcie o tym, kim byłaś, które pomoże ci zrozumieć kim jesteś. Czy możesz sobie w ogóle wyobrazić jak to jest chcieć tego dla siebie? Chcieć zapewnić temu bezpieczeństwo za wszelką cenę?

Jeszcze bliżej. Jej usta prawie dotykające moich, ale bez cienia zachęty do pocałunku.

– Żyłeś ze mną dziesięć razy dłużej, niż ja żyłam z samą sobą – powiedziała Jane. – Jesteś moim stróżem. Nie możesz sobie wyobrazić czym to wszystko jest dla mnie. Ponieważ nie jesteś jednym z nas – odsunęła się ode mnie.

– Nie jesteś nią – powiedziałem, patrząc jak się oddala. – Sama mi to powiedziałaś.

– Chryste – zachnęła się Jane. – Kłamałam. Jestem nią i dobrze o tym wiesz. Jeśli ona by żyła, wstąpiłaby do KSO i z pomocą tego samego cholernego DNA stworzyliby jej nowe ciało, tak samo jak stworzyli moje. Moje geny są wzmocnione jakimiś pochodzącymi od obcych dodatkami, ale ty też już w pełni nie jesteś człowiekiem, ona także by nie była. Ludzka część mnie jest taka sama, jaka byłaby w niej. Brakuje mi tylko pamięci. Brakuje mi tylko całego poprzedniego życia.

Jane znowu zbliżyła się do mnie i dotknęła dłonią mojej twarzy.

– Jestem Jane Sagan, dobrze o tym wiem – powiedziała. – Te ostatnie sześć lat jest moje i wszystkie te lata były prawdziwe. To jest moje życie. Ale jestem też Katherine Perry. Chcę dostać tamto życie z powrotem, a jest

to możliwe tylko poprzez ciebie. Musisz pozostać przy życiu, John. Bez ciebie znowu stracę samą siebie.

Chwyciłem ją za rękę.

– Pomóż mi pozostać przy życiu – powiedziałem. – Powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć, żeby dobrze wykonać to zadanie. Pokaż mi wszystko, czego potrzebuję, żeby pomóc twojemu plutonowi wykonać tę robotę. Pozwól mi pomóc sobie, Jane. Masz rację; nie wiem, jak to jest być tobą, być jednym z was. Ale wiem, że nie chcę dryfować w jakimś cholernym wahadłowcu, podczas gdy do was będą strzelać. Ja też chcę, żebyś została przy życiu. W porządku?

– W porządku – odrzekła. Podniosłem do ust jej rękę i pocałowałem ją.



# SIEDEMNASTY

– To najłatwiejsza część ze wszystkich – przesłała do mnie Jane. – Po prostu się temu poddaj.

Brama przystani została wysadzona awaryjnie, co przypomniało mi moje poprzednie przybycie do przestrzeni Koralu. Zamierzałem w przyszłości przybyć tutaj, nie zostając wyrzuconym przez bramę przystani towarowej. Tym razem przynajmniej przez bramę nie wylatywały niebezpieczne, oderwane od podłoża przedmioty; we wnętrzu „Krogulca” znajdowała się tylko jego załoga i żołnierze, opakowani w szczelne, obszerne kombinezony zrzutowe. Nasze stopy były przytwierdzone do podłogi za pomocą elektromagnesów, ale kiedy tylko brama została otwarta, elektromagnesy miały się wyłączyć i pozwolić polecieć nam w stronę prześwitu bramy, na fali uciekającego powietrza – we wnętrzu przystani wytworzono nadciśnienie, żeby zapewnić odpowiednią siłę ciągu.

I tak się stało. Elektromagnetyczne zaczepy puściły i poczułem, jakby jakiś olbrzym cisnął mną w otwór gigantycznej mysiej dziury. Zgodnie z sugestią Jane po prostu się temu poddałem i nagle wyleciałem w przestrzeń kosmiczną. Właśnie tak miało to wyglądać, ponieważ chcieliśmy stworzyć wrażenie nagłego, nieoczekiwanego wystrzelenia w pustkę przestrzeni kosmicznej – na wypadek, gdyby Rraeyowie nas obserwowali. Wraz z innymi żołnierzami Sił Specjalnych zostałem wyrzucony przez bramę przystani, doznałem mdlącego zawrotu głowy, kiedy przestrzeń za bramą okazała się przestrzenią nad planetą – dwieście kilometrów nad ciemnym ogromem Koralu. Na wschód od miejsca, do którego zmierzaliśmy, łuk planety podświetlony był światłem świtu.

Wciąż bezładnie koziółkowałem w przestrzeni. W czasie jednego z obrotów udało mi się dostrzec, jak „Krogulec” eksploduje w czterech miejscach, kule ognia narastały na przeciwległej części okrętu i obrysowywały jego kontur płomieniami. Nie dochodził do mnie żaden dźwięk, dzięki próżni znajdującej się pomiędzy mną a okrętem nie czułem też gorąca, ale ohydne, pomarańczowe i żółte kule ognia nadrobiły wizualnie brak innych doznań zmysłowych. Kiedy obróciłem się jeszcze raz, zobaczyłem, że „Krogulec” odpala salwę pocisków, wymierzoną w stronę wroga, którego nie mogłem dostrzec. Ktoś wciąż był na pokładzie okrętu, który został trafiony. Obróciłem się jeszcze raz, w samą porę, żeby zobaczyć, jak „Krogulec” przełamuje się na pół po uderzeniu następnej salwy pocisków. Ktokolwiek został na pokładzie okrętu, zginął razem z nim. Mogłem mieć tylko nadzieję, że wystrzelone przez niego pociski trafiły w swój cel.

Samotnie spadałem w stronę Koralu. Gdzieś w pobliżu mogli być inni żołnierze, ale nie można było tego stwierdzić; nasze kombinezony nie odbijały światła i mieliśmy zakaz używania MózGościów, dopóki nie przejdziemy przez górną warstwę atmosfery Koralu. Gdyby ktoś nie zasłonił mi na chwilę widoku gwiazd, nie mógłbym być pewien, że nie spadam samotnie. Opłaca się pozostać niezauważonym, kiedy planuje się zaatakować planetę, szczególnie kiedy ktoś nad tobą wciąż może próbować cię namierzyć. Spadałem jeszcze przez chwilę i obserwowałem, jak planeta powoli zjada gwiazdy swoim równomiernie rozszerzającym się okrągłym skrajem.

Mój MózGość wydał sygnał dźwiękowy; nadszedł czas, by włączyć ekranowanie. Wyraziłem zgodę i z umieszczonego na moich plecach pakunku wypłynął strumień mikrorobotów, które utkały wokół mnie elektromagnetyczną sieć, zamykając mnie w czarnej matowej kuli, która nie

przepuszczała światła. Teraz spadałem w zupełnej ciemności. Dziękowałem bogu, że nie urodziłem się z klaustrofobią; gdyby tak było, w tym momencie oszalałbym ze strachu.

Ekranowanie umożliwiło zrzut z wysokiej orbity. Na dwa sposoby chroniło umieszczone wewnątrz ciało żołnierza od zwęglenia przez gorąco wytworzone w chwili wchodzenia w atmosferę. Po pierwsze, kula ekranowania tworzona była w chwili, kiedy żołnierz wciąż znajdował się w przestrzeni kosmicznej, co ograniczało przepływ gorąca, chyba że żołnierz w jakiś sposób dotknął powierzchni ekranu, który miał bezpośredni kontakt z atmosferą. Żeby tego uniknąć, ten sam elektromagnetyczny stelaż, za pomocą którego mikroroboty stworzyły kulę osłony, utrzymywał żołnierza w samym środku kuli, ograniczając jego ruchy. To nie było zbyt wygodne, ale niewygodne byłoby też całospalenie, gdyby cząsteczki powietrza przeorały z ogromną prędkością twoje ciało.

Mikroroboty przejmowały gorąco, przekształcając jego część w energię do podtrzymywania elektromagnetycznej sieci, chroniącej żołnierza; pozostałą część energii uwalniały. Czasem ulegały spaleni, w takim wypadku ich miejsce w sieci zastępowały kolejne. Zaopatrzone nas w ilość mikrorobotów wystarczającą na pokonanie atmosfery Koralu, na wszelki wypadek dodając niewielki zapas. Ale i tak nie można było się nie denerwować.

Poczułem wibracje. Kula mojej osłony zaczęła przeorywać górną warstwę atmosfery Koralu; Dupek zawiadomił mnie, że zaraz zacznę odczuwać turbulencje. Zaczęło mną trząść w mojej małej kuli, pole izolujące trzymało mnie w miejscu nie tak mocno, jakbym chciał. Kiedy powierzchnia kuli może przesłać gorąco o temperaturze paru tysięcy stopni wprost do wnętrza twojego ciała, każdy ruch w jej stronę, nieważne jak nieznaczny, jest powodem do obaw.

Gdyby ktoś w tej chwili spojrzął w górę z powierzchni Koralu, zobaczyłby setki meteorytów nagle przecinających nocne niebo; wszystkie podejrzenia co do zawartości tych meteorytów, złagodzone byłyby wiedzą, że były to najprawdopodobniej szczątki ludzkiego statku kosmicznego, zestrzelonego właśnie przez okręty Rraeyów. Z odległości wielu kilometrów spadający z nieba żołnierz wygląda tak samo, jak kawałek kadłuba okrętu.

Opór gęstniejącej atmosfery zrobił swoje i spowolnił upadek mojej kuli; w parę sekund po tym, jak przestała jarzyć się od gorąca, nagle rozpadła się i wyskoczyłem z niej jak pisklę wystrzelone procą ze skorupki jajka. Zamiast czarnej ściany zbudowanej z mikrorobotów widziałem teraz przed sobą ciemny przestwór wciąż pogrążonej w mroku planety, rozświetlony gdzieś przez emitujące światło algi, odznaczające mdłe kontury raf koralowych, a później przez bardziej jaskrawe światła rraeyskich obozowisk i dawnych ludzkich siedzib. Zmierzaliśmy w stronę tych jaśniejszych światła.

– *Dyscyplinowanie szyku za pomocą MózGościów* przesłał major Crick; zdziwiłem się, że nie zginął na pokładzie „Krogulca”.

– *Zidentyfikować dowódców plutonów; żołnierze formują szyk wokół dowódców plutonów.*

Mniej więcej w odległości kilometra na wschód ode mnie, kilkaset metrów wyżej, nagle rozświetliła się sylwetka Jane. W rzeczywistości oczywiście nie pomalowała całego ciała fluoroscencyjnymi farbami, co byłoby wręcz prośbą o zestrzelenie do znajdujących się na powierzchni planety żołnierzy. W ten sposób mój MózGość pokazywał mi po prostu jej aktualną pozycję. Naokoło, w bliższej i dalszej odległości, zaczęły jarzyć się w ciemności sylwetki innych żołnierzy; to pozostali członkowie mojego nowego plutonu pokazywali, gdzie się w tym momencie znajdują.

Obróciliśmy się w powietrzu i zaczęliśmy dryfować w swoją stronę. Kiedy się przemieszczaliśmy, na powierzchnię Koralu nałożyła się topograficzna sieć współrzędnych, na której jarzyło się parę świetlnych punktów, zebranych w jednej okolicy; stacja namierzająca i jej bezpośrednie otoczenie.

Jane zaczęła przysyłać swoim żołnierzom niezbędne informacje – całe morze niezbędnych informacji. Kiedy stałem się pełnoprawnym członkiem jej plutonu, żołnierze Sił Specjalnych przestali wyświadczać mi grzeczność, odzywając się do mnie na głos i wrócili do codziennego sposobu komunikowania się za pomocą MózGościów. Widać doszli do wniosku, że skoro mam walczyć u ich boku, to będę to robił na ich warunkach. Przez ostatnie trzy dni nie rozumiałem zbyt wiele z tego, co się wokół mnie działo – potwierdzało to słowa Jane, że naprawdę urodzeni komunikują się ze znacznie mniejszą prędkością. Żołnierze Sił Specjalnych przysyłali między sobą wiadomości w zawrotnym tempie. Całe konwersacje i debaty zajmowały im mniej czasu, niż mi wysłanie jednej wiadomości. Najbardziej dezorientujące było to, że nie ograniczali się jedynie do wiadomości tekstowych czy głosowych. Wykorzystywali także zdolność MózGościów do transmitowania przekazów natury emocjonalnej, przysyłając za ich pomocą wiązki emotywny; używali ich w sposób podobny do tego, w jaki pisarze używają akcentowania lub punktacji. Ktoś mógł opowiedzieć dowcip i wszyscy, którzy go usłyszeli, śmiali się swoimi MózGościami; odczuwało się to jak uderzenie gradu drobnych igiełek rozbawienia, wiercących sobie tunele w twoim mózgu. Mnie przyprawiało to o ból głowy.

Ale był to naprawdę bardziej skuteczny i wydajny sposób „mówienia”. Jane zarysowała naszemu plutonowi cały plan zadania, jego cele i strategię w ciągu jednej dziesiątej czasu, którego na to samo potrzebowałby dowódca

konwencjonalnej jednostki KSO. To naprawdę korzystne, jeśli musisz przeprowadzić odprawę w czasie, kiedy wraz ze swoimi żołnierzami z zawrotną prędkością spadasz w kierunku powierzchni planety. O dziwo, prawie udało mi się za Jane nadążyć. Odkryłem, że cała tajemnica polega na tym, żeby przestać z tym walczyć i próbować organizować informacje w sposób, do którego przywykłem – po prostu trzeba przestać układać informacje w oddzielone od siebie części wypowiedzeń. Musisz pogodzić się z tym, że pijesz ze strażackiego węża i szeroko otworzyć gardło. Prawdopodobnie pomagało również to, że ja sam za bardzo się nie odzywałem.

Stacja namierzająca znajdowała się na górzystym terenie, w pobliżu okupowanej przez Rraeyów jednej z pomniejszych ludzkich osad, u nasady niewielkiej, zamkniętej od strony stacji doliny. Teren, na którym stała, jeszcze niedawno mieścił centrum dowodzenia osady i przylegające do niego budynki; Rraeyowie zajęli to miejsce, żeby móc korzystać z trakcji elektrycznych, komputerowego systemu centrum dowodzenia i innych udogodnień. Rraeyowie stworzyli na terenie centrum dowodzenia (i wokół niego) całą sieć pozycji obronnych, ale bezpośrednio przedstawienie miejsca akcji (dostarczone przez jednego z członków zespołu Cricka, który po prostu umieścił małego satelitę szpiegowskiego na środku swojej klatki piersiowej) pokazywało, że pozycje te były niezbyt dobrze uzbrojone i niezbyt licznie obsadzone. Rraeyowie za bardzo wierzyli w to, że pożyczona technologia i ich statki kosmiczne zneutralizują każde zagrożenie.

Inne plutony miały zająć centrum dowodzenia, zlokalizować i zabezpieczyć urządzenia, które analizowały sygnały namierzające z umieszczonych na orbicie satelitów i przygotowywały je do przesłania na rozmieszczone wokół planety okręty Rraeyów. Nasz pluton miał zająć

wieżę transmisyjną, za pomocą której przesyłano sygnały rraeyskim okrętom. Jeśli oporządzenie komputerowe wieży miało okazać się wytworem zaawansowanej technologicznie rasy Consu, mieliśmy jedynie przerwać transmisję sygnałów i bronić wieży przed nieuchronnym rraeyskim kontratakiem; jeśli będą to zwykłe staromodne rraeyskie urządzenia, mieliśmy po prostu wysadzić je w powietrze.

W obu przypadkach stacja namierzająca przestanie działać i rraeyskie okręty zaczną poruszać się na ślepo, nie mogąc namierzyć tego kiedy i gdzie nasze jednostki wyjdą z przeskoku w przestrzeń Koralu. Wieża stała w dość dużej odległości od głównego centrum dowodzenia, wobec czego w porównaniu z resztą terenu była chroniona przez stosunkowo duże siły – my jednak zamierzaliśmy przerzedzić stado wroga jeszcze przed postawieniem pierwszego kroku na powierzchni planety.

– *Wybrać cele* – przesłała Jane, i nasze MózGoście wyświetliły nałożoną na widniejący w dole krajobraz siatkę, na którą naniesione były cele naszego wstępnego ataku. Rraeyscy żołnierze i używane przez nich urządzenia jarzyły się w podczerwieni; nie czując poważnego zagrożenia, nie przestrzegali cieplnej dyscypliny bojowej. Cele były rozdzielone pomiędzy poszczególne oddziały i drużyny, a na koniec przyporządkowane poszczególnym żołnierzom. W miarę możliwości mieliśmy trafiać w Rraeyów, a nie w ich sprzęt, który mógł nam się później przydać. To nie karabiny zabijają ludzi, robią to obcy, którzy pociągają za spust. Mając już przydzielone indywidualne cele, oddaliliśmy się od siebie na pewną odległość; teraz pozostało tylko czekać, aż znajdziemy się na wysokości jednego kilometra.

Na wysokości tysiąca metrów od powierzchni planety wszystkie niewykorzystane jeszcze mikroroboty rozwinęły się w przypominające spadochrony do parasailingu parasole, którymi można było manewrować.

Czasze spadochronów wyhamowały nasz upadek z gwałtownym, wywracającym wnętrzości wstrząsem.

Po chwili jednak mogliśmy już, kołysząc się i podskakując, zacząć sterować naszym lotem na tyle, by nie powpadać jeden na drugiego. Nasze skrzydła, podobnie jak nasz strój bojowy wyposażone były w kamuflaż optyczny i cieplny. Nie można było nas dostrzec, jeśli się nas nie spodziewano.

– *Zdjść cele* – przesłał major Crick, i ciszę naszego spadania przerwał potężny terkot zmasowanej salwy naszych Wuzetów. Na powierzchni Koralu rraeyscy żołnierze i członkowie cywilnego personelu stacji nagle tracili głowy i kończyny, odrywane naszymi pociskami od reszty ich ciał; ich towarzysze mieli tylko ułamki sekund na zorientowanie się w sytuacji – zanim zdążyli to zrobić, ich także spotykał ten sam los. Moimi celami było trzech Rraeyów stacjonujących w pobliżu wieży transmisyjnej; pierwszych dwóch umarło nie zdążywszy nawet pisnąć; trzeci skierował broń gdzieś w ciemność i przygotował się do oddania strzału. Sądził, że jestem raczej gdzieś na jego wysokości, nie nad nim. Zlikwidowałem go zanim zdążył zmienić zdanie. Po mniej więcej pięciu sekundach wszyscy znajdujący się na otwartej przestrzeni, albo w jakiś sposób widoczni Rraeyowie zostali zabici. W tym momencie byliśmy jeszcze kilkaset metrów nad powierzchnią planety.

Ktoś włączył reflektory, które natychmiast zostały zniszczone. Do wnętrza wszystkich okopów i stanowisk strzelniczych posłaliśmy rakiety, które porozrywały znajdujących się tam Rraeyów. Rraeyscy żołnierze wybiegający z centrum dowodzenia i innych budynków obozu namierzili tory wystrzeliwanych przez nas rakiet i otworzyli ogień; w międzyczasie nasi żołnierze spokojnie zdążyli zmienić pozycje i zdejmowali teraz Rraeyów, którzy sami im się wystawili.



Namierzyłem sobie miejsce do lądowania tuż obok wieży transmisyjnej i poinstruowałem Dupka, żeby doprowadził mnie do niego jak najbardziej zawiłym torem. Kiedy byłem już bardzo blisko, z drzwi stojącego obok wieży baraku wyskoczyli dwaj Rraeyowie i zaczęli strzelać mniej więcej w moim kierunku, nie przerywając biegu w stronę centrum dowodzenia. Jednego z nich postrzeliłem w nogę; upadł skrzecząc. Drugi przestał strzelać i biegł dalej, używając swoich muskularnych nóg przypominających trochę nogi strusia do zwiększenia dystansu. Dałem Dupkowi sygnał uwolnienia spadochronu; który rozpuścił się w powietrzu, kiedy puściły podtrzymujące elektrostatyczne wiązania i mikroroboty rozproszyły się w postaci nieważkiego pyłu. Przeleciałem kilka pozostałych, dzielących mnie od ziemi metrów, zrobiłem przewrót do przodu, wstałem i spojrzałem na szybko oddalającego się przeciwnika. Zamiast kluczenia i nagłych przeskoków, które mogłyby utrudnić mi celowanie, wybrał najszybszą drogę ucieczki po prostej. Powaliłem go jednym strzałem w sam środek tułowia. Za mną wciąż skrzeczał drugi z Rraeyów, nagle irytujące dźwięki urwały się odgłosem wystrzału. Obejrzałem się i zobaczyłem, że za moimi plecami stoi Jane ze swoim Wuzetem wciąż skierowanym w stronę rraeyskich zwłok.

– *Chodź ze mną* – przesłała i wskazała na barak. Kiedy szliśmy w tamtą stronę dwóch kolejnych Rraeyów wybiegło sprintem z drzwi baraku; trzeci osłaniał ich, strzelając ze środka. Jane padła na ziemię i odpowiedziała ogniem, ja pobiegłem za uciekającymi w panice Rraeyami. Ci dwaj biegli klucząc; trafiłem jednego, ale drugi mi uciekł, ześlizgując się na pośladkach z pobliskiego nasypu. W tym czasie Jane, znudzona bezowocną wymianą ognia, wstrzeliła do wnętrza baraku granat; dobiegł stamtąd zgłuszony skrzek, a potem głośny odgłos wybuchu, po którym przez drzwi wypadły na zewnątrz spore kawałki ciała rraeyskiego żołnierza.

Zbliżyliśmy się do baraku i weszliśmy do jego wnętrza, w którym znajdował się skład rraeyskich urządzeń elektronicznych – wszystkie pokryte były rozbryzgami porozrywanego na strzępy ciała. Skanowanie MózGościem potwierdziło, że cały znajdujący się tam sprzęt komunikacyjny został wyprodukowany przez Rraeyów; było to centrum operacyjne wieży transmisyjnej. Oddaliliśmy się z Jane na bezpieczną odległość i zniszczyliśmy barak rakietami i granatami. Wybuch był bardzo efektowny; wieża nie mogła już przesyłać sygnałów, chociaż na jej szczycie wciąż znajdował się właściwy sprzęt transmisyjny, z którym musieliśmy jeszcze zrobić porządek.

Jane odebrała raporty sytuacyjne od swoich dowódców oddziałów; wieża wraz z otaczającym ją terenem była w naszych rękach. Los Rraeyów był przesądzony po naszym pierwszym ostrzale z powietrza. Ponieśliśmy niewielkie straty; nie zginął ani jeden z żołnierzy plutonu. Działania w innych miejscach także przebiegały bez przeszkód. Najcięższa walka wybuchła w centrum dowodzenia, we wnętrzu którego nasi żołnierze, przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego, stopniowo likwidowali znajdujących się tam Rraeyów. Jane wysłała tam do pomocy dwa oddziały, dwa kolejne miały okrążyć teren i zająć pozycje obronne, piąty oddział miał się zająć przeszukiwaniem ciał poległych Rraeyów i pozostawionego przez nich sprzętu.

– *A ty* – powiedziała, zwracając się do mnie i wskazując na wieżę. – *Wejdz do góry i powiedz mi, co tam jest.*

Spojrzałem w górę. Była to typowa radiowa wieża: miała około 150 metrów wysokości, aż do samego szczytu zbudowana była z krzyżujących się metalowych belek. Jak do tej pory było to najbardziej imponujące technicznie osiągnięcie Rraeyów. Nie było jej tutaj przed ich inwazją, więc musieli ją zbudować natychmiast po przybyciu, właściwie w jednej chwili.

To była zwykła wieża radiowa, ale z drugiej strony, postaraj się zbudować zwykłą wieżę radiową w jeden dzień i zobaczymy, co ci z tego wyjdzie. Konstrukcja zaopatrzona była w szpikulce, tworzące drabinę wiodącą aż na sam jej szczyt; Rraeyowie mieli wzrost i fizjologię na tyle zbliżone do ludzkich, że mogłem po niej się wspinać. Ruszyłem w górę.

Na szczycie zastałem wiatr wiejący z niebezpieczną prędkością, a także wiązkę anten i instrumentów wielkości sporego samochodu. Zeskanowałem urządzenia transmisyjne przy pomocy Dupka, który porównał przesłany mu obraz ze swoją biblioteką poświęconą technologii Rraeyów. Tutaj wszystko także było ich dziełem. W takim razie dane przesyłane przez satelity musiały być przetwarzane w centrum dowodzenia. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że naszym udało się je zdobyć, nie niszcząc przy tym cennego sprzętu.

Przekazałem te informacje Jane. Ona poinformowała mnie o tym, że im szybciej zejść na dół, tym łatwiej uniknę zmiżdżenia przez szczątki konstrukcji. Nie potrzebowałem lepszej zachęty. Kiedy stanąłem na ziemi odpalono rakiety, które przeleciały mi nad głową i uderzyły w znajdujące się na szczycie wieży urządzenia. Siła wybuchu zerwała liny stabilizujące konstrukcję, które pękły z metalicznym brzękiem, obiecującym ścięcie każdemu, kto znalazłby się w ich zasięgu. Wieża zachwiała się. Jane rozkazała uderzyć w jej podstawę; rakiety rozpruły metalowe dźwigary. Wieża przechyliła się i przewróciła, wydając w czasie upadku potężny, zgrzytliwy jęk.

Z centrum dowodzenia nie dobiegały już odgłosy walki, co było pocieszające – wszyscy Rraeyowie którzy tam się schronili, zostali zlikwidowani. Kazałem Dupkowi pokazać odczyt mojego wewnętrznego czasomierza. Minęło niecałe dziewiętnaście minut od chwili, kiedy wypadliśmy z wnętrza przystani „Krogulca”.

– Nie mieli zielonego pojęcia, że się do nich zbliżamy – powiedziałem do Jane i zadziwiło mnie brzmienie mojego własnego głosu.

Jane spojrzała na mnie, skinęła głową, a potem popatrzyła na wieżę.

– Nie mieli. To dobra wiadomość. Złe wiadomości są takie, że teraz wiedzą już, że tu jesteśmy. Mamy za sobą łatwiejszą część zadania. Przed nami jego trudniejsza część – powiedziała.

Odwróciła się i zaczęła wydawać rozkazy żołnierzom swojego plutonu. Spodziewaliśmy się kontrataku. Zmasowanego kontrataku.



– Chciałbyś znowu być człowiekiem? – zapytała mnie Jane ostatniego wieczoru przed naszym atakiem na Koral. Byliśmy właśnie w mesie i przeglądaliśmy dania na kolację.

– Znowu? – zapytałem z uśmiechem.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedziała. – Znowu mieć prawdziwe ludzkie ciało. Bez żadnych sztucznych dodatków.

– Pewnie – powiedziałem. – Mam do odsłużenia jeszcze tylko osiem lat z hakiem. Zakładając, że pozostanę przy życiu, przejdę na emeryturę i zostanę kolonistą.

– To znaczy, że znowu będziesz słaby i powolny. – Z właściwym żołnierzom Sił Specjalnych taktem stwierdziła Jane.

– To nie jest takie złe – powiedziałem. – Zresztą inne rzeczy ci to kompensują. Na przykład dzieci. Albo możliwość spotykania się z innymi, bez konieczności natychmiastowego uśmiercenia ich, ponieważ są obcymi zagrażającymi koloniom.

– A potem zestarzejesz się i umrzesz – powiedziała Jane.

– Pewnie tak właśnie będzie – przyznałem. – Ludzie zwykle tak robią. To normalne. To... – wyciągnąłem przed siebie zieloną rękę – ... nie jest normalne. I jeśli mam umrzeć w darowanym mi przez KSO następnym życiu, to wolę umrzeć jako kolonista. Naprawdę chciałbym odejść z tego świata jako niezmodyfikowany genetycznie kolonista.

– Ale póki co, jeszcze nie umarłeś – stwierdziła Jane.

– Bo niektórzy ludzie troszczą się o moje bezpieczeństwo – odparłem. – A co z tobą? Chciałabyś przejść na emeryturę i zostać kolonistką?

– Żołnierze Sił Specjalnych nie przechodzą na emeryturę – powiedziała Jane.

– Nie wolno wam? – zapytałem.

– Wolno – odpowiedziała Jane. – Mamy do odsłużenia obowiązkowe dziesięć lat, tak samo jak wy, chociaż w naszym wypadku służba nie może trwać krócej. Rzecz w tym, że my po prostu nie przechodzimy na emeryturę.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Nie mamy żadnego doświadczenia w byciu kimś innym – odpowiedziała Jane. – Rodzimy się i walczymy, tym właśnie jesteśmy. I jesteśmy w tym dobrzy.

– Nie chcecie nigdy przestać walczyć? – zapytałem.

– Dlaczego mielibyśmy przestać? – Jane odpowiedziała pytaniem.

– Po pierwsze dlatego, że to dramatycznie zmniejszyłoby szansę na waszą gwałtowną śmierć – powiedziałem. – Po drugie, dałoby to wam możliwość życia, o którym, jak powiedziałaś, marzycie. No wiesz, kiedy mówiłaś o wymyślaniu sobie przeszłości. My, zwykli żołnierze KSO przeżywamy to życie przed służbą, wy moglibyście przeżywać je po niej.

– Nie wiedziałabym, co ze sobą zrobić – powiedziała Jane.

– Witaj wśród ludzi – powiedziałem. – Mówisz więc, że wy z Sił Specjalnych nie odchodzicie ze służby? Nigdy?

– Znałam jednego czy dwóch, którzy to zrobili – stwierdziła Jane. – To się zdarza naprawdę rzadko.

– I co się z nimi stało? – zapytałem. – Co zrobili po odejściu?

– Nie wiem dokładnie – wymijająco odpowiedziała Jane i zmieniła temat  
– Jutro masz się trzymać blisko mnie.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Wciąż jesteś zbyt wolny – powiedziała. – Nie chcę, żebyś przeszkadzał moim ludziom.

– Dzięki – powiedziałem.

– Przepraszam – powiedziała. – Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że to nie było zbyt taktowne. Ale sam przecież miałeś żołnierzy pod swoimi rozkazami. Wiesz, o co mi chodzi. Ja biorę pod uwagę ryzyko, które wynika z twojej obecności wśród nas. Moi żołnierze mogą tego nie robić.

– Wiem – powiedziałem. – Nie czuję się urażony. Nie martw się, poradzę sobie. Wiesz przecież, że planuję przejść na emeryturę. Żeby to zrobić, muszę jeszcze trochę pożyć.

– Dobrze, że masz motywację – powiedziała Jane.

– To prawda – przyznałem. – Ty też powinnaś pomyśleć o emeryturze. Sama przecież powiedziałaś, że dobrze jest mieć motywację, żeby pozostać przy życiu.

– Ja nie chcę umrzeć – powiedziała Jane. – To jest wystarczająca motywacja.

– No cóż – westchnąłem. – Jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, to prześlę ci pocztówkę z miejsca, w którym będę spędzał czas na emeryturze

i będziesz mogła do mnie dołączyć. Możemy zamieszkać na farmie. Hodować kurczaki i zbierać kukurydzę.

– Chyba nie mówisz poważnie! – prychnęła Jane.

– Mówię poważnie – powiedziałem, i zdałem sobie sprawę z tego, że to prawda.

Jane milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

– Nie chciałabym prowadzić gospodarstwa.

– Skąd wiesz? – zapytałem. – Robiłaś to kiedyś?

– Czy Kathy lubiła uprawiać ziemię? – pytaniem odpowiedziała Jane.

– Ani trochę – powiedziałem. – Ledwo wystarczało jej cierpliwości, żeby nie zapuścić zupełnie naszego ogrodu.

– Sam widzisz – powiedziała. – Precedens działa na moją niekorzyść.

– W każdym razie zastanów się nad tym – powiedziałem.

– Zobaczymy, może się nad tym zastanowię – powiedziała Jane.



– *Gdzie do cholery położyłam amunicję* – przesłała Jane, i wtedy uderzyły rakiety. Rzuciłem się na ziemię i obsypał mnie grad odłamków skały, za którą ukryła się Jane. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem tylko jej drgającą dłoń. Zacząłem pełznąć w jej stronę, ale natychmiast zasypał mnie deszcz pocisków. Wycofałem się i ukryłem za swoją skałą.

Spojrzałem w dół na Rraeyów, którzy przed chwilą nas zaatakowali; dwóch spośród nich powoli wspinało się na wzgórze kierując się w naszą stronę, trzeci szykował się do odpalenia kolejnej rakiety. Nie miałem wątpliwości, gdzie zostanie wycelowana. Wystrzeliłem granat w stronę dwóch zbliżających się Rraeyów i usłyszałem, że rozbiegają się w

poszukiwaniu schronienia. Kiedy granat wybuchł zignorowałem tych dwóch i strzeliłem do tego z rakieta. Upadł z głuchym łomotem i ostatnim wysiłkiem woli odpalił raketę, która oślepiła jego towarzysza – strzeliłem mu w głowę, kiedy biegł wrzeszcząc i zasłaniając oczy. Raketa wystrzeliła do góry ostrym łukiem. Nawet nie czekałem, żeby zobaczyć, gdzie uderzy.

Tamci dwaj Rraeyowie, którzy wcześniej zaczęli zbliżać się do mnie, znów podjęli swoją wspinaczkę; żeby ich czymś zająć wystrzeliłem w ich kierunku kolejny granat i ruszyłem w stronę Jane. Granat wylądował pod stopami jednego z Rraeyów i oderwał mu je od reszty ciała; drugi Rraey przypadł do ziemi. Wystrzeliłem w jego stronę jeszcze jeden granat. Tym razem nie udało mu się w porę znaleźć schronienia.

Uklęknąłem nad Jane. Wciąż wstrząsały nią drgawki. Zobaczyłem, że kamienny odłamek wbił jej się w bok głowy. SprytnaKrew szybko krzepła, jednak po bokach strupa wciąż wyciekały drobne strumyki. Powiedziałem coś do niej, ale nie odpowiedziała. Wszedłem do jej MózGościa, który nadawał tylko chaotyczne emocyjne błyski szoku i bólu. Wywracała oczami nic nie widząc. Widać było, że zaraz umrze. Chwyciłem ją za rękę i usiłowałem powstrzymać mdlącą falę zawrotów głowy i deja vu.

Kontratak zaczął się o świcie, wkrótce po tym, jak zajęliśmy stację namierzającą. Był nie tylko zmasowany – był również straszliwie zażarty. Rraeyowie, zdali sobie sprawę z tego, że odebraliśmy im możliwość ochrony i uderzyli z dzikim pragnieniem odzyskania stacji. Zaatakowali chaotycznie, najwyraźniej nie mając czasu na przygotowanie szczegółowego planu, ale walczyli nieustępliwie i skutecznie. Co chwilę nadlatywały kolejne transportowce, z których wysiadały kolejne oddziały Rraeyów.

Żołnierze Sił Specjalnych przywitali pierwsze rraeyskie transportowce w charakterystyczny dla siebie sposób – mieszanią przemyślanej taktyki i



szaleństwa. Paroosobowe oddziały dobiegały do okrętów w chwili lądowania i wstrzeliwały rakiety i granaty w otwory otwierających się pokryw włazów. W końcu Rraeyowie użyli wsparcia powietrznego i ich żołnierze zaczęli bezpiecznie lądować na powierzchni planety. Podczas gdy główna część naszych sił zajęła się obroną centrum dowodzenia i ukrytej w jego wnętrzu bezcennej aparatury Consu, nasz pluton miał, operując na obrzeżach terenu walk, nękać Rraeyów atakami, które miały utrudnić im posuwanie się naprzód. Dlatego właśnie ukryliśmy się z Jane za tamtymi skałami, w odległości kilkuset metrów od centrum dowodzenia.

Dokładnie na wysokości naszego stanowiska kolejny oddział Rraeyów zaczął wspinać się w naszą stronę. Nadszedł czas, żeby opuścić to miejsce. Wystrzeliłem w stronę Rraeyów dwie rakiety, potem pochyliłem się i umieściłem Jane w moim nosidle strażaka. Zajęczała, kiedy ją podnosiłem, ale teraz nie mogłem się tym przejmować. Odnalazłem wzrokiem głaz, za którym kryliśmy się idąc w tę stronę i zacząłem ile sił w nogach biec w jego kierunku. Za mną Rraeyowie wycelowali swoją broń. Pociski trafiły obok; kawałek odłupanej skały rozciął mi twarz. Dobiegłem do głazu, posadziłem Jane na ziemi i wystrzeliłem granat w stronę ścigających mnie żołnierzy. Po jego wybuchu wybiegłem zza głazu i rzuciłem się w ich stronę, pokonując większą część dzielącej nas odległości dwoma ogromnymi susami. Rraeyowie zaczęli coś do siebie skrzeczeć; najwyraźniej nie wiedzieli, co zrobić z wybiegającym im naprzeciw człowiekiem. Przełączyłem mój Wuzet na tryb automatyczny i rozwaliłem ich jedną serią z bliskiej odległości, zanim zdążyli się naradzić. Wróciłem szybko do Jane i wszedłem do jej MózGościa. Wciąż tam była. Wciąż żyła.

Następny odcinek drogi był trudniejszy do przejścia; między mną a niewielkim budynkiem warsztatu, do którego chciałem dotrzeć, rozciągało się sto metrów otwartej przestrzeni. Tuż obok znajdowały się tereny zajęte

już przez Rraeyów, na dodatek w kierunku warsztatu powoli nadlatywał polujący na ludzi ich statek powietrzny. Wszedłem do MózGościa w poszukiwaniu innych ludzi z plutonu Jane i zlokalizowałem trzech spośród nich w pobliżu mnie; dwóch znajdowało się w odległości zaledwie trzydziestu metrów, trzeci z drugiej strony pola. Rozkazałem im położyć osłonę ogniową, chwyciłem Jane i biegiem ruszyłem w stronę baraku.

Powietrze wypełniło się hukami karabinowych wystrzałów. Kawałki murawy podskakiwały za mną, kiedy kule wbijały się w ziemię w miejscach, w których przed chwilą znajdowały się moje stopy. Rykoszet trafił mnie w lewy staw biodrowy; pod wpływem uderzenia dolna część mojego ciała obróciła się w prawo i poczułem w lewym boku potężny wybuch bólu. Pomyślałem, że zostanie mi po tym niezły siniak. Udało mi się nie zgubić rytmu kroków i biegłem dalej. Za sobą usłyszałem głuchoe wybuchy rakiet trafiających w pozycje Rraeyów. Kawaleria przybyła na odsiecz.

Statek powietrzny Rraeyów obrócił się, żeby móc do mnie strzelić, po chwili musiał jednak gwałtownie skręcić, żeby uniknąć trafienia rakietą wystrzeloną przez jednego z naszych żołnierzy. Udało mu się tego dokonać, ale nie miał na tyle szczęścia, żeby uniknąć kolejnych dwóch rakiet wystrzelonych w jego stronę z innego miejsca. Pierwsza trafiła w jego silnik; druga w przednią szybę kokpitu. Przechylił się na bok, ale na tyle nieznacznie, że doczekał się pożegnalnego pocałunku trzeciej rakiety, której udało się przebić szybę kokpitu i eksplodować w jego wnętrzu. W końcu zwałił się na ziemię z przerażającym łoskotem, a ja dobiegłem do baraku warsztatu. W międzyczasie Rraeyowie, którzy przedtem celowali do mnie zwrócili swoją uwagę na ludzi Jane, którzy wyrządzali im więcej szkód niż ja. Otworzyłem kopnięciem drzwi baraku i wślizgnąłem się razem z Jane do wnętrza kanału naprawczego.

Zachowując względny spokój jeszcze raz przyjrzałem się jej obrażeniom. Rana na jej głowie była już w całości pokryta zakrzepłą SprytnąKrwia; nie można było powiedzieć nic o jej obrażeniach wewnętrznych ani o tym, na ile głęboko do wnętrza jej mózgu wbiły się odłamki skały. Puls miała mocny, ale oddychała płytko i nierówno. To właśnie w takich sytuacjach przydaje się zwiększona zdolność przenoszenia tlenu przez SprytnąKrew. Nie byłem już pewien, że musi umrzeć, ale nie wiedziałem co mógłbym zrobić, żeby zachować ją przy życiu nie korzystając z niczyjej pomocy.

Wszedłem do MózGościa w poszukiwaniu możliwych opcji, i dostałem jedną odpowiedź: w centrum dowodzenia znajdowało się niewielkie ambulatorium medyczne. Było skromnie wyposażone, ale znajdowała się tam przenośna komora hipostatyczna. To pozwoli utrzymać Jane w stabilnym stanie do czasu, kiedy będzie można ją odesłać na któryś z okrętów. Przypomniałem sobie, jak w czasie mojej pierwszej wyprawy na Koral Jane, razem z innymi ludźmi z „Krogulca”, umieściła mnie w komorze hipostatycznej. Teraz mogłem się za to odwdziaczyć.

Seria pocisków wpadła do wnętrza warsztatu przez znajdujące się nade mną okno; ktoś wciąż pamiętał, że tu jestem. Trzeba było ruszyć dalej. Zaplanowałem trasę kolejnego odcinka biegu; tym razem zmierzałem do wybudowanego przez Rraeyów okopu, obecnie zajętego przez naszych ludzi. Zawiadomiłem ich o tym, że do nich zmierzam; byli na tyle uprzejmi, że położyli ogień osłonowy, kiedy kulejąc biegłem w ich stronę. Po chwili byłem z powrotem na obszarze kontrolowanym przez Siły Specjalne. Pozostała część drogi do centrum dowodzenia przebiegła bez większych problemów.

Dotarłem tam w chwili, kiedy Rraeyowie zaczęli ostrzeliwać centrum dowodzenia bronią ciężkiego kalibru. Nie byli już zainteresowani odbiciem

swojej stacji namierzającej; teraz chcieli ją po prostu zniszczyć. Spojrzałem w niebo. Nawet w jaskrawym świetle poranka widać było na tle błękitu iskierki jasnego ognia. Przybyła flota Kolonialnych.

Zniszczenie centrum dowodzenia, wraz ze znajdującym się w jego wnętrzu urządzeniem Consu, nie powinno zająć Rraeyom zbyt dużo czasu. Musiałem się pospieszyć. Zanurkowałem do wnętrza budynku i pobiegłem do ambulatorium. Wszyscy, których mijalem, biegli w przeciwną stronę.



W ambulatorium medycznym centrum dowodzenia znajdowało się coś dużego i skomplikowanego. To był system namierzający Consu. Bóg jeden wie, dlaczego Rraeyowie zdecydowali się umieścić go w tym miejscu. Jednak tak zrobili. Dlatego właśnie ambulatorium było jedynym pomieszczeniem w całym centrum dowodzenia, w którym w czasie szturmie nie oddano ani jednego strzału; Siły Specjalne miały rozkaz przejąć system namierzający nie uszkadzając go. Nasi chłopcy i dziewczęta zaatakowali znajdujących się tam Rraeyów za pomocą noży i granatów błyskowych. Ciała Rraeyów wciąż tam były; leżały na podłodze, całe w ranach ciętych.

System namierzający wydawał równomierny i uspokajający dźwięk, przypominający buczenie. Płaski i nijaki z wyglądu, stał pod jedną ze ścian ambulatorium. Można było rozpoznać, że jest to urządzenie, które może przetwarzać dane jedynie po małym monitorze i napędzie dostępu do rraeyskiego modułu pamięci, który leżał na blacie stojącego obok szpitalnego stolika nocnego. System namierzający nie miał pojęcia o tym, że za parę minut zostanie z niego kupa złomu. Całe nasza praca, mająca na celu zabezpieczenie tego cholerstwa, miała pójść na marne.

Centrum dowodzenia zadrżało. Przestałem myśleć o systemie namierzającym i ostrożnie położyłem Jane na szpitalnym łóżku, rozglądając się za komorą hipostatyczną. W końcu znalazłem ją w przylegającym do ambulatorium magazynie; wyglądała jak inwalidzki wózek zamknięty w plastikowej, cylindrycznej czaszy. Na jednej z półek znalazłem dwa przenośne akumulatory; podłączyłem pierwszy z nich do komory i spojrzałem na odczyt panelu diagnostycznego. Wystarczy na dwie godziny. Chwyciłem drugi akumulator. Lepiej się zabezpieczyć niż potem żałować.

Podprowadziłem komorę hipostatyczną do Jane, kiedy uderzyła następną salwą. Centrum dowodzenia zadrżało jeszcze mocniej niż poprzednio, a zaraz potem wysiadło zasilanie. Impet wybuchu cisnął mną na bok, poślizgnąłem się na ciele jednego z Rraeyów i uderzyłem głową w ścianę. Światło rozbłysło mi przed oczami i poczułem przejmujący ból. Przeklinając odsunąłem się od ściany i poczułem, że z rany na czole wypływa mi niewielka strużka Sprytnej Krwi.

Przez kilka sekund światła zapalały się i gasły, po którymś z tych rozbłysków Jane przesłała mi tak intensywną wiązkę informacji emotywniej, że musiałem się oprzeć o ścianę. Jane była przytomna; w ciągu tych paru sekund zobaczyłem to, co jej się przywidziało. W pokoju oprócz niej był jeszcze ktoś inny – kobieta wyglądająca dokładnie tak samo jak ona chwyciła obiema dłońmi twarz Jane i uśmiechnęła się do niej. Błysk, błysk, i wyglądała tak, jak wyglądała wtedy, kiedy widziałem ją po raz ostami. Światła rozbłysły jeszcze jeden raz, a potem zapaliły się na dobre i halucynacja się skończyła.

Jane wciąż drżała. Zbliżyłem się do niej; szeroko otwartymi oczami patrzyła prosto na mnie. Wszedłem do jej MózGościa; wciąż była przytomna, choć bliska omdlenia.

– Hej – powiedziałem łagodnie i chwyciłem ją za rękę. – Zostałaś trafiona, Jane. Teraz już nic ci nie grozi, ale muszę cię umieścić w tej komorze hipostatycznej do czasu, aż zajmą się tobą lekarze. Raz uratowałaś mi życie, pamiętasz? Tak samo będzie tym razem. Tylko się trzymaj, dobrze?

Jane ścisnęła moją dłoń, słabiutko, jakby chcąc zwrócić na coś moją uwagę.

– Widziałam ją – wyszeptała. – Widziałam Kathy. Ona mówiła do mnie.

– Co powiedziała? – zapytałem.

– Powiedziała – wyszeptała Jane i odpłynęła na chwilę; potem znów udało jej się skupić. – Powiedziała, że powinnam zamieszkać z tobą na farmie.

– Co jej odpowiedziałaś? – spytałem.

– Powiedziałam okay – powiedziała Jane.

– Okay – powiedziałem.

– Okay – powtórzyła Jane i znowu straciła przytomność. Dane jej MózGościa wykazywały nierówną i chaotyczną pracę mózgu. Podniosłem ją tak delikatnie, jak to tylko było możliwe i umieściłem we wnętrzu komory hipostatycznej. Pocałowałem ją i uruchomiłem urządzenie. Komora zamknęła się szczelnie i zaczęła wydawać z siebie niskie brzęczenie; neurologiczne i fizjologiczne funkcje ciała Jane momentalnie zwolniły. Można było z nią jechać dalej. Spojrzałem pod koła wózka, żeby ominąć ciało martwego Rraeya, na którym poślizgnąłem się kilka minut wcześniej i zauważyłem, że z sakiewki na brzuchu wystaje mu moduł pamięci.

Centrum dowodzenia znowu zatrzęsło się, trafione pociskami. Trochę wbrew sobie sięgnąłem w dół, chwyciłem moduł pamięci, podszedłem do napędu dostępu i umieściłem moduł w jego wnętrzu. Monitor ożył i pokazała się na nim lista dokumentów zapisanych pismem Rraeyów.

Otworzyłem jeden z dokumentów i okazało się, że zawiera jakiś schemat. Otworzyłem następny, tam też były jakieś schematy. Wróciłem do głównej listy dokumentów i spojrzałem na graficzny interfejs, żeby sprawdzić, czy nie ma tam dostępu na górny poziom kategorii. Znalazłem dostęp, wszedłem w niego i kazałem Dupkowi przetłumaczyć to, co tam znalazłem.

To, co tam znalazłem był instrukcją obsługi użytkownika systemu namierzającego Consu. Były tam schematy, instrukcje operacyjne, ustawienia techniczne, sposoby rozwiązywania pojawiających się usterek itp. Było tam wszystko, co trzeba. Miałem w rękach najcenniejszą rzecz, jaką można było stąd wynieść (oprócz samego systemu).

Następna salwa pocisków artyleryjskich jeszcze mocniej uszkodziła centrum dowodzenia. Siła wybuchu cisnęła mną na podłogę, przez ambulatorium z rozdzierającym świstem przeleciały szrapnele. Jeden z nich wybił dziurę w ekranie, na który przed chwilą patrzyłem; drugi przebił na wylot sam system namierzający. Urządzenie przestało spokojnie buczeć i zaczęło wydawać dźwięki przypominające odgłosy, jakie wydaje krztuszący się czymś człowiek. Wyjąłem moduł pamięci z napędu, chwyciłem za uchwyty wózka komory hipostatycznej i zacząłem biec. Kiedy ostatnia salwa przeorała centrum dowodzenia, doszczętnie burząc budynek, znajdowaliśmy się wciąż na tyle blisko wybuchu, żeby poczuć jego gorący podmuch.

Przed nami Rraeyowie wycofywali się w popłochu; stacja namierzająca była teraz ich najmniejszym zmartwieniem. Na niebie widać było dziesiątki ciemnych punktów – to lądowały wahadłowce, pełne żołnierzy KSO mających wielką ochotę odebrać Koral Rraeyom. Mogli go sobie wziąć. Ja chciałem jak najszybciej z tego miejsca odlecieć.

W pobliżu major Crick konferował nad czymś ze swoimi ludźmi; przywołał mnie ruchem ręki. Podjechałem do niego z Jane. Spojrzał na nią,

a potem na mnie.

– Podobno przebiegł pan sprintem ponad pięćset metrów z Sagan na plecach, a potem wbiegł do centrum dowodzenia, kiedy Rraeyowie zaczęli ostrzał artyleryjski – powiedział. – A o ile sobie przypominam to nas nazwał pan szalonymi.

– Nie jestem szalony, sir – powiedziałem. – Mam doskonale skalibrowane poczucie dopuszczalnego ryzyka.

– Co z nią? – spytał Crick, wskazując na Jane.

– Jej stan jest stabilny – powiedziałem. – Ale ma całkiem poważną ranę głowy. Musimy jak najszybciej dostarczyć ją do szpitala okrętowego.

Crick skinął głową w stronę lądującego wahadłowca.

– To pierwszy transport – powiedział. – Polecicie nim oboje.

– Dziękuję, sir – powiedziałem.

– Dziękuję, Perry – powiedział Crick. – Sagan jest jednym z moich najlepszych oficerów. Jestem panu naprawdę wdzięczny za uratowanie jej. Gdyby tylko udało wam się również uratować ten system namierzający, to moja wdzięczność nie miałaby granic. Cała nasza praca mająca na celu obronę tej cholernej stacji namierzającej poszła na marne.

– Jeśli chodzi o to, sir – powiedziałem i podniosłem do góry moduł pamięci. – To mam chyba coś, co mogłoby pana zainteresować.

Crick przez chwilę wpatrywał się w moduł pamięci, a potem spojrzał na mnie gniewnie i powiedział:

– Nikt nie lubi tych, którzy osiągają wyniki lepsze od oczekiwanych, kapitanie.

– Rzeczywiście, zwykle nie są zbyt lubiani – powiedziałem. – Aczkolwiek mam stopień porucznika.

– Zobaczymy, co da się z tym zrobić – powiedział Crick.

Jane odleciała pierwszym wahadłowcem. Ja zostałem tam jeszcze trochę.





# OSIEMNASTY

Zostałem mianowany kapitanem. Nigdy więcej nie zobaczyłem Jane. Bardziej dramatyczną z tych dwóch rzeczy było to pierwsze. Niesienie Jane na własnych plecach przez kilkaset metrów otwartego pola bitwy, a potem umieszczenie jej (pod artyleryjskim ostrzałem) w komorze hipostatycznej wystarczyłoby na całkiem przyzwoitą wzmiankę w oficjalnym raporcie z przebiegu bitwy. Uratowanie schematów technicznych systemu namierzania Consu, jak zauważył major Crick, zakrawało już na lekką przesadę. Ale nic nie mogłem na to poradzić. Dostałem parę medali za Drugą Bitwę o Koral, i awans na dodatek. Jeśli nawet ktokolwiek zwrócił uwagę na to, że w ciągu miesiąca awansowałem z kaprała na kapitana, to nie dzielono się tym spostrzeżeniem z innymi. Zresztą podobnie jak ja. W każdym razie przez kilka kolejnych miesięcy wszyscy stawiali mi drinki. Oczywiście, kiedy jesteś w KSO, masz wszystkie drinki za darmo. Ale to drobiazg, tak naprawdę najważniejsze są intencje.

Instrukcja obsługi systemu Consu została natychmiast przesłana do Działu Badań Wojskowych. Harry powiedział mi później, że czytanie tego przypominało przeglądanie pełnego gryzmołów notatnika Boga. Rraeyowie wiedzieli jak używać systemu namierzającego, ale nie mieli pojęcia o tym, na jakiej zasadzie on działa – można podejrzewać, że nawet gdyby dysponowali pełną dokumentacją, to i tak nie udałooby im się tego złożyć w całość. Ich przemysł nie miał zdolności wytwórczych, które pozwalałyby im to zrobić. Byliśmy tego pewni, ponieważ nasz przemysł nie miał zdolności wytwórczych, które pozwalałyby nam to zrobić. Sama stojąca za maszyną teoria stwarzała zupełnie nowe poddziały fizyki, i kazała

koloniom ponownie rozważyć swoje stanowisko w kwestii napędu skokowego.

Harry został członkiem zespołu, który miał za zadanie wycisnąć z tej teorii możliwości jej praktycznego zastosowania. Był zachwycony swoją pozycją; Jesse narzekała, że staje się przez to jeszcze bardziej nieznośny. Narzekania Harry'ego na to, że nie zna matematyki w wystarczającym stopniu, zupełnie straciły swoje znaczenie, skoro wobec tych problemów nikt nie znał matematyki w wystarczającym stopniu. Wszystko to wzmacniało tylko nasze wcześniejsze przekonanie, że Consu są rasą, z którą nie powinniśmy zadzierać.

W parę miesięcy po drugiej bitwie o Koral rozeszła się pogłoska, że Rraeyowie znów pojawili się w przestrzeni Consu, prosząc ich o ponowne wsparcie technologiczne. Consu odpowiedzieli im powodując implozję rraeyskiego okrętu i wrzucając jego resztki do najbliższej czarnej dziury. Co wydaje mi się lekką przesadą. Ale to tylko pogłoska.

Po Koralu KSO przydzieliło mi całą serię ciepłutkich jak bambosze zadań, zaczynając od obowiązkowego tournée po koloniach w charakterze ostatniego bohatera KSO, pokazującego kolonistom jak Kolonialne Siły Obrony Walczą Za CIEBIE! Musiałem obejrzeć wiele parad i sędziować w czasie wielu konkursów kulinarnych. Po paru miesiącach byłem gotowy, żeby zacząć robić coś innego – chociaż właściwie dość miło było odwiedzić parę planet, nie musząc zabijać tych, którzy na nich mieszkali.

Po wykorzystaniu mnie do poprawy stosunków z opinią publiczną KSO kazało mi pilnować stad na okrętach przewożących świeżych rekrutów. Byłem tym gościem, który staje przed tysiącem starych ludzi w nowych ciałach i mówi im, żeby się dobrze bawili, a po tygodniu mówi im, że za dziesięć lat nie będzie żyć trzy czwarte spośród nich. Służba na tych okrętach była dla mnie nieznośnie słodko-gorzka. Wchodziłem do mesy

transportowca i widziałem poznające się i scalające grupy nowych przyjaciół – tak samo poznałem się kiedyś z Harrym i Jesse, Alanem i Maggie, Tomem i Susan. Zastanawiałem się, ilu z nich uda się przeżyć. Chciałem mieć nadzieję, że przeżyją wszyscy. Ale w głębi duszy wiedziałem, że większość z nich nie przeżyje. Po paru miesiącach poprosiłem o nowy przydział. Nikt tego w żaden sposób nie skomentował. Nikt zbyt długo nie chciał służyć na tych transportowcach.

W końcu poprosiłem, żeby znów posłali mnie do walki. Nie chodzi o to, że lubię walczyć, chociaż jestem w tym zadziwiająco dobry. Chodzi po prostu o to, że w tym życiu jestem żołnierzem. Zgodziłem się być żołnierzem i walczyć. Kiedyś zamierzam dać sobie z tym spokój, ale do tej pory chciałbym służyć na pierwszej linii. Dano pod moje rozkazy kompanię i przydzielono mnie na „Taos”. Właśnie na jego pokładzie teraz jestem. To dobry okręt. Mam pod swoimi rozkazami dobrych żołnierzy. W tym życiu nie możesz prosić o więcej.

To, że nie widziałem Jane już nigdy więcej, raczej nie jest czymś aż tak dramatycznym. W końcu oznacza to tylko, że się kogoś od pewnego momentu nie widziało. Jane poleciała pierwszym wahadłowcem na „Amarillo”; lekarz okrętowy rzucił na nią okiem, zobaczył, że jest żołnierzem Sił Specjalnych i zawiózł ją do kąta szpitala okrętowego, żeby pozostała w komorze hipostatycznej do czasu, kiedy nie wrócą na Feniksa – dopiero tam mieli się nią zająć technicy medyczni Sił Specjalnych. Ja w końcu wróciłem na Feniksa na pokładzie „Bakersfield”. W tym momencie Jane była już gdzieś głęboko we wnętrzościach skrzydła medycznego Sił Specjalnych, niedostępna dla zwykłego śmiertelnika, takiego jak ja – nie pomogło nawet to, że dopiero co zostałem obwołany bohaterem.

Wkrótce potem dostałem awans, medale i wysłano mnie w tournée po wszystkich stodołach i remizach kolonii. W końcu major Crick zawiadomił

mnie, że Jane wróciła do zdrowia i dostała nowy przydział – razem z większością żołnierzy ocalałych z „Krogulca” służyła teraz na nowym okręcie, który nazywał się „Latawiec”. Pomimo to, za bardzo nie próbowałem przesłać Jane żadnej wiadomości. Siły Specjalne były Siłami Specjalnymi. To były przecież Brygady Duchów. Nie powinieneś wiedzieć dokąd się udają, ani co robią. Nie powinieneś wiedzieć nawet tego, że właśnie stoją tuż przed tobą.

Ja jednak zawsze to wiem. Kiedy tylko żołnierze Sił Specjalnych widzą mnie, przesyłają mi za pomocą swoich MózGościów krótkie wiązki informacji emotywnych, oznaczające szacunek. Jestem jedynym naprawdę urodzonym, który służył w Siłach Specjalnych – krótko bo krótko, ale zawsze; uratowałem jedną z nich i wyrwałem powodzenie misji z uścisku szczęk częściowego niepowodzenia misji. Zwykle odpowiadam im taką samą wiązką emocji, jakbym salutował w odpowiedzi, ale nie mówię nic i na zewnątrz nie daję po sobie poznać, że ich rozpoznałem. Siły Specjalne wolą witać się ze mną w ten sposób. Potem nie widziałem Jane ani na Feniksie, ani nigdzie indziej.

Ale nie znaczy to, że nie miałem z nią kontaktu. Wkrótce po tym, jak zaokrętowałem się na „Taos”, Dupek zawiadomił mnie, że mam wiadomość od anonimowego nadawcy. To było coś nowego; nigdy przedtem nie dostałem na MózGościa wiadomości od anonimowego nadawcy. Otworzyłem ją. Zobaczyłem zdjęcie, na którym widać było pole zboża, wiejski dom widoczny w oddali i wschodzące słońce. Być może słońce właśnie zachodziło, ale nie tak to czułem. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to zdjęcie miało być pocztówką. A potem usłyszałem jej głos, należący do dwóch różnych kobiet głos, który znałem przez całe swoje życie.

*– Kiedyś spytałeś mnie o to, dokąd się udają żołnierze Sił Specjalnych, kiedy przechodzą na emeryturę, i odpowiedziałam ci, że nie wiem – przesłała. – Ale teraz już wiem. Jest takie miejsce, do którego możemy iść, jeśli chcemy, żeby po raz pierwszy nauczyć się jak być ludźmi. Myślę, że pójdę tam, kiedy przyjdzie na to czas. Myślę też, że chcę, żebyś poszedł tam ze mną. Nie musisz mi towarzyszyć. Ale możesz, jeśli chcesz. No wiesz, jesteś przecież jednym z nas.*

Zatrzymałem wiadomość na chwilę, i włączyłem ją znowu, kiedy byłem już gotowy.

*– Część mnie była kiedyś kimś, kogo kochałeś – przesłała. – Myślę, że ta część mnie chce być przez ciebie znowu kochana, i chce, żebym ja też cię kochała. Nie mogę być nią. Mogę po prostu być sobą. Ale myślę, że mógłbyś mnie pokochać, gdybyś chciał. Ja chcę, żebyś chciał. Przyjedź do mnie, kiedy będziesz mógł. Ja tam będę.*

To było wszystko.

Wróciłem myślami do dnia, w którym stanąłem nad grobem mojej żony po raz ostatni, i odwróciłem się od niego bez żalu, ponieważ wiedziałem, że to, czym była nie zawierało się w tej dziurze w ziemi. Wszedłem w nowe życie i odnalazłem ją jeszcze raz, w kobiecie, która była całkowicie odrębną osobą. Kiedy to życie się skończy, tak samo odwrócę się od niego bez żalu, ponieważ wiem, że ona na mnie czeka, w tym kolejnym, innym życiu.

Nie widziałem jej nigdy więcej, ale wiem, że ją zobaczę. Już niedługo. Naprawdę niedługo.

# PODZIĘKOWANIA

Droga do publikacji tej powieści pełna była ekscytujących chwil i niespodzianek, a na tej drodze tak wielu ludzi udzieliło mi pomocy i / lub zachęty, że właściwie nie wiem, od kogo zacząć.

Zacznijmy więc od ludzi, którzy mieli swój udział w złożeniu w całość tej konkretnie książki, którą właśnie trzymacie w rękach. Przede wszystkim, dziękuję Patrickowi Nielsenowi Hayden za kupienie tego pomysłu, doprowadzenie go do publikacji i zredagowanie w rozsądny sposób. Dziękuję Teresie Nielsen Hayden za jej nieocenioną dobrą pracę, równie dobre wyczucie, rady i rozmowy. Donato Giancola stworzył okładkę, która jest o wiele fajniejsza, niż mogłem sobie wymarzyć. Donato rządzi; podobnie jak Irene Galio, która, mam nadzieję, jest już teraz fanką Beach Boysów. Wszystkim pozostałym osobom z wydawnictwa Tor – wielkie dzięki, i obiecuję, że do chwili wydania następnej książki nauczę się waszych imion i nazwisk.

We wczesnym stadium kilka osób zaoferowało mi swoje usługi jako „beta testerzy”, a ja w zamian obiecałem wymienić ich w podziękowaniach. A potem, głupi, zgubiłem pełną listę (to było parę lat temu). Niektórzy z nich to (kolejność bez znaczenia): Erin Rourke, Mary Anne Glazar, Christopher McCullough, Steve Adams, Alison Becker, Lynette Millet, James Koncz, Tiffany Caron i Jeffrey Brown. Wymieniłem co najwyżej połowę spośród nich – pozostałych nazwisk nie udało mi się przypomnieć ani znaleźć w moich mailowych archiwach. Błagam ich o wybaczenie, dziękuję za wkład w powstanie tej książki i obiecuję, że za następnym razem lepiej będę prowadził dokumentację. Przysięgam.

Jestem winien wdzięczność wielu pisarzom i wydawcom science fiction / fantasy za okazaną mi pomoc i / lub przyjaźń; mam jednocześnie nadzieję na to, że oba te względy zostaną odwzajemnione – oto ich lista: Cory Doctorow, Robert Charles Wilson, Ken McLeod, Justine Larbalestier, Scott Westerfeld, Charlie Stross, Naomi Kritzer, Mary Anne Mohanraj, Susan Marie Groppi i, w szczególności, Nick Sagan, którego nazwisko wykorzystałem w tej powieści (był to hołd złożony jego ojcu), który jest nie tylko dobrym przyjacielem, ale również cenionym członkiem Wzajemnego Kopania Dupy Nicka i Johna. Życzę wielu sukcesów mojemu agentowi, Ethanowi Ellenbergowi, który ma teraz za zadanie przekonać ludzi do wydawania tej książki w wielu różnych językach.

Dziękuję moim przyjaciołom i rodzinie, którzy nie pozwolili mi popaść w szaleństwo – ci bliscy mi ludzie, którym winien jestem szczególną wdzięczność to: Deven Desai, Kelvin Stampfl, Daniel Mainz, Shara Zoll, Natasha Kordus, Stephanie Lynn, Karen Meisner, Stephen Bennet, Cian Chang, Christy Gaitten, John Anderson, Rick McGinnis, Joe Rybicki, Karen i Bob Basye, Ted Rail, Shelley Skinner, Eric Zorn, Pamela Ribon (jesteś gotowa!), Mykal Burns, Bill Dickson i Regan Avery (wymienieni w dowolnej kolejności). Uchylam kapelusza wobec czytelników Mniejsza Z Tym i wobec czytelników Przy Okazji, którzy musieli przecierpieć mój blog na temat doświadczeń z wydawaniem książki. Całusy i uściski dla Kristine i Atheny Scalzi, które musiały przez to wszystko przejść. Mamo, Heather, Bob, Gale, Karen, Dora, Mike, Brenda, Richard, wszyscy kuzyni i kuzynki, bratankowie i siostrzenice, ciotki i wujowie (jest was bardzo dużo). To prawda, często zapominam ludzi, ale nie chciałbym również zostawać dłużej niż wypada.

I wreszcie: Dziękuję Ci, Robercie A. Heinlein, za mój dług, który (skoro te podziękowania zostały umieszczone na końcu książki) nabrał



oczywistego znaczenia.

# JOHN SCALZI



**John Scalzi** mieszka w Ohio, jest dziennikarzem, felietonistą i autorem takich książek jak „Zarys przewodnika po wszechświecie” i „Księga Głupców”. Jego internetowy dziennik „The Whatever” ([whatever.scalzi.com](http://whatever.scalzi.com)), jest jednym z najstarszych i najczęściej czytanych blogów w sieci. „Wojna starego człowieka” to jego pierwsza wydrukowana powieść.

Czerwiec 2004